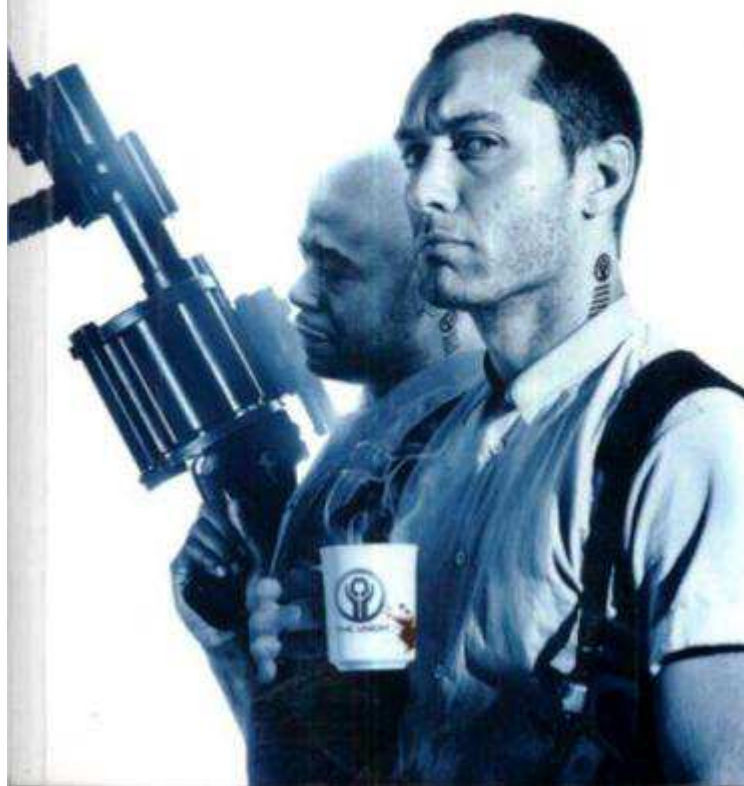


Windykatorzy

ERIC GARCIA

THRILLER ZEKRANIZOWANY JAKO **REPO MEN**
Z JUDE'EM LAWEM I FORESTEM WHITAKEREM

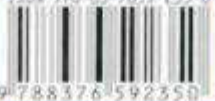


Windykatorzy to napisana w formie thrillera czarna satyra na temat społeczeństwa przyszłości opętanej obsesją sztucznego przedłużania ludzkiego życia. Powieść została zekranizowana w 2010 jako *Repo Men*; główne role zagrali Jude Law, Forest Whitaker i Alice Braga. Naciągacze, wcześniejjsza powieść Garcíi, także doczekała się wersji filmowej. Zrealizował ją Ridley Scott, a wystąpili Nicholas Cage, Sam Rockwell i Alison Lohman.

Każde ciało ma swoją cenę. Każdy organ można kupić. Tylko nie zapomnij uważnie przeczytać umowy...

USA, niedaleka przyszłość. Ludzie coraz rzadziej umierają ze starości, bo na wolnym rynku dostępne są sztuczne, praktycznie niezniszczalne zamienniki wszystkich organów wewnętrznych. Niestety, ich wysoka cena powoduje, że większość potrzebujących nabywa je na kredyt, którego udzielają wyspecjalizowane firmy. Zaniechanie lub opóźnienie spłaty jest równoznaczne z wyrokiem śmierci. Rzesze specjalnie wykształconych windykatorów (płatnych morderców) wytrąpią każdego dłużnika i wtedy nie ma zmiłuj – wytną mu na żywo wszczepione organy, nawet niezbędne do życia. Bezimienny narrator jest windykatorem, i to najlepszym w branży. Pięciokrotnie żonaty, pracuje dla Credit Union, wiezie mu się doskonale. I nagle wszystko się wali. Przypadkowe porażenie prądem podczas rutynowej ekstrakcji organów, śmierć kliniczna, wszczepienie sztucznego serca, oczywiście na jego koszt. Po przebudzeniu wraca do zawodu, ale jest coraz gorzej. Ostateczne załamanie przychodzi, gdy dostaje zlecenie na odebranie organu od swej byłej żony, z którą ma syna. Nie jest już w stanie pracować, przestaje spłacać raty kredytu – i niespodziewanie ze ścigającego sam staje się ściganym. Tropi go najlepszy przyjaciel, też zawodowy windykator...

ISBN 978-85-7659-235-0



9 788576 592350

BRUNNEN
3/11
04402

Tego autora

NACIĄGACZE

WINDYKATORZY

Windykatorzy

ERIC GARCÍA

Z angielskiego przełożył

JACEK MANICKI



Tytuł oryginału: THE REPOSSESSION MAMBO

Copyright © Erie Garcia 2009

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2011

Polish translation copyright © Jacek Manicki 2011

Cover art © Universal Pictures 2010 Courtesy of Universal Studios Licensing LLP

Redakcja:

Jacek Ring

Projekt graficzny okładki i serii:

Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

IS BN 978-83-7659-235-0

Dystrybucja

Firma Księgarska Olesiejuk sp, z o.o, sp, k.-a.

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.empik.com

www.merlin.pl

www.gandalf.com.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.amazonka.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24,

02-954 Warszawa

2011. Wydanie I

Druk: Opolgraf S.A., Opole

Rozdział 1

Biorąc po raz pierwszy trzustkę do rąk, doznałem erekcji. Podejrzewam, że bardziej wskutek skoku adrenaliny niż powabu tego przelewającego mi się między palcami konglomeratu tkanki i metalu, tak czy inaczej nawet świadomość medycznej natury tego, co robię, nie złagodziła znacząco fali energii, która zalała mi znienacka okolice podbrzusza. Aż do tamtego dnia podniecenie, a jakże, dopadało mnie jak każdego młodego mężczyznę, ale wyłącznie na tle seksualnym, tak więc gdzieś na linii musiało dojść do zwarcia. Podniecenie prowadzi zazwyczaj do erekcji, no i stałem tak z tą trzustką w rękach oraz z namiotem na wysokości rozporka.

Przygarbiłem się, bo nie widziałem innego sposobu ukrycia przed pozostałą czwórką kursantów, co mi się przytrafiło. Po mojej prawej Jake z rozanieloną gębą mamuśki pożerającej wzrokiem oseska, którego właśnie powiła, obserwował pracę kłaskających zastawek świeżutkiego, ciepłego jeszcze egzemplarza serca. Nawet gdybym się przemógł i powiedział mu, co się ze mną dzieje, pewnie by się tylko roześmiał i poradził, żebym poszedł zrobić z tym porządek do kibelka. Nie, on by nie zrozumiał, że ja nie chcę, by ta praca tak mnie kręciła, nie chcę, żeby pod jakimkolwiek

względem rajcowało mnie to, do czego byliśmy szkoleni. Ale pomimo tych rozterek jakiś głos wewnętrzny podpowiadał mi, że chyba znalazłem zajęcie, do którego zostałem stworzony.

Dzisiaj wiem już na pewno — lubię swoją pracę czy nie — że się nie myliłem. Chociaż moje szanse dalszego awansu w zawodzie widziane teraz z wysokości czwartego piętra opuszczonego hotelu, gdzie siedzę obłożony mnogością skalpeli, kleszczy oraz broni palnej, są w najlepszym razie ograniczone.

Ale może lepiej po kolei. Kontekst to podstawa. Chociaż zawsze byłem z nim na bakier, wiem, że jest ważny. Peter tak twierdzi. Niech mu będzie; dołożę wszelkich starań. Wybaczcie jednak, jeśli czasem się zagalopuję i odbiegnę od tematu. Konsekwencją nie jest moją najmocniejszą stroną.

* * *

Kiedy byłem na topie, niewiele się zastanawiałem nad tym, co robię. Wiedziałem, jak zacząć i kiedy skończyć. Bano się mnie, darzono respektem, wieszano na mnie psy. Historia stara jak świat: mężczyźni usiłovali mi się przypochebić albo dokopać, kobiety przespać się ze mną albo dać w mordę, i tak to się jakoś kręciło — zlecenie za zleceniem, jedna noc zlewała się z następną, a ta z jeszcze następną.

Nie zrozumcie mnie źle — pamiętam każde pokwitowanie, jakie wystawiłem, każdy czorg, jaki odzyskałem dla Credit Union. Te wspomnienia ciążą mi teraz, wszystkie i każde z osobna, niczym naszyjnik z małych ołowianych kuleczek uciskających pierś. Ale dawniej, kiedy tkwiłem w tym po uszy, takie skrupuły mnie nie nachodziły. Praca jak każda. Byle do rana.

* * *

Po długim weekendzie wpadłem do Credit Union pobrać parę dodatkowych różowych druczków. Przegrałem sporo, obstawiając pewniaków w zakładach na wyniki meczów futbolowej ligi uniwersyteckiej, i chciałem się odkuć, zanim Carol zauważy ubytek na naszym koncie bankowym. Potrafiła być bardzo nieprzyjemna, kiedy takie coś odkrywała.

Były to złote czasy dla Credit Union i dla nas, zatrudnionych w dziale windykacji — gospodarka kwitła, zdolność kredytowa rosła, naród kupował bez opamiętania i siłą rzeczy takich, którzy przeholowali z kredytami, przestawali spłacać raty i musieli zwracać nabyty towar kredytodawcy, nie brakowało. Ale co tam, jakoś to będzie. Tak myślała przynajmniej większość społeczeństwa.

— Widziałeś? — spytałem Franka. — Tu stoi napisane, że facet mieszka w północnym Braddock.

Na różowych druczkach mieliśmy wyszczególnione adres, numer telefonu, zdolność kredytową, zarejestrowaną broń i tak dalej.

— I co z tego? — burknął Frank. — Zbieraj się i dymaj.

— To droga dzielnica — wyjaśniłem. — Może rata przyszła pocztą, a my to przeoczyliśmy.

Już się tak zdarzało i na pewno nieraz się jeszcze zdarzy.

Frank otworzył drzwi swojego biura, dając tym samym do zrozumienia, że mam ruszać w teren i robić swoje.

— Niczego nie przeoczyliśmy, gość zalega już osiem miesięcy. Dla mnie może sobie nawet spać, kurde, na milionach, gównu mnie to obchodzi. Nie płaci i miarka się przebrała.

Frank miał bezsprzecznie rację. Ileż to już razy miałem z takimi do czynienia — klientami przy forsie, którzy nie uznawali za stosowne regulować swoich zobowiązań. Ich gierki z fiskusem mnie nie obchodziły. No nic. Naładowałem paralizator, chwyciłem

walizeczkę ze skalpelami i zanurzyłem się w ciemną noc.

* * *

Pięćdziesięcioletni, na oko, apartamentowiec, istny drapacz chmur, a na jego trzydziestym ósmym piętrze mój klient, Henry Lombard Smythe. Portier, kiedy wchodziłem, skinął mi tylko głową. Cwaniura połapał się od razu, z kim ma do czynienia, i wołał mnie nie zaczepiać — tatuaż, który mam na szyi, mówi sam za siebie. Szybkobieżną windą na górę, potem dziecinnie prosta do sforsowania mur-zasuwa i już jestem w środku. Nikogo w domu. Korzystając z tego, zwiedziłem lokal. Wyposażenie, że mucha nie siada, abstrakcja na ścianach, widok na miasto przez gigantyczne okna wychodzące, kurdebele, chyba na wszystkie cztery strony świata.

Z oprawionych w ramki fotografii rozstawionych po mieszkaniu odtworzyłem kompletny profil klienta, jak zwykle. Miałem to wszystko na różowym druczku — data urodzenia, stan cywilny, dzieci — ale nawet gdybym nie miał, to i tak bym już wiedział, co to za jeden.

Oto Smythe — facet w średnim wieku, cofająca się linia włosów, zęby w komplecie, zdrowe — a obok puszysta blondyna. Oboje w skafandrach do nurkowania na Fidżi. Tu też on na stoku narciarskim gdzieś w Alpach, a obok szczupła brunetka uczeplona jego łokcia tak kurczowo, jakby za chwilę miała zlecieć z góry. I do tego zdjęcia Smythe'a z dziewczynką w różnym wieku. Na jednym dziecko ma kucyki i są w cyrku; na innym ona ma pierwszy wysyp zachciewajek i z jej miny można wyczytać: „No pstrykajże szybciej to cholerne zdjęcie”. Te fotografie, w połączeniu z jego obecnym statusem kawalera z odzysku, nie pozostawiały cienia wątpliwości: Nieźle sytuowany rozwodnik, który czerpie

teraz z życia pełnymi garściami, rozbijając się po świetle, i robi z siebie durnia, dobierając sobie za młode jak na niego kobiety. Od razu poczułem się bardziej komfortowo. Już miałem położyć nogi na stolczku, sprawdzić, jakiej klasy zestawu wideo gospodarz używa, ale w tym momencie usłyszałem przytłumiony gong zatrzymującej się na piętrze windy, a zaraz potem niepewne kroki dwóch osób zbliżających się korytarzem. Zgrzytnął wsuwany w dziurkę klucz i ktoś tam za drzwiami parsknął niekontrolowanym pijackim chichotem. Dobyłem paralizatora i cofnąłem się w najciemniejszy kąt pogrążonego w mrokach nocy lokalu. Zawsze lepiej działać z zaskoczenia.

* * *

Weszli już do połowy roznegliżowani. On miał rozpiętą koszulę, ona spódniczkę zadartą powyżej bioder. Obmacywali się na potęgę. Po stroju poznałem, że to nie żadna z zarejestrowanych dam spod znaku czerwonej latarni, tylko cichodajka. Zabrała się do rozpinania mu spodni. Oczekałem, aż te opadną do kostek — wiem, że to trochę nie fair zagrywka — i chałturzystka przystąpi do dzieła. Oparł się plecami o ścianę i zatrzepotał powiekami, gotując się na bezmiar rozkosznych doznań.

— Dobry wieczór, panie Smythe — powiedziałam spokojnie, wynurzając się z ciemnego kąta. — Jestem z Credit Union.

Powieki przestały mu z miejsca trzepotać, wybałuszył oczy. Chciał uskoczyć w bok, potknął się o własne spodnie i o mało nie przewrócił. Zgięta we dwoje cichodajka odsuwała się na klęczkach. Mądra dziewczynka.

— O, kurwa. Kurwa mać... — wybełkotał Smythe. — Czekaj pan, już płacę.

— Przykro mi — odparłem. — Ja nie z tego działu. — Uniosłem spokojnie paralizator i wycelowałem. — Prawo obliuguje mnie do

zadania pytania, czy życzy pan sobie karetkę na sygnale, chociaż uprzedzam z góry, że na zastępczy sztuczorg z Credit Union nie masz pan co liczyć.

— Czekał pan — on znowu — nie...

I tyle tylko zdążył wydukać, bo w tym momencie strzałki wystrzelone z mojego paralizatora ugodziły go w pierś i poraziły prądem. Padł na podłogę jak ścięty, podrygując. Trzymałem się z dala, dopóki na dobre nie znieruchomiał. Wtedy jeszcze przestrzegałem przepisów bhp.

Wybranie kleszczy i skalpeli potrzebnych do zabiegu nie zajęło mi wiele czasu, lecz w trakcie przymierzania się do pierwszego nacięcia oberwałem czymś miękkim, ale ciężkim, w głowę. Obejrzałem się. Nade mną, na chwiejnych nogach, z zaczerwienionymi z przepicia oczami, stała cichodajka i zamachiwała się po raz drugi swoją torebką.

— Ani si waż mnie, kuwa, knąć — wymamrotała, język jej się plątał.

— Jezu, kochana — powiedziałem, osłaniając się przed spadającymi na mnie razami. — Weź na wstrzymanie. Do ciebie nic nie mam. Nie przeszkadzaj człowiekowi w pracy.

Dopiero teraz zauważyłem, że ma dziewiętnaście, góra dwadzieścia lat. Była więc w wieku córki Smythe'a i sikała w majtki ze strachu. A przecież wystarczyłoby się ulotnić i miałyby problem z głową. Do jasnej ciasnej, o ile znam tę profesję, naleźność zainkasowała z góry — jeśli tak, to byłby to najfartowniejszy numerek, jaki się jej trafił w tym tygodniu. Ale czasami ludzie na widok paralizatora, skalpela i tatuażu dostają małpiego rozumu i włączają w paradę. Doprawdy żalodne.

Znowu przyłożyła mi torebką. No nie, w takich warunkach nie da się pracować. Zerwałem się na równe nogi, chwyciłem ją za ramiona i przyparłem do najbliższej ściany. Zakręciło mi się w nosie od jej alkoholowego chuchu zmieszanego z duszącym

smrodem perfum, którymi obficie się złała, potu i seksu.

— Słuchaj, mała — wycedziłem przez zaciśnięte zęby, siląc się na spokój, bo miałem świadomość, że zwracam się właściwie do jeszcze dziecka. — Jestem tu służbowo. Co i o tobie można powiedzieć. Czekam na jeszcze papierkowa robota, szef w biurze, a w domu gęby do wykarmienia. Ten gościu na podłodze to twój klient, rozumiem, ale mój też i nie moja wina, że zaczął sobie fundować obciąganie druta, a przestał płacić rachunki. Zachowujmy się więc jak profesjonalści i nie wchodźmy sobie nawzajem w drogę, zgoda?

Kiwnęła głową — podejrzewam, że w tym momencie przystałaby chyba niemal na każdą moją propozycję — i puściłem ją. Ukląknę z powrotem nad Smythe'em, żeby kontynuować to, co mi przerwano. Chciałem uwinąć się z robotą, zanim miną skutki działania paralizatora; szarpanie się z kimś, kto odzyskał władzę w członkach, a jest już otwarty, nie należy do przyjemności. Plamy krwi z markowej bawełnianej koszuli bardzo trudno usunąć.

Byłem już po nadgarstek w trzewiach, kiedy kurwiszonek znowu mnie zaatakował. Nie wiem, czy zapomniała, cośmy przed chwilą ustalili, czy zmieniła zdanie, tak czy owak zaszarżowała na mnie jak, nie przymierzając, wiking w bitewnym szale, kręcąc młynka trzymaną w górze torebką. Sięgnąłem wolną ręką po paralizator i wystrzeliłem ostatnią strzałkę; trafiłem w nogę. Zdążyła tylko spuścić zbaraniały wzrok i zaraz potem pięćdziesiąt tysięcy woltów zrobiło swoje.

Upadła, a ja już bez przeszkód skończyłem i wrzuciłem do zlewozmywaka z nierdzewnej stali w kuchni Henry'ego Smythe'a nerkę Kenton LS-400, po którą tu przyszedłem. Woda tryskająca pod ciśnieniem z kranu splukała szybko krew i otoczkę z tkanki,

i w blasku halogenowych jupiterków nad zlewem załśnił długi metalowy cylinder.

Wypisałem na żółtym druczku pokwitowanie w trzech egzemplarzach, złożyłem swój podpis i zostawiłem kopię na zwłokach pana Smythe'a. Gdyby jego krewni mieli jakieś obiekcje co do samej windykacji albo jej skutków, były tam numery telefonów, pod które mogli dzwonić. Ciekawa rzecz, nikt jeszcze tego nie zrobił. To, moim zdaniem, najlepszy dowód, że system, na swój sposób, działa.

* * *

Tej nocy obskoczyłem jeszcze dwa zlecenia, a następnie z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wróciłem do Mallu i siedziby Credit Union, gdzie czekał na mnie Frank. Jestem przekonany, że Frank ma ładny dom, i od czasu do czasu słyszę, że podobno był na urlopie, ale ja go zawsze zastaję w biurze. Zupełnie jakby miał dublera, który zajmuje jego miejsce, kiedy on idzie się przekimnąć do domu.

— Jak poszło?

— Bez zgrzytów, normalka — odmruknąłem. Przeszliśmy na zaplecze, tam Frank wziął ode mnie odzyskane sztuczorgi — wątrobę Smythe'a, komplet nerek jednego księgowego i egzemplarz trzustki, do której pełnej spłaty zabrakło zaledwie trzech miesięcy — i wklepał je do komputera. Zostaną teraz wysłane do zakładów regeneracji kooperujących z producentami i po kontroli technicznej pod kątem ewentualnych defektów odpicowane na glans, trafią z powrotem do salonu sprzedaży, by kusić następnych, mniejmy nadzieję, solidniejszych klientów. Naturalnie jakiś tam odsetek nabywców znowu zacznie się spóźniać z płatnościami, najpierw przyjdą kary za nieterminowe spłaty, potem podniesione zostanie oprocentowanie kredytu, a jak i to nie pomoże, wkroczymy my. I tak w kółko.

Bogatszy o honorarium, podrajcowany jeszcze zrealizowanymi zleceniami, chciałem już wracać do domu, do Carol, kiedy Frank wręczył mi jeszcze jeden różowy druczek.

— Priorytet — powiedział. — Ponad rok zwłoki.

— Jestem zmęczony — mruknąłem. — I świtu tylko patrzeć. Jutro to załatwię.

— Podwójna stawka, jeśli załatwisz dzisiaj — kuśił. — To tylko dwie mile stąd. Nie bądź wiśnia. Ile ci to może zająć? Góra godzinę.

Wziąłem tę chałturkę. Rzadko mi się zdarzało nie przyjąć zlecenia. Między innymi dlatego byłem taki dobry w swoim fachu — życia towarzyskiego prawie nie prowadziłem. Kiedy człowiek trudni się odzyskiwaniem sztucznych organów, umawianie się na wieczór ze znajomymi nie ma większego sensu.

* * *

Ale wszystko to — nocna praca, odsypianie w dzień, poczucie władzy i pozycja twardziela — to teraz dla mnie zamierzchła przeszłość. Poprzednie życie było tak bez troskie w porównaniu z sytuacją, w której obecnie się znajduję, że odnoszę wrażenie, jakbym grał w nim w polo albo zonglował pakietami akcji na giełdzie.

Podsumujmy: Kiedyś byłem królem nocy. Osobnikiem na specjalnych prawach. Mogłem powiedzieć policjantowi bez ogródek, żeby mnie w dupę pocałował, a on kładł uszy po sobie i tylko się głupawo uśmiechał. Ulice należały do mnie, mogłem na nich wyznaczyć, co mi się żywnie podobało.

Dzisiaj to ja jestem panem Smythe'em. To ja odskakuję z podniesionymi rękami i potykając się o własne opuszczone do kostek spodnie, modłę się, żeby pierwszy strzał chybił celu, bo wtedy miałbym jeszcze cień szansy na dotrwanie do rana.

No, boki, kurza twarz, zrywać.

Rozdział 2

Każdą pracę — przynajmniej jeśli chodzi o mnie, zawsze tak było — rozpoczyna się od pokwitowania pobranego na swój stan wyposażenia i rozliczenia się z niego na koniec, również za pokwitowaniem. Chociaż to, co mam aktualnie do roboty, sprowadza się na dobrą sprawę do siedzenia całymi dniami w ciemnym kącie tego opuszczonego hotelu oraz bojaźliwego zerkania co dwie minuty przez szpary między deskami, którymi zabito okna, to co mi szkodzi pozostać przy tej rutynowej procedurze. Podtrzymywała mnie, jak dotąd, na duchu.

Mój stan posiadania:

Jedna maszyna do pisania Underwood VIII. Jasnoniebieski lakier porysowany do żywej blachy, zacinająca się wskutek długoletniego braku konserwacji oraz nieużywania. Znaleziona na zapleczu hotelowej recepcji, na szafce na akta, w której szczury wymościły sobie gniazdo z gazet sprzed dziesiątków lat. Taśma barwiąca nie pierwszej już świeżości, ale spełnia jeszcze jako tako swoją funkcję, gorzej z klawiaturą. Brakuje nasadki na klawisz „shift” i ilekroć przychodzi mi wystukać jakąś wielką literę, jego goły metalowy trzpień dźga mnie w palec. Długachne zdania nie

są więc w tej sytuacji kwestią stylu; ja po prostu instynktownie unikam używania wielkich liter.

Niewykluczone też, że maszyna celowo pobiera mi krew. Wbudowany w nią tester określa następnie grupę przed operacją chirurgiczną, która niechybnie mnie czeka. Podejrzewam, że podrzuciły ją tu chłopaki z Credit Union. Taki kretyński żarcik. To by było do nich podobne. Kto wie, czy sam bym tego nie zrobił. Może w środku jest jakaś kamera. namierzacz.

Każda maszyna do pisania ma to do siebie, że hałasuje, a więc na dobrą sprawę sama w sobie jest namierzaczem. Nierówny stukot zacinających się klawiszy — trach-ttrach-ttrach — jest jak serie oddawane ze szwankującego cekaemu. Co ja bym dał za miękką, cichutką klawiaturkę komputera i poświęcę plazmowego ekranu, która rozjaśniałaby mi samotne noce. To plask-plask-plasku-plask też by mnie naturalnie zdradzało, ale w tej chwili jest mi wszystko jedno. Trudno przewidzieć, jak długo jeszcze przeciągnie się ta nerwówka. Nie ode mnie to zależy.

* * *

Odgłosy towarzyszące wystukiwaniu niniejszych stron świadczą o moim poświęceniu. Przez trzy miesiące starałem się oddychać jak najciszej, tłumilem kichnięcia, powstrzymywałem kaszlnięcia. Poruszałem się tylko w nocy, i to na palcach, drobnymi kroczkami. Typowe dla ukrywającego się człowieka. Deski podłogi są zdradliwe, trzeszczą. Najmniejszego hałasu, nie bądźmy amatorami. Wystrzegajmy się wszelkich odgłosów. Jakichkolwiek odgłosów. Zadzwoń do Odpowiedniego Funkcjonariusza Państwowego — judzą te odgłosy. W opuszczonym hotelu u zbiegu Czwartej i Tylera ktoś się ukrywa — podpowiadają. Niedoczekanie. Tego by jeszcze brakowało, żebym znowu musiał zmieniać

kryjówkę. Bo to, wobec kryzysu na rynku mieszkaniowym, zmusiłoby mnie do szukania następnego pustostanu odpowiadającego moim wygórowanym wymaganiom.

Narzuć sobie następujący reżim pisania na maszynie: jedna godzina pracy, dwie przerwy. To zredukuje do jednej trzeciej niebezpieczeństwo wykrycia, ale jestem przekonany, że ktokolwiek mnie tropi, znajdzie mnie bez pomocy tego zabytkowego underwooda. Są teraz radary, noktowizory, skanery, o jakich do niedawna nikomu się nie śniło. Ale może, jeśli szczęście mi dopisze, jeszcze się na tych gadżetach przejadą. Do starych wypróbowanych metod nikt się już teraz nie zniża.

* * *

Jedźmy dalej.

Papier: połowa nadgryzionej przez myszy ryzy z trzema dziurkami na marginesie do wpinania w segregator, znaleziona w pobliżu wspomnianej już szafki na akta. Stos opakowań po gumkach pod biurkiem. Dawno opróżnione butelki po detergentach, ale etykiety łatwo odlepić i wkręcić w wałek mojego underwooda. Różnice w szerokości i długości stron mogą nastęrczać problemów, ale postaram się je przezwyciężyć. Co jak co, ale dostosować się to ja umiem.

Ciało: oczy czujne, szeroko otwarte, wzrok wyostrozony. Nauczyłem się sypiać jak rekin w oceanie, powieki przylepiłem sobie do czoła podwędzoną taśmą klejącą. Jestem nieschodzącym ze służby wartownikiem, idealnym psem stróżującym, obrońcą swojego królestwa, a zawdzięczam to wszystko Spółce 3M.

Uszy wyczulone na najcichsze poruszenie, w takim stanie uwrażliwienia, że wychwyć pisk myszy pośród porannego

szczytu komunikacyjnego. Nozdrza bez ustanku rozdęte wciągają ostrożnie powietrze z otoczenia, analizują je pod kątem obecności śladowych ilości eteru, a gdy ich nie znajdują, wydmuchują bezgłośnie z powrotem. Czyste. Nic w nim nie ma. Jak na razie.

Muszę przeładować obrzyna.

Broń, standardowa i inna:

Obrzyn (1), dwulufowy, zostały 23 naboje

Mauser (1), pistolet ręczny, naboji 16

Finka (1), skradziona z namiotu na biwaku skautów z drużyny Niedźwiedzi

Skalpel (2), idealnie dopasowany do kształtu mojej dłoni i siły nadgarstka

Piła do kości (1), stępiona wskutek częstego używania

Rozpieracz żeber (1), niewielkie zastosowanie taktyczne

Pojemnik z eterem (2), pojemność mniej więcej 800 metrów sześciennych

Garota (1), z dwoma drewnianymi rączkami, zmajstrowana z nóg od krzeseł i struny e-moll wziętej z fortepianu stojącego w zniszczonym przez pożar hotelowym holu na parterze.

Wiem, wiem, żaloszny to arsenał, ale będzie mi musiał wystarczyć. Samoobrona kosztuje, a mnie już od dwóch miesięcy nie płacą. A nawet gdyby płacili, to Credit Union bez wątpienia dawno wziął pod obserwację moją skrzynkę pocztową i z wyprawy po swój comiesięczny czek już bym pewnie nie wrócił, a przecież moje życie, nawet na tym etapie, warte jest chyba trochę więcej niż te marne sześćset dolców.

W Union byłem jednym z najwyższej notowanych biowindyków. Piąta Kategoria, nie chwając się. To fakt. Razem z moim przyjacielem i dobrym kolegą Jakiem Freivaldem awansowaliśmy w niecałe dwa lata z Drugiej do Czwartej. Nie, nie było między nami współzawodnictwa — przynajmniej oficjalnie — ale obaj bacznie śledziliśmy nawzajem swoje postępy i uważaliśmy, żeby broń Boże nie potknąć się po drodze na szczyt. Kategorii Piątej dochrapałem się dwa miesiące przed nim. Czyżbym był od niego lepszy w tej robocie? Trochę bardziej zdeterminowany? Bardziej utalentowany? Miejmy nadzieję. Od tego, kurde, zależy teraz moje życie.

* * *

Każdy z nas ma swoje ulubione organy; to w naszej profesji normalne. Naturalnie człowiek nie przebiera w różowych druczках, które podrzucają mu na biurko, tylko bierze je jak leci i załatwia przypisanych sobie klientów — bądź co bądź to nie koncert życzeń — ale ja upodobałem sobie wątroby, zwłaszcza modele Kenton i Tahitsu, i nie ukrywam, że ze szczególną satysfakcją przeprowadzałem windykację u niepoprawnych alkoholików. No bo spójrzmy prawdzie w oczy, ktoś, kto po wszczepieniu sztuczorga chła dalej bez opamiętania, w najmniejszym stopniu nie zasługuje na godną śmierć.

Jeden gościu, kiedy włamałem się do jego mieszkania o trzeciej nad ranem, był tak pijany, że szkoda mi było na niego eteru. Turlał się ospale po podłodze, przebierając niemrawo nogami i wyginając spasiono cielsko w spowolnionym rytmie horyzontalnego mambo — łatwizna — przystąpiłem do pracy, nie marnując ani kropelki.

— Wesoło ci? — spytałem w trakcie, kiedy mój skalpel zanurzył się już do połowy w jego trzewiach. Krew spływała na dębowy

parkiet strumykiem, ale nie tak wartkim, jak się tego spodziewałem.

— Oooootaaaa.

— Nie dasz już sobie w szyję, stary, co?

— O, hi hi hi hi.

— Śmieję się, śmieję — mruknąłem, wycinając sobie w płataninie żywej tkanki drogę ku migoczącej kontrolce, niczym poszukiwacz przygód, który przedziera się z maczetą przez gęsty busz. — Śmiech to zdrowie.

Kilka minut po wycięciu KL-418 rozchichotany otyły jegomość zszedł i nie dałbym głowy, czy po drodze w zaświaty dalej nie chichotał. Stokrotne dzięki, jacku danielsie, oszczędziłem za twoją sprawą działkę eteru.

* * *

Jak już wspomniałem, najbardziej odpowiada mi praca przy wątrobach, chociaż kilku niezapomnianych nocy dostarczyła mi również ta śledziona z Marshodyne. Najnowszy model — ten wystawiany już od roku na branżowych targach — ma, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wbudowany układ odłączający, który automatycznie odcina od reszty organizmu, jeśli przekroczona zostanie dopuszczalna dwumiesięczna zwłoka w spłacie rat kredytu. Jezus, Maryja, upraszcza to z pewnością pracę odzyskiwawczą, ale jak się dobrze zastanowić, jest to pierwsza jaskółka zbliżających się nieuchronnie czasów, kiedy biowindycy nie będą już potrzebni, kiedy organy same będą wyłaziły z trupów swoich nosicieli i człapały do najbliższego punktu regeneracyjnego. Mnie już wtedy raczej nie będzie na tym świecie. I całe szczęście.

Wątroba to bardzo wdzięczny, najłatwiejszy do ekstrakcji organ. Po drodze do niej niewiele przeszkód do pokonania, a i obrastającej ją tkanki tyle co nic. Ze wszystkimi innymi organami są

kłopoty. Do niektórych trzeba się przecinać przez las kości i masę mięśniową, a zarobek niewart włożonego wysiłku i ledwie pokrywa koszt zużytego eteru. Oczywiście, za starych dobrych czasów brałem takie zlecenia, pod warunkiem że stawka była wystarczająco wysoka, i głównie przez to władowałem się w tę kabałę.

Układy nerwowe — nie, szkoda gadać. Już się nimi nie zajmuję, no chyba że z musu. Nie mam przekonania do odzyskiwania czegoś, czego nie widzę, i żaden neurasta mnie do tego nie przekona. Owszem, w ramach kursu na windyka uczęszczałem na zajęcia z tego przedmiotu, ale tylko dlatego, że były obowiązkowe, i nie przykładałem się zbytnio do nauki. Neuropraca ma w sobie coś tajemniczego, wzbudza szacunek, i każdy chętnie wysłucha ciekawej opowieści o twojej ostatniej neurowyprawie w głąb pnia mózgu jakiegoś nieszczęsnego delikwenta, co zwiększa prawdopodobieństwo, że zaproszą cię na kolację. Ale wątroby... wątroby są realne, konkretne, namacalne. Widać je, można je wyszarpnąć, potrzymać. Dosyć mam innych zmartwień na głowie, żeby ją sobie jeszcze zawracać „widmowymi nerwami” i „wirtualnymi ścieżkami czuciowymi”.

Oczy i uszy mają za dużo bitów, bajtów, chipów i różnych takich i chociaż rzecz jasna jestem za mikroekstrakcjami, to uczciwie przyznaję, że nie mam smykałki do babrania się w nanoczęściach. Co tam jeszcze zostało...? Tarczyce są obrzydliwe, żołądki obleśne, pęcherze to drobnica, a nerki dziecinna zabawa. Naciąć plecy, złapać, pociągnąć i resztę nocy można przespać z butelką wódki zamiast poduszki pod głową.

Popularne protezy kończyn wymagają mozolnej, niewdzięcznej harówki. Za grosz finezji, satysfakcji co kot napłakał. Dłonie, przedramiona, palce, nogi — nudy na pudy. Sztampa. Większość zabiegów odzysku w tym zakresie przeprowadzana jest

nieinwazyjnie, żeby więc zajmować się kończynami, nie trzeba nawet mieć pełnej licencji windykatorskiej. W zleceniach na kończyny wysługiwałem się zwykle swoim siostrzeńcem — chłopakowi leci dopiero piętnasty rok, ale trzeba go już przyuczać do jakiegoś zawodu, bo do nauki głowy nie ma i na wyższe studia się nie nadaje. Tam do diabła, na niższe też, ale to kuty na cztery nogi szczawik i pomyślałem sobie, że niegłupio by było zrobić z zawodu windykatora rodzinną profesję. Swojemu synowi przystąpienia do tej spółki nie śmiałybym zaproponować. Nawet gdybym znał miejsce jego pobytu. Splunąłby mi w twarz i miałby do tego pełne prawo.

* * *

Nie widziałem go od sześciu lat. Petera, znaczy. Mojego syna. Ostatni raz było to w Snack Shack, w zachodniej części miasta. Staliśmy w kolejce po ziemniaczane chipsy i piwo, i on bębnił w moją pierś swoimi delikatnymi piąstkami. Przyznać muszę, że nic a nic to nie bolało, ale udąłem, że płaczę z bólu. Żeby nie było mu przykro. Peter zawsze miał kompleks na punkcie mojej postury — dziewięćdziesiąt pięć kilo żywej wagi, prawie same mięśnie, a on wrodził się w matkę — drobnej kości, gładkie liczko. W porównaniu ze mną jest jak porcelanowa figurka przy gorylu buszującym w składzie porcelany. Peter wygląda na arystokratę w czasach, kiedy arystokracja wykrusza się pod ciężarem swoich ekscesów. To Peter, mówię każdemu, mój syn — piękny, samotny i bezнадziejnie niedzisiejszy.

* * *

Peter jest moim jedynym synem. I w ogóle jedynym dzieckiem, owocem trzeciego małżeństwa. Wydała go na świat Melinda, moja trzecia żona, ale dorastał praktycznie pod

skrzydłami czwartej, Carol, i piątej, Wendy, które starały się okazać mu tyle ciepła i sympatii, jakby same go urodziły. Dobre dziecko. Nie wiem, jak to się stało, ale wyrósł na porządnego człowieka. Melinda odeszła z mojego życia gdzieś w okolicach drugich urodzin Petera i od tamtego czasu widziałem się z nią tylko raz. I ten raz nam obojemu wystarczył.

Co prawda przyznano nam naprzemienną opiekę nad dzieckiem, ale co tydzień przekazywaliśmy sobie syna całkowicie bezosobowymi sposobami. Przez pięć pierwszych lat służyła nam do tego telefoniczna poczta głosowa — zostawiałem Melindzie suchą informację, skąd pod koniec dnia może odebrać Petera, i na odwrót. Zostawialiśmy chłopczyka u znajomych, kolegów z pracy, kogokolwiek, kto zgodził się przyjąć rolę pośrednika i zaopiekować dzieckiem do czasu odebrania go przez jedno albo drugie z rodziców.

To nie była moja wina. Przynajmniej z początku. Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby Melinda wpadła czasem do mnie, posiedziała, porozmawiała ze mną przy kawie, jak minął tydzień, ale ona nie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Woląла, żeby nasz synek przechodził przez szereg skrzynek kontaktowych jak ten mikrofilm na filmie szpiegowskim z okresu zimnej wojny, niż pogawędzić z byłym mężem.

* * *

W pozwie o rozwód Melinda w trzech słowach określiła powód, dla którego pragnie zakończyć nasze dwuletnie małżeństwo: Nieznośne zapatrzenie w siebie. A może to cztery słowa? Ciekawe, czy miała na myśli mnie, czy siebie samą.

* * *

A oto przyczyny podawane w pozwach rozwodowych przez moich pięć żon:

Żona nr 1, Beth: *Wtrąca się w moją karierę. Niesłuchanie za-
zdrosny.*

Żona nr 2, Mary-Ellen: *Nieczuły. Nieobecny. Niewydolny sek-
sualnie.*

Żona nr 3, Melinda: *Nieznośne zapatrzenie w siebie.*

Żona nr 4, Carol: *Zdrada.*

Żona nr 5, Wendy: *Niedające się pogodzić różnice charakte-
rów.*

Spośród nich tylko Wendy wykazała się taktem. A akurat ona powodów mogła podać bez liku i każdy musiałbym uznać, bo prawda jest taka, że opuściłem ją, kiedy nasze małżeństwo było w pełnym rozkwicie i z pozoru niezagrożone. To był mój najbardziej udany związek. Wendy mogła mi zarzucić, co tylko chciała, ale postanowiła rozstać się ze mną na stopie pokojowej, nikogo z nas nie obciążając winą — czy raczej obciążając nią oboje.

Reszta zarzutów to albo wierutne kłamstwa, albo przesada, zwłaszcza ten o mojej rzekomej niewydolności seksualnej. Owszem, zdarzało się... no dobrze, przyznaję, był taki okres, kiedy mój wierny grzesiu nie chciał przyjmować postawy zasadniczej na zawołanie, ale niewydolność seksualna to zbyt mocno powiedziane. A Carol nigdy nie zdradziłem. Nie zdradziłem ani razu żadnej ze swoich żon. Carol, pochodząca z Alabamy, podała pierwszy pretekst do rozwodu, jaki mógł wpaść do głowy komuś, kto się w tym stanie urodził i wychował. Zawsze była taka impulsywna.

Jedyną pozytywną stroną większości moich rozwodów było to, że w grę nie wchodziły dzieci. Żadnych sądowych przepychanek o opiekę, żadnych nocnych awantur, podczas których przestraszo-ny synek w sąsiednim pokoju, przykrywając głowę poduszką,

czeka z utęsknieniem, kiedy mamusia i tatuś dojdą w końcu do porozumienia i dadzą sobie buzi na zgodę. Ale Melinda i ja mieliśmy Petera i oboje przeżyliśmy ogromny stres związany z tym aspektem rozwodu. Każde z nas chciało zatrzymać dziecko. Pragnęliśmy zakończyć w jakiś cywilizowany sposób coś, czego nigdy nie powinniśmy byli zaczynać, ale nie przewidzieliśmy, ile to pociągnie za sobą bolesnych skutków ubocznych.

* * *

Jednak, o ile mi wiadomo, Peter nie ma do mnie pretensji o to, jak go traktowaliśmy. Peter również nie ma do mnie pretensji o żadną ze swoich dziecięcych traum. Peter nie może mieć do mnie pretensji, że nie chciałem się widywać z jego matką. Peter nie może obarczać mnie winą za ten rozwód. Peter nie może mi zarzucić, że zawniłem w czymkolwiek wobec Melindy, oprócz tego ostatniego razu. I nie dziwię się, że ma do mnie o to żal.

* * *

Lubiliśmy z Jakiem dyskutować o istocie winy. O zaufaniu. No i w ogóle, o wszystkim. Czasu na to mieliśmy pod dostatkiem. Zastanawialiśmy się, czy Bóg istnieje, czy nie, a jeśli tak, to jaka jest jego opinia o sztuczorgach, o takich uzależniających lekach przeciwozrostowych jak Q, o ludziach przypisujących zwycięstwa i porażki rozmaitych drużyn sportowych Jego interwencji. Ani mi w głowie twierdzić, że interesowało nas to wszystko pod względem intelektualnym czy duchowym; nudziliśmy się po prostu i szukaliśmy jakiegoś tematu do pogawędki.

Zazwyczaj zwlekaliśmy się z wyrek gdzieś między szóstą a siódmą wieczorem, później jakaś lekka kolacyjka w świetlicy

z innymi chłopakami i w teren. Świetlica Credit Union to dwa stoliki do pokera, parę rozchwiejących, składanych krzesełek, wytarta tapeta sprzed dziesięciu lat, której nikomu nie chciało się wymieniać, oraz gigantyczna tablica podzielona kredą na rubryki, w których wyszczególniano klienta, sztuczorg, czas przeznaczony na ekstrakcję oraz windyka albo windyków, którzy mieli jej dokonać. Można tam było wypić kawę, pogawędzić, czasem urządzić małą imprezkę z panienkami i to właściwie wszystko.

Ale była to nasza kanciapa i mogliśmy do woli z niej korzystać. Jeśli chodzi o życie towarzyskie, większość windyków stała na straconej pozycji. Człowiekowi trudno się z kimś zaprzyjaźnić, skoro wszyscy podejrzewają go, że tylko na nich czyha. Z długotrwałymi związkami też nie lepiej. Szacuję, że z około setki specjalistów odzysku, jakich wtedy znałem, żonaci stanowili mniej niż połowę, a tylko niespełna jedna dziesiąta z nich nie rozwodziła się wkrótce po ślubie. Ja nadgodziny brałem chyba tylko po to, żeby spotkać się z kumplami.

Co do mnie i Jake'a, to jako specjaliści Piątej Kategorii mieliśmy swoje przywileje — dostawaliśmy najlepsze zlecenia, cieszyliśmy się szacunkiem kolegów po fachu z całego świata, a uposażenie korespondowało z naszą biegłością w zawodzie. Z drugiej jednak strony musieliśmy wysłuchiwać bezustannego skamlania i biadolenia tych, co plasowali się niżej w klasyfikacji.

Bobby Romain, wieczna Kategoria Druga, był w tej robocie dobry i na takiego wyglądał — metr osiemdziesiąt, chudy jak tyczka, małomówny i zawsze gotów do działania — ale notorycznie gubił w pracy swój skaner, a potem błagał nas, żebyśmy skombinowali mu nowy, zanim szefostwo się dowie.

Vicente Salazar dochrapał się jakoś Kategorii Czwartej, pomimo

że był nieziemsko grymaśny. Nie chciał jeździć w pewne rejony miasta, nie brał zleceń, które wymagały użycia eteru. Jeśli nazwisko klienta zaczynało się na literę K albo W, to przepadło — Vicente nie był zainteresowany. Kategorię Czwartą przyznano mu tylko dzięki temu, że jak już wybrał pasujące mu zlecenie, to załatwiał je tak samo sprawnie i precyzyjnie, jak ja i Jake. Frank przemyślał nawet o awansowaniu go do K5, ale szybko wybiliśmy mu to z Jakiem z głowy. Facet może sobie kręcić nosem na co zechce, jego sprawa, ale to obcyndalanie się we wszystkie weekendy wyklucza przyznanie mu piątej belki.

No i ten nieszczęsny Tony Park, ta wieczna drzazga za moim paznokciem, istny człekozwierz, sto dziesięć kilo samych mięśni i ścięgien. Czoło jaskiniowca sprzed dwudziestu tysięcy lat — rozległa połać skóry naciągniętej na kościach, która jakby pnie się kilometrami, zanim dociera do wiehcia gęstych włosów farbowanych w zielone pasemka. Wbrew wszelkim zaleceniom Credit Union, olewając dobry obyczaj, Tony kazał sobie wytatuować znak Union nie na szyi, jak my wszyscy, ale po samym środku tego swojego mamuciego czoła. Symbol ów, umieszczony tuż nad linią brwi, dokładnie między oczami, straszyl każdego pechowca, który miał nieszczęście napotkać Tony'ego na swej drodze. Tony widział kiedyś coś takiego w komiksie i uznał, że to bardzo zabawne. Jak dla kogo.

Oprócz dyskusyjnego poczucia estetyki Tony miał na dokładkę bardzo łagodny charakter. A to, wbrew pozorom, nie jest dobrze widziane wśród windyków. W tym fachu trzeba czasem podnieść głos, rzucić mięsem, w skrajnych sytuacjach strzelić albo dźgnąć, a spuszczenie z tonu rzadko się sprawdza. Tony chyba wagarował, kiedy przerabialiśmy to na szkoleniu.

W rezultacie to awansowany, to degradowany, oscylował wciąż

między K2 a K3, a latka leciały. Odwalił jakąś grubszą robotę, obsłużył jakiegoś uporczywego albo wysoko postawionego dłużnika i stawał się gwiazdą miesiąca, jeszcze jedno wzorowo zrealizowane zlecenie i Kategorię Trzecią ma jak w banku. Tydzień później u Denny'ego wycina jakiejś staruszce śledzionę na przyjęciu z okazji jej sto dziesiątych urodzin, zachlapując komuś krwią i flakami francuskiego tosta, no i adiu Fruziu Kategorio Trzecia, moja stara przyjaciółko.

Bez przerwy wiercił mi dziury w brzuchu prośbami o taką czy inną przysługę.

— Hej, mój bratanek chciałby w to wejść — mówi, dajmy na to. — Poleć go, wciągnij do programu.

— Sam to zrób, Tony.

— No tak, niby bym mógł — on na to — ale dla tych dupków na górze bardziej się liczy słowo tego z Piątą Kategorią, no nie?

Kiedy odmawiałem, odchodził zgaszony i godzinę później, zupełnie jak dziecko, które usiłuje wyprosić u rodziców zgodę na wyprawę z kolegami do supermarketu, molestował o to samo Jake'a. Tony nigdy nie dawał za wygraną — była to jego najlepsza cecha, a zarazem najgorszy wróg.

Przez niego nie mogliśmy z Jakiem posiedzieć w świetlicy tyle, ile byśmy chcieli. O ósmej wieczorem, kiedy większość ludzi układa do snu swoje pociechy, my udawaliśmy się do gabinetu Franka po różowe druczki. Czasami przypadało nam to samo zlecenie co poprzedniej nocy, ale najczęściej czekało na nas coś nowego.

Frank jest człowiekiem na wskroś starej daty i szkoda mu czasu na jałowe dyskusje o naszej branży albo naturze tego, czym się zawodowo trudnimy. Nie rozumie, czemu, u diabła, wszyscy tyle się nad tym rozwodzą. „Nie można by energii wkładanej w te wszystkie talk-show, reportaże, moralizatorskie gadki o Union

spożytkować na coś przydatnego? Cholera, do tego czasu mielibyśmy już dobrobyt i pokój na świecie”. Oto cały Frank — zawsze troszczący się o bliźnich.

Z jakiegoś powodu Frankowi nie podobało się, że Jake i ja trzymamy się w miarę możliwości razem.

— Szanuję waszą przyjaźń i w ogóle — powtarzał do znudzenia — ale wy dwaj jesteście najlepsi, jakich mam. Marnujecie się, gdy pracujecie w terenie jako zespół. Rozdzielcie się, obskoczycie dwa razy taki rejon, wydajność wam podskoczy.

— Cały czas się rozdzielamy — ja na to. — Siedemdziesiąt do siedemdziesięciu pięciu procent zleceń załatwiam w pojedynkę.

— Ale jak trafia się zlecenie dla dwóch, to zawsze jeden z was dobiera sobie do pary tego drugiego. Ślub wzięliście czy jak?

— Myślisz, że gdybyśmy się pobrali — fukał Jake — bylibyśmy skłonni spędzać ze sobą tyle czasu?

* * *

Jake i moje żony nigdy za sobą nie przepadali. Do mojej pierwszej połowicy, Beth, Jake był od początku uprzedzony, głównie dlatego, że z jej powodu nie mogłem już przebywać z nim tyle, co dawniej. Pozostałe nie próbowały nawet kryć swojej niechęci do niego, czy to spowodowanej naturą naszej pracy, czy też naturą tego, co nas łączyło.

Szczególnie nie znosiła go Carol (żona numer 4) i jestem przekonany, że jednym z powodów, dla których zamieszkaliśmy w sąsiednim stanie, było odsunięcie mnie od najlepszego kumpla. Z nich wszystkich Jake jeszcze jako tako tolerował Wendy, chociaż to ona podsunęła mi myśl, żeby przenieść się z działu windykacyjnego do działu sprzedaży.

— Do działu sprzedaży? — zachnął się Jake, kiedy pewnego wieczoru powiedziałem mu, z jakim noszę się zamiarem. — Jaja sobie ze mnie robisz?

— To pomysł Wendy — odparłem — i wcale nie taki głupi. Lattek mi przybywa, a ci cholerni klienci stają się coraz bardziej agresywni. W zeszłym tygodniu jeden skubaniec złożył się do mnie z bazooki...

— Ale sprzedawca? Naprawdę widzisz siebie siedzącego w tej klitce w salonie sprzedaży? — Tu zaszwargotał podniesionym, piskliwym głosem, parodiując manierę zachwalania towaru podsłuchaną u tych kilku sprzedawców, z którymi mieliśmy kontakt: — Panie Johnson, śledzony na tak korzystnych warunkach kredytowania próżno szukać w innych korporacjach. Jest pan to winien swojej rodzinie. Winien sobie. — Jake potrząsnął z niedowierzaniem głową. — Rzygać się chce.

— Żadna praca nie hańbi — mruknąłem.

— Gówno prawda. Jak już tak bardzo chcesz zmienić branżę, to idź kopać rowy. Zajmij się chałupniczo wytłaczaniem tablic rejestracyjnych. Windyk nie może się przekwalifikować na sprzedawcę. Toż to cofnięcie się w rozwoju. Totalny obciach.

* * *

Oczywiście miał rację. W głębi duszy wiedziałem, że pracuję w tym jednym jedynym zawodzie, do jakiego zostałem stworzony i wyszkolony. Nie zamieniłbym go na żaden inny, nawet gdyby jego wykonywanie miało kosztować mnie życie, trwale kalectwo albo, co gorsza, wszczepienie sztuczorga. Ale że naprawdę tak się to skończy, nie przewidywałem.

Zwykle przez pierwsze dwie, trzy godziny dyżuru było jeszcze jasno i czas oczekiwania na zmrok zabijaliśmy sobie z Jakiem

przekomarzaniem przy piwku. W teren ruszaliśmy dopiero, kiedy zapadła noc. Sunęliśmy powoli ulicami, ja za kierownicą, Jake obok, z obrzynem na kolanach, namierzał wystawionym przez okno piskającym skanerem przechodniów, których większość na nasz widok robiła w portki ze strachu. Nic nie wzbudza w tłumie takiej paniki, jak przenikliwy pisk skanera, i Jake'a niezmiernie to bawiło.

— No, bierzemy tego spaślaczka — mruknął, pokazując palcem otyłego mężczyznę człapiącego ociężale przed nami — Na oko widać, że bebechy dawno mu wysiadły.

— Zakład?

— O kolejkę — zaproponował. — Przegrywający stawia.

— Stoi.

Jake nacisnął palcem klawisz na skanerze i na cyfrowym wyświetlaczu niemal natychmiast pojawiła się informacja: *Nerka Kenton model PK-5, 172 dni po terminie.*

— Osiem dni mu zostało — mruknął rozczarowany Jake. — Ale ponaglić nie zaszkodzi.

— Robi się, stary. — Podjechałem do korpulentnego klienta i wystawiłem głowę przez okno. — Ładny wieczór na spacer, co?

— Spierdalaj. — Gościu nawet się nie obejrzał.

Oho, przyjemniaczek.

— Jak się sprawuje nerezka? — spytałem, przyjmując taką pozycję, żeby mój firmowy tatuaż był dla niego widoczny jak na dłoni.

Facet rzucił okiem i pobladł jak ściana. Kolana się pod nim ugięły, zatoczył się w tył.

— Wysłałem... — wydukał — wczoraj wysłałem czek.

— Oby to była prawda. — Odchrząknąłem. — Osiem dni i nerka wraca do nas.

Facet odwrócił się na pięcie i szybko pocwałował przed siebie na oślep, byle dalej od nas. Po trzech sekundach straciliśmy go z oczu, bo skręcił w jakiś zaułek.

— Patrz, jakiego popędu dostał. — Jake parsknął śmiechem.

Spiknęliśmy się kciukami; tak od dziesięciu lat kwitowaliśmy każdy wspólny sukces.

— Zanim się doturla do następnej przecznicy, będzie potrzebował nowego serca.

Jake spojrzął na mnie z dziwnym błyskiem w oku i nie miałem pewności, czy chce mnie uderzyć, czy pocałować, czy i jedno, i drugie.

— Co? — spytałem.

— Bracie — powiedział — ty zawsze będziesz windykiem.

* * *

Z wysokości piątego piętra widzę trzy dziewczynki bawiące się na ulicy. Skaczą na skakance i podśpiewują:

Jednego gościa, co miał żonę i syna

Rozerwała na wojnie mina

Żeby wyżył, zamiast pójść do nieba

Ile sztuczorgów było mu trzeba?

Żołądek, Serce, Nerka, Trzustka, Odbyt, Oczy, Pęcherz,

Nos...

Jak nie przestaną, to je powystrzelam.

* * *

Ukrywam się już sto piętnasty dzień. Mój dom, samochód i dobytek dawno skonfiskowano na poczet rosnących odsetek i kar za zwłokę w spłatach. I pies je drapał. Dom i tak się sypał, z

samochodu był trup na łysych oponach, a ten mój pozał się Boże dobytek mógł wzbudzić zainteresowanie tylko najzagorzalszych bywalców pchłego targu. Moje oszczędności, wybrane przezornie ze wszystkich kont, dawno stopniały do zera — pięć czeków z alimentami miesiąc w miesiąc tłumaczy, dlaczego tak szybko. Ale mniejsza z tym. Niczego już mi nie trzeba. Grunt, że mam swojego wiernego obrzyna i skrytkę z wyselekcjonowanym arsenałem. No i trochę tego oleju w głowie, dzięki któremu jeszcze się trzymam.

Numer mojej sprawy, innymi słowy *asynata klienta*, jak to delikatnie ujmuje Credit Union, to K029J66VL. Chociaż prawo Przejrzystego Kredytu ustanowiono przed ponad dziesięcioma laty, nigdy nie dane mi było obejrzeć swojej teczki. Na wszystkie podania o umożliwienie mi wglądu do niej, jakie składałem w Dziale Archiwaliów Credit Union, dostawałem odpowiedź, że zginęła, gdzieś się zawieruszyła, zapodziała, może trafiła omyłkowo do innego działu albo uległa zniszczeniu, a u mnie rósł stos pism z przeprosinami, jakimi — lejąc krokodyle łzy — zasypywała mnie Union. Były to perełki literatury obiecujące, że informacje, o które proszę, choć chwilowo niedostępne, niedługo zostaną mi udostępnione. Koniec świata, cytując faceta, który wyrzaskuje swoje żale na rogu ulicy.

Prośba do dysponentów moją nieistniejącą masą spadkową: Ponieważ przewiduję, że według wszelkiego prawdopodobieństwa zginę z rąk pracownika Credit Union, w wyniku czego moje zwłoki zostaną, również według wszelkiego prawdopodobieństwa, tak zmasakrowane, że nie da się mnie zidentyfikować i godnie pochować, życzę sobie niniejszym skremowania razem z tymi urzędowymi pismami od Union. Niech me prochy przemieszczają

się na wieczność z popiołem podstępnych łgarstw tych, którzy najpierw uratowali mi życie, a potem usunęli przedwcześnie spośród żywych.

* * *

Nie wiercie spotom reklamowym ani billboardom. Nikt nie rodzi się biowindykiem. Albo ten slogan — „Pomóż światu pomagać sobie”. Szkoda gadać. Myślałby kto, że każdy ma zapisany w genach instynkt zabójcy, a wcale tak nie jest. Jak każdy inny instynkt, tak i ten trzeba w sobie wykształcić. Niektórzy rzeczywiście mają wrodzone skłonności w tym kierunku, inni, jak Tony Park, wyrabiają go w sobie zbyt łatwo, ale istnieją jeszcze niuanse i techniki związane z tą robotą, o których można by napisać opasły podręcznik.

Jednak Union obstaje przy micie urodzonych windykatorów. Nie dalej jak wczoraj wpadła mi w oko zamieszczona w jakiejś gazecie reklama: „Zdobądź zawód. Wstąp do Union. Wyjdź naprzeciw swemu przeznaczeniu!”. Naprawdę stało tam jak byk — Wyjdź naprzeciw swemu przeznaczeniu. Przyjęty przez nich oficjalny styl zawsze oscylował pomiędzy religijnym a technokratycznym, religia bijąca pokłony przed bożkiem techniki i kredytu. Przynęta na nowy narybek niezbyt wyszukana, ale skutkowała. Zwabiła mnie. Zwabiła Jake'a. Zwabiła mnóstwo naszych kumpi. Naturalnie, można to w prosty sposób wytłumaczyć. Byliśmy młodzi i głupi, znudzeni nadmiernym wysiłkiem wojennym. Chcieliśmy jakiejś odmiany. W gruncie rzeczy to od dawna zajmowaliśmy się mniej więcej tym samym.

Rozdział 3

Krótki quiz na temat natury walki:

Żołnierze...

- A. Są przygotowani, że zginą.
- B. Chcą polec.
- C. Nie mogą się doczekać, kiedy polegną.
- D. Wszystko co powyżej.
- E. Nic z powyższego.

Podręcznik w wersji dla instruktorów obowiązujący w dzisiejszej armii jako prawidłową podaje odpowiedź E. Żołnierz to po prostu powołany do służby szczył, którego niedojrzały jeszcze mózg nie rozumuje logicznie ani nie wyciąga wniosków i który wskutek tego nie może podejmować decyzji o gotowości, chęci ani pragnieniu zrobienia czegokolwiek ze swoim marnym życiem. Żołnierz, stoi tam napisane, wie tylko, że grozi mu śmierć, ale on wierzy, że jemu to się nie przytrafi. To święty Graal wojskowości. Gotowość, wola i zapal błędna i zawsze będą błędny w porównaniu z potęgą tej irracjonalnej i niczym nieuzasadnionej wiary.

* * *

Wojna była straszna.

Chciałbym wystukać te słowa bez ironicznego uśmiechu, ale

nie mogę go opanować. Wbrew temu, co może słyszeliście, wojna wcale nie była taka straszna. W najgorszym razie nudna, w najlepszym pozwalała chwilami zapomnieć o realnym życiu. Dwa lata życia spędziłem w półmroku, jak jogin wyginając ciało we wszelkiego rodzaju nienaturalne pozycje, z oczami wlepionymi w ekran detektora podczerwieni, na którym rzadko kiedy pojawiały się jakieś ślady życia, ruchu czy w ogóle czegokolwiek, co odbiegałoby od tej przekłętej zwyczajności. Nic dziwnego, że wzrok mi siadł, zleciał poniżej dolnej granicy średniej statystycznej. Gdybym to ja wtedy wiedział, w jakiej sytuacji znajdę się dzisiaj, bez wahania wszczepiłbym sobie sztuczne gałki oczne — te najnowsze, produkowane przez Marshodyne, mają zoom x200 i prawie idealną paletę barw. No, prawdziwe cudeńka.

Co tam oczy, gdybym wiedział wtedy, co będzie ze mną dzisiaj, powymieniałbym na sztuczne wszystkie organy mojego podupadającego ciała. Cóż znaczy kolejne dwanaście baniek długu, kiedy Union i tak już człowieka ściga? Bardziej martwy już nie będzie.

* * *

Matka nie chciała, żebym szedł na wojnę. Ojciec gorąco poparł mój pomysł. Dzięki, ojcze. Matka biadoliła, że tam jest niebezpiecznie. Ojciec twierdził, że na polu walki kształtuje się charakter. Dzięki, ojcze. Matka wysnuwała swoje opinie na podstawie pogłosek i plotek krążących po osiedlu. Ojciec swoje z ideologii, którą bezkrytycznie wyznawał. Oboje nie mieli racji.

Przykład: Naprzeciwko nas, po drugiej stronie ulicy, mieszkała perska rodzina Kaszekianów. Irańczycy żyjący w Ameryce zaczęli nazywać siebie Persami po pierwszej wojnie bliskowschodniej. Kiedy ta wstępna potyczka dobiegła końca, imigranci z Bliskiego

Wschodu stali się obiektem uszczypliwych uwag i spojrzeń spojełba ze strony wszelkiej maści zasrańców i hołoty przeświadczonej, że uprzykrzając życie tym przybłedom, a na dodatek innowiercom, spełniają swój patriotyczny obowiązek. To prymitywne, zaiste, podejście doprowadziło szybko do podziału na swoich i tamtych. Aż w końcu jakiś świątły Irańczyk wpadł na pomysł odgrzebania historycznej nazwy narodu i w krótkim czasie ludzie zapomnieli, że Persowie to Irańczycy, a Irańczycy to Persowie, i skończyła się cała ta durna dyskryminacja.

Było to błogosławieństwo dla wszystkich Persów, a w szczególności dla Kaszekianów, którzy marzyli o wtopieniu się bez reszty w przybraną kulturę. Stary Kaszekian był ludzako podobny do Jerzego Waszyngtona, może tylko trochę bardziej śniady, i kipiał entuzjazmem, zarażając nim całą rodzinę, niewykluczone, że genetycznie. W moim przekonaniu, kiedy napełnili już patriotyczną papką swoje patriotyczne kiszki, to chyba nawet srali na biało-czerwononiebiesko. W narodowe święta, gdy moja rodzina, stłoczona na wytartej sofie, pożywiała się włoszczyzną na wynos i gapiała bezmyślnie w telewizor, gdzie leciały transmisje z niezliczonych parad, Kaszekianowie wymachiwali flagami, grilowali całą gromadą i do znudzenia wyśpiewywali hymn narodowy. Kiedyś, w jeden z Dni Prezydenta, który szczególnie hucznie obchodzili, ojciec musiał użyć wobec nich przemocy fizycznej, żeby przeszkodzić w usypaniu miniatURY Mount Rushmore pośrodku naszego osiedla. Ameryka była wciąż wielkim tygłem narodów, a oni bardzo chcieli, żeby ich w tym tyglu zauważono.

Z ich synem, Gregiem Kaszekianem, chodziłem do jednej szkoły. Był o dwie klasy wyżej ode mnie i taki cały amerykański, że rzygać się chciało. Gwiazda drużyny futbolowej, wzorowy uczeń, Król Studniówki i Gospodarz Ostatniej Klasy. Ja miałem

go za gnidę, ale reszta uczniów najwyraźniej nie podzielała mojej opinii. Kopnął kiedyś mojego psa. Mniejsza z tym. Greg Kaszekian ukończył szkołę średnią z wyróżnieniem i tylko jednym nieślubnym dzieckiem, a potem, żeby dopełnić swojego patriotycznego obowiązku, zaciągnął się do wojska. To pani Kaszekianowa była dla mojej matki podstawowym źródłem wiedzy o wojnie. A nie było to źródło obiektywne.

* * *

Greg Kaszekian zginął osiemnastego dnia swojego pobytu na pustyni, dołączył do grona siedmiu i pół tysiąca z hakiem nieszczęśników, którzy polegli w czasie całej dziewięcioletniej wojny afrykańskiej. Jego śmierć była fuksem, wypadkiem, ślepym trafem, niemniej przekonała moją matkę, że afrykańskie pustynie są polami śmierci, a piasek na nich został zafarbowany na czerwono krwią takich jak ja, młodych amerykańskich chłopców.

Pani Kaszekianowa utwierdzała ją tylko w tym przekonaniu. „Mój syn jest bohaterem wojennym — powtarzała matce. — Poległ w walce, poświęcając się dla ratowania reszty chłopców ze swojego plutonu. Zginął za Amerykę”.

Piękne. Nieprawdziwe, ale piękne. Widziałem oficjalne zawiadomienie, list kondolencyjny, który dostali Kaszekianowie. Przechowywali go w zamaskowanym sejfie za schodami, pod fotelem, który stał na wycinku dywanu. Po jakiego grzyba go trzymali, nie rozumiem. Byle niszcarka dokumentów załatwiłaby sprawę.

Tej samej jesieni, kiedy zginął Greg, udało mi się poderwać jego młodszą siostrę, Tilly, boską w letniej sukience, i to ona pewnego wieczoru, nie ochłonawszy jeszcze po odbytym właśnie stosunku, pokazała mi ten list.

Stało w nim mniej więcej tak:

Szanowni Państwo Kaszekianowie!

Z przykrością zawiadamiam Państwa, że Wasz syn Gregory zginął podczas rutynowych pokojowych manewrów wojskowych u wybrzeży Namibii w wyniku przypadkowego przyjacielskiego ognia. Zapewniam Państwa, że śmierć nastąpiła natychmiast, Greg nie cierpiał, a poległ w służbie swojego kraju. Dobrze znałem Waszego syna i miałem o nim jak najlepsze zdanie, zarówno jako człowieka, jak i żołnierzu Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Jeśli macie Państwo jakieś pytania, proszę bez skrępowania pisać na podany poniżej adres.

Z poważaniem, porucznik Tyrell Ignakowski, Pluton M, Czwarta Kompania.

Rok później Tig — sierżant Tyrell Ignakowski — powiedział mi w zaciszu rozbitego na pustyni namiotu, że Greg Kaszekian zginął, bo „nie odróżniał ten irański debil własnego kutasa od zawleczi”. Sierżant nigdy nie przebierał w słowach.

* * *

Pamiętam dzień, kiedy mnie skaperowali.

Przyszli w galowych wojskowych mundurach, myślałby kto, rycerze w lśniących zbrojach gotujący się do następnej krucjaty. Siedzieliśmy z Jakiem w ostatnim rzędzie sali wykładowej i opowiadaliśmy sobie kawały z chłopakiem, który szósty raz powtarzał rok i którego wszyscy nazywali Żółwiem, ale na widok tych mundurów zapomniałem języka w gębie — połyskujące mosiężne guziki, odprasowane nienagannie wyłogi, błyszczące odznaczenie na lewej piersi. To była władza. Uosobienie autorytetu. W jednej chwili ściągnęli na siebie tyle mojej niepodzielnej uwagi, na ile pozwalały na to buzujące we mnie hormony. Dwa rzędy niżej siedziała Stacey Greenbaum i w obserwowanie z lotu ptaka, jak na

przemian to zakłada nogę na nogę, to te nogi rozplata, zaangażowana była co najmniej jedna piąta mego mózgu, ale i tak byłem zachwycony.

— Wojsko nie jest dla każdego — poinformowali nas. — To specyficzne zajęcie dla ludzi o specyficznych predyspozycjach. — Napęczałem z dumy. Dopiero później dowiedziałem się, że studentów zaproszonych na to spotkanie wytypowano spośród zdecydowanych przeciętniaków — żadnych ocen niedostatecznych, żadnych celujących. Tak się składało, że spełniałem te kryteria idealnie. Nie licząc paru ocen dobrych z angielskiego na pierwszym i drugim semestrze — chwila, chłopak musi się przecież czymś wykazać — byłem Johnnym Nijakim. Armatnim mięsem, innymi słowy. Ale tamtego dnia uśmiechałem się w duchu, bo zdecydowałem już, że chcę się podjąć tego specyficznego zajęcia, do którego trzeba mieć specyficzne predyspozycje. Bardzo chcę.

Przeniosłem się z ostatniego rzędu do pierwszego.

Ktoś kiedyś powiedział, że to właśnie ludzie o specyficznych predyspozycjach są w pierwszej kolejności rzucający na pożarcie, kiedy gównem wpada w wentylator. To moim zdaniem dobry powód, żeby siedzieć twardo na dupie w ostatnim rzędzie jakiegokolwiek sali wykładowej.

* * *

Werbownik nazywał się Medeiros, był porucznikiem i dumnym posiadaczem jednej ręki oraz kikuta drugiej. Ten dzielny porucznik, jak wszystko na to wskazywało, stracił lewą rękę na jakimś tam etapie pięcia się po szczeblach wojskowej kariery. Nie powiedział, jak do tego doszło. Nie powiedział kiedy. My nie pytaliśmy. W tamtych czasach widok człowieka, któremu dynda pusty rękaw koszuli, nie był taki znowu dziwny — w jakiejś zabitej

dechami części świata zawsze toczyła się taka czy inna wojna, a tylko bogatych stać było na protezy. Credit Union dopiero wtedy raczkował i nie otworzył jeszcze na oścież bram mechanicznej odnowy dla ubogich i uciskanych mas pracujących.

Ale porucznik miał głos jak bazooka oraz dryg do wciskania ciemnoty i po dziesięciu minutach jedliśmy mu wszyscy z tej jednej ocalałej ręki. Oczarowani słuchaliśmy go z wytrzeszczonymi gałami całe pół godziny. Na tak długo nie udało się jeszcze przykuć naszej uwagi żadnemu wykładowcy od początku roku akademickiego.

* * *

Robiłem notatki.

Gdzie będziemy podróżowali: Po siedmiu kontynentach, po siedmiu morzach.

Ludzie, których będziemy poznawali: Pierwszy Świat, Trzeci Świat, kultury rozwijające się, dzicy, głowy państw.

Co będziemy robili: Szkolili się, ćwiczyli, wędrowali, walczyli, bawili się.

Jak to będziemy robili: Najlepiej, jak potrafimy, lepiej, niż nam się wydaje, że nas na to stać.

Dlaczego będziemy to robili: Z miłości do Ameryki. Z miłości do demokracji. Z miłości do wolności.

Wierzyłem święcie w każdziuteńkie słowo.

* * *

Po spotkaniu porucznik Medeiros i jego świta zasiedli przed wejściem do audytorium za chwiejącym się stolikiem do gry w karty, żeby odpowiadać na nasze ewentualne pytania dotyczące robienia kariery w wojsku. Tutaj krzepki, puciołowaty chłopak z policzkami zaatakowanymi przez trądzik młodzieńczy zapędził

do naroźnika sierżanta sztabowego, wciągając go w jednostronną debatę na temat aktualnej strategii wojskowej w Azji Południowo-Wschodniej. Druga porucznik, jedyna kobieta w grupie werbowników, rozmawiała z kilkoma dziewczętami. Zauważyłem wśród nich Stacey Greenbaum trajkocącą coś szybko i niedopuszczającą do głosu reszty koleżanek. Przemknęło mi przez myśl, że być może kabluje na mnie.

Ale w tym momencie zwolniło się miejsce przed porucznikiem Medeirosem. Dopadłem do stolika, zaskakując go swoim nagłym pojawieniem się, i wypaliłem:

— Czy pańskim zdaniem nadawałbym się na żołnierza? — Napiałem maksymalnie swoje wątle mięśnie, ale wątpię, żeby objawiło się to najdrobniejszą zmarszczką na rękawach bawełnianej koszuli.

Porucznik odchylił się na oparcie krzeselka, przymrużył jedno oko i cmokając, taksował mnie przez chwilę spojrzeniem jak wieprzka na wiejskim targu.

— Uprawiasz jakąś dyscyplinę sportu, synu?

— Sportu, panie poruczniku?

— No chyba macie na tej uczelni wychowanie fizyczne, nieprawdaż? — Spojrzał znacząco na wejście do sali gimnastycznej po drugiej stronie holu.

— A, tak, panie poruczniku. Lacrosse. Gram w drużynie lacrosse'a.

— I dobry w tym jesteś?

Wzruszyłem ramionami.

— W zawodach międzystanowych zajęliśmy czwarte miejsce.

— Czwarte, powiadasz? To wystarczy, żeby college przyznał ci stypendium naukowe?

— Nooo... nie wiem. Chyba nie, panie poruczniku. — Po raz

pierwszy użyto w mojej obecności słowa „stypendium”. Dreszcz mnie przeszedł.

— A rodzinę stać na opłacanie z własnej kieszeni twoich studiów?

— Nie, panie poruczniku, nie za bardzo. — Stara jak świat śpiewka — ojciec wypruwający sobie żyły, żeby utrzymać naszą rodzinę w średniej klasie średniej, a ten szczebelek z każdym dniem coraz bardziej wyślizguje mu się z rąk. — A za pana naukę płaci wojsko, panie poruczniku?

Puścił moje pytanie mimo uszu.

— Na pewno masz jeszcze jakieś inne plany na przyszłość. Na przykład chciałbyś pracować w handlu? Albo w komputerach? A może mechanika? Mechanicy z dyplomem i doświadczeniem mogą dzisiaj przebierać w ofertach.

— Nnno... nie wiem — wyjąkałem, starając się przywołać na usta uśmiech. — Może i tak, ale... naprawdę nie wiem. Chyba przedtem wołałbym zwiedzić świat, jak wy to obiecujecie. Podróżować po nim. Z wojskiem. Wydaje mi się, że chciałbym wstąpić do woja. — To go ucieszy, pomyślałem sobie. Przez tych kilka minut rozmowy przed audytorium niczego tak nie pragnąłem, jak zrobić przyjemność temu człowiekowi, tej heroicznie walecznej postaci uszlachetnionej raną odniesioną na polu bitwy.

Moja odpowiedź była przez kilka sekund rozważana, a ja przez ten czas wyobrażałem sobie wszystkie możliwe powody, dla których mógłbym tu i teraz zostać odrzucony. Żołądek podchodził mi do gardła z obawy, że tak się stanie, a ja dokładałem wszelkich starań, żeby nie puścić jego treścią pawia. Przełknąłem z trudem rosnącą w krtani kulę, oddalając na chwilę moment, kiedy zbryzgam te piękne żołnierskie mundury częściowo przetrawioną lasagne z uczelnianej stołówki.

W końcu porucznik Medeiros podjął decyzję, o czym świadczył ironiczny uśmieszek, który formował się przez chwilę w kącikach jego ust, i szybko stamtąd wyparował.

— Weź te papiery do domu i przedyskutuj sprawę z rodzicami.
— Westchnął, kręcąc głową i podsuwając mi ocalałą ręką jakieś formularze. — Czemu miałbyś się nie nadawać.

* * *

Porucznik Medeiros próbował mi wyperswadować pójście w kamasze. Teraz to rozumiem. Całego serca w to nie wkładał, ale pewnie od lat starał się bez powodzenia zniechęcać chłopaków do służby, a takie gadanie dziada do obrazu każdemu może się po jakimś czasie przejeść. Ja byłem wówczas głuchy na takie zawołane zabiegi, zaślepiony tymi odprasowanymi mundurami, tymi guzikami, tymi klapami i połyskującymi powabnie insygniami.

Zaciągnąłem się zauroczony mundurem. Nie ja pierwszy i nie ja ostatni.

* * *

Trzy lata później, kiedy końca dobiegnie moja tura, miałem ponownie wybrać profesję nie do końca świadomy, w co wchodzić. I w tym wypadku znowu omamił mnie służbowy ekwipunek. Kamuflaż, noże, gaz, broń palna — wszystko to uprzywilejowane narzędzia pracy biowindyka, a ja, po dwóch latach wojskowej nudy, aż się paliłem do wykazania się na polu bitewnym amerykańskiego systemu opieki zdrowotnej. Nieprzypadkowo tego samego arsenału używam do samoobrony teraz, kiedy uciekam przed swoimi niedawnymi pracodawcami. Wojna się nie skończyła; przeniosła się tylko na inny grunt.

* * *

Po Jake'u nie było widać, żeby żołnierze, którzy nas wtedy odwiedzili, zrobili na nim jakieś szczególne wrażenie. Nazywał ich zupakami, trepami i czym tam jeszcze. Miał szeroki repertuar takich epitetów, które, jak mniemam, zaczerpnął z filmów, ale tak jak ja wziął do domu formularze i nazajutrz miał je już podpisane, gotowe do złożenia.

Kiedy spytałem, dlaczego się zaciąga, wzruszył tylko ramionami i burknął:

— Darmowa wyżerka. A człowiek jeść musi.

To był chyba najracjonalniejszy z powodów, jakie każdy z nas wtedy podawał.

* * *

Moja znajomość z Jakiem Freivaldem zaczęła się od tego, że w trzeciej klasie spuścił mi łomot. Pani Tone, wychowawczyni, kazała nam napisać wiersz o ulubionej porze roku. Ja wybrałem jesień. Chyba dlatego, że lubię umiarkowane temperatury i rześkie powietrze, ale głównie dlatego, że jesień pierwsza przyszła mi na myśl, a chciałem mieć to szybko z głowy.

Kiedy przyszła moja kolej na odczytanie wiersza, wystąpiłem na środek klasy i zacząłem:

Na polach wczesnej jesieni

Widzę kwiat bawełny...

Już miałem przejść do następnej linijki, kiedy przeszkodził mi w tym głos dobiegający z otwartych drzwi na korytarz:

— Poeta, tylko głowa nie ta.

W drzwiach stał dryblas wyższy ode mnie co najmniej o głowę, a wydatny wał obciążonej skórą kości nad oczami upodabniał go do neandertalczyka. Mój talent twórczy skrytykował tak lekkim tonem, że w pierwszej chwili pomyślałem: żartuje. Przeszedłem do następnej linijki i czytam swój wiersz dalej:

Krocząc jednak ląką...

— Ni do rymu, ni do taktu. Masz u mnie łomot.

Oddalił się korytarzem, a nasza nauczycielka westchnęła tylko z rezygnacją.

— Doczytaj do końca i siadaj — zwróciła się do mnie.

Trzy godziny później Jake dopadł mnie przy stojaku na rowery i na poważnie przystąpił do spuszczenia mi łomotu. Oberwałem parę razy pięścią tu i ówdzie, a potem, wstyd przyznać, dostałem kopa w kroczę, ale to mnie tylko rozjuszyło i zmobilizowało do podjęcia bezpardonowej walki.

Rozdzielono nas w końcu i zaciągnięto za kołnierze do sekretariatu dyrektora, gdzie ramię w ramię czekaliśmy parę godzin na audiencję i wyznaczenie kary. Po jakimś czasie znudziło nam się to czekanie i zaczęliśmy strzelać z papierowych kulek do szkolnych sekretarek, biorąc na cel głównie te mocno wytapirowane. Tak dla jaj, w końcu co nam pozostało. I okazało się, że wcale tak bardzo się od siebie nie różnimy. Kiedy dyrektor raczył wreszcie do nas wyjść, byliśmy już kumplami do grobowej deski.

* * *

Tak sobie myślę, że gdyby Jake nie zajrzał tamtego dnia do mojej klasy albo gdyby drzwi na korytarz nie stały otworem, albo gdybym dobrał w swoim wierszu chociaż jeden rym, to może moje i jego losy potoczyłyby się inaczej. Ale zajrzał, drzwi były otwarte, a rymu w moim wierszu nie uświadczyło się ani jednego, i tak, poczynając od tamtego dnia, nasze drogi się splotły. Początek końca, jakkolwiek na to spojrzeć.

* * *

W przeddzień mojego wyjazdu do Camp Pendleton, gdzie miałem przejść wstępne szkolenie, matka z ojcem urządzili przyjęcie

pożegnalne i była to impreza nadająca się do księgi rekordów. Nie tyle z uwagi na mnogość serpentyn, konfetti i karnawałowych kapelusików, ile liczby dziewczyn, które chciały się ze mną prześpać, zanim wyruszę do boju z wrogiem. W moim nagłym przestoczeniu się z cywila w żołnierza było coś, co chwyciło każdą z nich za serce i rozmiękczało. Ja o to nie zabiegałem. Ale oporu też nie stawiałem.

Kiedy impreza na dobre już się rozkręciła, ojciec odczekał, aż wyjdziemy z Sharon Cosgrove z gościnnej sypialni, po czym wygłosił toast:

— Za mojego syna — zawołał, wznosząc nad głowę szklanekę z jakimś soczkiem przyprawionym wódką — który dowie się wkrótce, co to znaczy być mężczyzną! — Uśmiechnął się domyślnie, spostrzegając, że Sharon ma krzywo zapiętą sukienkę. Goście nagrodzili słowa ojca oklaskami i ten kontynuował: — Niech walczy dzielnie za swój kraj, niech zdobywa sławę i przynosi chlubę swojej rodzinie, niech uwalnia nas od plagi zła. — Wychyłono do dna szklaneczki i rozbito je symbolicznie w kominku. Ojciec, po wypiciu, zawsze stawał się melodramatyczny.

Tylko matka dodała cicho, prawie szeptem:

— I niech wraca do nas cały i zdrowy. — Ona to naprawdę umiała popsuć każdą zabawę.

* * *

Szkółka jak szkołka. Właściwie nie ma się nad czym rozwodzić. Dużo wrzasku, rzucania mięsem, takjestowania, pompek, podciągania się na drążku, biegania, potykania się, sapania i ziajania, padania w błąko, czołgania się, zrywania, a nazajutrz to samo od początku i następnego dnia znowu, i następnego też. Mordega, katorga dla mięśni, ale w sumie dało się wytrzymać.

Jake, a jakże, był niekwestionowaną gwiazdą całego tego ma-
gla. We wszystkim, co robił — w uprawianiu sportu, dymaniu
panienek czy rozprawianiu całymi nocami o grach wideo — wyka-
zywał niespożytą energię. Przez całą szkółkę nie słyszałem, żeby
się choć raz na coś poskarżył, nawet kiedy reszta z nas, obolała i
posiniaczona po zajęciach, bez krępacji stękała i pojękiwała jak
gromada starych bab. I tylko raz widziałem, jak się skrzywił, kie-
dy karabin sam wypalił i pocisk, nie uszkodzając kości, przeszedł
mu na wylot przez dłoń między małym a serdecznym palcem.

Chłopak zajmujący pryczę nad moją, poczciwina z Brooklynu,
nazywał się Harold Hennenson. Szkółka była dla Harolda speł-
nieniem marzeń o wojskowej karierze.

— Chcesz zobaczyć, jak mi twardnieją mięśnie? — pytał mnie.
— Pomacaj tylko mój biceps.

Pomacałem, co mi szkodzi.

— Twardy — przyznałem.

— Jak skała.

— Jak skała.

Ni z tego, ni z owego robił padnij i fundował plutonowi kolejne
pięćdziesiąt pompek, chociaż nie było takiego rozkazu. Z zapalem
czyścił latryny. Brał dodatkowe służby w kuchni. Był najgorliwi-
szym z gorliwców i z pogodną miną zbierał za to kuksańce od
wszystkich tych, którzy skonani po całodziennym wycisku chcieli
się zregenerować przed następnym dniem.

— Zobacz, co już potrafię zrobić z moimi mięśniami — powie-
dział raz, wprowadzając w falisty ruch mięśnie brzucha. — Widzisz,
jak się wyrobiły?

— Widzę — burknąłem na odczepnego. — Jak damskie majtki
w kroku.

— Jak skała są.

— Jak skała.

Harold Hennenson zginie za jakiś czas w czołgu, który spadając ze szczytu najwyższej w Afryce piaszczystej wydmy, wybucha kulą ognia. Jeszcze jedna z ofiar tych dziwacznych wypadków, które prześladowały naszych ludzi w tamtej wojnie. Pożegnają go salwą honorową. Jego prochy zostaną odesłane rodzicom zamieszkałym w walącej się kamienicy gdzieś tam w Brooklynie.

Harold nie wiedział jeszcze wtedy, i już się nie dowie, że wyrobione mięśnie brzucha — nawet te twarde jak skała — na nic się zdadzą, kiedy czołg, którym człowiek jedzie, spada z piaszczystej wydmy i eksploduje.

* * *

Jakieś dziesięć lat temu trafiła mi się robota windykacyjna z hurtowni Kentona — kontrakt bezpośredni, nie przez Union. Jednym słowem, fucha, taka mała lewizna po godzinach, w moim fachu to normalka. Frank, nasz kierownik z Union, nie miał nic przeciwko temu, żebyśmy dorabiali sobie na boku, bylebyśmy wywiązywali się sumiennie z windykacji zleczanych nam na różowych druczkach przez Union. Frank był prostolinijnym, równym facetem i wciąż mam wyrzuty sumienia, że tak go wtedy wykiwałem.

Ale nie za wielkie.

Podpisałem z Kentonem umowę na czas określony na odzyskanie trzech sztuczorgów z dawno przekroczoną, dopuszczalną przez firmę, dziewięćdziesięciodniową zwłoką w spłacie kolejnej raty, bo wszyscy ich biowindycy byli zajęci innymi ważnymi zleceniami. Kenton, jak wiadomo, finansuje swoje produkty bez oglądania się na wytyczne Credit Union, i wiadomo, że jest bardziej wyrozumiały dla swoich klientów. Słyszałem nawet, że jednego z jakimiś poważniejszymi ekstrakcjami zawieźli na ostry

dyżur do szpitala, czego federalne przepisy nie nakazują. To się nazywa dbałość o klienta. Oczywiście, do biura Kenton Credit nie było po co zachodzić bez pokąźnego wkładu własnego, ale nie w tym rzecz. Ze świecą szukać drugiego takiego kredytodawcy, który skłonny jest odroczyć termin płatności aż o dziewięćdziesiąt dni, i ani trochę nie żałowałem nikogo, kto wymigiwał się od spłacania kredytu zaciągniętego w tak ufnej instytucji jak Kenton.

Dwie pierwsze ekstrakcje dotyczyły wątrób i poszły jak po maśle. Wątroba to jednak wątroba. Robota czysta, nie trzeba po sobie sprzątać. Ale trzeci w kolejności był żołądek. Wiedziałem z doświadczenia, co to może być za jatka, zabrałem więc ze sobą na wszelki wypadek parę dodatkowych wiader — dwa na krew, jedno na treść, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będzie zalegała w organie. Tylko tego by brakowało, żeby nie do końca strawiony kalafior zachlapał mi mój świeżo uprany windykatowski fartuch.

Na różowym druczku, który dostałem w przeddzień ekstrakcji, stało, że facet wybrał sobie fabrycznie nowy sztuczorg Kenton ES/19, czyli średniej wielkości sztuczny żołądek z funkcją powiększania/zmniejszania regulującą łaknienie, a tym samym pomagającą klientowi w utrzymaniu linii. Urządzenie łatwo było przekalibrować na nową objętość zewnętrznym pilotem, który, jak było zaznaczone w instrukcji obsługi ES/19, należy trzymać w miejscu niedostępnym dla dzieci i małych zwierząt domowych. Krótko mówiąc, cudeńko w swojej klasie, ostatni krzyk techniki ze wszech miar wart swojej ceny. Chociaż wysokiej.

Na różowym druczku nie podano, czy naturalny żołądek naprawdę zaszwankował, czy klient zawczasu postanowił zamienić go na bardziej niezawodny — sprawcą niedomagań żołądka okazuje się zazwyczaj rak, ale pojawiają się coraz to nowe teorie

przypisujące wysiadanie organów wewnętrznych a to promieniowaniu słonecznemu, a to znowu nieleczonym wrzodom. Tak czy owak gościowi wszczepiono tego Kentona ES/19 w styczniu ubiegłego roku, no i stara bajka. Pierwszą ratę uiszczył terminowo, po miesiącu, drugą — także w terminie, potem przeszedł na spłaty codwumiesięczne, a w końcu na mydlenie oczu rzekomo wysłanym pocztą czekiem. Telefonowano do niego, nie odbierał. Wysyłano listy z ponagleniami — wracały nieotwarte. Kenton dał mu jeszcze dodatkowe cztery miesiące, bo to była jakaś szycha z Ministerstwa Turystyki, ale w końcu miarka się przebrała i zakontraktowano mnie.

— Robisz żołądki? — spytała windyczka, szczupła, zgrabna blondynka ubrana w roboczy strój. Zupełnie jakby wróciła właśnie z terenu: obcisła koszulka, spodnie-dzwony, niebotyczny tapir. — Figurujesz w naszej kartotece jako wątrobiarz, ale mamy tu właśnie pilny przypadek żołądka. Mogą być trudności. To co, bierzesz?

Odpowiedź na takie pytania miałem tylko jedną:

— Biorę wszystko, byle za odpowiednią opłatą.

Opłata była odpowiednia.

Zaczęło się jak zawsze — wziąłem zlecenie, udałem się pod wskazany adres, zagazowałem dom, zabieram się do klienta... i tu siurpryza: Skalpel nie chce wejść. Napierałem, dźgałem, wierciłem, ale nie udawało mi się wbić ostrza w ciało głębiej niż na centymetr, dalej czubek natrafiał na opór, coś jakby pancerną płytę chroniącą brzuch. Nie do wiary. Mozoliłem się dalej, nie zważając na krew, którą przesiąkł już materac pod klientem.

Piętnaście minut obdzierałem mężczyznę ze skóry i ciała i wciąż nie udawało mi się dotrzeć do jego sztucznej powłoki brzusznej. A czas leciał. Dopiero po odessaniu przenośną pompką nadmiaru krwi stwierdziłem, że moje pierwsze skojarzenie,

choć nieprawdopodobne, było słuszne — na drodze stała mi stalowa płyta przytwierdzona zmyślnymi zaczepami do dolnych żeber i miednicy.

No dobrze, tylko po kiego grzyba człowiek decyduje się na bolesny zabieg wszczepienia sobie arkusza blachy w brzuch? Chyba żeby zabezpieczyć swój cenny sztuczorg przed windykacją. Ale chociaż próbuję, nie znajduję w tym żadnego sensu — sztuczorg przedłuża życie, to fakt. Kiedy jednak do twoich drzwi puka przyjaźnie usposobiony biowindyk z sąsiedztwa, żeby z polecenia hurtowni odzyskać jakiś sztuczorg, za który przestałeś płacić, i po drodze ni z tego, ni z owego natrafia na metalową płytę, to jego cierpliwość z miejsca się kończy. A sztuczny organ i tak odzyska, choćby miał pozostawić dawcę martwego albo konającego. Kurczę blade, szkolono nas tylko w podstawowym zakresie udzielania pierwszej pomocy, a większość z nas i tak na tych obowiązkowych zajęciach grała w ostatnich ławkach w okręty.

Nawet gdybym wiedział, jak odratować faceta i z powrotem go pozyszywać, to wierście mi, i tak bym tego nie zrobił. A niech skurwysyna własna krew zaleje. Zmarnowałem na niego dwie pinty eteru.

Połamane mu żebra, zmiażdżyłem miednicę i mostek, wyrzuciłem metalową płytę przez otwarte okno i wyszedłem z tej zachlapanej krwią sypialni z jego cennym Sztucznym Żołądkiem model Kenton ES/19 pod pachą. Przerażające.

* * *

Harold Hennenson za nic nie zamieniłby wyrobionych, naturalnych mięśni brzucha na kawałek blachy. A nawet gdyby, to ta blacha i tak nie uchroniłaby go przed śmiercią.

* * *

Z okazji Święta Pracy dostaliśmy kiedyś — ja, Jake i Harold Hennenson — czterdziestoosmiodzinną przepustkę, no i poszliśmy w tango. Najbliższym większym miastem było San Diego, nawiedziliśmy je więc z wigorem misjonarzy niosących pijackie przesłanie między niewiernych. Znałem dwa bary, które zamykano po odtrąbieniu ustawowego capstrzyku, ale od bywalców, z którymi tam rozmawialiśmy, dostaliśmy namiary na kilka dłużej otwartych przybytków.

W alkoholowym upojeniu dźwigałem się co jakiś czas z miejsca i jak każdy szanujący się pijaczyna pokazywałem tatuaż na prawym bicepsie. Było tam jasnoniebieskimi literami wypisane: *Kiedy lamie się konar*, i do dziś ten tatuaż mam, chociaż usunięcie w najbliższym salonie tatuażu zajęłoby góra dziesięć minut i kosztowało nie więcej niż dwadzieścia pięć dolców. Nie wiem, co właściwie ma znaczyć to *Kiedy lamie się konar* ani dlaczego akurat tę frazę kazałem sobie uwiecznić na ramieniu, i chyba nie wiedziałem tego, kiedy mi ją tatuowano w salonie. Ale straszy małe dzieci i przyciąga puszyste kobiety. Nie mam nic przeciwko. Jest w tym jakiś styl.

Oczywista sprawa, mam jeszcze jeden tatuaż — swoją odznakę biowindyka, małe czarne kółeczko po lewej stronie szyi przeszyte pięcioma złotymi strzałami. On nigdy nie da się wywabić, nawet laserem. Podejrzewam, że pozostanie nawet wtedy, gdy po śmierci moje ciało i kości obrócą się dawno w proch i będzie się przez wieczność całą unosił nad moimi szczątkami, informując przyszłe pokolenia, które być może kiedyś się do mnie dokopią, że paralem się wzbudzającym największą grozę na planecie zawodem.

Chyba że kury mnie wcześniej wygrzebią.

Rozdział 4

Swoją pierwszą żonę, Beth, poznałem w San Diego. Była nie do opisania piękną prostytutką. Rozwiodła się ze mną sześć miesięcy później, kiedy wylewałem siódme poty w duchocie pełzającego po pustyni czołgu. Małżeństwo przeszkadzało jej w rozwijaniu kariery.

* * *

— Znam jedno takie miejsce — powiedział Jake, spozierając na mnie i Harolda poprzez do połowy opróżnioną szklanicę z piwem. Siedzieliśmy już w tym barze więcej godzin, niż potrafiłem zliczyć na rozmazującym mi się przed oczami ściennym zegarze.

— A co, źle nam tutaj? — wymamrotałem. — Weź się rozejrzyj. Lokal pierwsza klasa.

Podeszła do nas kelnerka, studentka college'u, która przez trzech otumanionych już alkoholem i chlejących dalej żołnierzy nie mogła udać się do domu na zasłużony odpoczynek, choć pora była późna.

— Coś jeszcze? — spytała, a my, pośród niewybrednych komplementów i bezpruderyjnych odzywek, zamówiliśmy następną

kolejkę piwa. Kelnerka czym prędzej oddaliła się od naszego stolika, a my kontynuowaliśmy przejście od upicia się w sztok do zalanania w trupa.

Po paru minutach Harold przypomniał sobie, na czym stańło.

— Jake mówił, że zna jakieś miejsce — wybełkotał.

— Już mówiłeś. Powtarzasz się.

— Nie — zaperzył się. — Mówił. No wiecie, o miejscu.

Jake zamrugał ospale.

— Fakt, mówiłem. O miejscu.

— A, o miejscu.

— Taaa, o miejscu.

Pokręciłem głową. Sala się zakołysała. Postanowiłem, że przy najbliższej sposobności złożę reklamację u kierownika.

— A po kiego nam zmieniać miejsce. Tutaj też mamy chęciowe dzierlatki.

I jak na zawołanie zjawiała się kelnerka z naszymi browarkami. Z wprawą rozstawiła przed nami szklanki, ale zanim zdążyła dać dyla od naszego stolika, chwyciłem ją za rękę. Ściskając delikatne paluszki dziewczyny swoim mięsistym łapskiem, spojrzałem karpawymi ślepiami w jej błękitne jak u dziecka oczęta i spytałem:

— Kotku, rybko, przepióreczko — nie przespałabyś się ze mną?

— Musiałbyś być ostatnim facetem na ziemi — odparowała.

— Ale wtedy byś się przespała?

— No pewnie — powiedziała. — Dziewczęta też nie mogą się obyć bez seksu.

Myślę, że w sprzyjających okolicznościach chyba mógłbym pokochać tę kobietę.

* * *

W swoim życiu kochałem tylko sześć kobiet, wliczając w to matkę, i z pięcioma z nich, oczywiście wyłączając matkę, się ożeniłem. Ale mogłem ich pokochać o wiele więcej. Na przykład tę kasjerkę z delikatesów, tę studentkę, która każdego poranka o dziewiątej przechodziła ze swoim bernardynem na smyczy przed moim domem, tę seksowną prezenterkę z Kanału 18 z kokiem i zmysłowo wydętymi ustami. Kochliwy jestem jak mało kto. Wiem, bo powiedział mi to psychoterapeuta z poradni małżeńskiej, do której dałem się dwa razy zaciągnąć swojej czwartej żonie, Carol.

— Laboratorium przysłało nam wyniki pana badań — zagał ten facet z dyplomem ukończenia wyższej uczelni na ścianie i tupetem do zdzierania ze mnie trzystu dolarów za godzinę natrzęsania się z moich kłótni i swarów z żoną — i powiedziałbym, że drzemią w panu niespotykane pokłady miłości.

Rozpromieniłem się.

— Znaczy, wyjaśnione? Nie musimy już tu przychodzić? — Miałem swoją robotę, podroby do odzyskiwania.

— A właśnie, że jeszcze przyjdziemy — fuknęła rozjuszona Carol.

— A po co? Słyszałaś przecież, co pan powiedział — drzemią we mnie niespotykane pokłady miłości.

— Może i drzemią — odparowała Carol — ale ty nie wykorzystujesz w pełni tego swojego potencjału.

* * *

Zanim znaleźliśmy to „miejsce” na przedmieściach San Diego, zdążyliśmy przetrzeźwieć i do głosu zaczął dochodzić kac. Tylko patrzeć było świtu i ochota na seks za pieniądze z nieznanymi bez odpowiedniego alkoholowego podkładu, który rozwiewałby moralne dylematy, jakoś nam przeszła. Nadaremno

szukaliśmy jakiejś dziupli z napojami wysokowymi, wszystkie pozamykały się przed godziną; wychodziło na to, że resztę przedświtę spędzimy o suchym pysku.

Harold wszedł pierwszy. Ja miałem tremę przed swoją inauguracją z profesjonalistką. Znaczący, robiłem to nieraz w stanie Nowy Jork — nawet okazjonalnie w Pensylwanii i New Jersey — nierzadko też w znajdującym się w ruchu pojeździe — ale nigdy z kimś starszym ode mnie ani z osobą tak... hmm... doświadczoną jak zawodowa prostytutka. A jak się nie sprawdzę? A jak się okaże, że przez wszystkie te lata robiłem to nie tak, jak trzeba?

Siedziałem więc cały spięty w poczekalni i udawałem, że czytam „Vanity Fair”, które ktoś tam zostawił. Przybytek nazywał się „salon masażu”, stara przykrywka, która moim zdaniem dawno straciła na aktualności. Dziwiło mnie, że nadal przy tej nazwie obstają, bo bądź co bądź San Diego przed niespełna rokiem usankcjonowało wszystkie usługi spod znaku Czerwonej Latarni — czyli pod względem seksualnym hulaj dusza, piekła nie ma — ale widać stare zwyczaje nie tak łatwo wyplenić. Wystrój wnętrza typowo biurowy: świetlówki, panele, głęboki na ćwierć cala dywan z supermarketu.

Jedni bojkowie wbiegali jak napalone mrówki robotnice odwiedziny do swojej królowej, inni, już stateczniejszym krokiem, wychodzili. Drzwi się nie zamykały, a korytarzami do małej poczekalni napływały zduszone jęki. Jak się zdążyłem zorientować, była to meta dla żołnierzy, głównie marynarzy, ale nie tylko — klientela reprezentowała wszystkie rodzaje sił zbrojnych. Rzuciło mi się nawet w oczy kilka znajomych holograficznych insygnów marines, ale siedziałem cicho z obawy, że ci każą mi tu, w poczekalni, robić pompki albo lizać sobie buty.

Burdel nie jest najodpowiedniejszym miejscem na poddawanie się gnojeniu.

* * *

Harold ze zwieszoną głową wytoczył się zza przesuwnych drzwi dwadzieścia pięć minut po tym, jak za nimi zniknął, pogratulowałem mu więc jurności.

— Do niczego nie doszło — mruknął przygnębiony.

— Nie była chętna? — spytałem.

— Ja się nie spisałem.

Harold doświadczył po raz pierwszy seksualnej niemocy na długo przede mną i co tu ukrywać, wiele stracił przez to wtedy w moich oczach. Teraz wiem, że byłem niesprawiedliwy, ale rozsądzanemu przez hormony chłopakowi pod dwudziestkę wydaje się, że prawdziwemu mężczyźnie nic nie jest w stanie przeszkodzić w zakiszeniu ogóra, kiedy tylko nadarza się po temu okazja.

— Spróbuj jeszcze raz — zaproponowałem. — Odstąpię ci swoją kolejkę.

Powiedział, żebym dał spokój, że jest dętka, i osunął się na najbliższy fotelik.

— Mam pięćdziesiąt dolców — powiedziałem. — Mogę ci pożyczyc.

— Tu nie w pieniądzech rzecz, chodzi o... no idź. Dogodź sobie za mnie.

Cóż miałem robić? Poszedłem.

* * *

Parę ładnych lat po rozwodzie z Beth — jeśli się nie mylę, byłem już wtedy żonaty z Carol — dostałem od niej utrzymany w bardzo zgryźliwym tonie list, w którym nazywała mnie bękartem, zarzucała, że nie spłacam zaciągniętych długów i nie wywiązuję

się z podjętych zobowiązań, i doradzała zaznajomienie się z teorią ewolucji, co, miejmy nadzieję, pomoże mi w powrocie do naczelnym. Ale między wierszami tych kalumni i pomówień wyczytałem, że żywi jeszcze wobec mnie jakiś sentyment, do którego z bólem się przyznawała:

Od pierwszej chwili, kiedy zarumieniony, roztrzęsiony, podniecony do tego stopnia, że musiałeś ukrywać swoją erekcję pod tym durnym czasopiśmie, wszedłeś do pokoju masażu, wiedziałam, że się we mnie zakochasz, i bynajmniej mi to nie przeszkadzało.

Ten zaczepny tekst, zważywszy na to, że wyszedł spod pióra Beth, był ekwiwalentem najbardziej miłego z miłosnych sonetów Szekspira.

Odpisałem jej więc: *Droga Beth, dzięki za list. Wiem teraz, co o mnie myślisz, ale pragnę Ci przypomnieć, że moi rodzice byli już po ślubie, kiedy zostałem poczęty. Co zaś do Twoich wrażeń z naszego pierwszego spotkania: ja nie ukrywałem pod „Vanity Fair” swojej erekcji. Zastaniałem płamę po kawie na spodniach. Nie wspominaj mnie źle.*

I odtidraj się.

* * *

Za przesuwными drzwiami znajdowało się małe foyer oddzielone od właściwego „pokoju masażu” zasłonką z prześcieradła, które robiło za kotarę. Na stoliczku stał mały ekspres do kawy pod parą. Nalałem sobie filiżankę. Trochę kofeiny nigdy nie zaszkodzi. Potem jeszcze jedną, i jeszcze. Płynęły minuty. Ku własnemu zaskoczeniu stwierdziłem, że nadal ściskam w ręku „Vanity Fair”. Chciałem odłożyć czasopismo, ale nie mogłem. Palce zacisnięte na grzbiecie nie chciały mnie w ogóle słuchać.

— Jesteś tam, koguciku? — dobiegło zza kotary przymilne wołanie.

Aż podskoczyłem. Gorąca kawa z filiżanki, którą unosiłem właśnie do ust, wychlapała mi się na spodnie. Tłumiąc w zarodku okrzyk bólu, osuszyłem z grubsza płamę papierową serwetką i trzymając „Vanity Fair” na wysokości krocza, wśliznąłem się za kotarę.

* * *

Prostytutka — Beth — była naga. Leżała rozciągnięta na materacu. Blond włosy rozsypane na poduszce, biust wycelowany w sufit, sterczące sutki. Nie spojrzała na mnie nawet, kiedy wchodziłem.

— Pani... jest goła... — wykrztusiłem bezwiednie.

Beth usiadła. Piersi obwisły jej tylko trochę i odrobinę rozjechały się na boki. Naturalne, pełne, ale nadal jędrne.

— Prawiczek?

— Nie, nie — zaprzeczyłem czym prędzej, gmerając nerwowo przy rozporoku. — Ja tylko... no... się nie spodziewałem... myślałem, że będzie pani w koszuli nocnej i...

— ...i ty będziesz ją mógł ze mnie ściągnąć — wpadła mi w słowo. Kiwnąłem głową. Beth uklękła, ziewnęła i uwodzicielskim ruchem wsunęła sobie palec w zmysłowe usta. — W weekendy mam tu zawsze urwanie głowy. Tyle baz wojskowych naokoło. A już w Święto Pracy — szkoda gadać. Oblegana jestem. Jakbym się za każdym razem rozbierała i ubierała, to zrobiłby się korek.

Powiedziałem, że rozumiem, i tych parę minut, jakie zajęło mi pośpieszne pozbywanie się ubrania, zabijaliśmy rozmową o pogodzie i o weekendzie. Po kilku miesiącach szkółki mięśnie miałem twarde, sylwetkę wyprofilowaną — może nie aż tak, jak Harold Hennenson, ale wystarczająco, żeby uważać się za łakomy kąsek męskości. Beth nie pierwszy raz widziała młodziana tryskającego dumą ze swojego ciała, ale nigdy takiego, który pyszniłby

się swoimi atrybutami niczym łoś przed klempą, jak ja wtedy.

— Jestem pod wrażeniem — powiedziała.

Podziękowałem. Do dziś nie wiem, czy mówiła poważnie, czy kpiła.

— Położysz się? — spytała, odgarniając kołdrę. Na prześciera-dle, poniżej poduszek, kwitła świeża mokra plama. Udałem, że jej nie zauważyłem.

Ledwie zdążyłem usiąść na łóżku, już się do mnie zabrała i za-czął mi stawać. Chciałem, żeby to trwało jak najdłużej. Pragnąłem tego — kasa mi się kończyła i na drugi numerek nie byłoby mnie stać.

— Może najpierw porozmawiamy?

— O, Jezu — westchnęła. — Jeszcze jeden psychol.

Nie zrozumiałem.

— No, student wydziału psychologii z tutejszego uniwersytetu UCSD — wyjaśniła mnie. — Przyłożą, płacą i tylko wypytują. Jak się czuję, robiąc to albo tamto, co myślę o kurewstwie i w ogóle. Czy jestem zdemoralizowana? Czy ktoś mnie do tego zmusza? Jezu... mówię ci, wolę się pierdolić, niż prowadzić takie gadki po próżnicy.

No więc przeszliśmy do czynu. Do pierdolenia się, znaczy. Po-tem było jeszcze parę razy. Jako żołnierz amerykańskiej piechoty morskiej czułem się w obowiązku pokazać, że stać mnie na więcej niż jakiegoś tam wymoczka studencinę, niedokończonego psy-chologa.

* * *

Peter — mój syn — miał na studiach zajęcia z psychologii. Fundnąłem mu je. Pomyślałem, że jak już raz poukładają mu na nich w głowie, to nie będzie musiał potem latać z byle czym i harmonijką pieniędzy do najbliższego psychoanalityka. Może i

nie będzie, ale wystąpiły również skutki uboczne, których nie przewidziałem, obejmujące między innymi zasypywanie mnie gradem pytań przy każdej wspólnej kolacji, obrzucanie potępiającymi spojrzzeniami oraz jedną awanturę na cztery fajerki.

— Czy ty zdajesz sobie sprawę, jaki wstyd przynosisz rodzinie tym, co robisz? — spytał kiedyś chłodno ten adwokacina od siedmiu boleści. Siedział, dupek, z założonymi rękami na mojej kanapie.

— Dzięki temu, co robię, macie co włożyć do gęby — odparłem.
— Macie ten dach nad głową. Macie tę kanapę, którą wygniataś swoim zadkiem.

— Ale czy zdajesz sobie sprawę, kosztem jakiego wstydu to wszystko?

Nie było dla mnie jasne, czy aby na pewno chce to przeliczać na pieniądze, ale biowindycy to ludzie konkretni, niebawiący się w żadne abstrakcje. Albo coś namacalnie istnieje, albo pies to trącał.

— Nie — odparłem w końcu. — Pojęcia nie mam. Mógłbyś wymienić sumę?

Zatkało go. Człowiek może mieć nawet doktorat z psychoanalizy, ale w obliczu problemu ocierającego się o wyższą matematykę uchodzi z niego cała para.

* * *

Kiedy ku obopólnej satysfakcji sfinalizowaliśmy wreszcie z Beth naszą biznesową transakcję, przyszła pora na rozmowę.

- Dobrze ci było? — spytałem,
- Mhmmm... cudownie. Nie musiałeś...
- Ale chciałem.

— Bojki nie bawią się zwykle w takie rzeczy. Wkładają, wyjmują i już ich nie ma.

— Ze mnie nie byle bojek — powiedziałem, a ona była na tyle uprzejma, że zachichotała. — Dajesz swoim klientom trochę czasu na dojście do siebie, kiedy już po wszystkim?

— Tylko tym lepszym — odparła, a moja pierś jeszcze bardziej napęczniała z dumy. Wyleciało mi zupełnie z głowy, że ona ma płatne od czasu spędzonego z klientem, i wszystko, co mówiła, brałem za szczerze słowa przypadkowej kochanki.

— Służę w piechocie morskiej — pochwaliłem się. Pomyślałem sobie, że powinna się dowiedzieć, z kim miała do czynienia.

Beth wzruszyła ramionami.

— Powinam się była tego domyśleć — przyznała — ale taka byłam rozpalona... — Chwyliła mnie nagle za rękę i ścisnęła. Mocno... — Oj, skurcz wtórny — jęknęła, wtoczyła się na mnie i zaczęła trzeć krocem o moje udo, skamląc przy tym cicho. Coś tak seksownego jeszcze mi się w moim krótkim życiu nie przytrafiło. Mógłbym na to patrzeć dni całe.

Przez następną godzinę wykręciliśmy jeszcze dwa numerki, a poczekalnia szybko się zapełniała płacącymi klientami. Beth podarowała mi te dwa razy gratis i nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście — planowałem po powrocie do bazy odegrać w kości koszty swoich weekendowych szaleństw, ale w tej sytuacji nie musiałem już ryzykować, że spluczę się do reszty. Gotówki zostało mi tyle, że swobodnie starczy na następny raz.

— Może w przyszły weekend... — zacząłem, ale Beth, doprowadzająca do ładu łóżko przed przyjęciem kolejnego klienta, pokręciła głową.

— W przyszły weekend nie da raczej rady — w mieście odbywa się jakiś zjazd i będę obsługiwała hotele.

— Oj — jęknąłem zawiedziony. Z zaskoczeniem stwierdzałem, że wizja Beth spółkującej z innymi mężczyznami sprawia mi

niewysłowioną przykrość. Wyglądało na to, że gdzieś w trakcie naszego seksualnego maratonu złapałem wirusa zazdrości, który zdążył już zapuścić korzonki w mój mózg. Co tam wasze HIV-y i inne weneryczne france — ja czułem już w sobie parkosyzmy tej nowej śmiertelnej choroby. Powinno mi to z miejsca, tam i wtedy, wybić z głowy wszelkie rojenia o ewentualnym przyszłym związku, uświadomić, że moje obiekcje, może i podyktowane jakąś szczątkową pruderią, wcześniej czy później zrujnują szanse na cokolwiek trwałego. Ale intuicja tylko mi zawsze podszeptuje — nigdy nie wrzeszczy, nawet kiedy powinna.

— Ale w weekend za dwa tygodnie mamy otwarte — rzuciła Beth, cmokając mnie w policzek, co uznałem za satysfakcjonujące bardziej niż którakolwiek z wymyślnych pozycji, jakie przyjmowaliśmy przez ostatnią godzinę.

I tak zakończyła się nasza pierwsza randka: ja wróciłem do siebie, ona została u siebie, a na pożegnanie całus w policzek. Sielanka.

* * *

A szkółka trwała. Niekończący się zestaw powtarzanych do znudzenia ćwiczeń, które, jak zapewniał sierżant od musztry, miały nam pomóc w ratowaniu w razie czego naszych chudych dupsk. Nie rozumiałem, w czym może nam pomóc bujanie się na linie nad dołem z wodą, skoro mieliśmy walczyć z wrogiem na pustyni, ale po kilku karnych szorowaniach kibli wyrobiłem sobie nawyk trzymania gęby na kłódkę.

Do San Diego wypuszczałem się mniej więcej dwa razy w miesiącu, czyli kiedy tylko udało mi się wydębic przepustkę na czterdzieści osiem godzin. Zapracowywałem na te wolne weekendy, biorąc tyle dodatkowych służb — patrole, warty, kuchnia — że sypiałem tylko po trzy godziny na dobę. Odbijałem sobie z Beth.

Przeważnie zaszywaliśmy się w pokoiku na tyłach salonu masażu i testowaliśmy tam wytrzymałość materaca i ramy łóżka, ale od czasu do czasu zdarzał nam się też wypad do jakiegoś nocnego klubu. Beth z szacunku dla moich uczuć w weekendy robiła sobie wolne i tylko raz musiała opuścić w pośpiechu bar, bo przypomniała sobie, że umówiła się z klientem i nie może tego odwołać. Czekałem, w poczekalni, aż skończą. Słyszałem skrzyp sprężyn materaca. Trwało to godzinę i sześć minut.

* * *

Kilka tygodni przed końcem szkółki nasi instruktorzy zaczęli przynosić nacisk z fizycznej zaprawy na przyswajanie nam praktyki i taktyki walki. Braliśmy udział w manewrach, czy może operacjach wojskowych, nazywajcie to sobie, jak chcecie. Nasz poligon zmienił się w jedno wielkie pole bitwy na niby, zastawione imitacjami czołgów, imitacjami budynków i naszpikowane niby to gniazdami karabinów maszynowych, przed którymi skręcali się z autentycznego bólu żołnierze z krwi i kości. Stosowano gumowe pociski małej prędkości. Żądliły jak diabli. Jeden chłopak z kompanii E stracił oko, kiedy ściągnął na chwilę zaparowane gogle, żeby je przetrzeć.

Ostatniego dnia — popełnili błąd, zdradzając nam, że to będzie ostatnie dwadzieścia cztery godziny szkółki — zbiesiliśmy się. Czerwoni, do ataku!

Zaatakowaliśmy z Haroldem Hennensonem Fort Niebieski, likwidując przy tym trzy gniazda karabinów maszynowych. Akcja zajęła nam trzy godziny. Dwie godziny i dwadzieścia pięć minut czekania, czekania, czekania, a potem trzydzieści pięć minut ostrej jazdy. Oto szczegóły: Zachlapaliśmy świeżo otynkowaną fasadę całym magazynkiem paint-kulek, wysmarowaliśmy sobie ściekającym nadmiarem farby czoła i wydając bardzo bojowe

okrzyki, wypisaliśmy na nich swoje imiona. Wzięliśmy jeńców — wojennych, ma się rozumieć — spętaliśmy ich sznurkiem i przesłuchaliśmy. Pytaliśmy o nazwiska, numery służbowe, o kobiety, z którymi ostatnio spali, i o dokładne adresy. Byliśmy biczem bożym, byliśmy nieznającymi litości żołdakami, byliśmy bohaterami. Byliśmy Mongołami czyniącymi dobro i tego dnia zwyciężyliśmy.

Instruktorzy się wściekli. Opierdzielili nas po równo, zasypali pogroźkami, zasądziła pompki, zakaz siadania na pryczy przed wieczornym capstrzykiem oraz ścisły post, a do tego sto godzin zmywania garów w kuchni. Wszystkie te szykany na szczęście nas ominęły, bo nazajutrz wyruszyliśmy na front.

* * *

Tydzień przed zafundowaniem naszej kompanii przez dowództwo wycieczki na słoneczną pustynię pobraliśmy się z Beth, jak Pan Bóg przykazał. Uroczystość nie była jak z bajki, chyba że takiej w stylu braci Grimm, ale w sumie udana. Lekko wstawionego pastora wyciągnęliśmy z baru w pobliżu miejsca zamieszkania Beth, Jake Freivald był moim przyjacielem, a Harold Hennenson, którego widziano często szorującego kible własną szczoteczką do zębów — i to nie pod przymusem, ale z wrodzonego poczucia porządku — świadkiem i podpisywał wszystkie dokumenty w trzech kopiach.

* * *

W odróżnieniu od Harolda Hennensona Jake Freivald przeżyje wojnę. Podobnie jak ja wróci do Ameryki zagubiony, zubożony i bez odpowiednich szkół, by stanąć do rywalizacji na nie-ludzko już stechnicyzowanym rynku pracy, gdzie doświadczonych programistów komputerowych wywalano z dnia na dzień na bruk tylko za to, że nie potrafili się nauczyć najnowszej wersji języka

programowania C-Triple-Plus szybciej od kolegów z pracy. I podobnie jak ja uczepli się tej samej deski ratunku, która zawsze pomagała mu wychodzić cało z najgorszych opresji, prostego sposobu ratowania własnej skóry wpojonego nam przez wojsko: Zabijanie ludzi to dla nas chleb powszedni.

* * *

Ale na ślubie jeszcze tego nie wiedzieliśmy. Harold żył, ja i Jake, dwa wyleniałe kocury, próbowaliśmy używać życia, zanim załadują nas do samolotu transportowego lecącego w samo serce mroku.

— Czy jest tu ktoś, kto może zaręczyć? — wymamlał pastor. Podczas tej niedługiej ceremonii odwracał się do nas co chwilę plecami, niby żeby to odkaszlnąć, ale po chuchu można było poznać, że za każdym razem strzela sobie głębszego. — Pod przysięgą, znaczy się... jest taki?

Harold zerknął na mnie i wzruszył ramionami. Nie wiedział, co robić. Ja też wzruszyłem ramionami i Jake, widząc nasze niezdeterminowanie, wziął sprawę w swoje ręce.

— Ja mogę zaręczyć za tego mężczyznę — zaimprovizował, postępując krok naprzód. — Pod przysięgą.

— A... a kto... kto oddaje... no, tę... rękę tej pani?

Nie ustaliliśmy tego. Spojrzałem na Beth z obawą, że to drobne niedopatrzzenie może zawalić sprawę.

— Harold by mógł — szepnęła mi na ucho.

— Pewna jesteś? — odszepnąłem. — Nie pali się... możemy to odłożyć i znaleźć kogoś odpowiedniejszego.

— Harold sobie poradzi.

I poradził sobie. Wystąpił, podał mi rękę mojej narzeczonej — włosy natapirowane, bez welonu, suknia długa, wypożyczona, trochę wystrzępiona na brzegu — i czym prędzej się cofnął. Pastor

wymamrotał parę formułek, ogłosił nas mężem i żoną i ulotnił się. Pewnie szukać jakiegoś otwartego jeszcze klubu, gdzie wypuszczają mężczyzn w niezbyt świeżym przyodziewku.

Kochaliśmy się w motelowym pokoju, który wynająłem na dwie godziny, pocąc się fantastycznie w upale sandiegowskiego lata. Po wszystkim, kiedy nasz czas się skończył, włożyłem mundur, zapakowałem rzeczy do worka, pocałowałem żonę na pożegnanie, obiecałem, że codziennie będę do niej pisał i różnym krokiem pomaszerowałem z powrotem do bazy.

Ona do końca tego dnia wzięła sobie w pracy wolne. Tak mi przynajmniej powiedziała.

* * *

W liście, który dostałem od niej kiedyś podczas tej wojny i przeczytałem, kuląc się w jakiejś tam metalowej potworności, wyjaśniła, dlaczego uznała Harolda za godnego oddania mi jej ręki: „Był jedynym facetem, który miał okazję mnie przelecieć, a tego nie zrobił — pisała — i to mnie ujęło”.

A ja głupi, zaślepiony, naiwny odpisałem: „Mogliśmy posłać po twojego ojca”.

Wiedziałem, że to się zbliża, zanim jeszcze dostałem list z odpowiedzią. Przyszedł trzy dni później niż zwykle, ranił boleśnie, z każdego skreślonego w stanie wzburzenia zawijasa przebijał zdrowy psychologiczny pogrzeb. „Jesteś taki słodziutki — napisała między innymi — ale czasami wyłazi z ciebie zupełny dupek”.

Żadnego uzasadnienia.

* * *

Starczy tych reminiscencji. Dzisiaj wychodzę. Jest nadzieja, że uda mi się wrócić.

Rozdział 5

Dzisiaj, teraz, serce bije mi już miarowo — słyszę serię pisków, którymi pilot zdalnego sterowania przytwierdzony do biodra informuje mnie, że tętno wróciło do normy — i myślę, że spadł mi poziom adrenaliny, nie buzuje już we mnie jak paliwo w reaktorze atomowym. Ależ miałem noc. Właściwie to ostatnio każda noc jest dla mnie wyzwaniem, ale ta szczególnie nadaje się do annałów.

Wyszedłem wieczorem przeprowadzić mały rekonesansik w samym sercu terytorium wroga. Po prawdzie, to praktycznie wszystko na zewnątrz tego pokoju dwadzieścia na dwadzieścia zalicza się do wrogiego terytorium, ale tym razem mowa o wielkiej kwaterze głównej, mateczniku, wilczym gnieździe.

Krótko mówiąc, poszedłem do Mallu. Ryzykowny zaiste krok, ale konieczny w mojej sytuacji ściganego. Kiedy człowiek pragnie jeszcze przez jakiś czas utrzymać się przy życiu, to ukrywanie się nic a nic mu w tym nie pomoże. Żeby nie dać się dopaść Union, a to na dłuższą metę prawie niewykonalne, trzeba wiedzieć, gdzie szukają, jak szukają, komu konkretnie kazano wsiąść mi na ogon. Każdy biowindyk ma własny styl pracy, własny sposób wykurzania

liska z nory, i jeśli nie wiesz, kto na ciebie nastaje, to niewielkie nadzieje, że mu się wymkniesz.

Odsetek nieściągniętych długów to w Union coś koło zera koma dwa procent. Czyli na pięciuset dłużników tylko jednemu udaje się „wymigać”, i te dane statystyczne są zawsze, wielkimi literami, wytłuszczonym drukiem zamieszczane u dołu każdej strony każdej umowy o sztuczorg. Przeszkolony w tym celu lektor Credit Union odczytuje najpierw na głos w obecności klienta treść umowy, upewnia się, czy ten aby na pewno dobrze zrozumiał naturę długu, który zaciąga wobec Union, oraz konsekwencji, jakie go czekają, gdyby przyszło mu czasem do głowy wyrwać się ze szponów Union i zwać z niespłaconym jeszcze organem gdzieś daleko, i dopiero po dopełnieniu tych formalności dochodzi do złożenia podpisów na oryginale i kopii.

Kiedy pracowałem w Union, mój odsetek nieściągniętych długów wynosił zero koma zero. Za ten wynik chwalono mnie w wydziale i stawiano za przykład kolegom windykom z całego kraju. Nikt mi się nie wymknął i nawet ci, którym udawało się zwodzić mnie przez rok, dwa, góra trzy lata, w końcu wpadali i wijąc się w przedśmiertnych konwulsjach, nie mogli zrozumieć, jak zdołałem ich namierzyć.

Tak było, oczywiście, do czasu, ale według mnie jedno potknięcie się nie liczy. Z drugiej strony mam nadzieję, że jednak. Nie chciałem kończyć kariery biowindyka bez przynajmniej jednego blamażu w aktach. Nie powinno się być za dobrym w pracy, którą się wykonuje.

* * *

Parę lat temu Mall był rozległym deptakiem handlowym w centrum zachodniej strony miasta — mekką błyskotek i niewarłych swojej ceny niby to markowych ciuszków — i nie odróżniał

się niczym od innych tego rodzaju targowisk próżności. Matki przepychały swoje dzieci od butiku do butiku w jasnoczerwonych wózkach dostarczonych przez zarząd, dziewczęta szukały prezentów dla swoich chłopców, chłopcy szukali jadalnych majteczek, które każą naciągnąć swoim dziewczynom, mnóstwo gotówki przechodziło z jednej do drugiej brudnej ręki, no i gites.

Credit Union była jeszcze w powijakach, kiedy podwójnej szerokości butik od frontu, należący wcześniej do Szparki, wykupiła hurtownia Kurtzmana i dwa miesiące później otworzyła tam pierwszy detaliczny salon Sztucznych Organów. Kredyt od ręki, miła obsługa, żaden rzetelny klient nie zostanie odprawiony z kwitkiem. Nad wejściem szyld „Salon Kurtzmana”, jasne neonowe serce — nie jakiś tam walentynkowy symbol, lecz wierna kopia pękatego, oplecionego żyłami organu — pulsowało na karmazynowo i różowo, przewody błyskały stałym, miarowym rytmem. I co jakiś czas, też w rytm, z ukrytych głośników płynęła na cały Mall piosenka wabiąca klientów jak zapach pieczonego ciasta psy z kreskówek: „Do Kurtzmana kto żyw bieży, kto żyw bieży, kto żyw bieży, w rękach twych twe życie leży...”.

Nie minęła godzina, a przed wejściem stała już kolejka.

* * *

Arnold Kurtzman, zanim przerzucił się na branżę sztuczorgów, zbił fortunę na recyklingu zużytych piłek do koszykówki, przerabiając je na dętki do kół rowerowych. Był to przysadzisty, pulchny, łysiejący mężczyzna otoczony zawsze wianuszkami młodych, urodziwych kobiet. Był to również szachraj, złodziej, pozbawiony słuchu entuzjasta karaoke, raptus i bezkrytyczny wielbiciel francuskiego kina. I taki człowiek, pomimo tylu poważnych wad, dysponował książeczką czekową grubości cegły, a gotówka, którą na

prawo i lewo szastał, prawie do samego końca zapewniała mu doborowe damskie towarzystwo.

Frank, mój szef z Credit Union, reagował na Arnolda Kurtzmana alergicznie. Wykraczało to daleko poza zwyczajną zawodową zawiść, i tą swoją niechęcią zaraził również mnie. Na domiar złego uczestniczyliśmy w tych samych konferencjach i musieliśmy wysłuchiwać jego rozwlekłych, utrzymanych w protekcyjnym tonie wystąpień na nudnych jak flaki z olejem seminariach. Na palcach jednej ręki można było zliczyć osobników, których bym tak nie cierpiał, jak tego zadufanego w sobie, pyskatego starucha, i chyba właśnie dlatego dołożyłem wszelkich starań, żeby to mnie zlecono wyrwanie Kurtzmanowi sztucznych płuc dwa lata po tym, jak splajtował i bank zamknął mu linię kredytową.

Przydybałem go w jakimś podrzędnym, zawoszonym motelu i cieszyłem przez chwilę oczy widokiem wzdętego, spotniałego kałduna, po którym biegały karaluchy. Mózg miał już przeżarty jakąś syfilityczną chorobą, którą gdzieś tam po drodze podłapał, obok łóżka, na poplamionym dywanie, leżał cały jego żaloszny dobytek. W zasięgu wzroku nie było żadnej kobiety.

* * *

Salony Kurtzmana zrobiły niesamowitą furorę. Jego motto *W rękach twych twe życie leży* było na wszystkich językach — i tych naturalnych, i polimerowych — no i nie trzeba było długo czekać na to, żeby inni producenci sztuczorgów obiegli Mall, szukając tam dla siebie przyczółków. Gabelman, Kenton, Taihitsu i inni czatowali cierpliwie, jak snajperzy w krzakach, wyczekując momentu, kiedy zwolni się choć skrawek przestrzeni handlowej do wynajęcia; a kiedy tylko nadarzyła się taka okazja, to momentalnie,

jak komandosi w blitzkriegu, przypuszczali szturm na biuro wynajmu Mallu, zarzucając urzędników plikami banknotów dopóty, dopóki ci nie wymiękli pod tą zieloną nawałą i nie powiadomili jakiejś tam Banana Republic albo Pottery Barn, że ich czas tutaj niestety dobiegł końca i pora się rozstać.

Tsunami towarzystw kredytowych i producentów sztuczorgów zalało Mall, zmiatając wszystko na swej drodze. Zajęli całe trzecie piętro, ostała się tam tylko jedna jedyna firma, „Ciacho Wszech Czasów”. Była to mała cukierenka wypiekająca na zamówienie erotyczne smakołyki dla stałych klientów. O dziwo, zawsze miała gotówkę na przebicie hurtowni, kiedy nadchodził termin przedłużenia wynajmu.

Teraz nazywa się „Ciacha i Organy Wszech Czasów” i robi niezły interes na sztucznych kubkach smakowych.

* * *

Tego wieczoru, a właściwie późnego popołudnia, Mall (pisany od paru ładnych lat z wielkiej litery, co przegłosował przez akklamację związek hurtowni wynajmujących tu powierzchnię biurową) kipiał aktywnością. Podupadający na zdrowiu petenci biegali od salonu do salonu, szukając kogoś, wszystko jedno kogo, kto byłby skłonny otworzyć im linię kredytową. Z poprzednich dzierżawców w Mallu nie ostał się żaden. Nikt nie próbuje już tu handlować ciuchami, obuwem czy jakąś tam inną tandetą. Cały Mall zdominowały obecnie sztuczorgi i przychodzi się tu po ratunek, kiedy organizm zaczyna odmawiać posłuszeństwa.

Credit Union zajmuje największy z salonów, okazały, poły-skliwy portal przyciąga od razu wzrok każdego, kto wysiada z windy łączącej piętro z podziemnym parkingiem. Światelka nad wejściem mrugają zapraszająco do klientów. Precz smutki —

tutaj, w tym centrum handlowym, tryska nowe źródło Młodości.

Harry Serduszko i Larry Płucko, dwie najpopularniejsze maskotki Credit Union, wychodzili tego popołudnia z siebie, wywijając hołubce tak, jak to potrafią tylko przyćpane, marnie opłacane małolaty przebrane za sztuczne organy. Maskotkom nie przygrywa tutaj do tańca szafa grająca, tak jak dzieje się to piętro niżej, w Parku Tematycznym Union (motto: Tu spotyka się rozrywka z odmłodzeniem), a więc dwójka ta w zasadzie przytupywała tylko rytmicznie na terakotowej posadzce i wymachiwała radośnie do klientów. W pewnym momencie Harry, widząc grupkę nowotworowców, zaczął ich zabawiać skakaniem na skakance ze sztucznej aorty. Larry Płucko przyklaskiwał mu do rytmu.

Chodziłem kiedyś z dziewczyną odstawiającą Patty Trzustkę, ale nie trwało to długo. Ilekroć przywdziewała ten kostium, nachodziła mnie natychmiast nieprzeparta pokusa przelecenia jej jeszcze raz.

* * *

Tego popołudnia większość swojego arsenału zostawiłem w hotelu; trudno przejść przez bramkę wykrywacza metalu z garścią skalpeli, które pobrzękują luzem w kieszeni i mogą zaraz stamtąd wylecieć. Takie coś nawet w centrum miasta mogłoby wzbudzić podejrzenie.

Wybrałem mausera, jeden ze swoich najmniejszych pistoletów, i załadowałem go taką ilością amunicji, żeby starczyło na wyrwanie się z umiarkowanego kotła. W razie gdybym się nadział na jakiegoś biowindyka, powiedziałam sobie rano — a nawet na dwóch — no, dajmy na to, trzech takich zielonych, świeżo po kursie — bez wahania otworzę ogień w swojej obronie. Jak będzie ich

więcej, albo nawet tylko jeden, ale z Kategorią Piątą, to dam drapak, nie wdając się w żadne strzelanki.

I wiecie co? Okazuje się, że byłem niepoprawnym optymistą.

* * *

Bramki wykrywacza metalu w Mallu dosyć łatwo oszukać, chociaż sprawa się komplikuje, kiedy człowiek chce przez taką przemyścić przedmiot do tego stopnia metalowy, jak niemiecki pistolet półautomatyczny. Oto jaki powziąłem plan, plan wysnuty na podstawie wieloletniego doświadczenia w podchodach i mydleniu oczu.

Po drodze do śródmieścia wpadłem do sklepu z galanterią i buchnąłem wazonik ze szkła ołowiowego, który następnie zapakowałem w zgrabne pudełko wygrzebane z kontenera na śmieci w pobliskim zaułku. Ruszyłem szybkim, zdecydowanym krokiem, niemniej co chwila oglądałem się ukradkiem przez ramię i parę razy zawracałem, żeby się upewnić, czy nie mam ogona. Z tego co wiedziałem, za każdym rogiem mógł czyhać zastęp biowindyków gotowych mnie pojmać, wrzucić do czekającej w pobliżu furgonetki i na miejscu zrobić ze mną porządek. Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś mnie rozpoznał albo śledził, ale to mogło być tylko złudzenie, któremu ulega wielu utalentowanych windykatorów. Spokój może być zwodniczy.

Krótką podróż środkiem transportu publicznego — tutaj możliwość zdemaskowania znacznie zmalała, bo żaden ze smętnie zamysłonych, zaabsorbowanych własnymi zmartwieniami pasażerów trzęsącego autobusu nawet na mnie nie spojrział, kiedy wsiadałem — i już byłem przecnicę od Mallu, potężnej, otynkowanej na beżowo trzypiętrowej budowli zajmującej osiemnaście tysięcy metrów kwadratowych w pierwszorzędnym punkcie miasta.

Podobno inwestor przelicytował w przetargu jakieś Centrum Opieki Medycznej dla Weteranów, firmę kamieniarską i całą resztę ostrzących sobie na to miejsce zęby. Nieprzerwany potok klientów wpływał i wypływał przez elektrycznie sterowane przesuwne drzwi; wchodzący robili wrażenie zdeterminowanych i pewnych siebie; wychodzący dzielili się na dwa obozy: uśmiechniętych i zapłakanych. Hej, głowy do góry — raz przyznają człowiekowi pożyczkę, innym razem nie. Ale dzięki niskim obecnie stopom procentowym i uproszczeniu formalności związanych ze składaniem wniosku o kredyt niezmiernie rzadko trafia się pechowiec, który nie kwalifikuje się na choćby pęcherz z odzysku.

Zatrzymałem się przy niskim żywopłocie, przykucnąłem, wydobylem spod kurtki mausera i używając lufy w charakterze miniszpadelka, wykopałem dołek w ziemi, po czym wrzuciłem do niego pistolet i zamaskowałem kryjówkę opadłymi liśćmi. To uczyniwszy, wstałem i pomaszerowałem jak gdyby nigdy nic w stronę Mallu, przybierając minę wyrażającą ból, degradację i oczekiwanie rychłego upokorzenia. Sztuczne wąsy i brodę przykleiłem sobie gumą arabską, której flakonik znalazłem w śmieciach za wypożyczalnią kostiumów. Modliłem się w duchu, żeby nie zostały ochroniarzowi w rękę, kiedy je mocno szarpnie, albo nie odpadły same przy silniejszym podmuchu wiatru.

— Wszystkie paczki na taśmę — wyburczał znowu znudzonym tonem operator. Byłem dwunasty w kolejce, bramka wykrywacza metalu, do której stałem, mogła prześwietlić tylko jednego klienta naraz. Za mną młody człowiek tulił do piersi pieska rasy shitzu; kosmate stworzonko dyszało ciężko, futerko falowało z każdym oddechem.

— Sunia źle się czuje — odezwał się jej pan, napotykając mój wzrok. Czyli to suczka. Ludzie rzadko przynosili do Mallu swoje

zwierzaki; było to przejawem braku kultury osobistej i z zasady niezbyt dobrze widziane w salonach kredytowych. Urzędnicy krzywo na to patrzyli. — Potrzebne nam nowe płucko.

— Znaczy, komu? — spytałem.

— Muffince. — Wskazał głową suczkę i ta spojrzała na mnie żałośnie wielkimi orzechowymi ślepkami. — Wszystko będzie dobrze, będzie dobrze — zagruchał mężczyzna do swojego kłębuszka futerka. — Kupimy ci piękne nowe płucunio.

— A ile takie kosztuje? — spytałem. Słyszałem o ludziach kupujących sztuczorgi dla swoich milusińskich, ale byli to przeważnie celebryci, których na to stać.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Jeszcze nie wiem. Weterynarz powiedział, że może mi załatwić kredyt z ratą tysiąc osiemset miesięcznie, ale myślę, że uda mi się coś utargować.

— Powodzenia życzę — mruknąłem i odwróciłem się. Powodzenia, dobrze powiedziane. Żadne towarzystwo kredytowe ani hurtownia nie udzieli kredytu facetowi, który do stracenia ma tylko swojego zapchlonego kundla.

Cały sztuczorgowy system kredytowy opiera się na tym, że zastawem jest samo ciało. Dzięki temu, kiedy z takiego czy innego powodu dochodzi do cofnięcia kredytu, klient nie ma żadnej możliwości wykręcenia się sianem.

* * *

— Pudełeczko na taśmę — mruknął do mnie operator bramki, popierając te słowa wymownym gestem. Bez szemrania spełniłem polecenie. Przeszedłem przez wykrywacz metalu, który nic nie wykrył, bo mauser został przecież na zewnątrz, zagrzebany w dołku pod krzakami, i jak gdyby nigdy nie sięgnąłem po swoje pudełko.

Ktoś chwycił mnie za rękę.

— Co jest w tym pudełku, proszę pana? — spytał inny ochroniarz, ten już uzbrojony w służbowy rewolwer. Mundur bez żadnych dystynkcji, które zdradzałyby jego stopień bądź funkcję, ale przecucie mówiło mi, że facet potrafi posługiwać się jako tako bronią.

— Prezent urodzinowy — wyjaśniłem. — Dla mojego doradcy kredytowego.

Normalka, nic w najmniejszym stopniu odbiegającego od normy. Klienci starający się o przyznanie linii kredytowej albo korzystniejszego oprocentowania często wręczali swoim doradcom nie byle jakie bakszysze, nazywając je dla niepoznaki prezentami urodzinowymi albo świątecznymi, żeby zwierzchność nie miała się do czego przyczepić. Naturalnie wszyscy wiedzieli, co jest grane, i wszyscy przymykali na to oko, bo doradcy oddawali część swoich wziętek kierownikom, a ci z kolei podrzucali trochę okruchów swoim przełożonym. Ów strumień zawołowanych łapówek płynął bez końca, tworząc grubą warstwę smarowidła ułatwiającego ślizganie się w górę i w dół piramidy. Coś jak Amway, tyle że nie aż tak po chamsku.

— Nie widzę zawartości na ekranie — wymruczał ochroniarz, wpatrując się w monitor. — Będzie pan musiał otworzyć pudełko.

— Zawartość jest ze szkła ołowiowego — tłumaczyłem cierpliwie — i dlatego rentgen tego nie prześwietla. Proszę spojrzeć, jakie eleganckie opakowanie. Jeśli rozpakuje, to już nie...

— Pan otwiera pudełko, bo jak nie, to sami to zrobimy.

Zrobiłem wielkie przedstawienie z wrywaniem ochroniarzowi pudełka — stosowna porcja irytacji potencjalnego klienta, który czuje się obrażany — i zacząłem je rozpakowywać, rozplątując w

skupieniu skomplikowane supełki, które przed niespełną półgodziną własnoręcznie zawiązałem.

Minęła minuta, potem druga i stojąca za mną kolejka czekających potulnie, aż mnie w końcu przepuszczą albo wreszcie uznają, cholera, za terrorystę i szamoczącego się wywłoką pod pachy na zaplecze przy akompaniamencie dzikich wrzasków, zaczęła szemrać i wymieniać w swoim gronie coraz głośniejsze uwagi. Minęła trzecia, czwarta minuta i to szemranie przeszło w dosyć donośny gwar, ponad który wzbijały się wykrzykiwane co bardziej gromkimi głosami niepochlebne uwagi pod moim, strażników i w ogóle całego Mallu adresem.

— No, sprężaj się pan — ponaglił mnie ochroniarz, przesuwając rękę w kierunku kabury.

— Zastrzelisz mnie, człowieku, za pudełko? — spytałem z niedowierzaniem.

Kolejka za mną spuściła z tonu, ludzie chcieli uniknąć zachłapania krwią i pokaleczenia okruciami szkła ołowiowego.

Ale ochroniarz zostawił rewolwer w spokoju i wyciągnął z kieszeni scyzoryk. Wyrwał mi „prezent” i z furią zaatakował tym scyzorykiem wstążeczkę.

Pusty wazon wypadł z głuchym łomotem na zatrzymaną w międzyczasie taśmę przenośnika i wyczułem, jak kolejka za mną stężała. Ochroniarz przyglądał się kryształowi przez dłuższą chwilę — na tyle długą, by powziąć decyzję co teraz — a potem odwrócił się i oddalił bez słowa przeprosin.

— I teraz będę musiał szukać nowej wstążki! — krzyknąłem za nim, ale on nie zwracał już na mnie uwagi, z lubością napastując kolejnego wystraszonego petenta.

* * *

Po półgodzinie pojawiłem się znowu. Ta sama kolejka, ten sam operator, to samo pudełko pod pachą, tym razem obwiązane jeszcze dłuższą wstążką. I ponownie, kiedy byłem już przy bramce, podszedł ten sam ochroniarz.

— Znowu pan?

— Przecież pan wstążkę i musiałem przepakować.

Spojrzał na ekran monitora, na którym widniała trochę rozmazana, nieprzeźroczysta plama, i lekko się skrzywił.

— Wazon.

— No, wazon.

Impas. Ja patrzę na ochroniarza, ochroniarz na ekran, na bramce zator do czasu, kiedy on wreszcie zadecyduje, co w tej sprawie począć. Na pewno kombinował, że jeśli każe mi znowu otworzyć pudełko, to dobre pięć albo i więcej minut będę wojował z tymi supelkami, a jak znowu przetnie wstążkę scyzorykiem, to wrócę tu trzeci raz z pudełkiem na nowo obwiązanym.

Ja tam mogłem czekać nawet cały dzień.

Ochroniarz nie za bardzo; kiedy tak popatrywaliśmy to na siebie, to na leżącą między nami paczkę, wołali go już operatorzy innych bramek, gdzie również pojawiły się jakieś sporne kwestie, tak jakby sami nie mogli zajrzeć do pakunków podejrzanych klientów.

Pomimo tego napięcia, pomimo całkiem realnej groźby, że stanę za chwilę zdemaskowany i zastrzelony na miejscu, a moje serce wydarte z klatki piersiowej trafi do chemicznego utylizatora gdzieś poza murami Credit Union, ani jedna kropelka potu nie wystąpiła mi na czoło. Biowindycy — w każdym razie ci dobrzy — nie pocą się. W moim odczuciu trwało to z godzinę, ale tak naprawdę ostateczna decyzja została pewnie powzięta w nie więcej niż dziesięć sekund.

— Przechodzić — warknął strażnik, odwrócił się na pięcie i po raz wtóry oddalił. Miałem nadzieję, że na dobre.

Chwyliłem pudełko, uśmiechnąłem się nieśmiało do operatora obsługującego bramkę i przygarbiony, pomny, że nie wolno mi zdradzać swoją postawą satysfakcji z odniesionego zwycięstwa, kroczyć z dumą koguta spacerującego po obejściu, powlokłem się nogą za nogą w głąb Mallu.

Skreśliłem do pierwszej napotkanej toalety, zamknąłem się w ostatniej z rzędu kabinie, przegryzłem zębami wstążkę, wyciągnąłem z pudełka wazon ze szkła ołowiowego, a z niego pistolet Mauser kalibru 9 milimetrów.

* * *

Moja czwarta żona, Carol, dawno temu, zanim jeszcze mall stał się Mallem przez duże „M”, miała tu sklepik, ale odsprzedała swoje miejsce Credit Union na długo przed naszym poznaniem. I mądrze postąpiła. Tych kilkoro opornych, którzy nie mogli się rozstać ze swoimi rodzinnymi biznesikami, bardzo szybko znalazło się na czarnych listach wszystkich instytucji kredytowych jak wszechświat długi i szeroki i szybciej, niż trwa wymawianie określenia „zdolność kredytowa”, straciło możliwości prowadzenia interesu ze względu na brak finansów. Wyprzedali się potem za psie pieniądze. Tak to już bywa.

Sklep Carol nazywał się „Wszystko Co Dobre” i jak sobie przypominam, zaszedłem tam raz na długo przed poznaniem Carol i na jeszcze dłużej przed tym, jak Carol wyrzuciła mnie z domu i wystąpiła o rozwód pod pretekstem rzekomej zdrady małżeńskiej. Wstąpiłem tam — pamiętam jak dziś — w czasie wolnym od pracy, żeby poszukać jakiegoś prezentu na półrocze pożycia z Mary-Ellen, drugą ze swoich wybranek serca. Miała to być nasza pierwsza i ostatnia półrocznica, ale wtedy nie mogłem jeszcze tego

wiedzieć, chociaż powinno mi dać do myślenia to cotygodniowe straszenie rozwodem.

Posadzkę „Wszystkiego Co Dobre” pokrywał obsyty frędzelkami dywan w biało-czerwona szachownicę, a ekspozycja w witrynie zdominowana była przez pluszowe misie rozmaitych kształtów i rozmiarów. Na ścianach wisiały swetry robione na drutach i tkane ręcznie makatki, a pod nimi stały ciężkie drewniane kufry wypełnione specjałami domowej roboty z głuchej prowincji. Krótko mówiąc, przysłała mysz wsiowa do miastowej, i pamiętam, że zastanowiło mnie, czy to w ogóle znajduje nabywców.

Nie znajduwało, jak się później przekonałem.

Ale w głębi sklepu, za słojami marynat i koszami z chlebem prosto z pieca, za stosami kostek sprzedawanego na wagę szarego mydła domowej roboty, z którego każdy mógł sobie odkroić, ile chciał, za ręcznie rzeźbionymi i wycinanymi puzzlami, których elementy łączyły się z innymi w tysiącu rozmaitych kierunków, znalazłem wreszcie coś, co wzbudziło moje zainteresowanie. Pod bezpretensjonalnym baldachimem stała mała przeszkłona gablotka, w której eksponowano dziesięć typów podłużnych, prostokątnych, plastikowych przedmiotów, każdy z dwoma krótkimi metalowymi kolcami na końcu. Coś mi one przypominały, ale zestawienie z całym tym asortymentem domowej roboty produktów, których się tu naoglądałem, zmyliło trochę ośrodek kojarzenia w moim mózgu.

Zawołałem sprzedawczynię — nie pamiętam już, czy to była Carol, czyjej siostra, czy któraś z uczennic zatrudnianych tu na czas wakacji — i zapytałem o te przedmioty.

- To paralizatory — usłyszałem.
- Paralizatory?
- No takie do obozwardniania ludzi.

Wiedziałem, do czego służą — używałem ich prawie co tydzień. Jeśli klient nie znajdował się w zamkniętym pomieszczeniu, takim jak samochód albo mieszkanie, eter nie dawał pożądanego efektu i wtedy do unieruchamiania go służył mi paralizator. Tylko skąd te elektryczne urządzenia w takim sklepiku?

— Myślałem, że to sklep z wyrobami regionalnymi.

Sprzedawczyni potrząsnęła głową.

— Jak sama nazwa wskazuje, sprzedajemy „Wszystko Co Dobre”.

— To paralizatory są dobre?

— Bezpieczeństwo — odparła, przykrywając dłonią swoją dłoń.

— Bezpieczeństwo jest dobre.

* * *

Tę dziewczynę też mógłbym pokochać. I pokochałbym, gdyby nie Carol.

* * *

Kolejka do Credit Union była tego dnia krótka; stała, oczywiście, przed drzwiami, ale liczyła tylko kilkanaście osób. W niektóre dni — na przykład w te wtorki po przedłużonym świątecznym weekendzie, podczas którego podtatusiali szpanerzy o wzdętych od piwa brzuszyskach w idiotyczny sposób nabawiali się najprzeróżniejszych kontuzji, imając się dyscyplin sportu, na które są o dwadzieścia lat za starzy — kolejka potrafi mieć ponad sto metrów i wić się meandrami po Mallu, splatając z innymi na podobieństwo zwojów monstrualnego ludzkiego mózgu. Pewnego razu zarząd Mallu poprosił projektanta słynnego parku tematycznego, żeby uporządkował ten kolejkowy chaos, ale nawet on nie potrafił okiełznać tych spazmów i konwulsji nieszczęścia.

Ale dzisiaj przed lśniącoymi alabastrowymi podwojami Credit Union stało, jak już wspomniałem, nie więcej niż piętnaście do dwudziestu osób, za mało, żeby wmieszać się w tłum. Za wielu tu miałem znajomych, aby któryś nie rozpoznał mnie nawet z tą przyklejoną brodą i wąsami.

Minąłem salon Credit Union, kierując się do toalet na zapleczu, gdzie było wyjście awaryjne prowadzące na rampę wyładowniczą. Przed laty palacze, którym nie pozwalano oddawać się nałogowi w murach budynku, znaleźli sposób na otwieranie drzwi wyjścia awaryjnego bez uruchamiania alarmu i chociaż wszyscy o tym wiedzieli, jakoś nikomu nie chciało się korygować tej niedoróbki. Miałem zamiar zrobić swoje, wyślizgując się przez te drzwi.

Szczęściem nadarzyła się jeszcze lepsza okazja. Na krawędzi rampy, machając w powietrzu dwoma futrzastymi, niebieskimi nogami, siedział Larry Płucko — a ściśle rzecz ujmując, jego dolna połówka. Górna część kostiumu maskotki leżała bez życia na ziemi, podczas gdy małolat zatrudniony przez Union w celu odgrywania organu wewnętrznego sztachał się papierosem. Zaciągał się z lubością i wydmuchiwał powoli dym, odreagowując stres kosztem własnego układu krążenia.

Zaszedłem gnojka od tyłu i klepnąłem go po kumpelsku w ramię. Płucko miał chyba z metr osiemdziesiąt wzrostu, a chudy był jak patyczak. Kiedy się odwrócił, wyłuskałem mu papierosa z warg.

— Nie słyszałeś, że to szkodzi zdrowiu?

— A bo, kurwa, co, facet? — on na to. — Przerwę mam.

I dopiero teraz pokapował się, kto przed nim stoi, i chyba — ale tylko chyba, pewny nie byłem — zeszczał się w spodnie. Rozpoznał mnie pomimo doklejonej brody i wąsów i padło mu na pęcherz.

— Ile toto ma w pasie? — zapytałem.

- Słucham?
- Obwód w pasie. Jaki masz?
- Siedemdziesiąt centymetrów — wydukał.

Pierdzielony metabolizm. Ogłuszyłem maślaka błyskawicznym ciosem z łokcia w głowę i ściągnąłem z niego kostium. A jednak się zeszczał. Uryna przesiąkała już przez włochaty materiał, ale nie czas było wybrzydzać.

* * *

Od drzwi salonu Credit Union dzieliło mnie już najwyżej piętnaście kroków, kiedy podbiegli do mnie korpulentny mężczyzna i jego równie puszysta, piersiasta żona.

— Cześć, Larry — zaszczębiotali. — Możemy pstryknąć sobie z tobą fotkę?

Tego tylko brakowało, żebym został utrwalony na jakimś zdjęciu, ale nie mogłem wypaść z roli, jeśli chciałem uniknąć zdemaskowania. Bez entuzjazmu uniosłem swoje płucne kciuki na znak, że nie ma sprawy. Znaleźli szybko jakiegoś innego potencjalnego klienta, który zgodził się nacisnąć spust migawki, i wzięli mnie między siebie.

— To już dzisiaj nasze trzecie podejście — pozałił się mąż, kiedy było już po wszystkim. Zauważyłem, że ludzie w tych kolejkach rozmawiają ze sobą. Opowiadają sobie nawzajem, co im dolega, jakby to mogło w coś pomóc.

Myślał by kto. Ja mogłem tylko miotać się tam i z powrotem, odstawiając zasmucone płuco. Pantomima to niełatwa sztuka.

Kiedy pokiwał zapamiętałe głową, zafalowały mu trzy podbródki.

— Żonie szwankuje trzustka. Mówią, że rak. Rano staliśmy dwie godziny w kolejce do Kentona, ale odesłali nas stamtąd z kwitkiem. Od Gablemana też.

Są inni, miałem na końcu języka. Nie musieli jeszcze zwracać się do Union. Dostawcy, detaliści sprzedający swoje wyroby bez pośredników, są bardziej elastyczni w negocjowaniu stóp procentowych, a gdyby doszło do najgorszego, również w odraczaniu spłaty kolejnych rat kredytu, a więc tam trzeba w pierwszej kolejności szukać ratunku. Union to ostateczność.

— Dostaliśmy już za dużo odmów — zapiszczała kobieta, jakby czytając w moich myślach. — Jeszcze jedna i nikt nie będzie chciał z nami nawet rozmawiać.

Miała rację. Ilekroć producent albo instytucja kredytująca załatwia odmownie kandydata na klienta, informacja o tym trafia natychmiast do jego akt i jest rozgłaszana wszem wobec poprzez informacyjny eter. Nie miałem wątpliwości, że doradca z Credit Union, zajrzawszy do historii kredytowej tej pary, pokręciłby tylko głową i bez zastanowienia nacisnął na swojej klawiaturze klawisz ODMOWA. Mogliby próbować u innych kredytodawców, szukać innych sposobów uzyskania pożyczki, ale najprawdopodobniej bezskutecznie. I za kilka miesięcy byłoby po niej.

W rękach twych twe życie leży!

* * *

Właściwie to nie powinienem pokpiwać sobie z działów marketingu; przecież głównie dzięki nim kręci się cała gospodarka. Dotyczy to również branży sztuczorgowej, ale do ludzi nie dociera, że za kierownicą siedzą ci od marketingu, a technika naciska tylko bezmyślnie pedał gazu.

Korporacja Taihitsu uznaje, dajmy na to, że należy otworzyć nową linię produkcyjną sztucznych śledzion. Jest to decyzja odgórna, często podejmowana przez jakiegoś nowo mianowanego wiceprezja, który chce odcisnąć na firmie swoje piętno, zanim za

osiem miesięcy wyleci z korporacji — co niemal pewne — na zбитy pysk. Jeśli chodzi o oczekiwane zyski z włożonego kapitału, szefowie hollywoodzkich studiów pozostają daleko w tyle za kierownictwami firm ze sztuczorgowej branży.

Wchodzimy zatem w śledziony i informacja, że zapadła decyzja ich produkowania, trafia na początek do działu marketingu; jego pracowników nie interesuje, jak funkcjonuje ani z czego się składa ludzki organizm — od czego jest śledziona, jak i dlaczego działa, czy to możliwe, żeby ta śledziona sprawowała się lepiej — bo oni są od marketingu, a takie duperele ich nie interesują. Najpierw robią burzę mózgow, na której dyskutują, jaki wybór kolorów zaproponować klientowi albo czy nie wyposażyć tej nowej śledziony w dodatkową funkcję antyradar. W branży sztuczorgowej panuje silna konkurencja: jeden wytwórca dodaje do swojego produktu jakąś nową opcję, reszta idzie w jego ślady, a potem jeszcze wyżej podnosi poprzeczkę. Z tego co wiem, konkurencja jest zażarta i niezmiernie wyczerpująca, a więc ludzie od marketingu spożywają mnóstwo biznesowych lunchów i uczestniczą w niezliczonych konferencjach w nadmorskich kurortach.

Następnie przygotowywana jest kampania reklamowa skoncentrowana najczęściej na tych nowych opcjach konstrukcyjnych. Śledziona, na ten przykład, może dostać w telewizji pełny czas antenowy, niewykluczone nawet, że z wstawkami z jakiegoś filmu zawierającego sceny pościgu, zwłaszcza jeśli potrafi działać w trybie wykrywania radaru policyjnego. Reklamy zamieszczane są w prasie, wyklejane na billboardach, w telewizji pojawiają się spoty, no i rusza popyt.

Splývają zamówienia. Nikt nie chce już starej Śledziony Automatic; naturalnie, pomaga ona nadal organizmowi zwalczać

infekcje, ale co ci po śledzienie, z którą nie możesz gnać sobie spokojnie szosą dwieście na godzinę? Po jakimś czasie robi się run, tysiące potencjalnych klientów wyciągają pieniądze z lokat i wpłacają zaliczki, a co bogatsi biorą dwumiesięczne urlopy i wyjeżdżają na Fidżi, żeby tam, w sprzyjających okolicznościach, na łonie przyrody, przemyśleć spokojnie sprawę.

Na koniec marketingowcy udają się do biura konstrukcji medycznych firmy i mówią zatrudnionym tam inżynierom, że niech się wali i pali, mają skonstruować ten zaszrany organ w pięciu kolorach do wyboru na wzór tego z reklam zamieszczanych w popularnych magazynach. A najważniejsze, mówią im, żeby miał wbudowany wykrywacz radaru. Bo jak nie, to firma leży.

Inżynierom udaje się jakoś zaprojektować organ, który naprawdę działa, a do tego wyrabiają się z tym tuż przed szalem świątecznych zakupów. Teraz, dzięki firmie Taihitsu i jej cudownym osiągnięciom na polu śledzienia, każda zakaszlana babcia może kuśtykać ulicą bez obawy, że policja namierzy ją radarem.

Zanim jednak sztuczorg zostanie babci dostarczony i wszczepiony, musi przejść obróbkę w dziale zabezpieczeń firmy Taihitsu. Tutaj specjalnie przeszkoleni asystenci biowindyków, z pensją na poziomie płacy minimalnej, przyklejają do ramy urządzenia pasywny nadajnik, mikroskopijny chip nie większy od włoska na ich knykciu. Instalowany jest w nierzucającym się w oczy, mało widocznym miejscu, żeby nawet klient, któremu w jakiś sposób uda się zajrzeć do wnętrza swojego sztuczorga, nie mógł go wypatrzyć i usunąć.

I siedzi sobie tam, w nowej śledzienie babci, uśpiony, nieczynny, zadowolony, dopóki nie obudzi go jakiś przechodzący мимо biowindyk ze skanerem. Czytnik skanera wyświetla natychmiast

producenta sztuczorga, datę produkcji oraz firmę leasingowa. Jeśli rzeczony biowindyk nie ma zlecenia na windykację śledziona albo klient, na którego ma zlecenie, nie jest staruszką, przechodzi, uchylając kapelusza, i skanuje dalej, pewny, że wcześniej czy później wyłuska z tłumu swojego delikwenta.

Ale jeśli babcia nie płaci rachunków...

Dlatego właśnie bardzo rzadko opuszczam swoją mysia dziurę.

* * *

Po jeszcze dwunastu sesjach zdjęciowych, w tym po dwóch z próbami całowania dzieci przez pięć centymetrów sztucznego futra, dotarłem wreszcie do podwoi i wszedłem do jaskini lwa — pomieszczeń zajmowanych przez Credit Union. Tutaj mogło pójść na noże, i o mało nie poszło. Posłuchajcie zatem.

Rozglądałem się za plakatem z listem gończym. Ze swoim zdjęciem na nim. Może byłem trochę przewrażliwiony, zbyt megalomański, uważając się za personę na tyle ważną, żeby trafić na listę Stu Najbardziej Poszukiwanych przez Credit Union, ale coś mi mówiło, że oni chcą jak najszybciej dopaść swojego byłego pracownika. Już od trzech miesięcy udawało mi się wymykać z ich szponów, przelewać jak woda z ich zaciśniętych garści i utrzymywać przy życiu dłużej niż dziewięćdziesiąt dziewięć procent dłużników, a to musiało przyprawiać zwierzchność o palpitację.

Przez hol Union wiała się ścieżka wytyczona ciężkimi metalowym barierkami regulującymi ruch w stopniu, jakiego nie udawało się osiągnąć i utrzymać przed przesuwными drzwiami. Przypomniała mi się pewna wyprawa na Bliski Wschód, którą musiałem podjąć w pogoni za jakimś szejkiem przecherà, który zwiął z wartym sześćset patyków jelitem grubym sfinansowanym przez

Union. Na koniec gościu próbował mnie przekupić, obiecywał spłatę swoich długów i proponował mały dowód wdzięczności na boku, ale byłem wtedy w podłym nastroju, między jednym małżeństwem a drugim, wziąłem więc to, po co przybyłem, i zostawiłem go na zamiecionej, marmurowej posadzce sali balowej jego pałacu pośrodku pustyni.

Otóż do tego szejkanatu wiodła kręta szosa poprzecinana betonowymi progami w takich odstępach jeden od drugiego, że nie dało się przekroczyć granicy z szybkością większą niż szesnaście kilometrów na godzinę. A żeby żaden, choćby najmniej rozgarnięty turysta na wywczasach nie miał najmniejszych wątpliwości, przy progach tych stali żołnierze uzbrojeni w karabiny niewiadomego pochodzenia. Z tego co wiedziałem, jedno naciśnięcie na spust przerobiłoby mój wynajęty samochód w ser szwajcarski, jechałem więc przez całą drogę wolno jak leciwa damulka z Pasa-deny.

I mniej więcej tak samo czułem się tego poranka, uwięziony między tymi sięgającymi pasa barierkami, wzdłuż których przechadzali się goryle z Union, powarkując na klientów, żeby przygotowali dokumenty, zanim dotrą na czoło kolejki. Próbowałem przesmyknąć się do przodu, wymachując kończynami i wywijając płucne hołubce, jak to podpatrzyłem u prawdziwego Larry'ego. Gdybym nie wiedział, ile wokół mnie paralizatorów i pistoletów, czułbym się jak skończony kretyn. A tak byłem wielce rad z anonimowości, chociaż tak żalosnej.

Jak spotkam jeszcze kiedyś tego gówniarza od kostiumu płuca, obiecywałem sobie, to ręka noga mózg na ścianie. Widoczność na boki z tego czegoś była prawie żadna i po drodze przewróciłem chyba niejednego klienta. W pewnej chwili odbiłem się od barierki i wpadłem na coś twardego jak ściana — tylko że to coś miało

łapy jak bochny i bicepsy zapaśnika.

— Nie pętaj się, kurwa, pod nogami — wywarczało to coś i zanim jeszcze odgarnąłem wiechcie włosów z otworów na oczy, wiedziałem, że popełniłem wielki błąd.

Patrzyły na mnie paciorkowate ślipka Tony'ego Parka, a jego mamucie czoło napierało z pasją na materiał kostiumu, zupełnie jakby zamierzał się tam do mnie wcisnąć.

— Bardzo pana przepraszam — zapiałem, udając mutację.

Tony nie odpuszczał. Jeszcze mocniej docisnął czoło do mojej przebranej głowy. Cuchnął jak gnijący wodorost.

— Jak nie po to masz gały, żeby patrzyały, to ci je zara, kurwa, wydłubię.

Pokazałem mu uniesione kciuki wielkich białych rękawic, które miałem na rękach. Tak na zgodę. I oddaliłem się najsprawniej, jak umiałem. Czulem na sobie spojrzenie Tony'ego wwiercające się w moją potylicę... płuco... potylicę płuca, ale nie zatrzymywałem się ani nawet nie oglądałem. Po co dawać mu pretekst do dalszego napastowania. Nie, nie miałbym nic przeciwko skasowaniu tego tępaka; w pełni zasługuje na kulkę. Ale szkoda marnować pocisków, które mogą się okazać bardziej potrzebne.

W połowie kolejki barierka stykała się prawie ze lśniącą marmurową ścianą i mogłem przestudiować z bliska wywieszoną tam literaturę. Głównie były to aktualne reklamy zachęcające klientów do rozstania się z większością swych organów na rzecz tych nowocześniejszych i bardziej niezawodnych. „Nie dopinasz już paska na tę dziurkę, co w podstawówce? — pytała jedna piwnożółtymi literami. — Spraw sobie już dziś nową wątrobę firmy Taihitsu!”.

Dopiero dalej, za reklamami i zawołowanymi pogrózkami, wisiało główne danie tej ściany — zdjęcia ponurych facjat Stu

Najbardziej Poszukiwanych. Każdy poster miał standardowy format jedenaście na szesnaście i nie dość, że był kolorowy oraz zawierał podstawowy rysopis dłużnika, to jeszcze na przymocowanych poniżej tabliczkach informacyjnych podawano jego ostatni znany adres, numer telefonu, numery kart kredytowych, stan zdrowia, nawyki higieniczne i rozmiar obuwia, jak również informacje o bliskich znajomych i krewnych. Union nie zna pojęcia prywatności; w formularzach, które dają człowiekowi do podpisania w trzech egzemplarzach, stoi to czarno na białym.

Jeden w drugiego sami naiwniacy. Dziesięć na dziesięć zdjęć, istna galeria frajerów własnego chowu. Gęby prawników, cieśli, dentystów. Ojcowie, bracia, co za różnica. Z pewnym zaskoczeniem stwierdziłem, że tę listę otwiera kobieta, że jakaś blondynka zadarła z Union na tyle, by znaleźć się na tej czołowej strasznej pozycji, ale moją uwagę szybko odciągnęła inna fizjonomia.

W drugiej kolumnie od lewej, poster niżej, znajoma twarz, znajomy sardoniczny uśmiezek i, do kurwy nędzy, te oczy, które przed laty były moje i tylko moje. Zdjęcie skopiowano z mojej oryginalnej legitymacji pracownika Union; aż się we mnie zagościło, kiedy zdałem sobie sprawę, że te sukinsyny wykorzystały przeciwko mnie element mojej poprzedniej tożsamości.

Jestem dwunasty na liście najbardziej poszukiwanych dłużników Union. No, nie w kij dmuchał.

* * *

Naturalnie, figurowałem wcześniej na listach Union, ale tylko po drugiej stronie tej cienkiej czerwonej linii. Kiedy moją żoną była Melinda, wyróżniono mnie dwukrotnie nagrodą dla Najlepszego Pracownika Miesiąca. Był to dla Union okres wielkiej

prosperity — zysk potrojony, koszty jego uzyskania dwa razy mniejsze.

Zazwyczaj odzyskiwałem dwa do trzech sztuczorgów tygodniowo; w tamtych mlekiem i miodem płynących czasach zdarzało mi się dwukrotnie przekraczać tę normę i noc w noc wyruszać na łowy. Moje zużycie eteru tak poszybowało, że diler zaczął mnie podejrzewać o uzależnienie się od tego świństwa. Trwało to jakieś dwa, może trzy miesiące. Zlecenia spływały wartkim strumieniem, a ja realizowałem je w pocie czoła, jak na profesjonalistę przystało, odzyskując czasami nawet do czterech sztuczorgów w jeden wieczór. W rezultacie przydzielono mi służbowe miejsce parkingowe.

Melinda nie pojawiła się na żadnej z dwóch ceremonii wręczenia mi nagrody. Gdy wracałem z nich do domu, nie dostawałem nawet obiadu. Zawisać to jednak coś paskudnego.

* * *

Wzdrygnąłem się na widok własnej twarzy. Nie musiałem czytać tego, co wydrukowano maczkiem u dołu posteru. Moja pozycja na liście nie pozostawiała wątpliwości, że zlecenie na mnie dostał ktoś z Kategorią Piątą. Nie tak dawno sam chętnie brałem takie fuchy. Union chciało mnie dopaść za wszelką cenę; zdałem sobie w tym momencie sprawę, jakie mam szczęście, że jeszcze żyję, i że jak mi się nie śpieszy do rozstania z tym światem, to lepiej więcej nie ryzykować tak głupio jak dziś.

Ale w tej chwili znajdowałem się na terytorium Union, w samym Union. A na terytorium Credit Union trzeba się wystrzegać wszelkich nietypowych zachowań, bo natychmiast ściągniesz na siebie uwagę. Zlekceważenie tej zasady to jak skok z tonącego *Titanica*: raz kozie śmierć. Większość ludzi, których od zgonu może uratować jakaś nawet niewielka odnowa biologiczna,

walczy zazwyczaj o siebie do upadłego, na nic się nie oglądając, i ja również, chociaż przebrany za płuco, postanowiłem wziąć z nich przykład. Przedstanę się na czoło kolejki, pomacham ochroniarzom, sprzedawcom i wszystkim windykom, których ewentualnie po drodze napotkam, po czym wybiegnę przez tylne wyjście i hajda do siebie, na stare dobre śmieci.

Od czoła kolejki dzieliło mnie może z dziesięć susów, kiedy włączył się alarm i do poczekalni wpadła zgraja rosłych drabów z karabinami. Chyba z szesnastu ich było; na oko, bo nie liczyłem.

* * *

Z powodu swojej profesji dosyć często ocieram się o śmierć i chociaż daleko mi do Kuby Rozpruwacza, to jednak mamy ze sobą sporo wspólnego. A więc to nie lufy kilkunastu wycelowanych we mnie karabinów ani widok spoconych napakowanych ochroniarzy przeskakujących przez poręcze i barierki niczym światowej klasy płotkarze sprawiły, że tętno mi podskoczyło. Zbulwersowało mnie zachowanie tłumu, sposób, w jaki moi potencjalni towarzysze niedoli zareagowali na tę nieliczną w zasadzie armię przypuszczającą na nich szturm.

Otóż w ogóle nie zareagowali. Nie było żadnego krzyka głów w ramiona, zasłaniania rękami twarzy, żadnego padania na ziemię ani skamlania o litość. Myślałem, że parę osób przynajmniej krzyknie, że jakaś matka ze szlochom osłoni własnym ciałem niemowlaka, co byłoby w tych okolicznościach całkiem normalnym odruchem bezwarunkowym. Ale nic z tych rzeczy. Krzyki i płacz, owszem, było słyhać, lecz dolatywały zza zamkniętych drzwi głównej Sali Kredytowej w głębi poczekalni, co było na porządku dziennym. Tutaj panowały względna cisza, atmosfera

rezygnacji i osowiałości — i głównie to napełniało mnie zgrozą. Nawet durne owce uciekają na widok wilków przesadzających ogrodzenie.

* * *

Mausera miałem zatkniętego za spodnie. Tkwił tam przyciśnięty do mojego biednego zapadniętego brzucha wysłużonym paskiem, który sprytnie podprowadziłem z jakiejś wyprzedaży garażowej. Kiedy ochroniarze z palcami na cynglach uniesionych nad głowę karabinów przeskakiwali z pochrząkiwaniem przez barierki, wyciągnąłem błyskawicznie prawą rękę z lateksowego rękawa, namacałem kolbę pistoletu i z lubością zacisnąłem dłoń na uspokajająco znajomym kształcie. Wepchnąłem rękę z pistoletem z powrotem do dyndającego rękawa płuca, wprowadzając lufę w palec rękawicy. Z zewnątrz wyglądało to pewnie tak, jakby Larry Płucko pozdrawiał kogoś wesoło uniesionym kciukiem. Ale kiedy po naszej stronie barierki wylądował drugi z goryli Credit Union, mój palec spoczywał już na spuście, gotowy go nacisnąć.

Jeszcze kilka milisekund trwało szacowanie szans. Szesnastu ochroniarzy, jedenastu już po tej stronie barierki, pięciu nadbiegających, za nimi kolejnych pięciu wpadających do poczekalni z bronią, która siłą rażenia przewyższa w przybliżeniu trzykrotnie moją żalospną pukawkę. Wokół siebie mam, lekko licząc, z dziewięćdziesięciu petentów, z których każdy może mi w razie czego posłużyć za żywą tarczę. Poza tym żadnej solidnej naturalnej osłony, bo trudno za taką uważać te metalowe barierki. Schudłem ostatnio porządnie na śmieciowej diecie, ale nawet gdybym popadł w anoreksję, to nie ma takiej poręczy, za którą mógłbym skryć choćby co żywotniejsze części mojego nieszczęsnego tyłka.

Ewentualny plan ewakuacji: Strzelam w ten czujnik ochrony przeciwpożarowej pięć metrów przede mną. Następuje zwarcie, włączają się zraszacze. Chwytam stojącego przede mną delikwenta, odwracam go tak, żeby przyjmował na swoje plecy przeznaczone dla mnie pociski. Przesuwając się w kierunku wyjścia, odrzucam w końcu od siebie bezwładne, prawdopodobnie zakrwawione zwłoki w kierunku najbliższej falangi atakujących, no i jeszcze raz to samo. Biegnę tak zakosami przez poczekalnię jak rekrut podczas manewrów na poligonie, kryjąc się za plecami cywili i od czasu do czasu strzelając na oślep do wrogów w nadziei, że uda mi się trafić kogoś między oczy. Wypadam na korytarze Mallu i wywołuję tam panikę kilkoma celnymi strzałami z mausera. Korzystając z powstałego zamieszania, zdzieram z siebie kostium płuca, wtapiam się w tłum, wybiegam z rozpiszczaną, tratującą się tłuszcza z Mallu i znikam w labiryncie anonimowych uliczek i zaułków miasta, by schronić się znowu w swoim opuszczonym hotelu.

Prawdopodobieństwo, że ten plan się powiedzie — jeden do miliona.

Prawdopodobieństwo, że za dziesięć minut będą mnie stąd wynosić w plastikowym worku na zwłoki — pewne na mur beton.

* * *

A oto, co sierżant Ignakowski zwykł opowiadać o murowanym pewniaku.

Pewien wielki hazardzista ma jednej nocy taki sen: Idzie sobie przez las, rozmyślając o swojej życiowej pasji, o konikach, a tu naraz z krzaków wyskakuje puchaty króliczek, marszczy śmieszny różowy nosek i mówi „Pięć!”. Parę kroków dalej facetowi wskakuje na ramię wiewiórka i szeptem do ucha „Pięć!”. Trochę dalej gość

natyka się na drzewo. Jakieś takie zdeformowane, zmutowane, pień dziwacznie powyginany. Przystaje, patrzy i co widzi? Że ten pień powygiął się po prostu w piątkę. Chmurki na niebie rozdymają się i kurczą, tworząc piątki, pięćdziesiątki i pięćsetpięćdziesiątki, a zaraz potem zaczyna śpiewać ptactwo i odzywa się leśna zwierzyna, i wszystko co żywe wokół skanduje pięć, pięć, pięć, pięć, pięć.

Facet budzi się zły potem, siada na łóżku. Pierwsza jego myśl to: „muszę na wyścigi”. Leci się odlać, narzuca na siebie, co mu wpadnie pod rękę, wskakuje do samochodu i w pięć minut pokonuje tych osiem kilometrów, które dzielą go od toru wyścigów konnych. Wbiegając, chwyta w przelocie ze stelażu program i otwiera go na gonitwie numer pięć. Jest, pięciolatek, biegnie w piątej gonitwie, startuje z piątego boksu, pochodzi z pięciopokoleniowej rodziny koni wyścigowych i, nomen omen, nazywa się Piątaszek. Gościu bez zastanowienia gna do piątego rzędu kas, ustawia się przed piątą i stawia prawie wszystkie oszczędności życia — pięćdziesiąt pięć tysięcy pięćset pięćdziesiąt pięć dolarów — na Piątaszka, murowanego pewniaka w piątej gonitwie.

I co? Koń przybiega na metę piąty.

* * *

Właśnie dlatego nigdy nie zakładam z góry, że coś jest absolutnie pewne, i zawsze myślę perspektywicznie. W takim podejściu nie ma miejsca na stany depresyjne. Nawet jeśli polegniesz, to przynajmniej w walce.

* * *

Ale kiedy nastawiony już wewnętrznie na zimny prysznic, który po moim celnym strzale lunie z podsufitowych zraszaczy,

kładłem palec na spuście mausera, jakiś facet z kolejki obok postanowił wyręczyć mnie w wywołaniu zadymy.

— Czy to kolejka do zwrotów? — spytał drżącym ze strachu głosem. — Proszę mi powiedzieć, gdzie tu jest kolejka do zwrotów.

Był w średnim wieku, siwiał na skroniach i miał lekko schrypnięty głos, ale poza tym wyglądał na okaz zdrowia. Ruszył do przodu, odpychając stojących mu na drodze ludzi. Klienci Credit Union ochoczo robili czubkowi przejście, rozstępując się przed nim jak Morze Czerwone, odskakując na boki, by uniknąć zabłąkanej kulki podczas strzelaniny, jaka się tu ani chybi zaraz rozpełta.

— Proszę mi pokazać kolejkę do zwrotów. Próbuję oszczędzić fatygi.

Wsunąłem niepostrzeżenie mausera z powrotem za pasek spodni i z resztą tłumu cofnąłem się pod ścianę, wystawiając gorzom ofiarę na cel. Co tam wiek, facetowi biła ostatnia godzina.

— Bo ja... ja chcę to zwrócić... — wyjąkał, potykając się o własne nogi, otaczany przez strażników. — Przyszedłem tutaj... zna czy się, zalegam z paroma ratami i pomyślałem sobie, że lepiej będzie samemu się zgłosić, niż czekać, aż panowie do mnie przyjdą... i ułożyć się... ułożyć jakiś plan albo co...

Ale ochroniarze, którym podczas szkolenia wbijano do głowy, żeby na terytorium Credit Union nie wdawali się w żadne targi, zbliżali się dalej do niego z gotowymi do strzału karabinami. Jeden wzywał przez telefon niezbędne posiłki i wsparcie.

— Mamy go — meldował. — Jest w poczekalni. Fest ten detektor. Prześlijcie tu na dół kogoś z Trzecią Kategorią.

Kiedy przeniosłem znowu wzrok na byłego-wkrótce-klienta,

ten właśnie się rozbierał. Sportowa granatowa kurtka leżała już na podłodze, on zaś jedną z trzęsących się ze zdenerwowania rąk rozpinął spodnie, a drugą gmerał przy guzikach koszuli z nakrochmalonym kołnierzykiem.

— Nie chcę utrudniać — paplał dalej. — Wiem, jakie to trudne... tyłu dłużników... wiem, jak trudno dzisiaj o marzę od zysku...

Dowódca ochroniarzy podszedł do klienta z zarepetowanym karabinem i wolną ręką wyciągniętą na znak, że rozumie, że zaraz mu pomoże.

— Niech się pan uspokoi — powiedział. — Nikt tu nie chce pana skrzywdzić.

Ale nawet jeśli nie kłamał i w całkiem szczerym uśmiechu szczyrzył ten garnitur sztucznych porcelanowych ząbków, nawet jeśli kazano mu przysiąc, że nie tknie klienta palcem, ten ostatni tak się już sam nakręcił, że o powrocie do opamiętania nie było mowy.

— Wiem, ile musicie płacić tym... tym biowindykom — wykrztusił. — No to sobie pomyślałem, że panów wyręcę... no wiecie, może byście wtedy mogli mnie potraktować ulgowo...

— Niech pan przestanie...

— Może, może gdybym to zrobił za was... — Ściągnął spodnie, omal się nie przewrócił na wznak, uwalniając nogę z drugiej wełnianej nogawki, i wtedy w blasku halogenowych jupiterków załśniło srebrzyście coś, co trzymał w ręku. — Może wtedy dalibyście mi spokój.

Zanim huknęły karabiny, zanim tłum rozpierzchł się z piskiem na wszystkie strony, zanim naprawdę popłynęła krew, zdążyłem jeszcze zarejestrować trzy akty dramatu.

Uniesiony w górę nóż przeciął z błyskiem powietrze, ostrze weszło w ciało. Klient wbił go sobie po rękojęść w brzuch, tuż pod żołądkiem. Trysnęła krew, jej gęsta rzeka lunęła na posadzkę

karmazynowym wodospadem. Ochroniarze, gotowi już strzelać, a dopiero potem zadawać pytania, odskoczyli i patrzyli z niedowierzaniem.

Mężczyzna postękiwał cicho, wiercąc na oślep nożem we własnych trzewiach i pewnie rozcinając sobie przy tym żołądek. Anatomia nie była widać jego najmocniejszą stroną, co tu więc mówić o precyzji. Tłum zaszemrał, ale chyba bardziej powodowany niezdrową fascynacją niż obrzydzeniem; zauważyłem kilkoro rodziców, którzy zasłaniali oczy swoim dzieciom, ale większość gapiała się z zainteresowaniem.

Mężczyzna zrobił krok w tył, a właściwie zatoczył się lekko jak pijany, i uniósł nad głowę lewą rękę. W tej nie miał nic. Ta ręka opadła szerokim łukiem z impetem topora i dłoń zagłębiła się w otwartej przed chwilą, broczącej krwią jamie brzusznej. Facet znowu stęknął, potem zwymiotował, ale nie przerywał. Odstawiając w poczekalni Credit Union taniec śmierci na rozdygotanych nogach, dysząc ciężko, namacał to, czego tam szukał, uchwycił, mocno uchwycił. A potem, mobilizując chyba resztki sił i woli, szarpnął.

I kiedy zatoczył się w przód — trzymając w zakrwawionych, wyciągniętych przed siebie, rękach tykającą mechaniczną W Pełni Funkcjonalną Trzustkę Z Automatyczną Kontrolą Poziomu Żółci model PK-14 firmy Marshodyne, od której odchodziły tytanowe przewody łączące ją nadal z poprzerwanymi żyłami i tętnicami — ochroniarze zachowujący względny spokój, dopóki ten człowiek wymachiwał tylko dwudziestocentymetrowym nożem myśliwskim, na widok sztuczorga, którego na sekundy przed śmiercią z własnej woli gościu zwracał, stracili zimną krew i otworzyli ogień.

Szesnaście karabinów wypaliło jednocześnie.

* * *

Kiedy było już po wszystkim, tłum rzucił się w panice ku drzewom, w ruch poszły łokcie i kolana, byle jak najdalej od tej jatki. Credit Union nie ma żadnych przepisów na pacyfikowanie podobnych sytuacji w swoich placówkach; personel jest wręcz instruowany, żeby nie reagował, tylko czekał, aż wszystko się samo wyklaruje. A jak kilku klientów zostanie stratowanych, to firma tylko na tym zyska, bo stworzy to popyt na nowe sztuczorgi. To nie przypadek, że przed kilku laty Union, nie licząc się z kosztami, lobbowała za rozszerzeniem granic wolności słowa i zgromadzeń gwarantowanych przez Pierwszą Poprawkę o działania i wypowiedzi mogące skutkować wzniesieniem paniki w miejscach publicznych.

Korzystając z okazji, ewakuowałem się wmieszany w to stado baranów, ale zanim dotarłem do wyjścia, zobaczyłem Franka schodzącego z góry w towarzystwie biowindyka Trzeciej Kategorii, tak jak sobie tego tu na dole zażyczono. Był w czarnym podkoszulku bez rękawów, a na odsłoniętej szyi widniał tatuaż Union informujący o jego zawodzie i randze. Włosy przystrzyżone po wojskowemu, na zapalce, bicepsy jak się patrzy, wypraktykowany mars na twarzy jak z kamienia. Małe, szeroko rozstawione oczka, złamany nos. Dawniej był zwyczajnym żulem. Na obecnym rynku pracy Kategoria Trzecia jest na wagę złota, sam Midas się chowa. Ja miałem, co prawda, Kategorię Piątą, ale to nie była pora na licytowanie się rangami.

Biowindyk wypikał skanerem martwego już klienta i stwierdził, że jego sztuczorg faktycznie był własnością Union. Frank stał obok i patrzył na podziurawione kulami rozciągnięte na posadzce zwłoki, trzymające w wyciągniętej ręce tykającą wciąż Marshodyne PK-14. Nagle odwrócił się do zbitych w gromadkę ochroniarzy, twarz wykrzywiała mu wściekłość.

— Kto go, kurwa, wypatroszył? — ryknął.

— Klient sam to sobie zrobił, proszę pana — wydukał jeden z nich. — Jak babcię kocham.

— Klienci nie zwracają z własnej woli wszczepionych im organów — zachnął się Frank.

— Ten zwrócił, proszę pana. — Ochroniarz pokazał lufą karabinu nóż myśliwski w dłoni nieboszczyka. Niech fakty mówią same za siebie.

Wylewałem się właśnie z tłumem za próg placówki Credit Union, ale zanim znalazłem się na zewnątrz, usłyszałem jeszcze, jak Frank wywarkuje:

— Zastrani klienci. We łbach im się już dokumentnie poprzewracało.

Rozdział 6

Parę słów o moim aktualnym miejscu pobytu. Ritz to to nie jest.

A ściśle rzecz biorąc, pomieszkuję w wypalonej skorupie Tyler Street Hotel. Dawniej, przed pożarem, był to podrzędny, bezgwiazdkowy hotel bez podstawowych wygód, który nie mógł się poszczycić ani jednym gościem z szeroko pojętego świecznika. Jest tu hol z zepsutym żyrandolem, rozchwierutane schody wiodące do osmalonych korytarzy i sześć łazienek na dwadzieścia cztery tak zwane apartamenty, z czego obecnie tylko dwa nadają się jako tako do użytku. Reklamowano go niegdyś jako hotel „w europejskim stylu”, co w zasadzie oznaczało, że był tani jak barszcz. Żaden ze znanych mi rodowitych Europejczyków nie zagrałby tu miejsca dłużej, niż zajmuje zatkanie nosa i ucieczka na parkingu ze spękanym asfaltem.

Na parterze znajduje się długa, wąska sala o ścianach oblepionych popiołem, a nadpalone belki stropowe nasuwają przypuszczenie, że kiedyś mieściła się tu chyba kawiarnia, jednak zniszczenia poczynione przez ogień są takie, że można się tego tylko domyślać. Tyler Street Hotel miał kiedyś czternaście pięter, z tym że trzynaste nazywano czternastym, a czternaste penthouse'em,

a zatem fakt, że mieszkam teraz na piętrze szóstym, znaczy tyle, że mam ze swoich okien widok na ceglana ścianę sąsiedniego wieżowca.

Mój pokój ma siedem metrów kwadratowych z hakiem, jest więc gdzie pospacerować, posiedzieć w kucki, jest miejsce na codzienną poranną porcję pompek, przysiadów i skłonów, jest też przytulny kącik do spania. Ściany, kiedyś pomarańczowe i beżowe, są teraz okopcone, ale gdzieniegdzie prześwitują plamki pierwotnego koloru, co przychodzi na myśl skórę przerośniętego geparda.

Swój arsenał, nie zastanawiając się wiele, ukryłem w tym, co się ostało z korytarzowej szafy, pod parciejącą plandeką, którą znalazłem w śmieciach na tyłach sklepu sportowego przy ulicy Savoie. Broń palną przykryłem podwójną warstwą materiału, jakby mogło jej to zapewnić dodatkowe zabezpieczenie, ale kiedy nie ma innego wyjścia, dobre i takie.

Ta sama plandeka, pod którą trzymam środki samoobrony, służy mi również do ochrony przed żywiołami. Jest moim materacem, pledem, moją poduszką i czasami, późno w nocy, wyobrażam sobie nawet, że śpię nie na twardej, zimnej podłodze opuszczonego hotelu, lecz spędzam noc w pozbawionym, co prawda, wygod, ale dobrze utrzymanym pensjonacie. Moją podręczną bronią jest kusza; bywają noce, kiedy przytulam ją do piersi i kołyszę drewnianą kolbę jak dziecko.

A ta maszyna do pisania, której choćby teraz używam, nie stoi już pośrodku pokoju, bo tam podłoga przegniła i chcąc nie chcąc, musiałem ją ździebko przesunąć w obawie, że wrócę kiedyś do hotelu z którejś z moich eskapad i znajdę biedaczkę trzy piętra niżej rozwaloną w drobny mak. Ale stoi na tyle blisko środka, że względna odległość od ścian powinna mi zapewniać jakąś tam izolację akustyczną od świata zewnętrznego, kiedy wystukuję te słowa.

Ale do czego zmierzam: Jak już wspomniałem, Tyler Street Hotel to wypalona, zapomniana, pusta skorupa budynku, której jedynym mieszkańcem jestem ja ze swoimi grzechami. Hol ziele pustką, pokoje również, winda dawno się rozbiła, spadając na dno szybu. Tyler Street Hotel jest mój i tylko mój.

Tak przynajmniej myślałem aż do tego wieczoru.

* * *

Wracałem z Mallu, klucząc, żeby zgubić ewentualny ogon, który mogłem podłapać, opuszczając w pośpiechu placówkę Credit Union. Było mało prawdopodobne, że ktoś mnie śledzi — większość biowindyków po namierzeniu klienta nie czeka z windykacją, aż ten schroni się we względnym zaciszu swojego domostwa; załatwiają sprawę z marszu, w najbliższym ciemnym zaułku. Czyli sam fakt, że po przebyciu pierwszych stu metrów mam nadal na miejscu wszystkie swoje podstawowe organy — sztuczorgi i te naturalne — i żyję, był dobrym znakiem.

Ale nie usypiało to bynajmniej mojej czujności. Dalej lawirowałem ulicami, kryjąc się pod samochodami na niestrzeżonych parkingach albo schodząc do kanałów, ilekroć mignął mi przed oczami przedstawiciel prawa. Granatowi nie mają jakichś szczególnych układów z Credit Union, ale podobnie jak cała reszta społeczeństwa dostają dołą za wskazanie sztuczorgowego dłużnika, toteż lepiej omijać ich szerokim łukiem.

Do Tyler Street dobiełem na krótko przed północą tak skonany, że nie wszedłem do środka tą drogą co zwykle. Mięśnie mi zupełnie sflaczały, nie dałbym rady podskoczyć do drabinki przeciwpożarowej na ścianie od tyłu, wdrapać się po niej do wybitego okna na trzecim piętrze, a stamtąd jeszcze schodami do pokoju 618. Postąpiłem więc tak, jak postąpiłby każdy pewny siebie biowindyk

na tropie — jak gdyby nigdy nic wszedłem do budynku frontowymi drzwiami.

A co mi tam, nic przecież nie wskazywało, żebym był śledzony. Nie ma się więc co dziwić, że dopiero po dziesięciu minutach zauważyłem arkusz papieru sterczący z mojej maszyny do pisania, arkusz, który z całą pewnością nie ja w nią wkręciłem.

Moje mechaniczne serce dostało od reszty organizmu sygnał nakazujący mu szybsze pompowanie krwi. Podszedłem i stwierdziłem, że nie jest to zwyczajna, czysta kartka przygotowana do zadrukowania. Było na niej coś napisane, ale nie maszynową czcionką underwooda, lecz odręcznie, czerwonym długopisem. Obróciłem się na pięcie, nogi się pode mną ugięły, widziałem wszystko jak na spowolnionym filmie, kamera w mojej głowie gorączkowo rejestrowała otoczenie, a ja skupiłem wzrok na kartce i skreślonych na niej pośpiesznie, dopiero co, słowach.

Najlepiej będzie, jak dołączę ją od razu, w oryginale, do maszynopisu. A oto, co przeczytałem:

Siedź cicho.

Niezbity fakt, że zostałem wytropiony, że już nie jestem tu sam, nie wstrząsnął mną aż tak, jak się tego spodziewałem; być może podniosła mnie na duchu świadomość, że mam towarzysza, nieważne, że na razie anonimowego i nakazującego mi bez przebierania w słowach zachowanie ciszy. To raczej nie biowindyk; oni rzadko kiedy zostawiają liściki, a jeśli już, to ze związłymi informacjami adresowanymi do najbliższej rodziny. Naturalnie, nie przejąłem się tym nieuprzejmie sformułowanym żądaniem do tego stopnia, żeby się do niego zastosować i skończyć z hałasowaniem. Jeśli stukot maszyny do pisania przeszkadza mojemu hotelowemu współlokatorowi czy może współlokatorce, to niech osoba

poszuka sobie innego pustostanu i tam się zadekuję. Zresztą może bym nawet posłuchał, ale wkurwiło mnie to obcesowe polecenie, i teraz będę walił ile wlezie w klawiaturę przez całą noc, a przynajmniej dopóki palce mnie nie rozbolą i nie zdrętwieją nadgarstki. Zawsze miałem awersję do wykonywania rozkazów, zwłaszcza wydawanych tak apodyktycznym tonem.

* * *

Pierwsza noc za oceanem. Wysiedliśmy z Haroldem Hennesonem we Włoszech z samolotu transportowego i z workami marynarskimi przewieszonymi przez ramię zaczęliśmy się przedzierać przez kohorty takich jak my kotów w poszukiwaniu najbliższego środka transportu lądowego. Lecąc tutaj, wyobrażałem sobie, że na lotnisku witać nas będzie delegacja ślicznotek z kwiatami, całusami i kluczami do pokoi hotelowych. Ale te moje fantazje rozwiały się z chwilą, kiedy opadła klapa z tyłu samolotu i do otwartej ładowni wdarła się lawina władczych, zdecydowanie męskich powrzaskiwań. W powietrzu, z szybkością dźwięku, latały rozkazy, a ja nie wiedziałem, które są skierowane do mnie, które do Harolda, a które do tamtych poborowych, którzy w kilku grupach biegali w kółko po płycie lotniska, chyba w ramach musztry. Zanim się zorientowałem, gdzie moje miejsce, zdążyłem już pokłusować w nogę z trzema różnymi plutonami i wyrzyczyć z każdym na całe gardło po dwie zwrotki piosenki *Do boju*.

W końcu jakiś porucznik przyuważył, że ja nie z tej prywatki, kazał mi wypierdalać w te pędy z lotniska i nie zatrzymywać się, dopóki nie znajdę plutonu, do którego jestem przydzielony. Kiedy jednak wybiegałem przez bramę i widziałem już z daleka swoich towarzyszy broni siedzących równymi rządkiem na odkrytych pakach kolumny podstawionych ciężarówek, drogę zastąpiła mi

młoda, kruczowłosa włoska piękność. Zatrzymałem się z poślizgiem, żeby się z nią nie zderzyć. Piersi nie miała przesadnie dużych, ale tak wypychały bluzkę, że nogi się pode mną ugięły, zapomniałem o Stanach Zjednoczonych, o ich siłach zbrojnych oraz o wszelkich zasadach seksualnej wstrzemięźliwości.

— Żołnierzyku — wymruczała, cyzelując każdą literę pełnymi, zmysłowymi wargami. — Przyjechałeś oddać za mnie życie. — Z tymi słowy przypadła do mnie i obejmując mocno w pasie, wsunęła język w usta aż po same migdałki.

Do dzisiaj nie wiem, co we mnie wstąpiło. Może chciałem sobie powetować brak tej wymarzonej delegacji ślicznotek na lotnisku, może zatęskniłem za Beth, może zapragnąłem zrobić na tej kobiecie wrażenie swoją męskością, czy też po prostu jako zdrowy, jurny młodzian nie potrafiłem w zaistniałej sytuacji pozostać obojętny, w każdym razie przyssałem się z całym przekonaniem do tych warg i do ciała, wprawiając swoje usta i język w szczękową cza-czę, która w kraju kosztowałaby mnie dożywotni zakaz wstępu do gabinetów całowania we wszystkich lunaparkach w całym okręgu.

Jedno wiem na pewno — ta kurwa rąbnęła mi portfel.

* * *

— Na te Cyganichy — fuknął Harold, kiedy wieczorem rozpakowywaliśmy swoje worki — to trzeba bardzo uważać. Zwężdzą wszystko, co nieprzybite gwoździem.

— Nie wyglądała na taką — mruknąłem.

— Wyglądała, nie wyglądała, grunt, że ma teraz w kieszeni pięćdziesiąt dolców więcej.

Dobytek Harolda składał się głównie z suplementów diety. Były tam puszki z proszkiem proteinowym, słoiki ze specjalnymi enzymami oraz batoniki energetyzujące w pięciu różnych

smakach wiórów z tartaku. Rozmawiając ze mną, wyjmował te suplementy jeden po drugim i ustawiał w rzędkie w nogach swojej pryczy.

— Piechota morska nakarmi cię do syta — zauważyłem. — Nie musisz tym dopychać.

Odpowiedź była typowa dla Harolda.

— Piechota morska karmi nieźle — odparł. — Tyle że to dobre dla tych, co nie mają większych ambicji.

— A ty masz? — spytałem. — Jakie?

— Ja nie chcę być byle jakim piechociarzem morskim — powiedział. — Ja chcę być piechociarzem morskim z prawdziwego zdarzenia.

Jak już wspominałem, skończy wkrótce jako mokra czerwona plama wsiąkająca w piasek pustyni. Biedny Harold — na pewno byłby rad, gdyby wydzieliny z jego rozkładających się zwłok użyźniły przynajmniej glebę pod paroma kaktusami, ale na skutek wybuchu czołgu sfajczyła się cała zieleń w promieniu wielu metrów.

* * *

Tak czy siak zdjęcie pstryknięte przez fotografa ze „Star and Stripes” trafiło na pierwsze strony gazet — *Trzy ofiary śmiertelne afrykańskich manewrów*, informował podpis pod nim, i jestem niemal pewny, że to rękaw mojego munduru, kiedy ocieram łzę z oka po stracie kumpla, majaczył na skraju kadru. Zdjęcie przedstawiało krąg spalonej ziemi, pośrodku którego piętrzył się bezkształtny stos pogiętego żelastwa. Na miejscu wypadku zebrała się grupa żołnierzy. Gapili się tępo na tę kupę złomu, popatrywali ukradkiem po sobie i wzruszali ramionami.

* * *

Ale wracajmy do Włoch. My z Jakiem kończyliśmy się rozpakowywać, a Harold spożywał swój pierwszy tego dnia sproszkowany posiłek. Mijała już trzecia, a my jeszcze nie widzieliśmy naszego bezpośredniego przełożonego — powiedziano nam, że jest w buszu i nie wróci przed zmrokiem.

W wyniku wielogodzinnej nieobecności sierżanta do zdyscyplinowanego plutonu kotów idących na wojnę wkradło się pewne rozprężenie. Przerzucaliśmy się kawałami, przygadywaliśmy jeden drugiemu.

Ron Toomey liczył sobie dziewiętnaście lat, pochodził z Wyoming i miał siostrę, która do złudzenia przypominała jednego z prezydentów wykutych w zboczu Mount Rushmore. Nie upodabniały jej jednak do tego pierwowzoru posągowe rysy, lecz zarost na twarzy.

Ojciec Billa Braxtona prowadził autokomis w Albuquerque i obiecał synowi, że jak tylko ten skończy szkołę średnią, to przekaże mu interes. Potem, że przekaże mu go, jak zaliczy czwarty rok college'u. Potem, jak dostanie dyplom ukończenia studiów. Potem, jak zrobi doktorat. I tak przedłużał sobie kierowanie dobrze prosperującą firmą dilerską. Kiedy podczas rodzinnego obiadu padła sugestia, żeby Bill poszedł do szkoły zarządzania, ten wstał bez słowa od stołu, wyszedł z jadalni, wyszedł z domu, wsiadł do ukochanej zabawki ojca, mustanga rocznik 1964, rozpedził się na głównej ulicy, rozbił z premedytacją wóz o słup telefoniczny, wysiadł spokojnie z dymiącego wraku, poszedł spacerkiem do lokalnego punktu werbunkowego piechoty morskiej i zaciągnął się. Miał trzydzieści cztery lata, prawie dwa razy tyle, co cała nasza reszta, a dopiero w marines zaczął zarabiać swoje pierwsze pieniądze.

Ben Rosner był mikrej postury, oszczędny w słowach, ale miał dziewczynę, ekspedientkę z domu towarowego, której zdjęcie pojawiło się na rozkładówce grudniowego numeru „Hootenanny

Hooter Review” i wywołało niemałe zgorszenie, bo pozwałała do niego bez niczego, jeśli nie liczyć czapki Świętego Mikołaja na głowie. Wspomniany wyżej dom towarowy zwolnił dziewczynę w trybie natychmiastowym i groził, że pozwie „Hootenanny” do sądu, ale w wyniku szumu, jaki powstał wokół całej tej afery, małej zaproponowano pełny etat fotomodelki w reklamach sekstelefonów. To ją sobie wyobrażaliście, kiedy po tamtej stronie linii starała się was doprowadzić do wytrysku jakaś sześćdziesięcotrzyletnia raszpla. Ben rozdawał nam fotki tej swojej wybranki serca z dumą świeżo upieczonego dziadka, który chwali się pierwszym nowo narodzonym wnukiem, a my braliśmy je i chowaliśmy do późniejszego wykorzystania. Wiedzieliśmy, że jak już nas wywiozą do tej Afryki, to długo, oj długo, nie będzie nam dane zawiesić oka na żadnej kobitce.

* * *

Wspominam od czasu do czasu Billa Praxtona, tego niedoszłego właściciela autokomisu, piechociarza morskiego z doktoratem — Doktorka Motorka, jak go czule przezywaliśmy — i rozmowy, jakie prowadziliśmy w koszarach po zgaszeniu światła. Spał dwie prycze pode mną i, przedzieleni chrapiącym Elianem Ortizem, Kolumbijczykiem z jakimiś poważnymi problemami z bezdechem, dyskutowaliśmy o kosmosie i o rozmiarach biustów rozmaitych celebrytek. Ale głównie o kosmosie.

Nie będę ukrywał, że Bill miał w tej dyskusji o wiele więcej do powiedzenia niż ja; facet, z racji wykształcenia, cholernie dużo wiedział i chociaż rozumiałem tylko połowę z tego, co mówił, a zapamiętałem o wiele mniej, to jednak od czasu do czasu coś tam do mnie docierało.

— Był kiedyś taki jeden uczonec — powiedział którejś nocy —

Niemiec albo Holender, nie pamiętam, i ten uczony zaproponował przeprowadzenie pewnego eksperymentu z kotem.

— I co to miał być za eksperyment? — spytałem. — Wypróbowanie na zwierzaku działania jakiegoś leku czy wycięcie mu czegoś?

— Nie — powiedział Bill — nic z tych rzeczy. To miał być taki eksperyment fizyczny. I on nigdy go nie przeprowadził; obmyślił tylko.

— I jaki z tego pożytek? — zapytałem.

— To fizyka teoretyczna. Niekoniecznie musi z niej być pożytek.

Z jednej strony zrobiło to na mnie wrażenie, z drugiej zbulwersowało.

— I ludzie biorą za takie coś pieniądze?

— Jeszcze jakie. W każdym razie ten człowiek powiedział tak: Wyobraźcie sobie, że bierzecie kota i wsadzacie go do pudła, a potem wkładacie tam takie coś, co się rozkłada i w nieregularnych odstępach czasu wydziela śmiertelnie trujący gaz. Przez połowę czasu trwania eksperymentu to coś się rozkłada i wydziela gaz, a przez drugą połowę nie rozkłada się i nie wydziela. Ale proces przebiega nieregularnie, a ponieważ pudło zostało zapieczętowane, nie wiadomo, czy trujący gaz został już wydzielony, czy jeszcze nie, a jeśli nie, to kiedy nastąpi jego wydzielenie. To oznacza, że naukowiec nie wie, czy kot w tym pudle jeszcze żyje, czy już zdechł.

— A miauczenie? Nie miauczy?

— Pudło jest dźwiękoszczelne. Grube ścianki. Żaden dźwięk się nie przedostanie. A ponieważ nie ma sposobu na stwierdzenie, czy kot jest żywy, czy martwy, to do momentu otwarcia pudła kot jest i taki, i taki.

— Znaczy jaki? — spytałem.

— I żywy, i martwy.

— W tym samym czasie? — spytałem z niedowierzaniem.

— Otóż to.

Rozwazałem to przez dobrą minutę, a może i dłużej. Ale żadnego sensu się nie dopatrzyłem. Jak coś może być równocześnie i żywe, i martwe?

— No nie, takiej ścierny to jeszcze nie słyszałem — orzekłem w końcu.

— Ha — mruknął Bill Braxton i zamilkł na dobre pięć minut.

Ale mnie nie dawało to spokoju. Coś mnie nurtowało.

— No to jak było z tym kotem? — spytałem wreszcie, przerywając milczenie.

Bill westchnął i usłyszałem, jak przekręca się na swojej pryczy na drugi bok. Stracił widać ochotę do edukowania takich, co nie przykładali się do nauki, kiedy był na to czas.

— Nie ma żadnego kota — powiedział. — I nigdy nie było. Dajmy już temu spokój. Śpij.

Od tamtej nocy minęło wiele lat, ale często wspominam Billa. I tę historię o kocie w pudle. I zastanawiam się, co mnie tak w niej intryguje, z czym mi się kojarzy? Czasami myślę sobie, że to ja byłem tą trucizną — wymierzałem sprawiedliwość taką, jaka wydawała mi się sprawiedliwa, zadawałem śmierć za pokwitowaniem. Kiedy indziej utożsamiam się z tym pudłem, które trzyma wszystko w kupie, bez którego nie byłoby eksperymentu.

Ale przeważnie — zwłaszcza ostatnio — wyobrażam sobie, że jestem kotem. Który drapie, miota się, miauczy, żeby go wypuścić. Wczuwam się w tę rolę do tego stopnia, że wylizuję sobie nawet łapki i zwijam się w kłębek, odpływając w rozkoszny senek.

* * *

Jake Freivald, który mieszkał w naszym baraku, opowiedział parę historyjek, którymi nie zdążył nas uraczyć na szkółce.

— Kiedyś, w Nowym Jorku — tak zawsze zaczynał, pewnie by zasugerować słuchaczom, że pochodzi z Manhattanu, a nie z jakiejś tam pipidowy na północnym wschodzie, gdzie jego rodzina prowadziła jedyną prywatną farmę mleczną, jaka się jeszcze ostała — buchnąłem dynię ze straganu jednego starego zgreda i oberwałem dwie kulki w plecy. Halloween za pasem, podbiegłem, złapałem tę dynię i w długą. Słyszę za sobą wrzaski, ale nie oglądam się, biegnę. I nagle bum, nic nie czuję, tylko plecy zaczynają mnie strasznie swędzieć, a zaraz potem szczypać... Ocknąłem się w szpitalu, dookoła łóżka wianuszek glin, i przez następne dziesięć godzin musiałem się im spowiadać.

— I co? — spytał Harold. — Co im powiedziałaś?

— Poszedłem w zaparte — odparł Jake. — Gdybym się przyznał, że zwędziłem tę dynię, poklepaliby tylko tego faceta po plecach. Bronił swojej własności i tak dalej. Powiedziałem, że to był taki halloweenowy żart, coś jak chodzenie od domu do domu i domaganie się cukierków, a on się nie poznał i do mnie wygarnął. — Tu Jake roześmiał się jak dzieciak wspominający swoją pierwszą wycieczkę do parku tematycznego. — Facio dostał sześć lat.

* * *

Przez dwa miesiące stacjonowania we Włoszech prawie nie słyszałem języka włoskiego. Z początku myślałem, że Italiańcy nawijają po angielsku, żeby nam się przypodobać, i nie miałem nic przeciwko. Oczywiście, wpływ na to mógł mieć też fakt, że gdzie się tylko ruszy, tam amerykańskie wojsko.

Nawet kiedy wychodziłem na przepustkę poza teren bazy, to na każdym kroku natykałem się na marines. Zupełnie jakbyśmy

najechali już południową część tego kraju, wyparli stamtąd wszystkich makaroniarzy i zajęli ich miejsce. Sklepikarza Giuseppe zastąpił nie wiadomo kiedy Tony z Bronksu i w sklepiku nie prosiło się teraz o sześć sztuk, tylko o pół tuzina tego czy tamtego. Wojsku, w taki czy inny sposób, udało się zamerykanizować całe Włochy, zanim ja się tam znalazłem, i w rezultacie wszystko, czego mógłbym się nauczyć o miejscowej kulturze podczas pobytu w tym kraju, przeszło mi koło nosa. Nasz rząd w swej nadgorliwości zadbał nawet o to, żeby jego zbrojne ramię czuło się na obcej ziemi jak w domu.

Ale raz natknąłem się na rodowitego Włocha, któremu udało się pozostać sobą we własnej ojczyźnie. Rzut kamieniem od miasteczka znajdował się taki sklepiak spożywczy, coś w rodzaju naszych prowincjonalnych minimarketów z mydłem i powidłem, jedyny w promieniu wielu kilometrów, w którym można było dostać nieamerykańskie papierosy. W bazie truliśmy się winstonami i camelami dostępnymi bez ograniczeń w kantine, ale Jake nie zapalił papierosa innej marki niż produkowana w kraju, w którym akurat stacjonował.

— Skoro ja wożuję po całym świecie — mawiał — to niech moje płuca też coś z tego mają.

Harold nie potrafił zrozumieć, jak można okopcać płuca dymem zawierającym tyle szkodliwych dla zdrowia składników, ale on w ogóle mało rozumiał Jake'a. W odróżnieniu od Jake'a i ode mnie, Harold Hennenson nie nadawałby się na biowindyka — żeby stracić szacunek dla czyjegoś organizmu, trzeba znacznie wcześniej przestać szanować własny.

* * *

Sklep nie był duży — sześć regałów na krzyż i automat z zimnymi napojami — ale każda półka ugięła się pod ciężarem

różności upchanych pod najrozmaitszymi kątami jak rockmani na koncercie, którzy walczą łokciami o miejsce w pierwszym rzędzie. Na rozkolebanej ladzie przy wejściu stała kasa z klawiszem NIE SPRZEDAWAĆ i szufladą, która trzy razy na dziesięć zacinała się na swoich prowadnicach.

Właściciel tego przybytku służył kiedyś w marynarce, nazywał się Sketch, miał metr osiemdziesiąt, ważył, lekko licząc, ze sto kilo i był łysy, jeśli nie uwzględnić trzech rudych kłaczków, które mu zostały na pamiątkę po włosach. Przypominał któregoś z tych ptaków, które pokazują czasami w programach przyrodniczych — wy wołacie wtedy z sąsiedniego pokoju podpitych kumpli i skęcacie się wszyscy ze śmiechu, jakby było się z czego śmiać. Pan Bóg ma specyficzne poczucie humoru. Sketch służył w marynarce wojennej cztery lata, większość tego czasu na Morzu Śródziemnym, i jako jedyny przeżył wypadek łodzi podwodnej, w którym zginęło dziewięćdziesięciu ośmiu jego kolegów. Ktoś zostawił otwartą i zalaną wyrzutnię torped, co na małych głębokościach jest niedopuszczalne nawet podczas manewrów. Zanim cel ćwiczebny znalazł się w zasięgu jednostki, upłynęły dwie godziny. W międzyczasie jakiś ciekawski morświn zajrzał do otwartej wyrzutni i zaklinował się w niej. Odpalona torpeda z uzbrojoną głowicą, napotykając intruza na swej drodze, eksplodowała i po morzu rozpląły się strzępy ludzkie przemieszane ze strzępami walenia.

Sketch nawet wody już nie pije.

* * *

Harold, pomimo swojego krytycznego stosunku do nałogu palenia papierosów, towarzyszył Jake'owi i mnie w naszych cotygodniowych wyprawach do tego sklepu, głównie po to, żeby posłuchać wspomnień Sketcha z okresu służby w marynarce.

Dryblas nie tylko w tym wypadku łodzi podwodnej otarł się o śmierć, a gdzieżby. Raz mało nie ucięło mu głowy, kiedy zerwała się lina takielunku i dwutonowy maszt walił się wprost na niego. Uratowało go tylko to, że na sekundę przed spotkaniem ze Stwórcą pośliznął się na mokrym pokładzie i wywinął orła. Kiedy był w Marylandzie na szkółce, strzelał do niego zazdrosny mąż, który nie rozumiał, że jego żona ma większe potrzeby niż ten raz na dwa miesiące po pijaku, a trzy miesiące później rzucił się na niego z nożem nowy kochanek tej żony, który nie życzył sobie jakiegokolwiek konkurencji.

— A na wojnie to ty kiedyś byłeś, Sketch? — spytał pewnego razu Jake.

— Co, jeszcze ci mało?

— Nie, nie — powiedział Jake. — Ja mam na myśli taką prawdziwą wojnę.

Sketch tylko się roześmiał i wbił do starej niemieckiej kasy należność za karton papierosów.

* * *

Ale wracajmy do tego rodowitego Włocha; był kiedyś właścicielem sklepu. Sklep za jego czasów nazywał się „Sputini” i Sketch, odkupując go, wspaniałomyślnie tę nazwę zachował. Był również na tyle wspaniałomyślny, że pozwalał byłemu właścicielowi przesiadywać dzień w dzień na nie jego już włościach, a ściśle rzecz biorąc, bujać się na starym hamaku rozwieszonym na werandzie od frontu. Ilekroć zachodziliśmy do „Sputini” po papierosy, mikry staruszek wylegujący się na tym hamaku witał nas kurtuazyjnym kiwnięciem głową, a potem przyglądał się nam bacznie, tak jakby pierwszy raz nas widział.

Przy trzeciej, a może czwartej takiej okazji przemówił wreszcie po angielsku.

— Masz za dużą głowę do tej czapki — orzekł, zwracając się do mnie, i dosłownie zatrzeszczał, unosząc się do pozycji siedzącej.

— Że co, proszę?

Powtórzył, wymawiając powoli i wyraźnie każdą sylabę:

— Masz... za dużą... głowę... do tej... czapki.

Nie zastanawiając się wiele, ściągnąłem z głowy regulaminową czapkę marines, przyglądziłem włosy i rzuciłem ją staruszkowi na podolek. Oglądał czas jakiś tę czapkę, wodząc śniadymi palcami po materiale, potem nasadził ją sobie na głowę. Pasowała jak ulał. Nic już nie mówiąc, wyciągnął się z powrotem na hamaku i zasnął.

* * *

Za posianie tej czapki dostałem opierdziel jak się patrzy, ale co tam. Od tamtego czasu Antonio — tak miał na imię ten Włoch — był moim najlepszym kumplem i wciąż krytykował mnie, że mundur mam a to za ciasny, a to za obszerny, albo mówił wprost, że na nim lepiej by leżał. Kilka razy próbowałem pociągnąć go za język, żeby wysondować, co z niego za człowiek, dlaczego jest tak przywiązany do posesji, która już do niego nie należy i aktualnie nie powinna nic dla niego znaczyć, ale za każdym razem, ledwie zdążyłem się przywitać, on dosiadał swojego konika i już wybrzydzał na mój uniform. Sketch powiedział mi, że wykupił Antonia za pięćdziesiąt tysięcy dolarów i dorzucił do tego stary, analogowy telewizor kolorowy, który odbierał tylko programy religijne nadawane z Watykanu. Antonio w miesiąc przepuścił te pięćdziesiąt patyków na zakłady bukmacherskie w północnej Hiszpanii, po czym wrócił do Włoch i zapuścił korzenie przed swoim byłym warsztatem pracy. Teraz tylko się buja, ogląda papieża w

telewizorze i wygłasza swoje krytyczne opinie o ubiorach przechodniów. Pozazdrościć takiej emeryturki.

* * *

Zaprzestałem, co prawda, prób odbierania swoich czeków z wypłatą, ale nie zaprzeczę, że system emerytalny Union jest ludzki, obejmuje liczne przywileje i pod niejednym względem przewyższa tradycyjne systemy emerytalne. Na ten przykład Union proponuje swoim emerytom po bardzo rozsądnych cenach większość dostępnych na rynku sztuczorgów, nawet skórę do przeszczepu tym, którzy chcą się pozbyć płam wątrobowych. Słyszę, że oprocentowanie kredytów, choć zróżnicowane, jest bardzo konkurencyjne, rzadko sięga trzydziestu procent, a do czterdziestu nie dochodzi chyba w ogóle. Prawdopodobnie ubiliby bardzo dobry interes na sercu dla mnie, gdyby kłopoty kardiologiczne dopadły mnie po przejściu w stan spoczynku, ale pompka wysiadła mi, niestety, kiedy byłem jeszcze na etacie i emeryckie przywileje medyczne jeszcze mnie wtedy nie obejmowały. Wiem, że to trochę niedzisiejsze, ale kadra Union nigdy nie przejmowała się zbyt standardowymi świadczeniami socjalnymi.

Marines też mieli ludzki system emerytalny, ale wszystkie związane z nim przywileje przepadły mi z chwilą, kiedy spiknąłem się z Union. Wychodzi na to, że emerytowanemu zabójcy przysługuje świadczenie tylko z jednego źródła.

* * *

Teraz parę słów o naszym sierżancie: Tyrell Ignakowski, ksywka Tig, kawał niskiego, przysadzistego, umięśnionego chłopca o przystrzyżonych na zapałkę włosach, długich łapskach i poczuciu taktu, którego nie wyniuchałby nawet obdarzony najlepszym -

węchem pies tropiący. Jak zrobiłeś coś nie tak, Tig uświadamiał ci to z siłą sześćuset decybeli — bezzwłocznie, od ręki, nawet jeśli stali akurat obok ciebie matka, dziewczyna i reporter ze „Stars and Stripes”. Zwłaszcza, kiedy obok ciebie stali.

Tig, szkoląc swoich żołnierzy, nie wahał się ich upokarzać. Prawdę mówiąc, to zasadzała się na tym cała jego pedagogika. Teoria bezstresowego „kształtowania” żołnierza odeszła według niego do lamusa i nie przystawała do współczesnych realiów.

— Minęły już te czasy, kiedy walczyliśmy ze Szkopami — powiedział mi kiedyś — i można było wziąć poborowego, i dać mu, tak z czuciem, w kość, żeby zrozumiał, gdzie jego miejsce. — Innymi słowy, zrobić z niego karnego żołnierza. — Dzisiejszych szczyli — ciągnął — nie da się w ten sposób urobić. Dzisiejszy piętnasto-, szesnastolatek nie jest już pacyną gliny, z której można ulepić, co się chce. Jest przemądrzały, hardy i tradycyjne metody zaprawy nie skutkują; to tak, jakbyś próbował poprawić kształt dzbana, który już przez dziesięć godzin wypalał się w piecu garncarskim. Szkoda fatygi, nic z tego nie będzie. Jedyne sposobem na zrobienie z takich huncwotów zgranego zespołu to roztrzaskać w drobny mak to, czym każdy już się stał, wymieszać dokładnie skorupki, a potem posklejać wszystkie do kupy w jeden pożądany kształt. Jak roztrzaskasz ich na dostatecznie drobne okruchy, to będziesz mógł z nich sobie skleić, co tylko ci się zamarzy.

* * *

A oto wszystko, co powinniście wiedzieć o tym, co łączyło mnie z Tigiem.

Pewnego dnia, dawno po rekruckiej szkółce, a na długo przed powrotem do kraju, wpadłem w kiepski nastrój, wyszedłem na pustynię i rzucałem bezmyślnie kamyczkami w morze piasku. Od

paru tygodni nie miałem żadnych wiadomości od Beth, a co gorsza, tych kilka listów, jakie ostatnio wysłałem do niej do San Diego, wróciło ze stemplem „Zwrot do nadawcy” na kopercie.

No więc rzucam tymi kamykami, w nic konkretnie nie celując, po prostu puszczam kaczki po piasku, tak jakbym był w San Diego, stał na plaży ze swoją dziewczyną i podziwiał bezkres Pacyfiku.

Tig zaszedł mnie od tyłu; wyczułem, że ktoś za mną stoi. Choć był niskiego wzrostu, emanował czymś specyficznym, miał dar manifestowania swojej obecności, nawet kiedy się go fizycznie nie widziało. Chłopaki nazywali go sierżant Limburger*, bo wyczuwało się, że nadchodzi, mimo że nie było go jeszcze widać. Ale nie po zapachu, to się zwyczajnie wyczuwało.

* Rodzaj śmierdzącego sera.

Przyglądał mi się przez chwilę, potem spytał:

— Chyba nie chodzą ci po głowie jakieś durnoty?

— Nie, panie sierżancie — odparłem. — Rzucam sobie tylko kamykami.

Ostrożnie wydłubał mi z garści ostatni kamień i posadził mnie siłą na rozgrzanym piasku. A potem ukląkł i nachylił się do mnie.

— Synku, bezmyślne rzucanie kamieniami to jak bzykanie powietrza. Jak już chcesz się brandzlować, to wyobraź sobie przynajmniej obiekt, któremu to dedykujesz. A jak naprawdę cię rozsadza, to bierz na celownik łajdaków.

Kiwnąłem głową, nie bardzo wtedy rozumiejąc, co chciał przez to powiedzieć. Rozumiałem jednak, że stara się mnie zmobilizować, żebym wziął się w garść.

— Dziękuję, panie sierżancie — bąknąłem. — Dziękuję za pomoc.

Tig wzruszył tylko ramionami.

— Wsadź se gdzieś swoje podziękowania — prychnął. — Dopóki się tu nie znalazłeś, nie istniałem dla ciebie. I przestanę istnieć, kiedy wyjedziesz. Ale póki tu jesteś, traktuję cię jak syna i jak każdy szanujący się tatuś mam obowiązek kłaść ci do głowy rzeczy, których ty nie umiesz pojąć. — Zawiesił na chwilę głos, a potem spytał: — Dotarło?

— Tak jakby.

Tig roześmiał się i odszedł. Odczekałem kilka minut i znowu zacząłem rzucać kamykami.

* * *

Miał rację. Po wojnie już go nie widziałem i chociaż wspominam człowieka z sympatią, to myślę, że szukanie z nim teraz kontaktu miałyby się chyba z celem. Tig był wojskowym z krwi i kości, żył garnizonowym życiem; w każdym innym środowisku czułby się jak śniegowy bałwan w Tijuanie.

* * *

Nazajutrz po wylądowaniu we Włoszech przedefilowaliśmy przez plac apelowy, weszliśmy do niskiego baraku, potem ruszyliśmy w dół trzema skrzydłami metalowych schodów wibrujących niebezpiecznie pod ciężarem czterdziestu pięciu maszerujących w nogę mężczyzn. Na dole podzielono nas, z pozoru na chybił trafił, na trzy piętnastoosobowe grupy, kazano ustawić się gęsiego i poprowadzono jednym z trzech korytarzy.

— Dzisiaj — obwieścił nam rano, przy śniadaniu, Tig — każdy z was przejdzie test, który wykaże, do czego najlepiej się nam nadacie w tej afrykańskiej kampanii. Będziecie poniewierani, maltretowani, oceniani. Niektórym może się to nawet spodoba. Pod wieczór dostaniecie przydział do jednego z ośrodków szkoleniowych na terenie bazy i ten ośrodek stanie się na osiem najbliższych tygodni waszym domem. Możecie się ze swoim przydziałem

nie zgadzać. Możecie nie rozumieć, dlaczego dostaliście właśnie taki. Ale ja od razu tutaj, w tej kantynie, zapowiadam wam, panowie, że odwołań nie będzie. Klamka zapadła.

* * *

Podążając za dyżurnym, który prowadził nas labiryntem korytarzy, każdy toczka w toczkę podobny do poprzedniego, myślałem sobie, że czekający nas test jest chyba po to, żeby odsiać element nieprzystający do realnego świata; ten, kto go przejdzie, zostanie odesłany do domu, ten, kto nie, trafi do Afryki. Po jakimś czasie dotarliśmy do metalowych podwoi, przed którymi czekała na nas apetyczna lekareczka. Jasno-blond włosy zebrane w koński ogon, okulary bez oprawek na perkatym nosku, uśmiechnięta... no, piękna, ale nie aż tak, żeby człowieka odrzucało. Chętnie bym się z nią zabawił, najlepiej wieczorkiem, po capstrzyku, ale kiedy ze mną skończyła, nie nadawałem się już do roli romantycznego zalotnika.

— Będziecie wzywani pojedynczo — powiedziała do mojej grupy. — Reszta czeka tutaj.

Rozdano nam numerki. Jake'owi przypadł szósty, mnie ostatni. Staliśmy na korytarzu wyprężeni na baczność jak struna, starając się zrobić wrażenie na tej sikorce, ilekroć wystawiała głowę zza drzwi, żeby wywołać następnego żołnierza. Pomyślałem o Beth; już od miesiąca do mnie nie napisała.

Tymczasem przez ścianę docierało do nas stłumione, miarowe tąpnięcie, które przybierało na sile, zupełnie jakby jakiś olbrzym spuścił się z góry po łądydze fasoli i zbliżał niespiesznym krokiem do miasteczka. Ale po paru minutach, kiedy wydawało się już, że wraz z następnym tąpnięciem wyjaśni się wreszcie, co to, do kurwy nędzy, za odgłosy, tąpnięcie ustawało, lekarka wywoływała

następnego z nas i wszystko zaczynało się od początku.

Dopiero kiedy za podwojami znikł Jake i poczułem się w tym korytarzu osamotniony, uświadomiłem sobie, że żaden z żołnierzy, którzy do tej pory weszli, jeszcze stamtąd nie wyszedł.

* * *

Kiedy człowiek dobrze się rozejrzy po tych ciemnych zaułkach i zakamarkach, które składają się na jego środowisko pracy, odkrywa tam mnóstwo miejsc funkcjonujących na zasadzie Czerwonej Oberży — goście wchodzą, ale już nie wychodzą; kamień w wodę. Credit Union też ma jedno takie miejsce — nazywają je Różowymi Wrotami od koloru, na jakie drzwi zostały pomalowane przez jakiegoś wybitnego psychologa społecznego w czasach, kiedy starano się jeszcze usypiać czujność klientów i podstępem wzbudzać w nich złudne poczucie bezpieczeństwa.

Różowych Wrót używano często w ostateczności, gdy chodziło o zatwardziałych dłużników będących osobami publicznymi — celebrytów, jak się ich niekiedy określa — klientów, których lepiej nie wywlekać za wyprute bebechy do świata wypłacalności. Tak więc zamiast delegować biowindyka, który zostawiłby dla paparazzich krwawą jatkę w Beverly Hills, Credit Union wysyłała kurierem do takiej mendo-weszki ozdobne, wytłaczane na czerpanym papierze, z taktem zredagowane zaproszenie na tak zwane spotkanie ugodowe. Niedługo potem pojawiały się klepsydry z załącznikiem w postaci poświadczenia spłaty kredytu i wszystko grało.

Biowindyk towarzyszył jednak zazwyczaj kredytobiorcy do biura, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Kiedyś miałem zaszczyt odprowadzać do filii Union w Los Angeles Nicolette Huffington, dziedziczkę firmy software'owej, dawniej znaną aktorkę. Z wysoko uniesioną głową, pewnym krokiem minęła błagający

o życie motłoch i weszła do poczekalni Różowych Wrót. Nie zachwycała już urodą, czas i nieumiarkowanie w poddawaniu się operacjom plastycznym brały odwet na jej wiotczącej skórze, ale Huffingtonówna — chociaż wisiła firmie za wątrobę — była nadal Huffingtonówną i nie mogłem oprzeć się pokusie poproszenia jej o autograf dla Melindy, mojej ówczesnej żony.

— Można autografik? — spytałem, wygrzebując z kieszeni długopis i podsuwając zaproszenie Credit Union w charakterze podkładki.

Fuknęła w ten swój charakterystyczny sposób, zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów.

— Może jak stąd wyjdziemy, kochanie? — wymruczała zmysłowo, przystając na różowej jak drzwi wycieraczce i odgarniając z czoła kosmyk starannie ułożonych włosów.

— Nie — odparłem — wolałbym teraz.

* * *

Melinda wszystkim się chwaliła tym autografem.

* * *

Pani doktor spytała, czy mi wygodnie, a ja odparłem, że jak na zaistniałe okoliczności, to nawet bardzo. Otoczony miękkimi materacami, z głową wspartą na puchowej poduszce, w żabim przyśiadzie — nogi podkurczone, łokcie szeroko rozstawione — poprzypinany paskami do metalowej konstrukcji umożliwiającej zachowanie względnej równowagi w tej idiotycznej pozycji, czułem się jak motocyklista pędzący tym starym amerykańskim motocyklem, którego produkcji wiele lat temu zakazano: rozkraczony, plecy wyprostowane, ręce rozrzucone na szerokość kierownicy — tyle że maszyny pode mną brakowało.

— Co mam robić? — spytałem, kiedy lekarka zaciskała ostami pasek.

— Nic — odmruknęła. — Skoncentruj się na ścianie.

— Gdzie się podziały chłopaki, które tu przede mną wchodziły?

— Proszę się skoncentrować i patrzeć na ścianę.

Lekarka wróciła do swojej kanciapki, małego pomieszczenia oddzielonego od pokoju badań taflą szkła ołowiowego chyba piętnastocentymetrowej grubości. W każdym razie to przezroczyście przepierzenie było tak grube, że zniekształcało proporcje znajdującej się za nim kabiny, dziwnie deformując, wypaczając i rozmywając jej krawędzie. Widziało się ją jak przez lzę.

— Nie jesteś skoncentrowany — upomniała mnie lekarka przez słuchawkę, którą zatknęła mi wcześniej za lewe ucho. — Widzę tu wszystko na przyrządach jak na dłoni. Ściana, szeregowy, ściana.

Posłuchałem polecenia. Odruch bezwarunkowy młodego, zdyscyplinowanego, początkującego żołnierza. Spojrzałem, ale ściany naprzeciwko mnie już nie było. Ciągnęła się tam aż po horyzont beżowa pustynia. Reszta pokoju badań nie uległa zmianie — czułem na sobie wzrok lekarki siedzącej w kanciapce, czułem, jak popatruje bacznie to na mnie, to na wskaźniki przyrządów wyjawiających wszystkie moje fizyczne sekrety — ale ta ściana naprzeciwko mnie naprawdę zniknęła bez śladu, jak wysadzona przez biegłych w swoim fachu sabotażystów.

— No to poszły konie po betonie — zatrzeszczał mi w lewym uchu głos lekarki. — Jedziemy.

Rozbłysk, jakaś eksplozja tuż za horyzontem. Po bezchmurnym błękitnym niebie rozlewa się pomarańczowa luna i słyszę charakterystyczne łubudu — wyraźnie, nie w stłumionej wersji, jak na korytarzu — które odbija się echem od ścian pomieszczenia. Zaintrygowany, wyciągam szyję, na ile to możliwe, w uprzedzi,

która krępuje mi ruchy, żeby lepiej widzieć, co się dzieje na pustyni przede mną.

Kolejny rozbłysk, tym razem bliższy, a milisekundy po nim druga eksplozja. Fale dźwiękowe wniknęły w głąb ciała, łaskocząc mnie od środka. Kiedy zaczynało mi już świtać, co jest grane, znowu wybuch, tym razem po prawej, na samym skraju pola widzenia. Zanim zdążyłem skierować tam wzrok, runęła na mnie następna ściana basu, wyrrywając niemal kończyny ze stawów. Pęcherz nie wytrzymał tego ciśnienia i popuściłem w spodnie.

— Bez jaj! — wrzasnąłem, ale mój protest utonął w huku kolejnej serii eksplodujących pocisków — byłem już przekonany, że to pociski, że nieprzyjacielowi udało się jakoś przeniknąć na teren naszej bazy, zniszczył część ośrodka szkoleniowego i zbliża się, żeby dopełnić dzieła. Światła zamrugały, po lewej i po prawej pękały żarówki, z każdym wybuchem fale uderzeniowe napływały z coraz mniejszej odległości, były coraz potężniejsze, a mnie głowa to się kurczyła, to pęczniała jak balonik ugniatany dziecięcymi rączkami.

I wtedy właśnie ujrzałem ostatni zmierzający do celu pocisk. Była to doprawdy piękna świetlista kreska, cienka jak wyrysowana na tle nieba ołówkiem. Mknęła w moją stronę po łuku, ciągnęła za sobą ognisty warkocz, który z każdą chwilą grubiał i wydłużał się, a ja, sparaliżowany grozą sytuacji, nie zdołałbym chyba ratować się ucieczką, nawet gdyby nie uniemożliwiła mi tego wążająca ze trzysta kilogramów metalowa konstrukcja, do której byłem przytroczony. Nadciągająca zagłada ma w sobie coś z przewrotnego piękna, ale docenić to potrafią chyba tylko masochiści i sadyści.

Błysnęło, ale huku nie usłyszałem. Tym razem już nie usłyszałem.

Rozdział 7

Przytomność straciłem cztery razy w życiu. Do pierwszego takiego przypadku niedługo dojdziemy; o drugim i czwartym nie jestem jeszcze gotów opowiadać. Trzeci raz przydarzyło mi się to wiele lat po demobilizacji z piechoty morskiej, kiedy byłem jeszcze praktykantem w Credit Union. Szkolił mnie facet z Kategorią Trzecią, stary leser, który zaczynał, kiedy robiło się tylko jarviki * i inną taką drobnicę. Ponieważ gość miał kłopoty finansowe, bo spłacał jakieś tam raty, firma, w porywie wspaniałomyślności, przyznała mu symboliczną pomoc w postaci praktykanta. Sęk w tym, że ten mój „majster” nie przykładał się zbytnio do swoich obowiązków, w wyniku czego bardzo szybko wyuczyłem się fachu, odwalając robotę za niego.

* Robert Jarvik — amerykański kardiolog znany ze swojej roli w stworzeniu pierwszego sztucznego serca Jarvik-7.

Pewnego wieczoru dostaliśmy zlecenie odzyskania kompletu nerek od delikwenta, który miał hurtownię sprzętu hydraulicznego w dzielnicy magazynów. Robota prosta, honorarium niczego sobie, w telewizji sama sieczka, której nie żał było sobie odpuścić.

Standardowa umowa: siedemdziesiąt procent dla licencjonowanego biowindyka, trzydzieści dla mnie; miałem chody w dziale rozliczeń. Byłem w tym miesiącu między jednym małżeństwem a drugim, więc moja dieta sprowadzała się od jakiegoś czasu do makaronu i precelków.

Ale kiedy zbliżała się pora, żeby wziąć dupę w troki i udać się pod wskazany adres, okazało się, że mistrz jest niedysponowany. Najpierw był w kinie, a potem zalał się w trupa i padł. W zasadzie mogłem zaczekać, aż wytrzeźwieje, poprosić Union o przesunięcie terminu windykacji o dzień albo dwa, ale w tamtych czasach konkurencja w branży była mordercza i gdybym zaczął marudzić, zlecenie mogłoby zostać przekazane komuś innemu. Zdawałem sobie sprawę, że nadejdzie w końcu chwila, kiedy będę się musiał usamodzielnic i pokazać, co potrafię, i oto nadarzała się taka okazja. Postanowiłem załatwić to sam.

Pierwszy krok w każdej robocie windykacyjnej to rozpoznanie terenu. Trzeba wiedzieć, gdzie dokładnie przebywa w danej chwili klient oraz co go otacza. Jak duży jest jego dom/biuro/mieszkanie? Czy poza nim w środku ktoś jeszcze jest? Czy ma dostęp do telefonu? Czy jest uzbrojony? A jeśli nie, to czy może zadzwonić po kogoś, kto ma broń? Tego rodzaju informacje to podstawa.

No więc przystąpiłem do tego rozpoznania. Z planów zagospodarowania terenu, które dostałem od skorumpowanego urzędnika, wynikało, że magazyn ma powierzchnię około dziewięciuset metrów kwadratowych. Całkiem spora kryjówka, bez dwóch zdań. Klient był sam; nawet bez pomocy urządzenia podsłuchowego słyszałem, jak się tam tłucze, ale wiedziałem, że trudno go będzie dokładnie zlokalizować. Przez chwilę rozważałem zastosowanie alternatywnej taktyki obezwładnienia klienta — byłem wówczas wyposażony zarówno w pistolet na strzałki, jak i paralizator o dużym zasięgu — ale te metody nie dawały stuprocentowej

gwarancji, bo wszystko zależało od umiejętności strzeleckich tego, kto je stosuje. A to była moja pierwsza solowa robota i nie chciałem dać plamy. Zastosowałem więc eter, którego miałem trzy kanistry.

Swoim ołówkowym laserem — gadżetem, który Union rozdaje nowemu narybkowi i którego zwrotu nie żąda, nawet jeśli ktoś rezygnuje z robienia kariery w windykacji — wyciąłem małe kółko w szybie tuż nad podłogą magazynu. Wężyk, uszczelka. Zawartość pierwszego kanistra z eterem zaczęła się z cichym sykiem sączyć do wnętrza, a ja usiadłem w smolistych ciemnościach pod ścianą i czekałem cierpliwie na efekty. Byłem już po kursie dawkowania i aplikowania środków odurzających i śmiem twierdzić, że w tej materii nie dorównałby mi żaden dyplomowany anestezjolog. Aż dziw, że tacy jak ja nie mają wzięcia u panien z dobrych domów.

Kiedy wyczerpała się zawartość trzeciego kanistra, odczekałem jeszcze piętnaście minut i uznałem, że można już wejść, by dokończyć dzieła. Już po drugim kanistrze słyszałem charakterystyczny łomot padającego bezwładnie ciała, wiedziałem więc, że klient leży przygotowany do jedynej operacji chirurgicznej, jaką potrafiłem przeprowadzić. Miałem przy sobie maskę gazową na wypadek, gdyby eter nie do końca jeszcze wyparował, ale nie nałożyłem jej, bo wydawało mi się, że w magazynie o takiej powierzchni przedawkowanie nie wchodzi w rachubę.

Źle mi się wydawało. Kiedy sforsowałem drzwi wejściowe, zdążyłem tylko skonstatować, że magazyn, chociaż patrząc z zewnątrz wielki, jest w środku podzielony na biura, każde o powierzchni co najwyżej trzystu metrów kwadratowych. Próbowałem chyba zawrócić, wyskoczyć z powrotem na powietrze, ale

unoszące się tu wciąż opary potrójnej dawki eteru wdarły mi się już przez dziurki w nosie i znokautowały mózg. Kolana się pod mną ugięły; ramiona obwisły i zwałem się bez czucia na podłogę, na własne klucze, które miałem w kieszeni. Przez dwa tygodnie miałem w tym miejscu siniaka.

* * *

Jak się wtedy ocknąłem, zobaczyłem nad sobą napuchniętą głębę mojego mistrza i poczułem odór mieszaniny zsiadłego mleka z nieprzetrawionym do końca rumem, kiedy zaczął wrzeszczeć, że przeze mnie klient o mało nie zwiął, że musiał za nim gonić dookoła magazynu i gołymi rękami wyrywać palantowi nerki.

Za to we Włoszech, odzyskując przytomność, ujrzałem śliczną, porcelanową zjawę. Gładziła moje spocone czoło, w rozchylnym ździebko dekolcie jej fartucha laboratoryjnego widać było biały bawełniany biustonosz ledwie odcinający się na tle skóry. Podtykała mi pod nos skórzany woreczek, z którego buchał taki smród, że skunksy czmychnęłyby z podwiniętymi ogonami gdzie pieprz rośnie, ale ja czułem tylko delikatny zapach perfum, którymi spryskała sobie szyję.

— Spokojnie — powiedziała, kiedy próbowałem usiąść. Leżałem, nieskrępowany już uprzężą, na jakiejś kanapie. Na łóżku obok dostrzegłem Harolda Hennensona, a po sali, potrząsając głowami, mrugając oczami, snuli się pozostali żołnierze z mojego plutonu, każdy zasklepiiony we własnym świątku totalnej dezorientacji. W formie był tylko Jake, żartował już z pielęgniarkami, nabijał się z otumanionych kolegów.

— Zbombardowali nas? — spytałem lekarkę.

— Nikt nas nie zbombardował. Leż.

— To był egzamin?

— Tak, egzamin.

Harold usiadł, przesunął się na brzeg łóżka i nachylił do mnie.

— Test wstrząsowy — powiedział. Oczy mu jeszcze latały. — Sprawdzali, jak zareagujemy na bezpośredni ostrzał.

— Ty też zemdlałeś? — spytałem.

Harold zwiesił głowę, chyba zawstydzony.

— Też — mruknął. — Nie za dobrze mi poszło.

— Niechby spróbowali uderzyć cię w brzuch... — zasugerowałem.

To go trochę podbudowało i przez dwadzieścia następnych minut dochodziliśmy do siebie, popijając soczek. W końcu wypuszczono nas z sali. Opuściliśmy ją niezupełnie jeszcze przytomni, zataczając się z lekka, ale staraliśmy się trzymać fason.

* * *

Poddali nas również, a jakże, innym testom — na wzrok, na słuch, na zdolność zapamiętywania, na refleks, na zmysły powonienia i smaku. Jedne testy zdawały się ciągnąć w nieskończoność, inne trwały nie więcej jak piętnaście sekund. Na koniec każdego dostawaliśmy karteczkę z ciągiem cyfr. Dla nas była to abrakadabra, ale nasi przełożeni, studiując je, rozplýwali się w ochach i achach.

Po tygodniu zarządono zbiórkę w dwuszeregu i odczytano przydziały do ośrodków, w których mieliśmy się szkolić przed wysłaniem do Afryki. Od Harolda dzieliło mnie dwóch żołnierzy, Jake stał w drugim szeregu.

Sierżant Ignakowski wyszczekiwał przydziały z szybkością ce-kaemu:

— Burns, saperzy. Carlton, piechota. Dubrow, piechota...
Ja, Jake i Harold mieliśmy prowadzić czołg.

* * *

Sześć miesięcy później zebrałem się wreszcie na odwagę i zapytałem Tiga, dlaczego trafiłem do czołgistów, a nie do jakiegoś może mniej widowiskowego, za to gwarantującego więcej luzu rodzaju broni. Siedzieliśmy w prowizorycznym namiocie gdzieś pośrodku afrykańskiej pustyni, czekając na rozkazy, które posła nas z powrotem w pole. Popijaliśmy bez umiaru wodę z małych foliowych woreczków. Po piętnastu dniach w pięćdziesięciostopniowym upale trzeba było uzupełnić ubytek płynów w organizmie. Maszyny bojowe będące wówczas na wyposażeniu marines imponowały może siłą ognia, ale klimatyzacja była w nich do bani.

— Trafiłeś do czołgów, bo tak zadecydowała zwierzchność — odparł sierżant. Wrócił właśnie z kwatery głównej i był nadal w swoim białym mundurze wyjściowym, a na ziemię kapał pot ściekający mu strumieniami spod pach i z pleców.

— Na podstawie tych testów?

— Niektórych.

— A których?

Sierżant nie próbował nawet owijać w bawełnę. Zawsze walił prawdę prosto z mostu i mało go obchodziło, co z tego wyniknie.

— Pamiętasz ten test wstrząsowy? — spytał. Kiwnąłem głową.

— No to głównie na jego podstawie. Ty, Freivald i Hennenson przeszliście go z najlepszym wynikiem, dlatego dali was do czołgów.

Czegoś tu nie rozumiałem.

— Jak to... nie doznaliśmy wstrząsu?

— Doznaliście — odparł Tig — i to niewąskiego. Ale otrząsnęliście się z niego szybciej niż cała reszta, szybciej odzyskaliście nad sobą kontrolę. Widać macie większe głowy, dzięki czemu ciśnienie rozkłada się na większą powierzchnię. Albo to, albo mózgi macie mniejsze. Albo i jedno, i drugie. Tak czy siak urodzeni z was czołgiści. Pora ruszać z powrotem w pole.

Większe głowy i mniejsze mózgi. Tego rodzaju typowo wojskowa precyzja pomogła nam wygrać tę wojnę w Afryce.

* * *

Właśnie się obudziłem. Spałem całe trzydzieści minut, może nawet trochę dłużej. Mam nadzieję, że świadczy to bardziej o adaptowaniu się mojego organizmu do zaistniałych okoliczności niż o zanikaniu instynktu samozachowawczego i dochodzeniu do przekonania, że odpoczynek jest ważniejszy od czuwania.

W ten stan nonszalancji mogło mnie również wprowadzić upomnienie wystukane przez nie wiadomo kogo na kartce, którą znalazłem wczoraj wkręconą w wałki maszyny do pisania. Im więcej się zastanawiam, tym bardziej frapują mnie te słowa:

Siedź cicho.

Krótko i węzłowato. Ciekawe, kto jest autorem i gdzie się mógł zamelinować. No i co tu robi. Tyler Street Hotel to wymarzona kryjówka, ale moja; jeśli załął mi się tu jakiś nieproszony sublokator, to chciałbym go poznać. I zażądać czynszu z góry.

Przypomina mi się, że nocami słyszałem już rozmaite odgłosy. Coś stuknęło na dole raz i drugi, gdzieś tam zatrzeszczała belka stropowa. Ale to normalne w strawionym przez pożar dwudziestowiecznym hotelu. Żołądek podchodził mi do gardła przy

każdym takim stuknięciu czy trzaśnięciu i nigdy bym nie przypuszczał, że te odgłosy mogą mi kiedyś poprawić nastrój. Ale od miesiący jestem sam i chociaż każdy biowindyk z racji wykonywanego zawodu skazany jest na samotność, ta akurat mi doskwiera.

Jeśli potrwa dłużej, to niewyjęte, że zbzikuję. Pięć razy się że- niłem, a to najlepszy dowód, że z takiego czy innego powodu nie potrafię pozostawać singlem przez dłuższy okres.

* * *

Druga wizyta u psychiatry z Carol, i ten sam psychoanalityk, od którego dowiedziałem się wcześniej, że drzemiał we mnie niewyczerpane pokłady miłości, powiedział mi tym razem, że widzi u mnie mnóstwo tłumionych lęków.

— Pan wie, czym się zawodowo zajmuję, prawda? — spytałem. Kiwnął głową. Bardzo dobrze wiedział.

— Ale to nie przeszkadza, żeby podświadomie czegoś się pan bał.

— Na przykład czego? — spytałem.

— Śmierci.

— A kto się jej nie boi? Czego jeszcze?

— Porażki.

— A panu ona nie straszna?

— Samotności — dorzucił, zerkając wymownie na moją żonę. Pokręciłem głową.

— Wie pan, ile narodu dźwiga teraz ta planeta, doktorze? Jest nas na niej osiem miliardów. Nawet trędowaty, któremu zostały dwa paluchy u nóg, nie znajdzie ustronia, gdzie nie podeszłoby do niego sześciu innych trędowatych, żeby się przywitać. Nie mogę

się bać samotności — w dzisiejszych czasach ze świecą jej szukać.

* * *

Teraz wiem, że to nie do końca prawda. Dziewiąty rok pracy jako pełnoprawny biowindyk i już pierwsze zlecenie na konfiskatę układu nerwowego niejakiemu Jamesowi „Fordkowi” Bonaserze, do niedawna znanemu producentowi muzycznemu mieszkającemu na eleganckim przedmieściu. Pod jego kierunkiem nagranych zostało kilka moich ulubionych kawałków, których słuchaliśmy z chłopakami przez czołgowy interkom, kiedy opadał bitewny kurz — to właśnie on czuwał od producenckiej strony nad nagrywaniem albumu *Baby In My Sleeve* w wykonaniu Sammy Brand Trio — i pomimo całej swojej niechęci do babrania się w „nerwówkach” pomyślałem sobie, że zanim wypruję facetowi centralny układ nerwowy, wypadłoby mu powiedzieć, jak przypasowała mi jego muzyka, że jestem mu to winny.

Nie lubię „nerwówek”. Prawdę mówiąc, to nie mam nawet licencji na ich wykonywanie, ale zezwolenia zezwoleniami, a chyba każdy biowindyk ma chociaż jedną na swoim koncie. Rozumiem człowieka, któremu potrzebna lepsza trzustka albo nowiutkie aluminiowe płuca, kiedy jednak przychodzi do wymiany i rozbudowy czegoś tak abstrakcyjnego, jak czucie i pamięć, wolę zbastować i zostawić to ducholapsom. Nie zrozumcie mnie źle — niektórzy z moich najlepszych przyjaciół chałturzą w „nerwówkach”. Ale żeby je dobrze przeprowadzać, człowiek musi mieć w sobie choćby odrobinę empatii, a mnie jej brakuje.

Skrupuły skrupułam, jednak wynagrodzenie było niebotyczne, a do tego nadarzała się okazja poznania osobiście mistrza, tak więc odsunąłem je na bok i udałem się pod wskazany adres.

Zapylone zaułki zostały szybko za mną i znalazłem się w innym świecie. Tutaj były trotuary wyłożone płytami chodnikowymi, a zamiast wałęsających się zapchlonych bezpieczeństwa kundli, dokażywała wesoło dzieciarnia, smród stopniowo zanikał, by w końcu przejść w czysty zapach sosny i dębu. Liście na drzewach zaczynały właśnie zmieniać barwę i chociaż w mieście też mieliśmy takie żółte i czerwone, to tutaj jakoś bardziej one pasowały, podobnie jak to samo czerwone wino lepiej smakuje w Wenecji we Włoszech niż w kalifornijskiej Venice.

Dom był wielki, istna rezydencja — tysiąc osiemset metrów kwadratowych, nie przymierzając — i bardzo dobrze. Gdyby był mniejszy, jeszcze by mnie podkuśiło, żeby go na wstępie zagazować, a wtedy przepadłaby okazja pogadania z gospodarzem. Nie miałem zresztą ze sobą tyle eteru, żeby starczyło na napompowanie takiej kubatury, musiałem więc uciec się do bardziej bezpośrednich metod.

Brama, ośmiusetmetrowy podjazd i ozdobnie przystrzyżone krzewy idące w nasiona. Powiedziano mi, że Fordek nadal mieszka w rezydencji, ale urząd skarbowy wziął pod lupę jego finanse i pojawiło się sporo znaków zapytania. W rezultacie zajęli to, co mu zostało z tantiem za dziesięć ostatnich albumów, a na dokładkę, z góry, również to, co dopiero miał zainkasować za dziesięć następnych, które jeszcze nie powstały. Tak na wszelki wypadek. Za tydzień od najbliższej środy miała się odbyć licytacja w postępowaniu upadłościowym. Dom, meble, samochody — gość był skończonym bankrutem, puszczał go dosłownie w skarpetkach. I jakby tego było mało, jeszcze my, w takim momencie, zwałaliśmy mu się na kark.

Znalazłem go w studiu nagraniowym, które urządził sobie we wschodnim skrzydle domu. Słuchawki na uszach, oczy zamknięte, wsłuchany w jakiś utwór odtwarzany na czterdziestościeżkowym

magnetofonie. Stałem tam dobre dziesięć minut i przyglądałem się, jak wprawnie obsługuje stół mikserski, doszlifowując swój najnowszy kawałek.

W końcu Fordek usiadł prosto, zdjął słuchawki i odłożył je ostrożnie na pulpit.

— Dobry wieczór — powiedział, nie oglądając się. Głos miał niski, schrypnięty, chyba przydałaby się mu wymiana jego osobistych kolumn głośnikowych. — Pan ze skarbowki?

— Nie.

— Całe szczęście — westchnął. — To istne pijawki.

— Ja jeszcze gorsza — mruknąłem.

Kiwnął głową. Przyjął tę nowinę do wiadomości i szybko polecił swoją duszę bogom.

— Rozumiem. Czy mogę dokończyć tę piosenkę?

Spojrzałem na zegarek. Miałem na ten wieczór jeszcze jedno pilne zlecenie, ale wykalkulowałem sobie, że powinienem się mimo wszystko wyrobić, a gdyby nawet nie, to obskoczę je w nocy albo jutro nad ranem.

— Oczywiście — odparłem, cofając się pod ścianę, żeby tam zaczekać na swoją kolej. — Jestem pana wielkim fanem. *Baby In My Sleeve...* coś fantastycznego... — urwałem, żeby nie wyjść na zupełnego fanatyka jego talentu; to by było nieprofesjonalne.

Ale on się odwrócił, doskoczył do mnie — był chudy, żyłasty, energia go rozsadzała — chwycił mnie za rękę i pociągnął do stołu.

— Niech mi pan pomoże — wyrzucił z siebie podniecony. — Od paru miesięcy nie mam asystenta.

Protestowałem, że brak mi kwalifikacji, że pierwszy raz widzę na oczy stół mikserski, ale on tylko machnął ręką.

— Piosenka to zbitek małych części — powiedział — które muszą ze sobą współgrać. Sztuka polega na wyławianiu z całości

słuchem poszczególnych części. Jeśli potrafi je pan wyizolować, wyłuskać i odpowiednio obrobić, możemy poprawić końcowy efekt. Odparłem, że do tego mam chyba kwalifikacje.

* * *

Kawałek, który pomogłem mu wtedy zmiksować — *Tailor Made Five* w wykonaniu Susan Lundi's Orchestra — stał się jego pośmiertnym platynowym przebojem i chociaż na okładce płyty nie było żadnej wzmianki o mnie, chwaliłem się wszystkim w Union, że pomagałem trochę przy partiach instrumentów dętych i ksylofonów.

Po dwuipółgodzinnym wspólnym miksowaniu brzmienie było już zadowolające, a producent po tylu działkach Q, że słoń padłby trupem. Kilka razy częstował mnie skrzącym się czerwonym proszkiem, wciąż zapominając, że nie dalej jak dziesięć minut wcześniej grzecznie podziękowałem. Kiedy w końcu usunąłem mu ten układ nerwowy, wcale mnie nie zdziwiło, że centralny procesor pokrywa dosyć gruba warstewka skryształizowanego płynu mózgowo-rdzeniowego. Do takiego czegoś dochodzi, kiedy jest się uzależnionym od Q, i to wstyd, że nawet po tej najdroższej ze sztuczorgowych implantacji gość nie potrafił pójść po rozum do głowy i zwalczyć tego nałogu.

Powiedział mi, że przed dziewięcioma miesiącami żona zabrała córeczki bliźniaczki i odleciała do ich drugiego domu na Jamajce i że od tamtego czasu jest tu sam jak palec, nie widział żywego ducha, dopóki nie przyszedłem ja, żeby skonfiskować mu mózg. Kontakt ze światem zewnętrznym, z firmami nagraniowymi, z zespołami i całą resztą utrzymywał tylko drogą pocztową, a to najpowszechniejszy ze współczesnych środków komunikacji. W rezultacie przeprowadzane tym sposobem negocjacje niemożliwie

się przedłużały, bo wyjaśnianie wszelkich niejasności i kwestii spornych trwało nawet do trzech tygodni, i to przede wszystkim sprawiło, że na koniec stracił kontakt z rzeczywistością. Tamtego wieczoru zrozumiałem, że prawdziwa samotność to nie brak innych ludzi wokół ciebie. To niemożność szybkiego z nimi kontaktu.

* * *

Dobra wiadomość.

Dziś wieczorem wpadłem do Tajów, a ściśle mówiąc, włamałem się na zaplecze pobliskiej tajskiej restauracyjki, przebrałem w pierwszy lepszy kucharski uniform, jaki wpadł mi pod rękę, i wśliznąłem do kuchni swojej ulubionej knajpki ubrany jak oni tam wszyscy. Parę sekund później, zanim ktokolwiek z personelu się zorientował, że nie jestem Tajem ani w niczym Taja nie przypominam, byłem już za drzwiami z dwoma Pad Kee Mao i jednym kurczakiem Panang w sosie curry za pazuchą. Wracając do hotelu, zgarnąłem jeszcze pojemniczki makaronu z wystawionego przed sklep stosu przeterminowanych artykułów do wyrzucenia. Po drodze spoglądałem w okna okolicznych wysokościowców. Jak człowiek dobrze się przyjrzał, to nawet widział cienie za szybami tych mieszkań i biur, gdzie światło było zgaszone, niewyraźne sylwetki przesuwające się w ciemnościach tam i z powrotem.

Zamiast, jak zwykle, dać od razu nura do swojego pokoju, zatrzymałem się przed Tyler Street Hotel, a potem przysiadłem na krawężniku po drugiej stronie ulicy. Trotuar był zimny, ale szybko się podę mną rozgrzewał, w miarę jak pałaszowałem kurczaka i ogniste curry wyciskało mi na czoło siódme poty. Posiłając się, wodziłem wzrokiem po frontonie wznoszącego się przede mną budynku. Cała sztuka widzenia po ciemaku — naturalnie, kiedy nie ma się noktowizora — polega na tym, żeby bezustannie

poruszać gałkami ocznymi w poziomie. Mogą one wtedy, nawet w smolistych ciemnościach, zarejestrować choćby nieznacznym ruch. Nauczyli mnie tego w ramach szkolenia na czołgach. Nauczyli mnie tam również, jak wypróżniać się bez kucania, popierdywania, a nawet opuszczania spodni, czyli niektóre nabyte w wojsku umiejętności miały praktyczne zastosowanie nawet w cywilu.

Po czterdziestu pięciu minutach tej obserwacji i ciamkania zimnego makaronu uznałem, że można już bezpiecznie wśliznąć się cichcem do hotelu i udać na spoczynek. Ale kiedy wstawałem i byłem w pozycji kucznej, moją uwagę przyciągnęła rozmazana fala ruchu na ostatnim piętrze. Spojrzałem, odwróciłem wzrok i znowu spojrzałem. Tak, to z całą pewnością człekokształtna postać, której wcześniej tam nie było. Zatrzymała się w momencie, kiedy ją wypatrzyłem, ale czułem, że spogląda w dół, tak jak ja spoglądałem w górę.

Wpadłem jak bomba do hotelowego holu.

* * *

Na trzynastym piętrze, nie ustając w biegu, staranowałem z potężnym trzaskiem drzwi na klatkę schodową. W tej sytuacji zachowywanie ciszy nocnej było bezcelowe, mało tego, ja wprost chciałem nastraszyć intruza, który załagał się w moim hotelu.

Penthouse był pusty. Z okien od podłogi do sufitu — jedne nieknięte, inne owszem — roztaczał się widok na podmiejskie slumsy i niewyczerpane możliwości oferowane przez śródmieście jaśniejące w dali feerią światła, ale w pokoju nikogo nie było. Ściany oblepiał ten sam popiół co u mnie, parę pięter niżej, ale te jak by zachowały namiastkę oryginalnego koloru.

Na podłodze nie zebrał się, o dziwo, kurz, a jedyna inna płaska powierzchnia — blat metalowego stolika pośrodku pokoju — była

tak czysta, że nie mogliby jej niczego zarzucić nawet najbardziej nawiedzeni pedanci.

Przemknęło mi przez myśl, żeby zbiec schodami po parę swoich gadżetów, na przykład po detektor podczerwieni, którym mógłbym wykryć ślady utrzymującego się jeszcze ciepła, ale doszedłem do wniosku, że zanim tu wrócę, one i tak znikną.

Poprzestałem więc na staroświeckiej metodzie. Macaniu podłogi i oglądaniu ścian. W poszukiwaniu włosów, ścinków paznokci... Włókien z ubrania.

W korytarzyku, trzydzieści centymetrów nad podłogą, zauważyłem zardzewiały gwóźdź wystający ze ściany. Przykucnąłem, żeby mu się dokładniej przyjrzeć, wyostrzyłem wzrok.

Beź. Przezroczysty. Rozciągliwy. Strzępek nylonu. Ktoś, przebiegając tędy, zahaczył nogą o ten gwóźdź i rozdarł sobie rajstopy.

Czyli, jak zaznaczyłem na wstępie, dobra wiadomość:

Znowu jestem z kobietą.

Rozdział 8

Ośrodek szkolenia czołgistów znajdował się piętnaście kilometrów od bazy, na terenach dawnej winnicy u wybrzeży Amalfi. Podobno marines trzykrotnie prosili właściciela, żeby odsprzedał im tę ziemię. Oferowali godziwą sumkę, którą za każdym podejściem podwyższali, ale nic z tego. Winiarz pozostawał nieugięty i chociaż uprzejmie traktował emisariuszy odwiedzających go z walizkami pieniędzy, to zdania nie zmieniał i za każdym razem odprawiał ich z kwitkiem.

Następną wiosną winnicę tego starszawego jegomościa, ojca trojga dzieci, dziadka ośmiorga wnucząt, a wkrótce również pradziadka, bo prawnuk był w drodze, nawiedziła plaga żarłocznych winolubnych szkodników niespotykanych dotąd na włoskiej ziemi, jakaś szczególna odmiana robactwa zadziwiająco odporna na wszystkie dostępne na rynku pestycydy. Kiedy nadszedł czas winobrania, czyli zbierania owoców całorocznej pracy, w miarę zdrowych gron starczyło na wyprodukowanie zaledwie stu skrzynek wina, podczas gdy normalnie wychodziły ich trzy tysiące.

Dwa miesiące później gość sprzedał ziemię za połowę tego, co mu za pierwszym razem proponowano.

* * *

Na poligon miejsce to nadawało się idealnie; rozległa równina, którą można było dowolnie kształtować za pomocą makiet, otoczona ze wszystkich stron górami odbijającymi potworny huk ciężkiej artylerii, praktycznie niemożliwa do wyszpiegowania, chyba że przez satelitę. Ćwiczyliśmy na niej zwykle po dziesięć godzin dziennie, ale podczas manewrów w symulowanych warunkach bojowych przeciągało się to nawet do kilku dni.

Kiedy przybyliśmy do ośrodka, Tig rozparcelował nas, mnie, Jake'a, Harolda i resztę czołgistów — po barakach. Do naszego trafił Bill Braxton, ten, którego ojciec był dilerem używanych samochodów — łeb miał wielki jak dynia, a więc to może my byliśmy tymi z małymi mózdkami — jak również paru innych chłopaków, których od czasu do czasu widywałem w głównej bazie.

Zamiast standardowych żołnierskich prycz do spania przydzielono nam, chłopakom z Kompanii Czołgów A, tak zwane krzeselka polowe. Były to repliki siedzeń znajdujących się w czołgach marines, wyścielane narzędzia tortur nieróżniące się prawie niczym od tych, w których poddawano nas testowi wstrząsowemu.

— Będziecie na nich spać — oznajmił Tig, ucinając wszelkie uwagi, jakie na ten temat mogliśmy mieć. — I przywykniecie. Zareczam wam, że po miesiącu sypiania na nich tutaj, w bazie, a potem wysiadania przez jeszcze dwa lata w warunkach bojowych nie przypasuje wam już więcej żadne inne łóżko. Kiedy wasza tura dobiegnie końca i nadejdzie pora powrotu do realnego świata, będziecie chcieli zabrać ze sobą swoje krzeselko polowe.

Nie poleżycie, oj nie poleżycie sobie na wznak, bo odruchowo będziecie się zwijali w kłębek. Kończyny same z siebie będą się wam podkurczały i zaczniecie spędzać noce przy stole w jadalni, skuleni na krzesła, wsparci łokciami o ścianę, z kolanami pod brodą. Wasze żony będą zachodziły w głowę, dlaczego nie sypiacie z nimi w łóżku. Będą wymówki, będą awantury, ale wy nie dacie się przekabacić. Teraz może się to wydawać śmiechu warte, ale krzeselko polowe, panowie, stanie się wkrótce waszym najprzytulniejszym gniazdkiem.

Znienawidziłem sukinsyna za te słowa.

Znienawidziłem go po raz wtóry dwa lata później, bo okazało się, że miał rację.

* * *

A skoro mowa o mojej żonie i łóżku, którego nie będziemy już nigdy dzielili:

Listy od Beth przychodziły coraz rzadziej. Wmawiałem sobie, że to wina częstej zmiany ośrodków szkoleniowych, że włoska poczta notorycznie nawala, że sam mało do Beth pisuję. Ale podejrzenia i wątpliwości nasuwały się same.

Co tu się oszukiwać, ożeniłem się z kurwą. Wiedziałem, że spotyka się z obcymi mężczyznami, że ci obcy mężczyźni płacą za przywilej wyprawiania z jej ciałem, co im się żywnie podoba, a dla niej to praca jak każda inna, na przykład na stanowisku księgowej w biurze. Czasami na samą myśl o tym robiło mi się niedobrze, dosłownie zbierało mi się na wymioty, ale przeważnie wmawiałem sobie, że sprowadza się to po prostu do rozchylenia nóg i wprowadzenia całego ciała w stan odrętwienia. Potrzebowała kasy, a mój żołądek nie wystarczał na zaspokojenie jej potrzeb, w tym takiego luksusu jak regularne posiłki.

Ale im dłużej siedziałem na krzeselku polowym zwinięty w pozycję płodową, bez możliwości poruszenia się, rozprostowania nogi ani nawet podrapania się w dupę, tym bardziej uaktywniała się moja wyobraźnia, podsuwając mi najfantastyczniejsze scenariusze. Beth daje nogę z którymś tam klientem. Rzuca wszystko i ucieka do Arktyki. Obsługuje taśmowo cały tabun zielonych беретów — wszystkie chwytły dozwolone, bez dodatkowych opłat, ale płatne z góry.

Po tygodniowej przerwie dostałem od niej krótki list. Pisała, jak zwykle, o swoich rodzicach, o San Diego, o tym, że na ulicznym festynie kupiła sobie słoniowe ucho i przypomniało jej się, jak kilka dni przed ślubem poparzyłem sobie język gorącym olejem ze świeżo usmażonego pączka, bardzo podobnego do słoniowego ucha, tylko nieposypanego cukrem pudrem. Uśmieła się z tego wspomnienia do łez, szkoda, że nie widziałem; ma nadzieję, że wkrótce znowu będziemy razem.

List pachniał, jak zwykle, perfumami, ale tym razem nie tymi, których używała Beth. Ona na takie nawet by nie spojrzała, a co dopiero mówić o pokropieniu się. Były intensywniejsze od jej ulubionych, po dziesięć dolarów flakonik, wonniejsze. Woda kolońska? Skąd woda kolońska na jej liście? Czyżby jakiś mężczyzna, coś więcej niż klient, kochanek, stał za nią, kiedy to pisała? Pieści piersi, wsysa się w szyję, pcha paluchy między jej nogi, w nią, a ona pojękuje z rozkoszy, kreśląc te faryzeuszowskie słowa adresowane do męża, którego dzieli od niej pół świata?

Tak upływały mi noce.

* * *

Rankami, dla odmiany, nie miałem czasu na zadreczanie się tymi głupimi fantazjami. Siedząc w czołgu, pochłonięty obserwowaniem punkcików migoczących na ekranie radaru, zapomniałem

o całym świecie. Przypominało to trochę sen na jawie, ale migotanie mogło w każdej chwili przejść w rozbłyski i jeśli nie namierzyło się w porę celu i nie uprzedziło salwy wroga, to umarł w butach.

Prawdę mówiąc, to na manewrach we Włoszech nikt nie ginął, ale wbijano nam w głowy, że jak się już znajdziemy w Afryce, to wal, zanim ciebie rozwałą. Albo ty jego, albo on ciebie, innego wyjścia nie ma. Jeszcze jedno na kolanie sklecone wojskowe kłamstwo, jak się później przekonałem. W Afryce miało się do wyboru strzelać albo siedzieć cicho i patrzeć, jak nieprzyjaciel przedwcześnie odtrąbia zwycięstwo, a jedynymi, którzy wracali do kraju w foliowych workach, byli nadgorliwcy.

Dostaliśmy tego lekcję trzeciego dnia szkolenia czołgowego. Przez pierwsze dwa dni trwały nudne wykłady, podczas których robiliśmy notatki i próbowaliśmy zapamiętać co bardziej interesujące fragmenty z tego, co mieli nam do przekazania instruktorzy. Po sali fruwały papierowe samolociki. Jeden chłopak toczył pojedynkę na plujki z Billem Braxtonem, a ten nie pozostawał dłużny jego seriom. No, formalnie podstawówka, ale czego innego można się było po nas spodziewać? Starali się nafaszerować nas wiedzą, od mechaniki płynów poczynając, a na balistyce kończąc, a ja mógłbym się założyć, że godzinę po wykładzie żaden z nas nie pamiętał już więcej niż ułamek tego, co usłyszał.

Ale trzeciego dnia podzielono nas na trzyosobowe załogi i kazano wsiadać do czołgów. Pognaliśmy do nich jak pierdaki na dużej przerwie. Zabroniono nam czegokolwiek w środku dotykać; mieliśmy się tylko zaznajomić wzrokowo z wnętrzem wozu bojowego i jego wyposażeniem, na instruktaż, co do czego służy i jak działa, przyjdzie jeszcze czas.

Postępując zgodnie ze wskazówkami dowódców, wcisnąłem

się do czołgu od tyłca i pełzną na brzuchu między zatrząśnieniem rozmaitych urządzeń, rurek i wiązek przewodów, doczołgałem się do przedniego krzeselka polowego. Pożytek z trzech ostatnich nieprzespanych nocy był przynajmniej taki, że wiedziałem już, jak się na nim w miarę szybko i wygodnie usadowić. Siedziałem już w przepisowej pozycji, kiedy się zaczęło.

Dał się słyszeć huk, zaraz potem krzyki i poczułem wyraźny swąd dymu. A kiedy było już po wszystkim, dwudziestojednoletni szeregowiec, którego znałem tylko z widzenia, nie żył.

* * *

To był ten, co strzelał na wykładach plujkami, a więc może nie dosłyszał, kiedy mówiono, że nie wolno nam niczego dotykać ani naciskać, bo w tym czasie wydmuchiwał w owłosione przedramię Billa Braxtona kulkę utoczoną z gumy do żucia i kawałka papieru. Nie wiem, dlaczego pociągnął za tę wajchę, za którą pociągnął, ani dlaczego w ogóle coś tam pociągał, ale pociągnął, i dupa blada. Nie przeżyjesz, jeśli katapultujesz się z krzeselkiem, nie otworzywszy uprzednio włazu, który masz nad głową.

* * *

W penthousie nadal nikogo nie ma; właśnie wróciłem stamtąd z rekonesansu. To już dwa dni od powzięcia pierwszego podejrzenia. Dwa dni zastanawiania się, kim może być ta kobieta, jak wygląda. A jeszcze te nasuwające się same pytania. Na przykład: Ukrywa się czy szuka ukrywającego się? Co myśleć o kobiecie, która nawet w opuszczonym hotelu nosi eleganckie rajstopy?

Podłogi w penthousie nie zdążył jeszcze pokryć kurz, ale wydał mi się, że odkryłem na niej ślad ludzkiej stopy, i sądząc po

wielkości, śmiem twierdzić, że pozostawiła go owa tajemnicza nieznajoma. Znaczy, wróciła po kryjomu. Ale nie na długo.

Jednym z niechirurgicznych gadżetów, w jakie wyposażała nas Credit Union, był detektor ruchu, niezawodny przyrząd o tysiącu i jednym zastosowaniu. Z powodzeniem wielokrotnie go używałem i chociaż starałem się nie posilkować nim dla ratowania własnego życia — szef martwił się, że zbyt nie zdawanie się na technikę stępi moje wrodzone instynkty — postanowiłem go przetestować w praktyce i sprawdzić, czy nie uda mi się czasem wypłoszyć za jego pomocą przybłędy.

Przyrządek ów to kwadracik emitujący z jednego z boków w zasadzie niewidzialną wiązkę światła. W zasadzie niewidzialną, bo zdarza się, że ją widać, między innymi w warunkach silnego zadymienia. Miałem w Union znajomego, który przeniósł się do wieczności, bo tropiony przez niego klient zorientował się, że jest namierzany detektorem ruchu, dzięki swojemu zgubnemu nałogowi palenia cygar; delikwent zobaczył w dymie wiązkę, nałożył maskę gazową, przygotował się i gdy windy wmaszerował pewnym krokiem do środka po zagazowaniu domu, oberwał w potylicę elektryczną gitarą Fendera z 1959 roku, czyli wyprodukowaną w czasach, kiedy rock and roll stawiał pierwsze kroki, a instrumenty muzyczne swoje ważyły.

Wątpię jednak, żeby intruzka z góry paliła, a nawet jeśli, to nie pomoże jej to w wykryciu detektora ruchu; zainstalowałem go nisko, na wysokości kolan, a więc jeśli nie jest karlicą albo inną pokraką, wkrótce w tylnej kieszeni moich spodni powinien się odezwać czujnik.

Zanim dojdzie co do czego, śpię z pistoletami w obu dłoniach.

* * *

Mary-Allen, moja druga żona, nie znosiła broni palnej. Po prawdzie, to nie znosiła żadnej broni i chociaż jej ojciec był odznaczonym za zasługi pułkownikiem, to mieliśmy obaj zakaz rozmawiania o wojsku podczas koktajli, obiadów i deserów. Jeśli chcieliśmy z teściem pogadać o „nauce nienawiści”, jak to określała moja kochająca żona, musieliśmy wychodzić przed dom na mróz — nasze małżeństwo nie dotrwało do letnich miesięcy — i szczekać tam zębami, za jedyne źródło ciepła mając fajkę i tanie papierosy.

Poznaliśmy się, kiedy już trzeci rok byłem biowindykiem, a czwarty przeżywałem swój pierwszy rozwód. Ciągnąłem do łóżka każdą poznaną kobietę i wyżywając się na nich wszystkich, usiłowałem wydobyć z każdej kurwę, ale w żadnej nie mogłem jakoś odnaleźć swojej Beth. Mary-Allen napotkałem na swej drodze, wracając ze zlecenia. Gdyby wiedziała wtedy, gdzie byłem przed godziną i co tam robiłem, to za żadne skarby nie zgodziłaby się za mnie wyjść i wybiegłaby z piskiem z knajpy.

* * *

Sonny DePrimo był synem Harry'ego DePrimo, kuzyna Sonny'ego Abate, zastępcy bossa drugiej pod względem wpływów rodziny mafijnej w Chicago. Te koneksje nie robiły na mnie wrażenia, niepokojący był za to fakt, że Sonny DePrimo tyle spatałaszył, działając w mafii, że ta postanowiła się go pozbyć, pociągnęła za odpowiednie sznurki i umieściła na kursach przyuczania do zawodu prowadzonych przez Credit Union. Sęk w tym, że jako biowindyk okazał się jeszcze gorszym patalchem niż jako mafioso, a pociągało to za sobą o wiele dalej idące konsekwencje. Facet chyba za bardzo się zapatrzył na dawne metody i nie docierało do

niego, że niepotrzebna jatka i rozlew krwi szkodzi i tak już nie najlepszej opinii, jaką miało o nas społeczeństwo. Zagazować, zarekwirować, zniknąć — i nic ponadto.

Na domiar złego praktykował pod okiem Tony'ego Parka, którego odbieranie życia innym niezmiernie rajcowało. Nauka zawodu pod kierunkiem Tony'ego pogłębiła wszystkie najgorsze skłonności Sonny'ego i ten szybko podchwycił styl pracy swojego mentora, dodając od siebie nowy element polegający na biciu klientów przed rekwizycją tego, po co przyszedł, często publicznie, co źle wpływało na wizerunek firmy. Miarka się przebrała, kiedy dostał delikatne zlecenie rekwizycji sztucznej trzustki Klondike P-14 od śmiertelnie chorej córki jednego z byłych burmistrzów Chicago, człowieka cieszącego się jak najlepszą opinią w stanie Illinois i nie tylko. Była już jedną nogą w grobie, zostały jej trzy, może cztery tygodnie życia; dług wobec Union miała, owszem, pokaźny i nie spłacała go, ale było to spowodowane innymi nawarstwiającymi się wciąż kosztami leczenia i serią procesów wytaczanych hienom z mediów próbującym nadszarpywać dobre imię jej ojca. Tutaj wyważona, spokojna windykacja byłaby ze wszech miar wskazana, ale tamtego wieczoru dyżur pod telefonem pełnił biowindyk Sonny.

Wywłókl ją ze szpitala, w którym leżała, wyzywał od najgorszych przez całe pół godziny jazdy El, wciągnął do siedziby Union i dopiero tam wypruł z nieszczęsnej tę klondikę nieprzepisowym nożem Bowie, a potem zostawił konającą dwa metry od drzwi holu, na oczach przerażonych kandydatów na klientów czekających tam w kolejce.

Sonny podpadł Union. Wysłano mnie, żebym przemówił mu do rozumu.

Godzinę później, w kurtce narzuconej na zakrwawioną koszulę, wkroczyłem do Federal Way Diner i poznałem tam dziewczynę, która wkrótce miała zostać moją drugą byłą żoną.

* * *

— Będzie to pani jeszcze jadła? — spytałem ją. Nie sięgała po nietkniętą połówkę kanapki z tuńczykiem, która przed nią leżała, a ja po robocie byłem głodny jak wilk. W kieszeni kurtki miałem starannie złożony we czworo wycinek skóry z szyi Sonny'ego De-Primo. Ci z Union chcieli swój firmowy tatuaż z powrotem. — Pierwsze widzę, żeby ktoś tak się guzdrał z kanapką.

— A ja pierwsze słyszę, żeby obcy człowiek krytykował tempo, w jakim konsumuję posiłki.

— Czyli oboje doświadczamy czegoś po raz pierwszy — podsumowałem, wyczuwając w niej łatwą zdobycz. Nie była tak do końca w moim typie. W odróżnieniu od dzir, które sprowadzałem zazwyczaj do domu, miała w sobie coś szlachetnego, ale może myłę to, co wiem o jej osobowości teraz, z tym, czego oczekiwałem od jej ciała wtedy. Tak czy siak na jedną noc mogła być.

Nie czekając na ripostę, nie przerywając też ani na moment kontaktu wzrokowego, zgarnąłem z jej talerza i pożarłem ze smakiem połówkę kanapki z tuńczykiem. Powieka mi nawet nie drgnęła, kiedy wymierzyła mi siarczysty policzek. I taki był początek naszego krótkiego pożycia. Coś skradzionego, coś przyklepanego.

Może od razu powinienem był wyczuć pismo nosem.

* * *

Do domu wracałem przeważnie o drugiej, trzeciej nad ranem i zastawałem ją siedzącą po turecku pośrodku naszego groteskowego

małżeńskiego łoża z baldachimem, które — nie licząc nocnych lamp, zabytkowej trzydrzwiowej szary i małych mydelniczek na mosiężnych nóżkach — łaskawie wniosła w posagu. Związek z Mary-Allen wymógł na mnie zmianę dotychczasowego stylu życia i to w stopniu, który mnie samego zaskoczył. Na jej antyczne klamoty też przymknąłem oko, bo chciałem, żeby drugie małżeństwo wyszło mi lepiej niż tamto pierwsze.

Kłótnie nie zaczęły się same z siebie. Wchodząc do domu po wyczerpującej nocy, pragnąłem dwóch rzeczy — snu albo seksu. Czasami jednego i drugiego, kiedy indziej tylko jednego z dwojga. Mary-Allen, pogardzająca z zasady moim zawodem, miała do mnie zawsze cały worek pytań.

— Kto to był? — zaczynała. — Gdzie mieszkał? O jaki organ chodziło? Stawiał opór? Płakałeś?

To ostatnie pytanie zadawała zawsze na koniec, a ja zawsze odpowiadałem przecząco. Chyba miała nadzieję, że któregoś dnia coś mi się wypnie, na przykład przyznam, że poryczałem się jak bóbr, a ona wykorzysta to wtedy jako argument do wyperswadowania mi pracy dla Union. Niedoczekanie jej, rzecz jasna, nie mniej próbowała noc w noc.

Z każdym zadawanym przez nią pytaniem stawałem się coraz spokojniejszy, aż w końcu, wkurzona moją obojętnością, najeżdżała na mnie z całą furią. A ja siedziałem zobojętniały na wszystko w fotelu, z przymkniętymi oczami, z kolanami podciągniętymi pod brodę, w swojej ulubionej pozycji.

I może to również powinno mi dać do myślenia.

* * *

Dzieci z sąsiedztwa znowu bawią się na ulicy przed hotelem. Skaczą na skakance i śpiewają. Tym razem melodia i słowa są inne:

*Powiedzcie tacie
Powiedzcie mamie
Że zginą, zanim nowy dzień wstanie
Zmarszczki na twarzy
Pamięć stępiona
Starzec na starczych kolanach kona...*

Nie ma już starych ludzi i korci mnie, żeby krzyknąć im to z góry. Powymierali na serce i różne takie. A nawet jeśli ostał się jeszcze jakiś, to na pewno nie ma własnych starczych kolan.

* * *

Nie słyszałem, żeby ktoś umarł ze starości, no chyba żeby brać pod uwagę tych, którzy ze starości już umierali, ale nie zdążyli, bo śmierć wcześniej ich dopadła. Kiedy byłem drugi rok w wojsku, mój ojciec zmarł na tętniaka mózgu, a osiem lat później mama popełniła samobójstwo. Była jeszcze młodą kobietą, ale przerażało ją życie w samotności. Ciekawe, skąd to wiem.

Harold Hennenson na pewno już nie dożyje podeszłego wieku; ani ten szczawik od plujek. Żołnierze znajdujący się z nim wtedy w czołgu mówili, że katapultował się przy zamkniętej klapie wieżyczki; po prostu usadowił się w krzeselku polowym, zapiął pasy, zaczął pociągać za rozmaite wajchy, pociągnął o jedną za dużo i sekundę później z jego głowy została miazga. Dym, którego swąd wtedy poczułem, pochodził z ładunku wybuchowego, który wyrzuci krzeselko w górę z szybkością przekraczającą sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Zajmowane przez niego krzeselko nie zdążyło, rzecz jasna, rozwinąć tej szybkości; metr i szlus.

Po mszy polowej dostaliśmy cztery godziny wolnego na opłakiwanie kolegi. Większość z nas spędziła te cztery godziny na

swoich krzeselkach polowych i zapatrzona w przestrzeń dociekała, którą wajchę ten dureń pociągnął, oraz obiecywała sobie, że sami nigdy, ale to nigdy podobnego głupstwa nie popełnią. Przyszedł do nas kapelan pocieszać pogrążonych w żalobie, zapytać, czy nie chcielibyśmy czasem wrócić z nim do kaplicy w bazie na zajęcia psychoterapeutyczne z prawdziwego zdarzenia, ale wyśmialiśmy i pogoniliśmy faceta. Nawet sympatyczny był z niego gość, lecz w siłach zbrojnych nie ma miejsca na takie dyrdymały. Zaciągając się, wiedzieliśmy wszyscy i każdy z osobna, że ryzykujemy życie, i śmierć szeregowca, którego żaden z nas nawet dobrze nie znał — kretyna, na dokładkę — spłynęła po plutonie jak woda po gęsi. Tak sobie myślę, że gdybym to ja katapultował się w zaświaty, kapelan zwerbowałby cały tabun załamanych kolegów potrzebujących przez dłuższy czas jego towarzystwa i wsparcia, a tak ojciec McGuigan sam wyruszał w długą podróż powrotną wybrzeżem.

* * *

Cały ten incydent przypomina ponoć okoliczności, w jakich na spotkanie ze swoim muzułmańskim stwórcą udał się Greg Kaszekian, Irańczyk, mój sąsiad z naprzeciwnika. Plotki plotkami, ale skoro usłyszałem, jak było, z ust sierżanta Ignakowskiego, a Tigowi wierzę bez zastrzeżeń, to chyba mogę tu z czystym sumieniem przytoczyć jego słowa.

Byliśmy już w Afryce, kończył się pierwszy — i jak się potem okazało, pierwszy z nielicznych — dzień naszego udziału w prawdziwej wojnie. Po swojej stronie mieliśmy sześciu rannych i dwóch zabitych, nieprzyjaciel poniósł nieporównywalnie większe straty w ludziach. Istna rzeź, podobne wcześniej oglądałem tylko na historycznych kanałach w telewizji.

My z Jakiem utłukliśmy osobiście, lekko licząc, osiemdziesięciu dwóch tamtych. Wiem, bo Jake za każdym razem wydawał z siebie dziki triumfalny ryk i odhaczał trafienie na wewnętrznej ścianie wieżyczki czołgu niezmywalnym markerem, który właśnie w tym celu kupił we Włoszech. Stanowiliśmy zgraną załogę; ja prowadziłem, on strzelał i tak wspólnie w zespół odciskaliśmy swój ślad na pustyni.

Nazajutrz było już po bitwie. Rozpierająca nas euforia domagała się podlania czymś mocniejszym. Tig nie był zwolennikiem alkoholowych libacji, ale rozumiał, że jego żołnierze muszą jakoś rozładować napięcie, siedział więc z nami, popijając wodę z butelki i patrząc z pobłażaniem, jak zalewamy się w trupa.

Harolda, chłopaka z Bronksu, któremu pozostały zaledwie czterdzieści dwa dni życia (tylko skąd mógł o tym wiedzieć), nie widziałem jeszcze tak ożywionego; był tego dnia dowódcą czołgu jadącego na szpicie, lustrował przez peryskopy przedpole i prowadził nas przez wydmy. Harold pierwszy zauważył podejrzane punkciki na horyzoncie i zanim reszta czołgów zdążyła dopełznąć na szczyt wydmy, on i jego załoga dwoma pociskami kierowanymi wyeliminowali z walki dwa wraże bataliony, a oprócz tego zaliczyli jeszcze około setki innych potwierdzonych zabitych.

Wiwatowaliśmy; wznosiliśmy toasty; śpiewaliśmy piosenki o naszych dokonaniach i męstwie. Byliśmy jak wikingowie, a pod względem waleczności i bezwzględności mogliśmy się śmiało równać z najlepszymi z nich.

Tig wyszedł z namiotu za potrzebą. Ja też czułem już parcie na pęcherz, więc wyszedłem za nim.

— Aleśmy im, kurwa, popędzili kota — powiedziałem, jak pamiętam. Sikałem, a pustynny piasek falował mi przed oczami; sprawka wiatru albo whiskey.

— Dobry dzień mieliśmy. — Tig klepnął mnie w plecy.

— Zwyczajnie ich znokautowaliśmy, nie? Dwustu pięćdziesięciu ośmiu potwierdzonych.

— Co tam liczby. Obudziłeś się dziś rano, a wieczorem położysz się spać. To jest w moim słowniku dobry dzień.

Od paru miesięcy wyznają filozofię Tiga.

* * *

Ta rozmowa zeszła nie wiadomo jak i kiedy na rodzinne strony i tym podobne, a kiedy powiedziałem Tigowi, skąd pochodzę, ten zmrużył oczy. Z miejsca domyśliłem się, że coś słyszał o moim miasteczku, a było to dziwne o tyle, że o jego istnieniu nie mieli nawet pojęcia ludzie z tamtych szerzej pojętych okolic.

— A Kaszekianów znasz? — zapytał Tig.

— Grega, Tilly? No pewnie.

I wtedy Tig opowiedział mi, jak naprawdę zginął ten buc.

Greg Kaszekian zaciągnął się do wojska zaraz po ukończeniu szkoły średniej. Pozostał aroganckim gnojkiem, ale teraz miał broń, mundur oraz nowe pole do popisywania się swoją posturą i siłą. Podobnie jak ja wybrał piechotę morską i podobnie jak ja zdał śpiewająco test wstrząsowy. Wychodziło na to, że w naszym miejscu zamieszkania jakiś czynnik sprawia, że dzieci rodzą się z dużymi głowami i małymi mózdkami; może coś nie tak z wodą w kranach.

Tig opowiadał, że Greg już pierwszego dnia zaimponował reszcie plutonu swoją szczupłą sylwetką i bicepsami kulturysty. Wszyscy stali się nagle jego najlepszymi kumplami, z otwartymi gębami słuchali jego opowieści o wygranych meczach i dziewczynach, które przeleciał, a Tiga krew zalewała, no bo weź tu zmusz jednego z drugim do rzetelnego wypełniania obowiązków służbowych, kiedy jemu w głowie futbol i dziewczynki. Tig, podobnie jak ja, od pierwszej chwili zapalał antypatią do mojego sąsiada,

tylko że jemu regulamin nakazywał traktować go na równi z resztą kotów.

Irańczyk okazał się również niezrównanym działonowym czołgu. Potrafił dostrzec i zidentyfikować cel z nieprawdopodobnej odległości. Skończył szkółkę z jedną z najwyższych ocen, jakie kiedykolwiek wystawiono kandydatowi do służby w marines na tym właśnie spręcie i awans na stopień kaprała zaraz po powrocie ze swojej pierwszej tury w Afryce miał praktycznie w kieszeni.

O ile dobrze pamiętam, jego matka wraz z prochami otrzymała certyfikat pośmiertnego awansu.

* * *

— W Afryce było wtedy spokojniej — opowiadał tamtego wieczoru Tig. — Oni nie zaczęli jeszcze stosować broni biologicznej, a my nie zrzucaliśmy na veld bomb zapalających. W Nairobi sytuacja była stabilna. Nie dochodziło jeszcze do poważniejszych starć i większość czasu upływała nam na manewrach i płytkich rekonesansach. Czołgi snuły się, co prawda, po pustyni, ale ze ślełą amunicją, i przez dwa tygodnie nikt nie zginął.

Osiemnasty dzień, a nieprzyjaciela ani widu, ani słyhu. Zaczynało nam to doskwierać. Znajomy znajomego któregoś z sierżantów z zaopatrzenia przemycił kopę świerszczyków. Kaszekian poczuł w sobie Świętego Mikołaja, wykupił całą partię i rozdał kolegom.

W środku nocy ogłoszono próbny alarm. Pluton zerwał się z prycz i wskoczył do czołgów, żeby pędzić nimi przez piaski do bazy wypadowej oddalonej o dwadzieścia kilometrów od obozu. Ja wsiałem do transportera półgąsienicowego i jechałem obok grupy, obserwując z flanki przebieg ćwiczeń i robiąc notatki dla oficerów z dowództwa, którzy je zarządzili.

Jesteśmy już w połowie drogi i naraz słyszę huk detonowanego ładunku. Patrzę, a tu powietrze tną smugi z dysz wyrzutnika — z pobliskiego czołgu ktoś się katapultował z krzeselkiem polowym. Oniemiały patrzyłem, jak krzeselko wzlatuje w niebo, nieruchomieje tam na ułamek sekundy, a potem spada jak kamień na ubity piasek. Spadochron się, kurwa mać, nie otworzył.

Odruchowo gaz do dechy i gnam półgąsienicowcem na miejsce wypadku, klnąc w duchu czołgi, katapultowane krzeselka i zawodną technikę. Dochodzenie i przesłuchania będą się ciągnęły tygodniami. Ileż to papierkowej roboty zwali mi się na łeb.

Dojeżdżam i co widzę? Tego cholernego Kaszekiana; połamany, zalany krwią, wciąż przypięty do krzeselka polowego, portki opuszczone do kostek, gacie do kolan, w jednym ręku trzyma rozłożony numer „Hootenanny Hooter Review”, drugą ściska swojego kapucyna. Nie żył, ale wyglądał na szczęśliwego.

* * *

Morał z tej historii: Bywa, że kaktus wyrastający ci na dłoni to najmniejsze z twoich zmartwień.

* * *

Nieoficjalnie ustalono, że Greg Kaszekian — bohater wojenny, tatuś nieślubnym dzieciom, amerykański patriota — robił użytek z rąk, kiedy powinien był na nich siedzieć, coś tam niechcący potrącił i wyekspediował się w niebo ze śmiertelnym skutkiem. Oficjalnie była to przypadkowa awaria sprzętu i wszystkie zainteresowane strony zapewniono, że wojsko nie spocznie, dopóki nie wyjaśni przyczyny problemu. Źle by się stało, gdyby naród dowiedział się, że jego zbrojne ramię jest, jakie jest, a więc sprawę szybkoitko wyciszono.

Nie powiem, żeby mi było żal Grega Kaszekiana, ale nie cieszyłem się z jego śmierci ani nie powtórzyłem nikomu, w jaki sposób zginął. Uznałem, że rzuciłoby to cień na całe siły zbrojne i ja, pomimo niechęci, jaką żywiłem i żywię wobec tego palanta, nie będę podsuwał rozmaitym dowcipnisiom pretekstu do nabijania się z wniebowstąpienia Irańczyka.

Po powrocie z Afryki poszedłem na jego grób i znalazłszy na nagrobku słoik wazeliny, a obok egzemplarz „Hootenanny Hooter Review”, które ktoś tam wcześniej położył, cholernie żałowałem, że to nie ja byłem tym kimś.

* * *

Jeśli chodzi o literaturę fachową, to dziś rano udało mi się zaskosić z biblioteki parę książek, z których miałem nadzieję wyczytać sposób na przydybanie tej dzikiej lokatorki. Najbardziej obiecujące z tej kolekcji wydało mi się dzieło Jamesa McQuarry'ego *Zastawianie sidła i sztuka przetrwania*, bo już sam tytuł zawierał w sobie wszystko to, do czego sprowadza się ostatnio całe moje życie. Niestety, w książce tej, wydanej na początku dwudziestego wieku, znaleźć można więcej przepisów na potrawkę z wiewiórki niż na moją obecną sytuację; może nada się chociaż na podpałkę, jeśli zamarzy mi się kiedyś rozniecić ognisko.

Ukradłem również *Przygody szwajcarskiej rodziny Robinsonów*, tę książkę bardziej do czytania dla przyjemności niż jako podręcznik, chociaż przypomina mi się ze szkoły jeden taki fragment...

* * *

Nieprawdopodobne. Zadziwiające. I jeszcze raz nieprawdopodobne.

Godzinę temu, kiedy wystukiwałem na maszynie ten akapit o szwajcarskiej rodzinie Robinsonów, w tylnej kieszeni moich spodni zawibrował odbiornik wykrywacza ruchu. Podskoczyłem i obróciłem się, bo przemknęło mi przez myśl, że to ani chybi jakaś franca, która załęgła się w Tyler Street i zaraz ugryzie mnie w dupsko. Dopiero po chwili przypomniało mi się, co oznacza to bzyczenie. Zerwałem się na równe nogi i wybiegłem na korytarz, chwytając po drodze mausera do obrony na odległość oraz garotę na wypadek, gdyby doszło do walki wręcz.

Pędziłem po schodach w górę, biorąc po trzy, cztery stopnie naraz i starając się robić przy tym jak najmniej hałasu. Do penthouse'u dotarłem mocno zdyszany i zasapany — kilka ostatnich miesięcy odcisnęło się piętnem na moim układzie krążenia, który działał dotąd z precyzją szwajcarskiego zegarka — ale sztuczne serce nadal funkcjonowało bez zarzutu, tak jak to gwarantowano w broszurach reklamowych. Wpadłem do korytarzyka na ostatnim piętrze i chwyciłem za gałkę u drzwi prowadzących do penthouse'u w pełni świadomy, że w apartamencie za nimi może się czaić wszystko, od myszy polnej po zastęp biowindyków z Credit Union, którzy mnie obezwładnią, wydrą serce, a zwłoki wrzucą w foliowym worku do zbiorowej mogiły dla ubogich na miejscowym cmentarzu. I nagle naszły mnie wątpliwości, czy naprawdę poczułem buczenie w tylnej kieszeni spodni, czy był to tylko wytwór mojej chorej wyobraźni.

Trzymając mausera w obu wyciągniętych przed siebie rękach, odbezpieczyłem go i kopnąłem drzwi.

* * *

Z moich pięciu żon cztery były nad podziw pyskate. Wszystkim czterem i każdej z osobna należał się złoty medal w krasomówstwie, a języczki miały cięte i kiedy naszedł je odpowiedni nastrój,

potrafiły przygadać człowiekowi tak, że mu w pięty szło. Jediną wyciszoną z nich była moja trzecia ekszona, Melinda, i pozostała taka aż do końca.

Co prawda potyczki słowne pomiędzy mną a moimi byłymi połowicami nie uratowały żadnego z moich małżeństw przed rozpadem, ale wydaje mi się, że dodawały trochę pieprzku nudnej skądinąd domowej egzystencji. I chociaż każde małżeństwo kończyło się zapychaniem mojej skrzynki pocztowej plikami dokumentów rozwodowych, to każdy z tych związków zapoczątkowywała długa konwersacja:

Beth: Po jednym seksnumerku płatnym i dwóch za friko.

Mary-Ellen: Po tym, jak podjadłem jej kanapkę z tuńczykiem, a ona mnie za to spoliczkowała.

Melinda: Kiedy wparowałem do domu starców, w którym pracowała, żeby dokonać rekwizycji jarvikall na osobie jej ulubionego pensjonariusza.

Carol: Kiedy uciekaliśmy z płonącej restauracji.

Wendy: Na cmentarzu, po pogrzebie jej ojca.

I teraz wygląda na to, że jeśli chodzi o wygadane kobiety w moim życiu, to do ich listy będę mógł dopisać jeszcze jedną:

Bonnie: Kiedy mierzyliśmy do siebie czule z broni.

Rozdział 9

Miałem ją na muszce. Stała pośrodku apartamentu na lekko rozstawionych nogach, prawa ręka wyprostowana, w niej stary sześciostrzałowiec podtrzymywany lewą, lufa ani drgnie. Łabędzia szyja, lśniący kok z ciasno związanych blond włosów, pojedyncze pasemko uparcie opada na oczy, i jest zmuszona zdmuchiwać je raz po raz, bo przesłania widok. Ma na sobie brązową wełnianą kurtkę z postawionym kołnierzem, który sięga linii szczęki. Twarz pociągła, kanciasta, ale jest w niej jakaś łagodność, która coś mi przypomina, tylko nie wiem co. Dżinsy na biodrach opięte, a od kolan rozszerzane.

— Co robisz w moim hotelu? — spytałem bez wstępów, przekraczając próg pokoju.

Potrząsnęła wymownie rewolwerem, kliknął odwodzony kurek.

— Mieszkam tu od czterech miesięcy — odparła i chociaż starała się, by zabrzmiało to przekonująco, wychwyciłem w jej głosie fałszywą nutkę. — A ty?

— A ja pięć — oświadczyłem. Minęły najwyżej dwa.

— Kłamiesz.

— Ty też.

Nadal mierzyliśmy do siebie, ja do niej z pistoletu, ona do mnie z rewolweru. Ręka, nienawykła do trzymania kogoś tak długo na muszce, zaczynała mi cierpnąć, tricepsy leciutko drżały; nie mogłem wyjść z podziwu, że stojąca przede mną kobieta nie zdradza żadnych oznak zmęczenia.

Lustrowała mnie — co tam lustrowała, wprost pożerała wzrokiem. Jej spojrzenie zatrzymało się na moment na moim kroczu, potem na klatce piersiowej, a ja czułem się coraz bardziej nieswojo, bo dopiero teraz zaczynałem sobie uświadamiać, o co chodziło feministkom przez te wszystkie lata.

W końcu jej uwagę przykuł tatuaż na mojej szyi. Trudno go było przeoczyć, jeszcze trudniej nie rozpoznać. Większość ludzi zareagowałaby na jego widok szokiem, przerażeniem, gniewem, a ona powiedziała tylko:

— Jak przypuszczam, nie od dziś go nosisz.

— Dobrze przypuszczasz.

— Nadal w zawodzie?

— Nie. Już nie.

Kiwnęła głową.

— Tak myślałam.

I znowu wychyciłem w jej głosie coś dziwnego. Nie tyle w tonie, ile w doborze słów i sposobie, w jaki formułowała wypowiedzi. Były krótkie i wężłowate — może aż za bardzo.

Czas płynął, a ja wciąż trzymałem mausera w uniesionej, wyprostowanej ręce, palec drętwiał mi na spuście. Ta ręka z każdą sekundą coraz bardziej mi ciążyła i musiałem mobilizować całą siłę woli, żeby jej nie opuścić.

— Słuchaj — powiedziałem w końcu — to się robi nudne...

— Może dla ciebie. Jak cię tak nudzi, to odłóż broń.

— I co wtedy?

— Wtedy prawdopodobnie cię zastrzelę — odparła. — Ale niekoniecznie.

Uniosłem pistolet wyżej.

— Nie chcę ci zrobić krzywdy — zapewniłem.

— To się cieszę.

Na skrzyżowaniu, trzynaście pięter pod nami, utworzył się korek. Wycie samochodowych klaksonów docierało do penthouse'u, tworząc kakofoniczny podkład dla rozgrywającej się między nami scenki. Doszło tam do kolizji trzech samochodów. Na miejsce wypadku przedzierały się już karetki.

— Dużo sztuczorgów ukradłeś? — spytała, postępując pierwszy krok w moją stronę. Był zdecydowany, ale dziwnie sztywny.

— W życiu niczego nie ukradłem.

— Czytałam fragmenty tego twojego maszynopisu — powiedziała i mój jarvik zabił szybciej na wieść o takim świętokradztwie. Zakładałem dotąd, że weszła, zostawiła mi to krótkie upomnienie i zaraz potem wyszła; nawet nie pomyślałem, że grzebała w moich rzeczach. — Wiem, czym się zajmujesz. Czym się zajmowałeś. Kreujesz się na męczennika.

— Opowiadam tylko, jak to naprawdę było.

— Prawo nie zabrania spisywania wspomnień przed zejściem — przyznała i zrobiła kolejny krok, a mnie się wydało, że słyszę charakterystyczny trzask i kliknięcie sztucznego stawu kolanowego.

— Ale zabrania nielegalnego posiadania broni. Czy to nie dobry powód, żebyśmy ją odłożyli.

Zacisnęła te swoje pełne wargi i zerknęła znowu na mojego mausera.

— Ty pierwszy.

Kiwnąłem głową.

— Jeśli mi powiesz, jak ci na imię.

— Bonnie — odparła po chwili zawahania. — Zadowolony?

— Zadowolony. — Odłożyłem broń, też się przedstawiłem, a potem usiedliśmy, żeby omówić naszą sytuację.

* * *

Okazało się, że Bonnie rezyduje w Tyler Street Hotel od niecałych pięciu tygodni i zanim wprowadziła się do penthouse'u, zaliczyła pobyt pod kilkoma innymi numerami. Na początek znalazła sobie dwupokojowy apartament na dziewiątym piętrze, który stosunkowo niewiele ucierpiał podczas pożaru, a przynajmniej tak jej się wydawało do czasu, kiedy wróciła kiedyś z wyprawy do piekarni i stwierdziła, że połowę jej dobytku przysypała góra tynku z łuszczącego się sufitu w głównej sypialni. Potem przeprowadzała się kilka razy do rozmaitych, standardowych już pokoi na różnych piętrach, ale żaden nie zapewniał prywatności, na jakiej jej zależało; ten był za blisko przebiegającej dołem ulicy, w tym samym czasie spaliła się izolacja, wskutek czego za dnia było w nim duszno, w nocy zimno, a przez cały czas głośno i tak dalej.

— Dopiero tutaj, na samej górze, znalazłam to, o co mi chodziło — wyznała, kiedy odłożywszy broń, usiedliśmy naprzeciwko siebie na podłodze penthouse'u. Siadała z gracją, ale z jakąś taką ostrożnością, jakby była z porcelany i bała się wyszczerbić na krawędziach. — Mogę tu sobie trochę pohalasować bez obawy, że usłyszą mnie na ulicy, co zaś do innych mieszkańców hotelu... to oni mi niestraszni.

Bonnie — mówiąc głównie o sobie, ale takimi ogólnikami, że udawało się jej jakoś nic konkretnego nie powiedzieć — monologowała z tą ciepłą beztroską, która tak mnie w kobietach pociągała. Jak już raz zaczęła, to końca nie było widać. Nie robiła przerw, żebym i ja mógł wtrącić coś od siebie, nie pytała, czy mnie czasem nie nudzi, czy za nią nadążam, czy chcę tego dalej słuchać. Mimo wszystko nie wyglądało mi to na mówienie dla samego mówienia;

wyczuwałem, że jest autentycznie zainteresowana zbliżeniem i chociaż zdawałem sobie sprawę, że można to złożyć na karb kilku miesięcy wymuszonego odosobnienia, to i tak czułem się dowartościowany.

Przez dwie godziny rozprawialiśmy o świecie zewnętrznym, o obfitującym w krakusy skrzyżowaniu przed hotelem, o opłakanym stanie naszego aktualnego miejsca pobytu, o filmach, muzyce, sztuce, znajomych — cały czas o kimś, byle nie o sobie — aż w końcu przeprosiłem i udałem się na poszukiwanie działającej toalety. Kiedy wróciłem, Bonnie już w penthousie nie było.

* * *

Mam słabość do kobiet, które dają mi kosza. Im bardziej mi pod tym względem dopieka, tym bardziej mnie do nich ciągnie i tym bardziej podnieca mnie perspektywa ujrzenia ich ponownie. Moim ideałem jest Cyganka występująca w cyrku, która nie zapuściła korzeni w żadnym mieście ani kraju, a jej popisowym nume-rem jest znikanie w pudle magika, pozorowanie własnej śmierci i przynajmniej trzykrotny pobyt za kradzież danych osobowych w aresztach, z których notorycznie ucieka.

Fakt, mógłbym dać takie ogłoszenie do gazet, ale wątpię, czy moja wymarzona kobieta by na nie odpowiedziała.

* * *

Beth też miała w zwyczaju znikać, ale wtedy wszystkie te jej zniknięcia, obojętnie, pod jakim pozorem, stawały się pożywką dla mojej wybujałej wyobraźni. Na przykład gdy zostawiała mi wiadomość, że wyjeżdża na weekend do Tijuany, wyobrażałem ją sobie natychmiast w tamtejszym lupanarze obsługującą

dziesięciu klientów naraz, zainkasowawszy wcześniej po sto pesos od łebka. Jeśli mówiła, że jedzie w odwiedziny do mamusi, wyobraźnia podpowiadała mi od razu, że pod tą „mamusią” kryje się jej „nowy fagas”, i w mojej wyobraźni nie spędziła tych kilku dni na zakupach, jak twierdziła, ani nie przegadała ich z koleżanką, tylko leżała z twarzą wgniecioną w poduszkę jakiegoś frajera, który rznął ją z zapamiętaniem od tyłu.

Wysyłałem pocztówkę za pocztówką — tekstu co kot napłakał, za to jaki podtekst. Prosiłem, żeby częściej do mnie pisała, najlepiej długie listy, o czymkolwiek, byleby własną ręką i z własnym podpisem u dołu. Chciałem ich dostawać sześć, nawet siedem dziennie. Chciałem, żeby wojsko wyczarterowało specjalny samolot transportowy, który dostarczałby mi dzień w dzień korespondencję od mojej kochającej żony. Chciałem obciążyć amerykańską pocztę dziesięciokilogramową górą papieru. Jeśli będzie całe dnie pisała list za listem, kombinowałem sobie, nie będzie miała czasu na seks.

I na dziesięć swoich kartek, nazwijmy je listami, dostawałem w odpowiedzi jedną. Tak więc zwiększyłem ten kontyngent do dwudziestu, potem do trzydziestu, ale im więcej tego wysyłałem, tym rzadziej Beth mi odpisywała. Śmiem twierdzić, że przez sześć pierwszych miesięcy pobytu na pustyni napisałem i wysłałem do San Diego do mojej ukochanej żony ze trzysta kartek i listów.

Od niej dostałem osiemnaście.

Któregoś wieczoru, w przypiływie zazdrości, wprawivszy się paroma kolejkami whiskey w sarkastyczny nastrój, wysmażyłem swoją ostatnią pocztówkę:

Najdroższa Beth, napisałem, jeśli chcesz, żeby Twój mąż szczęł marnie na pustyni, podczas gdy jego żona

daje dupy facetom z całej południowej Kalifornii, to uprzejmie proszę, powiedz mu to w pierwszej wolnej chwili bez owijania w bawełnę, a on doloży wszelkich starań, żeby Twojemu życzeniu jak najszybciej stało się zadość.

Podłożyłem się, oczywiście. Odpowiedź przyszła tym razem szybko.

Jak sobie życzysz.

Do kartki pocztowej przypięte były dokumenty rozwodowe.

* * *

Ale w trakcie szkolenia na czołgach łudziłem się jeszcze, że moje listy do domu robią swoje, że Beth, choćby pod ich wpływem, prowadzi się, jak na wierną żonę przystało, i byłem dobrej myśli. Tig, a po nim reszta dowództwa szybko stwierdzili, że mam dryg do prowadzenia czołgu, na bakier zaś u mnie z obsługą działa, zostałem więc zaszufladkowany jako kierowca, po czym musiałem przejść ćwiczenia z wszystkimi po kolei zakwalifikowanymi na działonowych, w celu ustalenia, z którym najlepiej będzie mi się układała współpraca.

Pewnego dnia posadzili za mną Harolda. Ucieszyłem się, że mam znajomka na pokładzie, ale ta radość nie trwała długo.

— Skręcaj w lewo! — wołał zza moich pleców. — Nie mogę celować, kiedy jedziesz w prawo!

— Nie mogę w lewo! — wrzeszczałem, usiłując przekrzywić harmider wzniecany przez sześciotonowy pojazd. Nie dali nam hełmofonów, które zresztą nawet na polu bitwy częściej się psuły niż działały, a więc jedyną formą kontaktu głosowego we wnętrzu czołgu był krzyk. — Po lewej jest głęboki rów!

— No to weź się zatrzymaj i obróć! — on na to. — No, obróćże się!

No to się obracałem, ale z rozmysłem nie w tę stronę co trzeba, żeby mu pokazać, kto tu rządzi.

Zastanawiam się czasami, czy gdyby nie ta moja przekora, Harold żyłby jeszcze. Gdybym go choć raz posłuchał, poszedł na współpracę, dowództwo przydzieliliby go może do mojego czołgu, a nie do tamtego, w którym zginął.

Ale Harold tak mi wtedy zamącił w głowie i tak mnie wkurwił, że w końcu i tak stoczyliśmy się z wydmą,

* * *

Na weekendy odsyłali nas do głównej bazy. Podejrzewam, że nie chcieli wysłuchiwać dłużej, niż musieli, naszego jojczenia na niewygody związane z sypianiem na krzeselkach polowych. W bazie balowaliśmy ze starymi kumplami z plutonu, robiliśmy sobie dwudziestoczęterogodzinne wypadki na włoską wieś, staraliśmy się zrozumieć cokolwiek ze świata zewnętrznego. Ale, naturalnie, kończyło się to zawsze w wiadomych miejscach, na robieniu wiadomo czego.

Nie każdemu z chłopaków z naszego plutonu przypasował przydział, jaki dostał, ale Jake Freivald po prostu rozkwitał. Z tego chudego nowojorskiego cwaniaczka robił się żołnierz pełną gębą, a podstawowe procedury postępowania na polu walki cytował z pamięci tak, jakby opowiadał sprośny dowcip. Czasami nawet łączył jedno z drugim w jednym zdaniu. Dowództwo zauważyło te jego predyspozycje i zaangażowanie i przydzieliło go dodatkowo do drużyny zwiadu.

— Zwiad to jest to — orzekł pewnego wieczoru, kiedy siedzieliśmy nad dzbanem taniego czerwonego wina. — Zupełnie jak na filmach, które oglądaliśmy jako smarkacze, tylko więcej.

— Czego więcej? — spytałem.

— Wszystkiego. Więcej broni. Więcej taktyki. Więcej jazzu.

Poprosiłem, żeby to sprecyzował, przybliżył mi plusy i minusy służby, która jego zdaniem była o niebo ciekawsza od telepania się w czołgu, ale on nabrał wody w usta.

— Ściśle tajne, stary — odparł tylko i widząc moją urażoną minę, dolał mi wina z dzbanka. — Coś ci powiem — podjął po chwili. — Jeśli ujdziemy stąd z życiem i za dziesięć lat wciąż będziemy się kumplowali, to zdradzę ci wszystko, co tylko chcesz wiedzieć o patrolach i zwiadzie, zgoda?

Przypieczętowaliśmy umowę uściskiem dłoni.

* * *

Było to czternastego listopada. Dokładnie dziesięć lat później pociągnąłem w Union za parę sznurków, żeby odzyskanie kompletnego układu trawiennego od byłego futbolisty z Milwaukee przydzielono Jake'owi i mnie. Roboty mieliśmy w tym miesiącu od groma i nie widzieliśmy się od dwóch tygodni, a więc na początek trzeba było nadrobić towarzyskie zaległości, opowiedzieć sobie nawzajem, co się w tym czasie wydarzyło i jakie zlecenia obskoczyliśmy. Moją żoną była wówczas Melinda i Jake z upodobaniem robił sobie śmichy-chichy z mojego życia erotycznego, żartując, że znowu zaprzągłem swojego konia do felernej fury.

Zaczekałem, aż klient się ustabilizuje — dwumetrowiec, sto czterdzieści kilo żywej wagi, i dzięki Bogu, że mieliśmy ze sobą więcej niż dwa paralizatory, bo ten drab ciągnął więcej prądu niż bożonarodzeniowa choinka przed Białym Domem — i dopiero kiedy zabieraliśmy się do krwawej ekstrakcji, przypomniałem Jake'owi, co to za dzień.

— Dziesięć lat minęło, ha? Obiecałeś... — Pokręcił głową,

bardziej poruszony moją pamięcią do dat niż szybkim upływem czasu. — Zleciało tych dziesięć latek, ani się człowiek obejrzał — ciągnąłem, skupiony na wycinaniu futboliście z przełyku aluminiowego cewnika; z jednej strony nie chciałem uszkodzić czorga, z drugiej odstawić do Union czegoś, co w myśl prawa do firmy nie należało. — A ja przez cały ten czas czekałem, fantazując, coś ty robił albo czegoś nie robił na polu walki. A więc teraz musisz mi powiedzieć — no, jak było w tym zwiadzie?

Skalpel, odłożony przez Jake'a na niepobrużdżone czoło unieruchomionego klienta, zakołysał się tam i z powrotem jak huśtawka na placu zabaw.

— Wtedy wydawało mi się, że jest fajnie. Że niebezpiecznie, podniecająco. Podkradać się, typować cele do ostrzału, rozpoznawać nieprzyjaciela. O takim czymś marzy każdy szczył, zanim z tego wyrośnie. — Zamilkł na chwilę, a potem dodał beznamietnym tonem: — Jednak w porównaniu z pracą dla Union to zwiad jest jak małe piwo przed śniadaniem.

* * *

I to by było na tyle, jeśli chodzi o złudzenia. Mam za sobą zbyt długą historię niespełnionych oczekiwań, żeby liczyć na to, że tym razem z Bonnie wyjdzie mi lepiej. Po pierwsze, ona mnie olewa i chociaż lubię tego rodzaju traktowanie ze strony kobiet, to zdaję sobie sprawę, że z taką, która notorycznie znika, nie można wiązać żadnych planów na przyszłość. Po drugie, zupełnie do siebie nie pasujemy. Ja bieliznę zmieniam, w najlepszym wypadku, raz na cztery tygodnie; ona po każdej kąpieli, czyli co najmniej dziesięć razy częściej ode mnie. Ma całą kolekcję sukienek, a do tego sześć par rajstop, i przebiera się w nie, zmieniając kombinacje przynajmniej co wieczór, a przecież jeśli szczęście jej nie opuści,

nikt oprócz mnie jej nie zobaczy. Na dodatek, jako mężczyzna o, lekko licząc, piętnaście lat od niej starszy i poszukiwany przez Credit Union nie jestem raczej najlepszym kandydatem na męża. Wendy, moja piąta eks, szybko to zrozumiała.

Ale kiedy przed dwoma godzinami Bonnie zajrzała do mojego pokoju i zaprosiła do siebie na kolację, nie miałem nic przeciwko.

— Mógłbyś wziąć ze sobą jakiś obrus? — spytała. — Meble w mojej jadalni trochę przyrdzewiały.

Zanim ubrany w swój strój wyjściowy — składający się z jedynej bawełnianej koszuli, jaka mi została, oraz jasnych popeliniowych spodni, które nie przesiąkły jeszcze charakterystycznym odorkiem i nie były poplamione krwią — wspiałem się na górę z brezentową plandeką pod pachą, Bonnie zdążyła już rozstawić i zapalić świece, z których każda oświetlała mały kącik pokoju, środek pozostawiając w półmroku. Cienie tańczące po jej żółtopomarańczowej letniej sukience podjudzały ją jakby do zapalenia górnego światła.

Rozpostarłem plandekę, strzepnąłem i kiedy zarzucałem ją na metalowy stolik stojący pośrodku, powietrze przeciął jakiś mały lśniący metalowy obiekt. Bonnie uchyliła się, obiekt śmignął jej koło ucha i wbił się w ścianę za nią.

— Wybacz — mruknąłem, wrywając skalpel z gipsowo-kartonowej ścianki działowej i zatykając go sobie za pasek. — Myślałem, że już go stąd wyjąłem.

Bonnie postawiła rondel z makaronem na małej, jednopalnikowej kuchence gazowej, a mnie zapędziła do siekania warzyw. Gdzieś, sobie tylko znanym sposobem, zdobyła pomidory, cebulę, kolendrę, no po prostu wszystko, co wchodzi w skład idealnego sosu marinara, którego przyrządzenia postanowiła mnie nauczyć. Z początku używałem plastikowego noża do smarowania, jedyne narzędzia tnące, jakie miała, ale robota niesporo mi szła,

więc sięgnąłem po skalpel i od razu poczułem się w swoim żywiole. Kiedy z zapalem podjąłem siekanie, Bonnie nic nie powiedziała, ale co chwila zerkała na mnie spod oka.

Dla kogoś, komu podniebienie nie buntuje się już przeciwko traktowaniu odpadków wykradzionych ze śmietnika zdziczałym kotom jako normalnego cowieczomego posiłku, świeży makaron polany sosem marinara to istne niebo w gębie. Jadłem, a właściwie pożerałem, prawie się nie odzywając, makaron, nie tracąc czasu na jego gryzienie, byle jak najszybciej dostarczyć organizmowi składników odżywczych.

— Ską o wzieaś? — wymamlałem z pełnymi ustami.

— Z bazaru sześć przecnic stąd — wyjaśniła Bonnie.

— I tam wyszucają takie delicje? Nie do wiay.

Spojrzała na mnie dziwnie.

— Wyrzucają?

— Aha — mruknąłem, podejmując jej grę. — Znaczy, zwędziłaś. Gratulacje.

I znowu trafiłem kulą w płot.

— Nie, nie — zachnęła się. — Poszłam tam po południu i kupiłam.

Jak mogłem kiedykolwiek rozważać związek z tą kobietą. Nawet nie mówiliśmy tym samym językiem.

* * *

Dopiero kiedy skończyliśmy pączowe ciasto, które również kupiła — nie ukradła, lecz naprawdę kupiła, teraz już wiedziałem, w prawdziwym sklepie z kasą, kolejką do niej i w ogóle — wychwyciłem znowu ten dziwny tembr jej głosu i chcąc nie chcąc, zapytałem, skąd się bierze.

— To vocom — odparła.

— Co takiego?

— Moja sztuczna krtań — wyjaśniła. — A ściślej mówiąc, expressor firmy Vocom, jeden z najnowszych modeli.

Teraz już wyraźnie słyszałem w słowach, które wypowiadała, coś mechanicznego, nienaturalnie idealnego, sztucznego, żadnego seplenienia, żadnych zacięć. No, bajka. Vocom to renomowana firma z fachowym działem obsługi klienta.

A Bonnie, żeby nie pozostać gołosłowną, wyjęła z kieszeni małego pilota zdalnego sterowania. Rozmiarami był zbliżony do pilota od mojego jarvika, ale miał o wiele więcej klawiszy i skal. Coś tam nacisnęła, czymś pokręciła i przemówiła nie swoim głosem.

— Ma czterooktawową modulację częstotliwości — zahuczał aksamitny, głęboki bas.

— Często z tego korzystasz? — spytałem.

— Ostatnio często — zapiszczała jak wiewiórka, nastawiwszy inną częstotliwość pracy urządzenia. — Zmiana głosu bardzo się przydaje, kiedy człowiek chce uniknąć zdemaskowania.

Miałem na swoim koncie windykację paru aparatów firmy Vocom, ale ich odzyskiwanie zleca się zazwyczaj duchołapsom, bo sztuczorg ten ma funkcję nagrywania wszystkiego, co powiedział klient przez ostatnich czterdzieści osiem godzin. Coś jak czarna skrzynka instalowana w samolotach, tyle że Vocom Expressor rejestruje jedynie to, co mówi klient, głosu rozmowy nie nagrywa. W rezultacie transkrypcje z vocomów są z natury rzeczy jednostronne i trzeba tak zwanych specjalistów od konwersacji, żeby choć w przybliżeniu odtworzyć jej przebieg.

Pewnego razu, już u schyłku mojej kariery zawodowej, dostałem zlecenie na odzyskanie pęcherza moczowego od klienta firmy

Kenton, który przekroczył przyznany mu okres zawieszenia spłat o dobre cztery miesiące. Uprzedzono mnie, że facet zadłużył się na maksa u rozmaitych producentów w mieście, ale ja mam mu skonfiskować tylko i wyłącznie kentona. Nawet gdybym po rozcięciu gościa zobaczył sztuczny żołądek albo płuco, o których mi wiadomo, że również nie są spłacane, mam je zostawić tam, gdzie są. Niektórzy wykręcają takie numery; to wolni strzelcy, którzy wycinają wszystko, na co natrafiają, w nadziei, że hurtownia odpali im za to prowizję, ale ja trzymałem się zasad i skoro w zleceniu stało, że mam odzyskać pęcherz Kentona, to tylko pęcherz Kentona i nic poza tym.

Jedni, kiedy się ich otworzy, leżą nieruchomo; inni rzucają się jak ryby wyciągnięte z wody. Windycy nazywają tych pierwszych zdechłymi śledziami, drugich — baraszkujejącymi tuńczykami. Tamtego gościa, jeśli chodzi o aktywność ruchową, przyrównałbym do pstrąga w agonii, bo chociaż przepisowo go zagazowałem, przez cały czas coś tam mędził. Wstrzyknąłem mu dodatkowo ampulkę torazyny, potem potraktowałem paralizatorem, a ten, chociaż zupełnie już sztywny, dalej swoje o tym, jak to mu przykro, że się poprawi. Nie przymknął się nawet, kiedy wbiłem mu skalpel głęboko w brzuch. Nie wiedziałem, o czym bredzi, i nie mnie to nie obchodziło. Rzecz w tym, że ja lubiłem pracować w ciszy, a jego głośnienie mnie rozpraszało.

Pęcherz był na miejscu, w idealnym stanie. Sięgnąłem po szczypce i w tym momencie usłyszałem w pokoju echo kobiecego głosu; odruchowo, zakrwawioną ręką, wyszarpnąłem zza pazuchy kurtki colta i obróciłem się na pięcie, składając do strzału.

Nikogo.

Wróciłem do pracy. Kolejne cięcie i sekundę potem uszy poraził mi głęboki, basowy krzyk narastający do wrzasku, ale wciąż

utrzymany w niskich tonacjach. Znowu półobrót z gotowym do strzału rewolwerem w garści i znowu nic.

Rozluźniłem się. Skoncentrowałem. Spojrzałem na klienta i wsłuchałem w jego mamrotanie. To chyba on był źródłem wszystkich tych głosów. Żeby się upewnić, przeciąłem mu skalpelem szyję. Bluznęła nowa rzeka krwi, w głębi zalśnił srebrzyście vocom. Nie był to model Expressor — te pojawiły się na rynku stosunkowo niedawno — lecz starego typu Communicator, którego teraz już się nie produkuje. I naraz poczułem i usłyszałem, jak coś kruszy się z trzaskiem pod moim butem. Spojrzałem na podłogę. Deptałem pilota zdalnego sterowania vocomem; przez cały ten czas osobiście, bezwiednie, zmieniałem tembr głosu, strasząc samego siebie.

Jakimś sposobem, zupełnie przypadkowo, uruchomiłem funkcję odtwarzania i wyjaśniło się wreszcie, dlaczego ten palant nawija jak nakrecony — sztuczna krtań powtarzała jakąś wcześniej zarejestrowaną rozmowę. Ponieważ nie potrafiłem dociec, jak się to kurewstwo wyłącza, chcąc nie chcąc, podjąłem pracę przy akompaniamencie tej ścieżki dźwiękowej podkreślonej na fuli.

Kiedy uporałem się z upychaniem odzyskanego pęcherza do styropianowego pojemnika ochronnego i zbierałem do opuszczenia miejsca windykacji, klient z pewnością już nie żył; nie oddychał, nie podrygiwał, nie wyczuwałem tętna. Ale vocom, twarde sztuczorgisko, nadawał w najlepsze:

— Kotku, przecież wiesz, że cię kocham! — krzyczał nieboszyk, kiedy zamykałem za sobą drzwi frontowe. — Wróć, przysięgam, że się poprawię.

* * *

Między innymi to samo obiecywałem Melindzie, kiedy ode mnie odchodziła — że się poprawię, że będzie mogła zapomnieć o

bólu, niepokojach i zgryzotach, jakich przysparza notorycznie nieobecny ciałem i duchem mąż, chociaż dobrze wiedziałem, że tej obietnicy nigdy nie dotrzymam. Tak jest zawsze z moimi obietnicami: jedna połówka mózgu przysięga na wszystko, druga potajemnie śmieje się z tego w kułak.

Dopiero tamtego wieczoru, dwadzieścia lat później, zdałem sobie sprawą z konsekwencji złamania obietnicy danej Melindzie. Ale jak mogłem je przewidzieć?

* * *

Kiedy Bonnie napomknęła, że vocom nie jest jej jedynym sztu-czorgiem, od razu przemknęło mi przez myśl, że może i ona, podobnie jak ja, ma jarvika zamiast naturalnego serca. Zanim jednak zdążyłem ją nakłonić do zwierzeń na temat implantów, jakie jej wszczepiono, Bonnie ściągnęła brwi i przekrzywiła lekko głowę jak pies, który łowi uchem odległe ujadanie pobratymców. Uciszyła mnie szybko, kładąc delikatnie palec na ustach, i podbiegła na palcach do okna penthouse'u.

Podszedłem tam za nią i spojrzałem na przebiegającą w dole ulicę. Nie dostrzegałem niczego niezwykłego, ale milczałem, zdając się na jej intuicję. Wszystkie, prócz jednej, latarnie uliczne dawno się już, ku ucieście okolicznych chuliganów, poprzepalały, trotuary tonęły w mroku, ciemno choć oko wykol.

Nie patrz, wyczytałem z ruchu warg Bonnie, odsuwającej się od okna. Słuchaj.

Nastawiłem uszu. Stłumione z powodu odległości szczekanie psa. Mąż wydzierający się na żonę, że gdyby rznąła się choć w połowie tak dobrze, jak gotuje, to częściej sypiałby w domu. Samochód skręcający z piskiem opon na skrzyżowaniu.

Pokręciłem głową i wzruszyłem ramionami na znak, że nic szczególnego nie słyszę.

Bonnie złapała mnie za ucho — palce miała zimne, odniosłem wrażenie, że na mojej małżowinie zaciskają się długie zmrożone patyki — i pokręciła nim.

— Naturalne? — spytała szeptem.

Kiwnąłem potakująco głową.

— Ojej... — Zabrzmiało to tak, jakby współczuła mi z powodu mojego nieudoscionalenia. Sięgnęła do kieszeni kurtki, pogrzebała w niej, pobrzękując jakąś metalową drobnicą, i wyciągnęła miniaturowe słuchawki — przewód z dwoma końcówkami.

Wzięła mnie pod brodę, zmusiła, żebym na nią spojrział, przyciągnęła do siebie i wetknęła końcówki słuchawek w uszy. Wszystkie dochodzące z zewnątrz odgłosy wcięło na amen, słyszałem tylko własny oddech. Bonnie popatrzyła na mnie pytająco; kiwnąłem głową na znak, że wszystko w porządku. Przewód od słuchawek zwisał luźno do samej podłogi.

Zerknąłem znowu na ulicę — czyżbym dostrzegł tam jakieś poruszenie? Człowiek? — i nagle wrócił mi słuch. Ale była w nim teraz jakaś głębia. Nasycenie. Do mojej świadomości docierały obecnie dźwięki, których wcześniej nie słyszałem, wypełniając uszy niebywałym zgiełkiem. W tym mieszkaniu, gdzie awanturowało się jakieś małżeństwo, było małe dziecko; błagało rodziców, żeby przestali, żeby tatuś już nie krzyczał na mamusię. Pies w oddali szczekał na pomiauującego cichutko kota.

Obejrzałem się. Kabelek od moich słuchawek nie majtał się już po podłodze, lecz tkwił w uchu Bonnie, przywodząc na myśl węża wpelzającego do nory. Podszedłem bliżej i zobaczyłem w płatku jej ucha wążutką szczelinę o krawędziach połyskujących metalicznie w blasku księżyca, miniaturowy panel sterujący sąsiadujący

z bębenkiem był przesunięty, co umożliwiło wprowadzenie przewodu. Na małżowinie widniało firmowe logo Vocomu — złoty liść.

— Sztuczne ucho? — domyśliłem się. Mój głos wrócił do mnie echem tego, co usłyszała Bonnie... co ja słyszałem... co słyszeliśmy oboje.

— Jedno i drugie — odparła i jakieś szczególne zdudnienie w jej głosie sprawiło, że odniosłem wrażenie, jakbym to ja powiedział. — A teraz przymknij się i słuchaj.

Podczas gdy ja koncentrowałem się na odgłosach dobiegających z ulicy w dole, Bonnie dokonywała jakichś operacji na paneliku sterowania w swoim uchu. Po chwili dźwięki z otoczenia uległy wzmocnieniu, szumy się wykasowały. Jakość odbioru była niebywała, zważywszy na rozmiary słuchawek; Bonnie jednym ruchem palca mogła mnie pozbawić naturalnego słuchu, ale była ostrożna, i po chwili nie słyszeliśmy już ani psów, ani rodzinnych kłótni, ani samochodów, tylko bekanie karaluchów i chichot myszy.

W miarę stopniowego wzmacniania, filtrowania i dostrajania cichły powszednie odgłosy miasta, aż w końcu ponad te, które się ostały, wybił się ten pojedynczy dźwięk: wysokotonowy, świergotliwy, falujący lekko pisk, taktowany miarowo wyraźnymi piknięciami. Muzyka elektroniki, którą natychmiast rozpoznałem. Jej źródłem mogło być tylko jedno urządzenie, nieodłączne narzędzie biowindyka, postrach wszystkich nierzetelnych klientów.

Namierzano nas skanerem.

Rozdział 10

Wyrwałem słuchawki z uszu i przypadłem do podłogi z pistoletem w garści. Magazynek zdążyłem sprawdzić i wepchnąć go z powrotem, zanim moje kolana zderzyły się z podłogą. Zerknąłem na Bonnie, która stała nadal w oknie i była łatwym celem. Skinąłem na nią, żeby poszła za moim przykładem, a kiedy nie zareagowała, chwyciłem ją za rękę i pociągnąłem w dół. Wyrwała mi się, roześmiała i pokręciła głową.

— To daleko — powiedziała. — Kogoś innego namierzają, nie nas.

— Przecież słyszałem... to gdzieś tutaj, w budynku, na dole...

— Tak, na dole, ale trzy kilometry stąd. To mam nastrojone na bliskie odległości — powiedziała, wskazując na lewe ucho — a to na dalsze; nieprawidłowość wychwyciłam prawym uchem. Są teraz za daleko, żeby nas nakryć.

Sprawdzałem swój pistolet, przygotowując się do walki. Ona nadal zachowywała się nonszalancko.

— Odległość nie jest tutaj żadną przeszkodą — powiedziałem.

— Zasięg skanera to dwieście metrów...

- Standardowego. Ale takich staroci nikt już nie używa. To ją wreszcie ruszyło; odsunęła się od okna.
- A jaki mają używane teraz? — spytała.
- Wystarczający.

* * *

Dopuszczalny przez prawo zasięg skanera rzeczywiście nie może przekraczać dwustu metrów w linii prostej. Sąd Najwyższy nęka ustawicznie branżę biowindyczą wyrokami za jego samowolne poszerzanie, argumentując, że zbytnio narusza to prawo obywateli do prywatności. Cytuje się rozmaite poprawki do konstytucji — nie bardzo wiem które — i Union od lat szuka uporywie jakiejś furtki.

Ale na palcach jednej ręki można policzyć biowindyków, którzy posługują się legalnymi skanerami. Mamy własny czarny rynek, kwitnący biznes przestrajania fabrycznych ustawień urządzenia tak, by jego zasięg dochodził nawet do trzech kilometrów, jak również wyposażania go w funkcję skanowania wielokierunkowego. Skaner, którego używałem jako jeszcze czynny biowindyk — nazywałem go Beth, bo potrafił obsługiwać kilka osób za jednym zamachem — nastawiony był na dwa i pół kilometra i podawał mi w odstępie paru sekund fakty oraz liczby dotyczące sztuczorgów pięciu różnych klientów. Przekalibrował mi go Jake za ułamek czarnorynkowej ceny.

Skaner Jake'a, o ile dobrze pamiętam, miał zasięg prawie pięciu kilometrów. Za podrasowanie zapłacił ponad pięćdziesiąt patyków, ale twierdził, że było warto. Raz namierzony klient już mu się nie urwał. Nie miał szans. Powód dobry jak każdy inny, żeby nigdzie nie wychodzić.

* * *

Rozważałem gorączkowo, czy zdążę zbiec po schodach do siebie po swój arsenał, a jak zdążę, to lepiej tam zostać, czy od razu dać dyla, a tymczasem inicjatywę przejęła Bonnie. Zgarnęła z podłogi granatową plandekę i skierowała się do drzwi prowadzących na korytarz.

— Uciekasz? — spytałem.

— Niezupełnie — odparła.

— Jak chcesz wojny, to masz ją jak w banku. Z facetami z Union nie ma przelewów. Plandeka na nich nie wystarczy.

— Wiem — powiedziała Bonnie — ale dobrze znam swój hotel. Schodzimy na dół. Wyjawię ci tam swoją małą tajemnicę.

* * *

Okazuje się, że skaner Tony'ego Parksa ma zasięg ponad czterech kilometrów i to mu dzisiaj aż nadto wystarcza. Usłyszałem go, zanim zobaczyłem. Wstępował po schodach ciężko, nie bawiąc się w podchody. Kiedy zmachany wspinaczką, dysząc i posapując, skręcił z podestu szóstego piętra w korytarz, powtarzające się pikanie jego skanera przybrało na sile, częstotliwość piknięć też się zwiększyła.

— Co tak hałasujesz?! — zawołałem. — Na wypadek gdyby ci się śpieszyło, jestem w sześćset cztery.

W uchylających się drzwiach pojawiła się najpierw jego czerwona chamska gęba. Zaglądał z korytarza do pokoju, tak jakby spodziewał się jakiejś zasadzki. Jakby brał mnie za takiego, co się na niego rzuci z pazurami.

A ja jak gdyby nigdy nic siedziałem sobie po turecku pod ścianą na wprost drzwi. Na gołych deskach podłogi, w zasięgu mojej prawej ręki, spoczywał paralizator. Pośrodku podłogi leżała granatowa plandeka zabrana przez Bonnie z penthouse'u, a na niej wałyły się w nieładzie, jak po wielkim pikniku, brudne talerze i sztućce.

— Afiszuj się tak dalej, jak ci życie niemile — upomniałem Tony'ego. — Mógłbyś czasem wziąć na wstrzymanie. Pierwsza zasada biowindyka: Co nagle, to po diable.

Tony wsunął się do pokoju 604 i odchrząknął.

— Znajdujesz się w posiadaniu czegoś, co nie jest twoją własnością. I przysłano mnie tu, żebym ci to odebrał.

Zauważyłem, że tatuaż na jego czole wzbogacił się o drugą błyskawicę.

— Mały awansik, jak widzę, Tony — powiedziałem, wciąż spokojny jak Pacyfik.

— A żebyś wiedział, pacanie. Od kiedy takie dupoludy, jak ty, zaczęły się migać od roboty, jest jej po pachy.

— Cieszę się, że mam w tym swój udział — odparłem, wstając i teatralnie rozcierając mięśnie ud. — No to co? Jedziemy z tym koksem?

— Jedziemy — burknął Tony i sięgnął po paralizator.

— Cały ty — westchnąłem i oparłem się o parapet hotelowego okna.

Podziałało. Tony się zjeżył. Zawsze miał wobec mnie kompleks niższości; usprawiedliwiony zresztą.

— Niby, kurwa, co to miało znaczyć?

— Nic. Może tylko to, że mnie dopadłeś w zamkniętym pomieszczeniu, jesteśmy tu tylko my dwaj, żadne zasady nie obowiązują, nie trzeba wypełniać formularzy, masz wreszcie okazję zrobić to, co zawsze ci się marzyło, a mimo wszystko chcesz pójść na łatwiznę. To cały ty, tyle tylko powiem.

Chyba się pokapował, że go prowokuję, ale nie dało mu to nic do myślenia. Był ode mnie cięższy o dobre piętnaście kilo samych mięśni; w uczciwej walce nie miałem z nim najmniejszych szans. Na szczęście ta nie miała być uczciwa.

Tony nie podjął dyskusji; ryknął tylko jak hipopotam, pochylił

głowę i zaszarżował na oślep z zamiarem powalenia mnie bykiem na podłogę i wydarcia serca gołymi rękami. Nie odskoczyłem, ugiąłem tylko nogi w kolanach, markując gotowanie się do przyjęcia ciosu na klatkę piersiową. Tony, kłusując przez pokój 604 wprost na mnie, nastąpił na rozpostartą pośrodku granatową plandekę...

I wraz z nią oraz trzaskiem przegniłych desek podłogi, które maskowała, runął jak kamień w dół, znikając mi z oczu. Talerze i sztuce poleciały w ślad za nim, bombardując ściany coraz niżej położonych pokoi, bo pod masywnym cielskiem Tony'ego zarywały się kolejne przegniłe podłogi. Kiedy z głuchym łomotem wyładował wreszcie w pokoju 204, nie miałem większych wątpliwości, że mamy go już z głowy — i nie tylko my. Zbiegniemy teraz na drugie piętro, upewnimy się, czy już po nim, a jeśli się okaże, że nie, własnoręcznie dokończymy dzieło.

Przynajmniej tak to sobie zakładaliśmy.

Bonnie, która przez cały ten czas kryła się z obrzynem w ciemnym kącie, na wypadek gdyby Tony postanowił obieć plandekę, wyszła teraz z cienia, stanęła na skraju dziury i zajrzała do niej.

— Nie rusza się — stwierdziła i obdarzyła mnie uśmiechem tak słodkim, że zrobiło mi się ciepło na duszy. — To był numer.

Chciałem coś powiedzieć, ale w tym momencie zatrzeszczało drewno i z podłogi wystrzeliły drzazgi. Bonnie, czując, że grunt usuwa się jej spod nóg, próbowała odskoczyć, ale było już za późno. Deski nadwerężone upadkiem Tony'ego załamały się teraz pod jej ciężarem. Oniemiały patrzyłem, jak znika mi z oczu w dziurze.

* * *

Jak już wspomniałem, mam słabość do kobiet, które znikają. Tyle że one nie znikają zwykle tak pionowo.

* * *

Spadła na Tony'ego i korzyść z tego była podwójna. Po pierwsze zamortyzowało to upadek, po drugie przyczyniło się do wzmożenia i tak już obfitego wewnętrznego krwotoku Tony'ego. Kiedy zbiegłem na dół i wpadłem do pokoju 204, z nosa Tony'ego ciurkała nieprzerwanie krew, a z klatki piersiowej dobiegało bulgotanie. Nieraz słyszałem już takie odgłosy — jeszcze chwila i zadławi się własną krwią. Nie przepadałem za tym facetem, ale daleko mi do sadysty, i chociaż byłem pewny, że jest nieprzytomny, to innego wyjścia nie widziałem. Sięgnąłem po skalpel i skróciłem jego męki dobrze wymierzonym pchnięciem. Momentalnie wyzionął ducha.

Z Bonnie sprawa była zupełnie inna. Krew i płyn z czorga płynęły z rany na jej prawej nodze; spadając na wyprostowane nogi, rozwalila sobie sztuczne kolano. Było za ciemno, żebym mógł dokładnie obejrzeć uszkodzenie, ale i tak ani myślałem zabierać się tu i teraz do naprawy. Po głowie chodziło mi tylko jedno: skoro znalazł nas Tony Park — skoro udało się to temu troglodycie z tatuażem na czole — to resztę kadry Union też z pewnością mamy już na karku.

Pora zmienić klimat.

Rozdział 11

Odnoszę wrażenie, że mieściła się tu kiedyś pralnia samoobsługowa; co prawda nie ma tu już pralek ani suszarek, ostały się za to pomazane farbą w sprayu automaty do sprzedaży napojów, od których zalatuje bardziej detergentami niż uryną, co w tej części miasta jest ewenementem.

Na wpół wlokłem, na wpół prowadziłem Bonnie ulicami, wymierzając jej od czasu do czasu policzki, żeby mi po drodze nie zemdląła. Im dłużej przebywaliśmy na ulicy, tym bardziej rosło prawdopodobieństwo, że namierzy nas przypadkowo jakiś bio-windyk skanujący okolicę w poszukiwaniu swoich klientów. Cały swój arsenał — no i oczywiście, moją wierną maszynę do pisania Underwood, na której wystukuję teraz te słowa — dzwigałem w podróźnej torbie i brzemień tego żelastwa w połączeniu z ciężarem zwisającej mi bezwładnie u ramienia Bonnie znacznie spowalniały marsz.

Ale ta meta wydaje się stosunkowo bezpieczna — mały, zamknięty na klucz pokój na zapleczu głównej sali, z wyjściem na znajdujący się od tyłu zaułek, umożliwiający w razie czego szybką ewakuację. Z ulicy na główną salę prowadzą tylko jedne drzwi z przydymionego szkła, przez które widać dosyć dobrze, co dzieje

się na zewnątrz, a niewiele z tego, co w środku.

Bonnie wciąż śpi. Kiedy się obudzi, popracujemy nad tym kolaniem. Na razie piszę. Czuję, że z każdym dniem pęta coraz bardziej się zaciska. W końcu ktoś wykopie spode mnie stółek, ale do tego czasu będę przelewał wszystko na papier. Wiem, to staroświeckie podejście, ale tylko ono mi pozostało. W zaistniałej sytuacji wolę już, żeby uznano mnie za osobnika starej daty, niż zupełnie zapomniano.

* * *

Kiedy pocztą przyszły dokumenty rozwodowe od Beth, poprosiłem o czterdziestoośmiogodzinną przepustkę i poszedłem w ostry cug. Spora część tych dwóch dób upłynęła mi na molestowaniu właściciela miejscowego, sąsiadującego z bazą, sklepiku z alkoholami, żeby sprzedał mi jeszcze choć jedną butelczynę. Bombardowany moimi argumentami dochodził w końcu do wniosku, że się mnie tak łatwo nie pozbędzie, dawał za wygraną i na odczepnego sprzedawał mi a to dwie pinty tequili, a to piątą flaszkę szkockiej, a to skrzynkę tego afrykańskiego piwa o dziwnym smaku. W stanie alkoholowego upojenia musiałem mieć nieraz do czynienia z Antoniem, tym starym Italiańcem, któremu tak się podobało moje ubranie, bo psiocząc i pomstując na kurwę, która mnie rzekomo obrobiła, całkiem goły wróciłem do bazy. Dodam tylko, że było już ciemno, a temperatura na afrykańskiej pustyni spada po zmroku do dwóch stopni Celsjusza.

Na szczęście świadkiem mojego powrotu do bazy nie stał się nikt z dowództwa. Nadziałem się tylko na Tiga, który kazał mi iść do baraku i odespać przepustkę na polowym krzeselku. Kiedy w końcu otrzeźwiałem na tyle, by wróciła mi władza w kończynach,

Tig zapędził mnie do szorowania kibla, a to idealne miejsce na wychodzenie z włoskiego kaca z uwagi na bliskość wiadomego przeznaczenia porcelanowych muszli. Ledwie zarzygałem i wyczyściłem na glans jedną, znowu zbierało mi się na pawia i byłem gotowy do zanieczyszczenia drugiej.

Wyprawianie takich brewerii z powodu jakiejś baby — prostytutki, na dokładkę, a dobitniej, kurwy — przez człowieka, który dziesięć lat później bez najmniejszych skrupułów wytnie dziecku sztuczne płuco, bo jego tatuś miesięczną ratę za ten sztuczorg przepułał na wyścigach psów, może się wydawać bez sensu, ale byłem wtedy jeszcze młody i głupi, i ubzdurało mi się, że utraciłem jedyną kobietę, którą potrafiłbym kochać do grobowej deski.

Potem było już lepiej.

* * *

Dzień, w którym zginął Harold Hennenson, był gorący. Oczywiście, na pustyni dzień w dzień jest gorąco, ale jak pamiętam, tego popołudnia skwar był szczególnie dojmujący, pot ciurkał mi po policzkach, zanim jeszcze wlałem do dusznego czołgu. Zjedliśmy pożywne śniadanie, na które składały się opakowane w folię standardowe racje żywnościowe, i kiedy wymienialiśmy między sobą przypuszczenia co do rzeczywistego składu posiłku, przyszedł rozkaz kontynuowania trwających już od tygodnia manewrów.

Powiedziano nam, że nieprzyjaciel wycofuje się szybciej, niż my jesteśmy w stanie nacierać, i naszemu dywizjonowi wyznaczono zadanie zajęcia w jak najkrótszym czasie jak największej połaci wrogiego terytorium. Wojsko nie uznaje stref buforowych; ziemia niczyja to dla nich próżnia, którą w każdej chwili mogą wypełnić interesy innych państw, a Ameryka, tłumaczono nam,

nie chce kręcić na siebie bicza z piasku, czyli robić sobie nowych wrogów.

Gnaliśmy za nimi z uniesionymi wysoko lufami, widząc tylko zadki wiejących przed nami watah. Opór próbowało nam stawiać tylko paru snajperów i porąbanych religijnych fanatyków. Pamiętam, jak kiedyś zastąpił nam drogę gośćiu, który wyskoczył zza jedynej w okolicy palmy — jedyne drzewa — jedynej rośliny w promieniu wielu kilometrów — i cisnąc palcem spust uzi, słał serię za serią w kierunku zbliżającej się falangi amerykańskich czołgów. Wywrzaskiwał coś przy tym w swoim języku, ale nie wiem, czy był to ichni religijny okrzyk bojowy, czy dziecinny wierszyk; za cholerę nie zrozumieć, co ci ludzie szwargocą.

Nie wiem, kto pierwszy wziął go na celownik, ale trzy nasze czołgi, jednocześnie, odpaliły po jednym wartym milion dolarów pocisku z naprowadzaniem cieplnym. Każdy eksplodował w rozbłysku ognia, zmieniając kawał pustyni w twardą szklistą bryłę z zatopionymi w niej prochami samotnego strzelca.

Trzy pociski, jeden człowiek: współcześni marines w akcji.

* * *

Ale w dniu, kiedy zginął Harold, nie było żadnych fajerwerków ani aktów heroizmu, tylko tyraliera czołgów pełną gębą w gąsienicę po pustyni, gigantyczna ława metalu prąca niepostrzymanie przez Czarny Łąd. Byliśmy podzieleni na plutony po osiem wozów w szeregu, a cała formacja rozciągała się prawie na pięć kilometrów. Działonowi siedzący z tyłu udawali, że wypatrują z wieżyczek nieprzyjaciela, choć z góry było nam wiadomo, że się nie pojawi.

Ja koncentrowałem się na terenie przede mną oraz na mapie topograficznej, trójwymiarowym hologramie z nałożoną nań siatką jasnozielonych linii, która unosiła się przed moim krzesłem

polowym. Każdy z naszych wozów reprezentowała kropka — mój niebieska, Harolda czerwona i tak dalej — a wzgórza i doliny pustyni wyrastały przed moimi oczami na długo przedtem, zanimczołg zaczął się na nie wspinać lub w nie zjeżdżać, dzięki czemu mogłem, podobnie jak inni kierowcy, zawnazasu obrać kierunek.

Łączność radiowa znowu szwankowała. Każdą próbę jej nawiązania z załogami innychczołgów zagłuszały zakłócenia elektrostacyjne, jako tako działał tylko wewnętrzny interkom. Było to zjawisko powszechnie w Afryce występujące; niektórzy zwalali winę na piasek, a konkretnie na burze piaskowe. Ja podejrzewałem raczej wady konstrukcyjne sprzętu, co przy sprzyjających nepotyzmowi wojskowych procedurach przetargowych było nieuniknione, ale się z tą swoją opinią nie wychylałem. Ponieważ hełmofon źle działał, mogłem się porozumiewać z Jakiem, który siedział za mną przy dziale, ale nie miałem kontaktu z sąsiednimiczołgami.

Zdarzało się jednak od czasu do czasu, że trzaski cichły, a wtedy docierały do mnie strzępy rozmów prowadzonych w którymś z pobliskichczołgów i robiło mi się lżej na duszy, bo okazywało się, że inne załogi, myśląc, że nikt ich nie słyszy, bajdurzą między sobą o tym samym co my: o pieniądzach, dziewczynach i o tym, co byśmy z nimi robili.

— Jak tam sytuacja za nami? — spytałem przez interkom Jak-e'a, który zabijał czas wypatrywaniem i rozgniataniem wszelkich pechowych owadów, jakie postanowiły wybrać drogę na skrót przez okular jego peryskopu.

— W porządku. Jak zwykle. Tylko drugi szereg cholernie się powypaczał, jada każdy sobie. Tig zdrowo by im skopał dupska, gdyby to zobaczył.

— Pies ich drapał — orzekłem. — Grunt, że sami trzymamy szyk.

Pamiętam, że zaraz potem wywołałem pomocniczą wersję mapy topograficznej i obok tego pierwszego, dużego, pojawił się drugi, mniejszy, hologram. Oryginalna mapa przewijała się w przód, a ta wstecz, odtwarzając drogę, którą przebyliśmy. Za nami sunął przez pustynię drugi szereg kolorowych punkcików, chociaż trudno było toto nazwać szeregiem, bo rzeczywiście na bakier było tam z trzymaniem linii prostej.

W słuchawkach trzaski, a zaraz potem głos działonowego z czołgu obok, szczawika z Omaha o imieniu Percy, który po wyjściu do cywila większość życia spędzi za kratkami:

— Mam łączność z drugim szeregiem. Zwalniają po prawej.

— Dlaczego?

— Nie bardzo rozumiem. Jakaś... jakiś... uskok tam jest...?

Nad pierwszymi dwoma pojawiła się trzecia mapa — znowu pustynia, wskazanie wysokości rosło dziwnie ostro. Przesunąłem kolana do takiej pozycji, żeby mieć całą mapę po prawej. Uspokajająco niebieskie cyfry na wyświetlaczu wysokości mapy pociemniały szybko do migającej czerwieni. Przekręciwszy mapę o pełne dziewięćdziesiąt stopni, zobaczyłem jasnozielone linie tnące śmiało powietrze w ciasnocie czołgu i odwzorowujące zbocze oraz prawie pionowe urwisko, którym kończyła się wydma, jak się później okazało, najwyższa, jaką kiedykolwiek widziano w Afryce. Czołg Harolda właśnie się na nią wspinał.

— Nie skręcają! — zawołał Percy. — Nie widzą, w co się pakują?

— Jak mają widzieć, skoro już tam są! — wrzasnął jakiś inny działonowy i w tym momencie łączność się pogorszyła, powróciły trzaski zakłóceń. — Jest ogromna... nie widzę... ale...

Ale czołg Harolda wspinał się dalej na wydnię, a jego załoga

nie miała pojęcia, że od krawędzi dzieli ich jeszcze niespełna trzy-
sta metrów — nie wiedziała nawet, że mają przed sobą taką kra-
wędź i że za nią otwiera się przepaść. Dane topograficzne zbiera-
ne z radarów poszczególnych czołgów po przetworzeniu zapew-
niały kierowcom pełną orientację w terenie. Jeśli te dane nie
spływały do komputera pokładowego — i właśnie to, jak ustaliła
później komisja powołana przez marines, było przyczyną kata-
strofy czołgu Harolda — to kierowca nie widział, co ma bezpo-
średnio przed sobą, zwłaszcza kiedy pokonywał wzniesienie.
Wiązka radarowa nie skręca ani nie odbija się od chmur.

Łączność na chwilę się poprawiła. Korzystając z tego, zacząłem
gorączkowo dostrajać radio do częstotliwości Harolda w nadziei,
że zdążę ostrzec kierowcę jego czołgu. Ale ledwie się z tym upora-
łem, trzaski znowu powróciły i chociaż ja słyszałem głosy załogi
tamtego wozu, to wiedziałem, że oni mnie nie usłyszą.

— ...mówię ci, dzierlatki lecą na te muskuły jak muchy do
miodu — chwalił się Harold koledze z czołgu, jego słowa zagłu-
szała od czasu do czasu burza zakłóceń. — ...narai mi laseczkę...
jak wróćę... Zaraz... a może ty go znasz... co? Bo wiesz... jest kie-
rowcą trzeciego czołgu od nas. To mój dobry kumpel, jak mówi,
że coś załatwi, to załatwi... może będzie miała koleżankę...

Walilem w klawisze. Kręciłem pokrętłami. Krzyczałem,
wrzeszczałem, darłem się do mikrofonu, chociaż wiedziałem, że
Harold i jego załoga nie słyszą z tego ani słowa. W ostatnim akcie
desperacji świadomie i z pełną premedytacją złamałem regula-
min piechoty morskiej; odpiąłem pas bezpieczeństwa i nie zważa-
jąc na ryki Jake'a, żebym siedział na dupie za sterami i prowadził,
do kurwy nędzy, prowadził, wygramoliłem się z krzeselka polo-
wego, odwalilem klapę górnego włazu i wylazłem na wierzch.

W głowie galopada rozpaczliwych myśli: zeskoczyć na piasek, dopaść do wozu Harolda, wdrapać się na pancierz, otworzyć od zewnątrz właz, nura do środka i dając samemu po hamulcach, zatrzymać czołg kilka centymetrów przed urwiskiem.

Za późno. Kiedy przez otwarty właz naszego wozu wyłaziłem w rozgrzane powietrze, Harold, jego załoga i wart pięćdziesiąt cztery miliony dolarów sprzęt z wyposażenia marines przetaczali się właśnie przez krawędź wydmy, by runąć w sześćdziesięciometrową przepaść i eksplodować na dnie urwiska.

* * *

Wszystko przez burzę piaskową, orzekła komisja. Zakłóciła łączność i przesył danych topograficznych. Tuman, drobinek nie większych od pchlego gila dał radę pancernej nawale nacierającej armii. Może nieprzyjaciel, zamiast walczyć z nami nowoczesną bronią, powinien popracować nad podporządkowaniem sobie sił pustyni. Na początek wystarczyłby piasek, którego było tu pod dostatkiem. Z czasem mogliby zwiększyć kaliber i nas ukamienować.

* * *

Nostalgia, w dobrym znaczeniu tego słowa.

Mój syn Peter w trzeciej klasie podstawówki miał napisać referat na temat metod dyscyplinujących społeczeństwo w rozmaitych kulturach przed nastaniem ery globalizacji. Nie zwykłem pomagać mu w odrabianiu lekcji, zwłaszcza w tamtym okresie jego edukacji, ale sąd przyznał mi opiekę nad smarkulem przez dwa dni co drugi tydzień, i na ten właśnie weekend przypadł mi ów obowiązek. Peter nie nauczył się jeszcze mnie nienawidzić, a ja wmawiałem sobie po prostu, że nie zrobiłem jeszcze nic, czym mógłbym mu podpaść.

Siedziałem w swojej pracowni nad meldunkiem z ostatniej windykacji sztuczorga, a tu wchodzi Peter. W piżamie, bo było już późno.

— Zęby umyłem — oznajmia. — Uszy też.

To Melinda wpoila mu ten rytuał wieczornych ablucji; ja notorycznie o nich zapominałem, ale Peter był na tyle pojętym dzieckiem, że weszło mu to w krew.

— To się cieszę, stary — mruknąłem. — A teraz w pielesze i zobaczymy się rano.

Ale on stoi, patrzy na mnie i wachluje się trzymaną w prawej ręce kartką.

— Tato — pyta — dlaczego Rzymianie kamienowali ludzi na śmierć?

— Bo nie mieli jeszcze karabinów — odburknąłem.

O ile się nie myłę, dostał za ten referat czwórkę.

* * *

Kiedy Peter był pędrakiem i nie chciał w nocy spać, bo akurat wtedy zbierało mu się na zabawy i harce z mamusią i tatusiem, to zamiast standardowych kołysanek śpiewaliśmy mu z Melindą własne improwizowane piosenki. Nie działało na niego konwencjonalne *Aaa, aaa, były sobie kotki dwa*, za to słuchając utworów z naszego repertuaru, szybko zamykał oczka i zasypiał.

Melinda była w tym lepsza ode mnie; jej śpiewanki miały przynajmniej jakiś sens. Ale ulubioną piosenką Petera, o którą, gdy nauczył się mówić, najczęściej prosił, był głupi kawałek ułożony przeze mnie w przypływie rozpaczki, kiedy berbeć kaszłał i gorączkował i nic na niego nie działało.

Przypominało to dixielandowa przeróbkę hawajskiej melodii, było skoczne, śmieszne i łagodne; do dziś pamiętam słowa:

*Chcę pływać w morzu z misiami i koliberkami
Pływać z kózkami i lwiątkami, które znają wszystkie słowa
Pływać w kółko jak pracowita pszczołka...
Chcę pływać z pieskami, małpkami i kangurkami
Pływać też z pawiami, borsukami i lwami
I chcę, żeby one wszystkie pływały ze mną...*

Śpiewaliśmy sobie tę piosenkę z Melindą, kiedy nasze małżeństwo było już w stadium rozpadu i od definitywnego rozstania powstrzymywała nas jedynie miłość do naszego syna. Ciekawe, czy Peter jeszcze ją pamięta. Ciekawe, czy nadal pomaga mu zasnąć. Ciekawe, czy pamięta, że ułożył ją tatuś.

* * *

Tig poprosił mnie, żebym wysmażył jakiś krótki okolicznościowy tekścik, który wyśle się rodzicom Harolda wraz z jego prochami. Zaprotestowałem, bo niewiele miałem o nim do powiedzenia. A tym, co miałem, nie wypadało się raczej dzielić z pogrążonymi w żalobie rodzicami. Owszem, kolegowaliśmy się, chadzaliśmy razem do barów, klubów i burdeli. Walczyliśmy ramię w ramię, rozmawialiśmy o tym, czego oczekujemy od życia i w jaki sposób zamierzamy to osiągnąć. Dokąd, naszym zdaniem, zmierza świat i czy uda nam się za nim nadażyć. Ale czy takim czymś warto zawracać dupę rodzicom poległego?

W końcu jednak usiadłem i napisałem:

Szanowni Państwo Hennenson. Wasz syn Harold był najwspanialszym z ludzi, jakich przyszło mi poznać. Dawał nam wszystkim przykład swoją odwagą, siłą, niezłomnością, i gdyby nie on, nie pisałbym teraz do

*Państwa tego listu. Nie ja jeden z naszej kompanii za-
wdzięczam Haroldowi życie. Co tu dużo mówić, Wasz
syn był prawdziwym bohaterem.*

A potem, po chwili zastanowienia, żeby w całej tej elegijce znalazł się choć jeden element prawdy, dopisałem:

PS Był też nieprawdopodobnie umiejętny.

* * *

Jakieś hałasy na zewnątrz. Krzyki?

* * *

Opuszczamy z Bonnie pralnię samoobsługową. Niedługo tu zabawiliśmy, ale innego wyboru nie ma. Nasza pierwsza noc tutaj będzie zarazem ostatnią.

Nie spała już i czekała na mnie w ciemnym zaułku z opaską uciskową na kolanie. Wpadłem za nią ze skalpelem w jedną rękę i mauserem w drugiej.

— Słyszałeś to? — spytała.

Zauważyłem, że też trzyma palec na spuście swojej trzydziestkiósemki.

— Tak. Możesz chodzić?

— Jako tako.

Gdzieś z pobliza znowu dobiegł rozpaczliwy wrzask, zdecydowanie jakiejś kobiety, zdecydowanie przerażonej, zdecydowanie nie moja sprawa.

— Nie wtrącajmy się — powiedziałem do Bonnie. — Siedzmy tu cicho i nie wyściubiajmy nosa.

— A jeśli ona potrzebuje naszej pomocy?

— My nie jesteśmy od pomagania — burknąłem. — Jeśli

potrzebna jej pomoc, to niech udzieli jej ktoś inny, kto się nie ukrywa.

Bonnie to nie przekonało. Popatrzyła na mnie jak na kozi bobek i to podziałało.

— Tu w grę nie wchodzi biowindyk — orzekła — boby wtedy nie krzyczała. Byłaby nieprzytomna... zresztą sam wiesz najlepiej.

Niby miała rację. Ale na przedstawicieli prawa też nie uśmiechało mi się nadziać. Chcieliby zaraz wiedzieć, co taka elegancka para porabia w nocy w takiej zakazanej dzielnicy, a nie uzyskawszy wiarygodnej odpowiedzi, zabraliby nas do śródmieścia na posterunek, prześwietlili i stwierdzili, że figuruję w rejestrze notorycznych dłużników, w wyniku czego...

— Policja nie będzie interweniowała — powiedziała Bonnie, zupełnie jakby czytała w moich myślach. — Już dawno położyli laskę na tych slumsach.

Kolejny krzyk postawił kropkę nad i. Po chwili przebiegaliśmy na drugą stronę ulicy, choć nadal uważałem, że lepiej by było zachować się po mojemu.

* * *

Altruizm, pomijając już to, w jakim stopniu i czy w ogóle przetrwał we współczesnym społeczeństwie, u biowindyka jest cechą niepożądaną, wprost wadą. Testy osobowości, które musi przejść każdy starający się o pracę w Union, są tak ułożone, żeby wykrywały skłonności do patologicznych odchyłek, załączki rozmaitych manii, kliniczne przypadki braku empatii, bo na tej podstawie można naukowo ocenić, czy człowiekowi wszystko zwisa i powiewa, czy nie. Kandydat, który przejdzie pomyślnie całą tę zabawę w doszukiwanie się znajomych kształtów w atramentowych kleksach, zostaje zakwalifikowany na kurs, ale jest od tej pory bacznie

obserwowany, żeby była pewność, czy jego cechy nie wymykają się aby spod kontroli, czy procesy chemiczne zachodzące w mózgu są stabilne; Union nie chce w swoich szeregach socjopatów ze skalpelami.

Ale słowa altruizm, a tym bardziej jego definicji, nie uświadczy się w żadnym z podręczników Union, i nie bez powodu. Nie ma czasu na cackanie się, kiedy grunt pali się człowiekowi pod nogami; to może kosztować życie. Zagazować, zarekwirować, zwiewać — mantra biowindyka.

Złamałem kiedyś tę zasadę. Jak łatwo się domyślić, przez kobietę.

Coś w tym musi być.

* * *

Budynek po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko pralni samoobsługowej, był kiedyś biurowcem i uległ zapewne zniszczeniu w tej samej serii pożarów, które strawiły Tyler Street. Przed nim rozlewały otwarty dziedziniec ocieniony koronami rozłożystych drzew i dzikim winem, skrzące się fontanny — oaza relaksu dla krawaciarzy, którzy wylęgali tutaj tłumnie podczas swojej codziennej piętnastominutowej przerwy na lunch.

Ale teraz dziedziniec jest okopcony i zapuszczony, ze szpar między płytami, którymi go wyłożono, sterczy jakieś kąśliwe zielisko, pokrzywy albo oset, bo kłuło mnie toto w łydki, kiedy tamtędy przebiegałem. Przeskoczyliśmy płotek i skierowaliśmy się do głównego wejścia w głębi dziedzińca, i chociaż Bonnie utykała i co drugi krok krzywiła się z bólu, przyśpieszaliśmy po każdym nowym krzyku. Te zaś następowały coraz szybciej jeden po drugim, a im częstsze się stawały, tym większa wzbierała we mnie pokusa, żeby jednak zawrócić i zamelinować się z powrotem w pralni samoobsługowej. Nie ze strachu, intuicja mi to podpowiadała.

Biurowiec miał trzy piętra, ale połowa budynku zawałiła się i tam pozostał tylko zasypany gruzem parter. Zatrzymaliśmy się przed głównym wejściem i czekaliśmy na kolejny krzyk, który pomoże nam się zorientować, dokąd teraz. Byłem w pełnej gotowości bojowej; w prawym ręku ścisnąłem paralizator, w lewym mausera, za pasek od spodni zatknąłem skalpel, czubek ostrza kłuł mnie lekko w krocze. Bonnie swoją trzydziestkęósemkę trzymała jakoś bez przekonania, jakby nie zamierzała jej używać. Lekkomysłność. Bądź zawsze przygotowany do użycia broni. Nigdy nic nie wiadomo.

I znowu ten krzyk, na wprost nas.

— Tam — zdecydowała Bonnie i schylając głowę pod zwisającą ościeżnicą, weszła do budynku, rozplywając się w ciemnościach.

Odbezpieczyłem jednym palcem mausera i przygarbiony, trzymając go na wysokości kolana, podążyłem za nią.

* * *

Z szyi została mu miazga, co tłumaczyło obłąkańcze wrzaski dziewczyny.

— Uspokój się — powiedziałem do niej, próbując odciągnąć od tej krwi, od tego horroru, od tej jatki. — Uspokój się, przestań się drzeć. Weź się w garść.

Ale mój niedźwiedzi uścisk tylko ją nakręcił; zaczęła rzucać głową, wałąc podbródkiem w klatkę piersiową, długie blond włosy fruwały wte i wewte, i musiałem je co chwila wypluwać z ust.

— No, weź coś zrób — zwróciłem się do Bonnie, ale ona głaśkała tylko dziewczynę po grzbiecie dłoni i szeptała jej coś na ucho.

Facet na podłodze nie żył, bez dwóch zdań. I nie miał tarczycy. Tarczycza to niewielki gruczoł, ale jeśli ktoś zna się na anatomii

tak dobrze jak ja — a zwłaszcza kiedy potrafi stwierdzić brak danego organu tam, gdzie powinien się on znajdować — to nie zmyli go krwawa masa tkanki w tym miejscu. Szyja denata była rozpruta, ziała w niej jama po usuniętej tarczycy. Najprawdopodobniej sztucznej.

— Powiedz nam, co tu się stało — poprosiła Bonnie.

Dziewczyna już się trochę uspokoiła. Chciała jak najszybciej wyrzucić to wszystko z siebie, ale od spazmów nadal ją zatykało.

— On... on... przyniosłam mu... przyniosłam lunch... i kiedy... kiedy weszłam... znalazłam go... znalazłam... takiego... — Znowu zalała się łzami i Bonnie ją przytuliła.

Czułem się tu jak piąte koło u wozu. Stałem i patrzyłem tępo na te dwie obejmujące się kobiety. W kącie pomieszczenia, obok przewróconej na bok drewnianej skrzyni poplamionej resztkami jedzenia, wypatrzyłem arkusz znajomo żółtego papieru z krwawymi odciskami palców po brzegach. Podniosłem kartkę na ostrzu noża z podłogi, przyszpiliłem ją do ściany na wysokości oczu i przeczytałem:

*Credit Union. Oficjalne pokwitowanie windykacji.
Tarczyca, sztuk jeden. 120 dni zwłoki w spłacie kolejnej raty kredytu.*

Poniżej wyszczególnione były dane klienta: nazwisko, imię, wiek, ostatni znany adres i tak dalej. Zanim zdążyłem przebiec je wzrokiem, dziewczyna wyrwała kartkę spod noża, kalecząc się przy tym w palec; kapiąca z rany krew mieszała się z tą krzepnącą już na podłodze.

— To mi zostawili — wyszlochała, wymachując kartką w powietrzu. Bonnie, wyraźnie wzruszona, podeszła do niej od tyłu.

— To pokwitowanie — wyjaśniłem. — Zachowaj je. Może się jeszcze przydać.

Nadal szlochała.

— Zostawili mi ten świstek, a zabrali przyjaciela...

— Zabrali tylko tarczykę twojego przyjaciela — sprostowałem; słowa spływały z moich ust wartkim strumieniem jak wyuczona lekcja, ten tekst powtarzałem już w swojej karierze setki razy. — Przyjaciela ci zostawili. Odzyskali tylko swoją własność, Credit Union ma do tego pełne prawo, tak jak i ty masz prawo do odzyskiwania swojej prywatnej własności, jeśli ktoś ci ją ukradnie. Gdyby nie rekwirowali niespłacanych artykułów, które kredytują, padliby jako firma, a wtedy wszyscy potrzebujący pomocy medycznej zostaliby jej pozbawieni. Co więcej, w myśl Federalnego Kodeksu Sztuczorgowego, ustęp dwunasty, paragraf osiemnasty, zarówno oni, jak i ich agenci nie mają obowiązku utrzymywać przy życiu użytkownika artykułu, jeśli zaległa płatność nie zostanie uiszczona w terminie do...

I tu ona znowu się rozryczała. Tak to już mam z babami.

* * *

Federalny Kodeks Sztuczorgowy był biblią dla tych z nas, którzy żyli pod jego ochronnym parasolem. To prawie sześciusetstronicowe tomiszcze ujmowało w ramy prawa każdy możliwy scenariusz konfliktu interesów, do jakiego mogło dochodzić na linii producent — hurtownik — sprzedawca detaliczny — klient, czyli bezpośredni użytkownik sztucznego organu, i stanowiło wyrocznię we wszystkich takich sytuacjach. Ileż to razy siadywałem w living roomie obcych mi ludzi, cytując z pamięci artykuł po artykule świeżo owdowiałym albo właśnie wdowiejącym. Tyle trudu i czasu włożyłem w wykucie tego prawniczego bełkotu na

blachę, ale nikt jakoś nie doceniał mojego poświęcenia. Po zakończeniu takiego wykładu, a nierzadko jeszcze w jego trakcie, rzucono się na mnie z pięściami, próbowano gryźć, kopać, a bywało, że straszono nawet bronią palną.

Nie przeczę, zażalenia były czasami uzasadnione i mam nadzieję, że ci, którzy je przyjmowali, a potem stosownymi kanałami przekazywali dalej do rozpatrzenia, są odpowiednio wynagradzani. U dołu każdego pokwitowania windykacji widnieje numer telefonu — bezpłatnego, a jakże — czynnego od poniedziałku do soboty włącznie w godzinach od dziewiętej rano do osiemnastej; dyżurujący pod nim konsultanci wysłuchają każdej reklamacji, poddadzą ją dogłębnej analizie i w ciągu pięciu tygodni udzielą wiążącej odpowiedzi.

Kiedyś, kiedy Kenton produkował jeszcze IS-9, dostałem zlecenie na windykację jelita cienkiego, a przez jakieś urzędnicze niedopatrzenie zabrakło mi akurat eteru. Potraktowałem więc gościa paralizatorem i wstrzyknąłem mu potem kilka dawek torazyny, znieczulając tym sposobem na czas ekstrakcji. Obyłoby się bez zgrzytów, gdyby w momencie, kiedy przystępowałem do pracy, nie wróciła z zakupów jego żona, i jak na mnie nie wsiądzie, że przecież płacą regularnie, co miesiąc, za to jelito, że mamy bałagan w dokumentacji, że to jakaś pomyłka. Tłumaczę, że bardzo mi przykro, ale reklamacje to nie do mnie, a ta dalej swoje i nie mogę ruszyć z robotą, no więc, chcąc nie chcąc, ją też zneutralizowałem paralizatorem. Wszystko zgodnie z prawem — rozdział 10, artykuł trzeci FKS, utrudnianie wypełniania obowiązków służbowych licencjonowanemu windyikatorowi — ale przyznam, że robiłem to z bólem serca.

Zwindykowałem to IS-9, odniosłem do Kentona i zainkasowałem honorarium. Dwa miesiące później wzywają mnie i mówią, że to faktycznie była pomyłka. Facet nie dość, że płacił za sztuczorg

regularnie, to jeszcze trochę nadpłacał. Prawdziwy debeściak na tle innych klientów, nieskalana historia kredytowa i tylko księgowość coś popieprzyła. Żona zadzwoniła pod bezpłatny numer, ledwie stamtąd wyszedłem, i doradcy z działu obsługi klienta, zawsze czujni, nie spoczęli, dopóki nie wyjaśnili problemu. Kenton kazał mi tam wracać z przeprosinami.

Poszedłem z koszem bakalii i prezentów dla sierot po kliencie oraz receptą na darmowy sztuczorzog dowolnego typu dla wdowy. Zwróciłem co do centa to, co zostało już spłacone, plus kilka tysięcy zielonych górką na pocieszenie po stracie. Prawo federalne wymaga tylko zwrotu poniesionych kosztów; dodatkowa gratyfikacja dowodzi wspaniałomyślności zarządu Kentona.

Wręczając zabawki dzieciakom, a pieniądze wdowie czułem się jak Święty Mikołaj.

* * *

Ale dla tej dziewczyny nie miałem ani jednego, ani drugiego; siedziała teraz na podłodze i jęczała żałośnie. Radziłem jej, żeby wstała, rozprostowała kości, pospacerowała, ale gdzie tam. Bonnie, siedząca obok i próbująca ją pocieszać, wstała w końcu i otrzepała się z kurzu. Trzymała w ręku żółtą kartkę pokwitowania.

— Wygląda na to, że wszystko w porządku — powiedziała. — Jessica mówi, że ukrywają się tutaj od kilku tygodni. Jej chłopak jest... był... elektrykiem, ale ostatnio w związku z kryzysem przeprowadzono redukcję i stracił pracę, najpierw zaczęli oszczędzać na jedzeniu, potem przestali płacić czynsz, a w końcu raty za tę tarczę... no i...

— Opuść sobie — wpadłem jej w słowo. Już to wszystko słyszałem. W podstawówce uczą, że jedzenie, woda i dach nad głową

wystarczą do przetrwania. Kłamcy. — No więc znaleźli ich.

Bonnie kiwnęła głową.

— Dziś nad ranem, kiedy ona poszła zorganizować coś do zjedzenia. Mówi, że słyszeli czasem jakieś odgłosy, ale uważali ten budynek za bezpieczny. No więc wyszła, wygrzebała ze śmietnika trochę chleba i sera, a kiedy wróciła, było już po wszystkim. Po raz pierwszy od dziesięciu dni zostawiła go samego.

— To robota na góra dziesięć minut — mruknąłem.

Dziewczyna znowu się rozszlochała. Bonnie pochyliła się nad nią, a ja ponownie, tym razem uważniej, przestudiowałem żółte pokwitowanie. Nigdy nie rozumiałem ludzi, którzy wyrzucają pieniądze na sztuczne tarczyce; tu w zupełności wystarczają pastylki. Po jaki gwint narażać się na ból, a potem użerać ze sztuczorgiem, kiedy sprawę załatwia łyknięcie dwa razy na dzień trzydziestu miligramów levotyroksyny?

U samego dołu każdego pokwitowania windykacji widnieje wydrukowany maczkiem oficjalny tekst tak zaszyfrowany, że odczytać i zrozumieć potrafią go tylko pracownicy Credit Union. Z tego ciągu cyfr dowiedziałem się, że klient, występując o kredyt na tarczycę, miał zdolność kredytową 84.4 — całkiem niezłą, jak na dzisiejsze warunki — w związku z czym przyznano mu kredyt na sztuczorg oprocentowany na 32.4 procent na sto dwadzieścia miesięcy. Też niezłe, zważywszy okoliczności. Mój kredyt na jarvika był oprocentowany na 26.3 procent, ale dostałem go na specjalnych warunkach z poręczenia byłych pracodawców. Mimo to nie będę im wysyłał kartek z bożonarodzeniowymi życzeniami.

Ale oto powód, dla którego się przenosimy, dla którego pakujemy swoje zabawki i jeszcze przed świtem damy drapak a

pralni samoobsługowej i w ogóle z tej części miasta, kiedy tylko strażnicy pójdą do domów odespać noc.

W dolnym prawym rogu żółtego pokwitowania, w którym jest miejsce na parafkę, gdzie biowindycy własnoręcznym podpisem zaświadcniają, że sztuczorg został odzyskany, że klient spłacił do końca dług i jego konto jest już czyste, widniał podpis, który od razu rozpoznałem; po wielekroć nanosiłem obok własny.

Był to podpis biowindyka, na którego za żadne skarby nie chciałbym się nadziać. Jedyne go człowieka, który miał wszelkie predyspozycje, by mnie namierzyć i skutecznie zwindykować.

Był to podpis Jake'a Freivalda.

Rozdział 12

Pewnego wieczoru, kiedy byłem jeszcze żonaty z Mary-Ellen, wpadł do nas na kolację Jake; mieliśmy za sobą szczególnie nieprzyjemną robotę — cały układ oddechowy z obydwoma płucami włącznie — zaprosiłem go więc, nie pytając żony o zdanie. Byliśmy świeżo po ślubie, powstrzymała się więc od robienia scen, kiedy wparadowałem do domu z kolegą pod rękę.

— Pamiętasz Jake'a?! — zawołałem od progu i w tym samym momencie uświadomiłem sobie, że tych dwoje chyba się nie zna. — Mojego kumpla z Union... — Chciałem jeszcze dodać, że znamy się prawie od urodzenia, że odsłużyliśmy razem całą jedną turę w Afryce, ale przypomniało mi się, że w obecności Mary-Ellen lepiej nie wspominać o wojsku, toteż na tym poprzestałem.

— Oczywiście. — Kiwnęła głową. Chyba zalewała. Dobra w tym była. — Zapraszam do stołu, zaraz przyniosę panu talerzyk.

Kolacja, jak pamiętam, upłynęła w cywilizowanej atmosferze, gawędziliśmy o filmach, o polityce, o religii, unikając wszelkich drażliwych tematów, i dopiero podczas deseru, przy kawie, doszło do konfrontacji. Jake zaczął opowiadać o pracy, o jakimś kliencie,

którego ostatnio pozbaWił pęcherza czy czegoś tam, i Mary-Ellen zasypała go pytaniami, punktując, by potem zniemacka wyprowadzić sierpowego:

— I nie ma pan wyrzutów sumienia, odbierając tym ludziom życie?

— Jak pan może po takim czymś spokojnie zasnąć?

— Często bierze pan prysznic, żeby zmyć z siebie to całe plugaństwo?

— Gdzie pańskie poczucie przyzwoitości?

— Ma pan jeszcze jakieś ludzkie odruchy?

Od tamtej pory nie przyprowadzałem już do domu żadnych niezapowiedzianych gości.

* * *

Ale Jake nie dawał się zahukać, odpowiadał na każde pytanie Mary-Ellen, a im bardziej ja się wyciszałem, tym większe tych dwoje darło ze sobą koty. Jake dawał się czasami zapędzić do narożnika, ale zaraz się stamtąd wyplątywał i dzielnie odpierał kolejne ciosy. Przysłuchiwanie się słownemu pojedynkowi tych dwojga było bardzo męczące, nic więc dziwnego, że po trzech godzinach zasnąłem w fotelu z puszką piwa w ręku i poduszką pod głową.

Później, kiedy Jake już wyszedł i zostaliśmy sami, przeprosiłem Mary-Ellen za zmarnowany wieczór.

— Wybacz — powiedziałem przekonany, że od tej pory mam szlaban na sprowadzanie do domu swoich kumpli. — Wkurzył cię.

Pamiętam, że szykowała się na spoczynek i zaciągała właśnie zasłony w oknie. Znieruchomiała na moment, po czym odwróciła się do mnie z termoforem w ręku.

— Nie, wcale mnie nie wkurzył.

Zrobiłem wielkie oczy.

— Jak to, wygadywał przecież takie rzeczy o Union i w ogóle o...

— Ma jakąś życiową pasję — wyjaśniła, wsuwając się pod kołdrę i podciągając ją pod samą brodę. — Pasję niewłaściwie ukierunkowaną, ale mimo wszystko pasję, i ja to potrafię uszanować.

— Znaczy, nie pogardzasz nim. — Chciałem to usłyszeć jasno i wyraźnie, a najlepiej dostać na taśmie.

— Pasja nigdy nie wzbudzała we mnie pogardy. W odróżnieniu od apatii.

O ku... pomyślałem. Dobra nasza. Z tego małżeństwa może jeszcze coś wyjść.

Kiedy światło było już zgaszone i zasypialiśmy, zebrałem się na odwagę i zapytałem:

— A ja? Moją pasję też doceniasz?

Nie odpowiedziała. Chyba już spała.

* * *

Asystowałem również przy narodzinach mojego syna. Pracowałem wtedy na dwudziestoczterogodzinne zmiany i czasami padałem na nos ze zmęczenia. Kiedy zadzwoniono do mnie ze szpitala, powlokłem się tam i przyglądałem sennie, jak Melinda w bólach wydaje na świat Petera. Ocierałem jej czoło przeпоconymi ręcznikami, kiedy na mój pager przyszły trzy nowe zlecenia na kolejnych klientów, których miejsca pobytu właśnie ustalono.

Na szczęście w szpitalu był ze mną Jake. Spyaliśmy go, czy nie zechciałby zostać ojcem chrzestnym Petera, a kiedy się zgodził, obarczyłem go od razu obowiązkiem roztoczenia opieki nad moją żoną i nowo narodzonym synkiem do czasu mojego powrotu. To był wyjątkowo pracowity tydzień.

* * *

Mowę pożegnalną na skromnym wojskowym pogrzebie Harolda wygłosił Jake. Ja miałem awersję do publicznych wystąpień, a Jake był chyba jedyną osobą, która znała Harolda dłużej niż te cztery, pięć miesięcy. Służył wówczas w nowo utworzonej jednostce zwiadu — nadal nie mógł nam powiedzieć, czym się tam zajmuje, dawał tylko do zrozumienia, że czymś niebywale ważnym i tajnym — i przyleciał na jeden dzień z północnej Afryki do Namibii, żeby dopilnować uroczystego pochówku prochów przyjaciela. Wojsko upchnęło je do małego glinianego słoja, chociaż Tig przyznał, że nie ma pewności, czy znalazły się w nim wyłącznie jego doczesne szczątki.

— W tym czołgu było trzech ludzi — powiedział do mnie i do Jake'a, kiedy szliśmy do prowizorycznej kapliczki pod namiotem. — I została z nich jedna miazga. Trzeba ją było pozbierać, a potem po równo podzielić.

Wystąpienie Jake'a na pogrzebie było bardzo wzruszające. Mówił o miłości i honorze, i męskiej przyjaźni, o dyscyplinie, szkoleniu i o tym, że Harold wypełnił swój obowiązek wobec ojczyzny.

— I pragnę tylko — zakończył, puszczając do mnie szelmowsko oko — żebym, kiedy wybije i moja godzina, opuszczał tę zieloną krainę tak jak Harold, żegnany przez przyjaciół.

— Amen — powiedzieliśmy chórem.

* * *

Melinda została chyba skremowana. Peter nie powiedział mi, gdzie ją pochowano. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby zadzwonić i powiadomić mnie o pogrzebie — wiem, ponieważ podnosiłem wtedy słuchawkę już po pierwszym dzwonku, bo spodziewałem się telefonu od bukmachera albo z loterii. Ostatnie słowa, jakie słyszałem z jego ust, to: „I w tym właśnie rzecz”. Wykrzyczał je,

wybiegając z miejscowego Snack Shacka. Potem już cisza. Ciekawe, czy przyjdzie na mój pogrzeb. Ciekawym, czy odbierze telefon.

Ale pamiętam pewną rozmowę z Melindą. Petera nie było jeszcze wtedy na świecie, nie został nawet poczęty. Gawędziliśmy sobie do poduszki po jakimś szczególnie upojnym zbliżeniu, nasze cowieczorne klótnie miały dopiero nadejść.

— Jak myślisz? — spytała. — Czy w niebie uprawia się seks?

Chrząknąłem potwierdzająco.

— A czy twoim zdaniem potrzebne jest do tego ciało?

Wzruszyłem ramionami i sięgnąłem po pilota zdalnego sterowania.

— Twojego zawsze pożądam.

— Ale w niebie go nie będzie — zauważyła. — Tam wędrują tylko dusze, ciała zostają tutaj.

— Skoro nie ma tam ciał — mruknąłem — to i seksu nie ma. Strefy erogenne znajdują się na ciele. Usta, dajmy na to. Bez ciała nie ma takich stref, a tym samym uprawianie seksu mija się z celem, wszystko mija się z celem.

Ale Melinda się ze mną nie zgodziła. Podpierając się łokciem na poduszce i osłaniając prześcieradłem nagi biust, trąciła mnie w głowę. Robiła tak zawsze, kiedy była w dobrym humorze, a zwłaszcza zaspokojona. Był to dla mnie sygnał, że jej zdaniem opowiadam głupstwa, że gadam od rzeczy.

— Nic nie rozumiesz, bałwanku. Ciało to jedynie opakowanie dla całej naszej reszty. Wszystko, czym się zawodowo zajmujesz — całe to babranie się w sztuczorgach — służy tylko zarabianiu na życie. To zwyczajna chałtura w porównaniu z tym, co naprawdę nas kręci.

Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby miała rację. I powiedziałbym jej to, ale nasza rozmowa na tematy osobiste dobiegła właśnie końca i przestaliśmy się zajmować sobą, a zesłiliśmy na temat celebrytów.

* * *

Krótko o moim sztuczorgu:

Jeden (1) Jarvik Unit, Model 13.

Podstawowe dane techniczne: przejmuje wszystkie funkcje serca klienta z tłoczeniem, zasysaniem i dystrybucją krwi włącznie. Wszystkie główne wyprowadzenia dla żył i tętnic wykonane standardowo z silikonu tytanowego. Cztery kolory do wyboru: szkarłatny, żółty, zielony, niebieski. Automatyczny monitor tętna pozwalający śledzić parametry przepływu i ciśnienia krwi. Odgłosy przypominające do złudzenia te wydawane przez pracujące naturalne serce. Realistyczny odgłos bicia. Warunkowa gwarancja na 5 lat/150 milionów uderzeń.

Opcje dostępne dla Jarvika-13: wmontowany w biodro regulator do podwyższania lub obniżania tętna, na żądanie z ogranicznikami ciśnienia skurczowego i rozkurczowego. Akumulator na 100 lat z ładowarką. Odtwarzacz muzyki o pojemności 6TB, z nagrany fabrycznie ośmioma tysiącami ulubionych utworów klienta, dźwięk przekazywany poprzez specjalne łącze akustyczne do szczęki.

Cena: 152 000 dolarów w wersji podstawowej. Z opcjami może dojść do 183 000 dolarów.

Finansowanie bezpośrednio poprzez Credit Union, oprocentowanie w stosunku rocznym (OSR): 26.3% albo 25.8%, jeśli raty uiszczane są przelewem bankowym. W przypadku wpłaty 36 000 dolarów (20% wkładu własnego) cena wersji podstawowej spada do 147 000 dolarów. Ubezpieczenie sztuczorga: 4800 dolarów rocznie.

Miesięczna rata, kapitał i odsetki: 3815.62 dolara.

Rocznie do spłaty, w sumie: 39 413 dolarów. W tym odsetki: 36 103 dolary, kapitał: 3310 dolarów. Saldo należne: bez zmian.

* * *

Ach, i jeszcze jedno — zapomniałbym o najważniejszym. Konsekwencje zaprzestania spłat: niebagatelne.

* * *

Klienta informuje się na wstępie o karach za zwłokę w płatnościach, o stosowanych środkach nacisku i ewentualności windykacji — tak nakazuje prawo — ale większość osób jest tak podekscytowana faktem przyznania pożyczki, że gotowi są podpisać wszystko, co się im podsunie. Ale teraz i tak jest lepiej niż dawniej, kiedy szaraczki z uszkodzoną wątrobą musiały się zapisywać na listę i czekać, aż jakiś inny szaraczek ze zdrową wątrobą zginie w wypadku, w którym ta jego zdrowa wątroba nie ulegnie uszkodzeniu i może będzie się nadawała do przeszczepu, który w ośmiu przypadkach na dziesięć i tak odrzucał organizm biorcy.

Na szkoleniu windykacyjnym zasypywano nas masami danych statystycznych; z tysięcy takich, jakie wpadały mi jednym uchem, a drugim wypadały, zapamiętałem tylko jedno: W czasach, kiedy Union Credit nie upowszechniła jeszcze impiantaci i sztuczorgów, w samych tylko Stanach Zjednoczonych sto dwadzieścia tysięcy ludzi czekało rokrocznie, aż ktoś tam odwali kity, zostawiając do wykorzystania swoje podroby. I pomimo najwymyślniejszych sposobów, w jakie wiele osób rozstawało się przedwcześnie z tym światem, popyt na dawców wciąż przewyższał podaż i coraz większa liczba obywateli — jedni porządni, inni mendowaci, a wszyscy

śmiertelnie chorzy — wyruszyła w swoją ostatnią podróż, bo nie doczekała się paru zorganizowanych komórek na wymianę.

Ale było, minęło; dzisiaj tylko najbiedniejsi albo zadłużeni po uszy nie dostaną pożyczki na niezbędne im sztuczorgi. Niektóre tnące koszty instytucje finansowe wychodzą ze swoją ofertą nawet do ludzi o niezbyt świetlanej historii kredytowej, proponując kredyty pod zabezpieczenie. Słyszałem, że gdzieś za granicą rozdają jarviki za friko; trzeba tylko podpisać zobowiązanie odpracowania sztuczorga w ciągu dziesięciu lat. Dekada niewolniczej pracy za nowe życie — nie taki zły interes.

Kiedy więc ludzie z Credit Union kładą przed tobą ryzę zadrukowanego papieru i długopis, instynktownie podpisujesz. Tak było ze mną.

* * *

Dwie uwagi:

A) Nie miałem złudzeń. Wiedziałem, co grozi za niepłacenie. Wiedziałem to, podpisując formularze, wiedziałem, kiedy przestałem wysyłać czeki, i wiem teraz, kiedy siedzę w tej opuszczonej pralni samoobsługowej.

B) Nie miałem wyboru. Ocknąłem się na szpitalnym łóżku, pod błogodajną kroplówką z morfiny i z jarvikiem-13 nowo wszczepionym przez zespół lekarzy, którzy podjęli tę decyzję za mnie, bez mojej zgody i wiedzy, kiedy leżałem umierający na noszach. Nade mną stali Jake z Frankiem, obaj uśmiechnięci od ucha do ucha, każdy z bukietem kwiatów, szczęśliwi, że żyję, że niedługo wrócę do zespołu. Miałem w sobie sztuczorg, kompletny, i co miałem robić? Wyrwać go sobie z piersi? Bez sensu.

* * *

Bonnie zajrzała niedawno do kanciapki, żeby mi powiedzieć, że idzie spać. Powiedziałem, że w porządku. Ona na to, że jest zmęczona i sen dobrze jej zrobi. Powiedziałem, że też tak myślą. Przez chwilę przestępowała w progu z nogi na nogę, a potem powiedziała, że podłoga jest zimna, ale jakoś sobie poradzi. Zaproponowałem, żeby podłożyła sobie plandekę. Bonnie westchnęła i wyszła.

Pięć minut później zrozumiałem. Pacnąłem się w czoło, ale to nie było to samo.

* * *

Po śmierci Harolda wojna zaczęła się jakoś ślimaczyć i gonić w piętke. Nie przypuściliśmy szturmów na żadne miasto, nie obróciliśmy w perzynę żadnej wioski, nie dopuściliśmy się żadnej ze zbrodni wojennych, o których rozpisują się potem tabloidy, ani nie dokonaliśmy żadnego bohaterskiego czynu wartego uczczenia wielką miejską paradą. Czołgi, dławiąc się i krztusząc, pełzły z mozolem przez pustynię, dzień po dniu przesuwając siłą rozpędu amerykańską linię frontu, nieprzyjaciół cofał się łaskawie, nie stawiając w zasadzie oporu.

Pewnego kwietniowego wieczoru najechałem czołgiem na dwa węże i jakieś niezidentyfikowane futrzaste stworzenie. To były moje jedyne potwierdzone ofiary śmiertelne na ten tydzień. Chłopaki z załogi czołgu urządzili mi z tego powodu bibę na sto fajerek.

Mniej więcej w tym samym czasie, tego samego wieczoru, dwanaście tysięcy kilometrów stamtąd, mój ojciec, wylegując się przed telewizorem ze szklaneczką brandy z mlekiem w garści, na obitej sztruksem otomanie w swoim wyłożonym boazerią pokoiku, zasnął snem wiecznym przed drugą porcją reklam, wysłany z biletem w jedną stronę w tamten wymiar przez pękające naczynko

krwionośne w mózgu. Matka coś tam sobie wtedy pichciła w kuchni. Nie słyszała stukotu spadającego na podłogę pilota. Kiedy parę minut później znalazła ojca, jego mózg już nie żył. A zanim przyjechała karetka, nie żył już on cały.

Wojsko zafundowało mi przelot przez ocean na pogrzeb, chociaż ja, jeśli mam być szczery, wolałbym już zostać na pustyni. Nie dlatego, że nie chciałem oglądać martwego taty — kochaliśmy się na ten współczesny pokręcony sposób — ja po prostu nie czułem się w moim rodzinnym miasteczku u siebie. Gdzie ten piasek? Gdzie ci miejscowi terroryści? Gdzie krzeselko polowe? Łóżko jakieś płaskie, niewygodne — gdzie te pasy bezpieczeństwa, żebym z niego nie spadł?

Przed rozpoczęciem uroczystości w domu pogrzebowym podszedł do mnie Sam Jenkins, kolega ojca z pracy; gość w średnim wieku zajadający się pączkami i popijający je niegazowaną wodą mineralną, sypiący jak z rękawa opowieściami o swoich córkach bliźniaczkach, opowieściami, które w jego mniemaniu nie były wystarczająco zabawne, jeśli nie powtórzyło się ich przynajmniej trzy razy. No więc podszedł do mnie od tyłu ten Sam Jenkins i poklepał mnie mięsistym łapskiem po ramieniu. Jechało mu z ust nawęgloną sacharyną.

— Jak się trzymasz? — spytał.

— Nieźle, proszę pana — mruknąłem.

— Tak trzymać. Co ci każą robić na tej pustyni? Zabijać na nasze konto jakichś oprychów?

— Między innymi — mruknąłem.

— Tak trzymać.

Trzymałem się przez kolejnych kilka godzin, siedziałem cierpliwie, kiedy wspomniano ojca, wyrażając się o nim w samych superlatywach, udawałem, że powstrzymuję łzy, kiedy opuszczano

go do dziury w ziemi, podtrzymałem matkę, kiedy widziałem, że o własnych siłach nie ustoi. Ale po pogrzebie, kiedy ustawiła się do nas zdająca się nie mieć końca kolejka składaczy kondolencji, coś wreszcie we mnie pękło.

— Kochanieńki — zaszczebiotała moja babka ze strony matki, Louise, która osiem lat później miała zarobić na giełdzie sporą sumkę i za te pieniądze zafundować sobie wszystkie dostępne podówczas operacje plastyczne — jak dobrze cię widzieć. — Wtedy te operacje nie były jeszcze nawet w planach i babka, z tą skórą zwiotczałą wskutek nieumiarkowania w kąpielach słonecznych i smarowania się poprawiającymi rzekomo cerę kremami, wyglądała, jakby się miała na dniach rozłożyć na czynniki pierwsze. — Kochanieńki, a do czego oni tam ciebie zmuszają?

— Do niczego mnie nie zmuszają — odburknąłem. — Służba i tyle.

— A fuj z taką służbą — fuknęła. — Krzywdzić ludzi. Ty chyba nikogo nie krzywdzisz, co, kochanieńki?

I wtedy wybuchnąłem. Wyrwało mi się to, zanim zdążyłem ugryźć się w język. Z drugiej strony, nawet gdyby mi dano sześć dni na obmyślenie odpowiedzi, wyjechałbym prawdopodobnie z tym samym.

— Jak nie, jak tak, babciu? Gołymi rękami. Każdego, kto mi się pod rękę nawinie.

* * *

Udało mi się naciągnąć armię, żeby przed odstawieniem mnie do Afryki załatwili mi przelot do San Diego; powiedziałem, że mam tam pogrzeb kuzyna, który właśnie wykorkował, i poproszono mnie o niesienie trumny. Żeby jakoś uprawdopodobnić ten bajer, przestudiowałem nawet dział nekrologów w gazecie i

znalazłem świeżego nieboszczyka, który pasował jak ulał.

Wysiadłem z samolotu, złapałem taksówkę i kazałem się wieźć do Dzielnicy Czerwonych Latarni. O dziwo, dłonie mi się nie pociły, serce biło miarowo. Żadnych sensacji, jakie przeżywałem zawsze w drodze do Burdellandii, nawet w dołku mnie nie ścisnęło. Był jasny dzień i widziałem jak na dłoni oblażącą ze ścian farbę i pomarszczoną skórę przechodniów. Neon składał się z mrowia nietworzących żadnej zbernej całości rurek. Od dnia ślubu, przez całe moje tak zwane małżeństwo z Beth, moja noga nie postąpiła jeszcze w jej miejscu pracy za dnia; tych kilka razy, kiedy zajrzałem do niej o świcie, niezupełnie byłem sobą. Wyobrażałem sobie wtedy, że jestem Beth, odnosiłem wrażenie, że przeniosłem się do jakiegoś innego świata, w którym pachnie liliami, a pocałunki wywołują burzę.

Chociaż od kilku miesięcy miałem już dokumenty rozwodowe, to jeszcze ich nie podpisałem; ilekroć z najlepszymi chęciami brałem do ręki długopis, coś we mnie wstępowało i nie mogłem się przełamać nawet przy setnym podejściu. Ręka zaczynała mi drżeć, potem dygotać, by w końcu całkowicie wymknąć się spod kontroli.

Ale miałem plan. Zabrałem ze sobą te dokumenty, lecąc na pogrzeb ojca do Stanów, i kiedy wysiadłem z taksówki w sercu San Diego, jeszcze raz przepowiedziałem sobie w myślach ten plan, jak generał przed decydującą bitwą; wparuję do gabinetu Beth — tak wolałem wtedy nazywać to miejsce, *jej gabinetem* — wykopię stamtąd tego, z którym ma akurat spotkanie, porwę ją w ramiona, wycaluję, a potem wspólnie, ona i ja, podrzemy dokumenty. Słońce, dzieci, happy end.

W wojskowym slangu współczynnik skuteczności mojej misji wyniósł pięć procent. Wparowałem do jej gabinetu, tak jak to było w planie, i...

...I zastałem tam Debbie, słodziutką osiemnastolatkę z Teksasu, która przystępowała właśnie do wypełniania służbowych obowiązków wobec dwóch brzuchatych jegomościów przy stawce trzysta dolców za numerek od łebka. I na ten widok po raz drugi w życiu zemdlałem.

* * *

Nigdy więcej jej nie zobaczyłem. Beth, znaczy. Debbie też już nigdy nie zobaczyłem, ale mam nadzieję, że to, co wyprawiało się w tamtym pokoju, na zawsze odstręczyło ją od kurwienia się. Stwierdziłem nie za długo potem, że w mieszkaniu Beth mieszka już ktoś inny i nikt z lokatorów kamienicy nie wie, dokąd się przeprowadziła. Nikt nie chciał mi pomóc w ustaleniu aktualnego miejsca jej pobytu; znali jej reputację. Wyglądało na to, że starannie zatarła za sobą ślady.

Krażyłem po mieście przez dwa dni i dwie noce, zarzucając sieć, pokazując jej fotografie komu popadnie. Do większości zdjęć znajdujących się w moim posiadaniu Beth pozowała w negliżu albo całkiem nago, a ja wykombinowałem sobie, że jeśli ktoś potrafi ją w ogóle rozpoznać, to najprędzej *au natural*. Nie wiem, czy to prawda, ale podobno po San Diego krążą zbrojeńcy pokazujący znieścacka przechodniom obsceniczne zdjęcia. Raz wydało mi się, że widzę jej włosy, jej fryzurę. Kobieta skręciła z głównej ulicy w boczną, ale kiedy tam dobiegłem, zaatakowała mnie paleczką sera mozzarella jakaś pokurczona menelka.

Dokumenty rozwodowe podpisałem w samolocie w drodze powrotnej do Afryki.

* * *

Tyle lat upłynęło, że na ulicy chybabym jej już nie poznał. Coś tam pamiętam, ale to tylko stereotyp. Blond włosy, długie nogi,

zaokrąglona, gdzie trzeba. Kurwa jak malowanie. Beth nie lubiła tego określenia. Wolała być nazywana masażystką.

Za to Mary-Ellen dobrze pamiętam; a przynajmniej pamiętam jej długie nogi, jej ramiona i jej brzuch, który zapadał się tuż pod żebrami, a potem wznosił nieco, wypychany przez biodra, przeuroczy kawałek ciała obcałowany przeze mnie tysiące razy w ciągu tych sześciu miesięcy, przez które byliśmy ze sobą. Pamiętam też dołek w brodzie Mary-Ellen, jej zadarty nosek i niebieskie, niebiesciuteńkie oczy. I chociaż nie potrafiłbym poskładać tego wszystkiego w całość, to chyba nieźle zapamiętałem Mary-Ellen.

Pamiętam, a jakże, Melinę. Widziałem się z nią przecież nie tak dawno.

Pamiętam Carol i jej sposób na wzbudzenie we mnie przekonania, że to ja jestem tym godnym zapamiętania. Pamiętam, jak przyciągała mnie do siebie w środku nocy, a potem, kiedy błogość ogarniała mnie już w jej objęciach, odpychała. Tak, pamiętam Carol, bo jak tu jej nie pamiętać.

A Wendy, która ze wszystkich moich żon najbardziej powinna zapaść mi w pamięć, która przez tych kilka krótkich lat małżeństwa odebrała mi pół życia, rzadko ostatnio wspominam. Owszem, mogę do niej zadzwonić, przepytąć, ale tylko krok po kroczku. Gdybym spróbował odcyfrować całą Wendy naraz, pogubiłbym się i musiał zaczynać od początku. Mogę spojrzeć na nią jak na cnotliwe dziewczę ze starych filmów albo zmierzyć pożądanym wzrokiem od biustu po twarz i z powrotem, ale zobaczyłbym tylko powierzchowność, do tego jakąś nieskonkretyzowaną.

No i teraz ta Bonnie, tajemnica sama w sobie. Bonnie wyszła właśnie do sąsiedniego pomieszczenia i chociaż dzieli nas teraz tych parę metrów, mam zgryz z jej wyodrębnieniem. Kojarzy mi się zwyczajnie z tymi moimi byłymi żonami. No bo jak to zebrać

do kupy, nos od jednej, usta od innej, istne pomieszanie z poplątaniem, jak u Picassa.

Jest w niej jednak coś, co każe mi wracać wspomnieniami do przeszłości, coś, co może mi pomóc w połączeniu tego, co wiem, z tym, co robiłem. Nie jestem jeszcze na to gotowy; czuję dopiero, że to we mnie narasta, ale ilekroć o tym pomyślę, wspomnienia ulatują jak u dzieciaka bawiącego się w berka. Kiedyś to w końcu ogarnę.

Mógłbym, oczywiście, przejść do sąsiedniego pomieszczenia i zobaczyć, jak Bonnie wygląda bez ubrania. Zapytać, dlaczego, do cholery, wydaje mi się taka znajoma. Nie przypuszczam, żeby miała coś przeciwko. Pewny nawet jestem.

Ale już późno. I jestem zmęczony. A jutro pracowity dzień.

Rozdział 13

Charakterystyka współczesnego biowindyka przedstawiałaby się mniej więcej tak:

Z natury wszystkożerny, raczej mężczyzna, prawdopodobnie samotny. Żywi się mrożonkami z supermarketu, ewentualnie, kiedy czas go pogania, tym, co znajdzie w lodówce klienta. Często ogląda się przez ramię, sprawdzając, czy nie śledzi go aby jakiś wróg, jest ostrożny, przeczorny, przebiegły. Nosi zegarek, bywa, że dwa, zsynchronizowane z lokalną strefą czasową. Biowindyk, ze swoim zestawem narzędzi i broni, jest w stanie widzieć w ciemnościach, obserwować z wielkich odległości nieznane obiekty i doganiać nawet najszybciej uciekających klientów. Ma skłonności do nadużywania alkoholu, palenia ponad miarę, umartwiania swego organizmu w każdy możliwy do wyobrażenia sposób, a kiedy kończy mu się kreatywność, molestuje innych o radę, czym by tu się jeszcze sponiewierać.

Biowindyk podchodzący klienta pracuje pod osłoną nocy, najchętniej w towarzystwie zaprzyjaźnionego partnera. Mało kto w porę go zauważy. A już zupełnie nielicznym udaje się mu wymknąć. Jedyne odgłos, jaki może go zdradzić, to syczenie

eteru wydobywającego się z kieszonkowego pojemnika, ale zanim klient skojarzy sobie ten syk, jest już zwykle za późno. Wizytówką biowindyka jest wystawione w trzech egzemplarzach i opatrzone własnoręcznym podpisem pokwitowanie na żółtym papierze, pozostawiane na zwłokach. Biowindyk to nocny łowca.

* * *

Tak nawiasem mówiąc, wszystko, co powyżej, mogłoby być ilustrowane podkładem muzycznym, najlepiej w tonacji moll. Bądź co bądź biowindyka otacza przecież jakaś tam aura tajemniczości.

* * *

Jako człowiek z branży wiedziałem, że najbezpieczniej będzie opuścić pralnię samoobsługową za dnia, kiedy wszyscy profesjonalni biowindycy odsypiają po domach trudy nocy. Około szóstej, zaraz po wschodzie słońca, wyniknęliśmy się z Bonnie z tej ruder i wmieszaliśmy w gromady śmietnikowych nurków, którzy rozpoczynali właśnie swój długi żebraczy dzień. Bonnie, której twarz z każdą godziną wydawała mi się coraz bardziej znajoma, pożyczyła mi podłużną turystyczną torbę, w której niosłem większość swojego arsenału, tylko mausera i skalpele miałem poupychane po kieszeniach. Bonnie też szybko spakowała swoje rzeczy, chociaż trudno było powiedzieć co i do czego; zdążyłem tylko zauważyć, że broń zniknęła gdzieś w zakamarkach dopasowanego do figury płaszcza.

Po dwudziestu minutach marszu natknęliśmy się na małą, kiepsko oświetloną knajpkę, zajęliśmy boks w głębi, zamówiliśmy jajecznicę i tosty — to znaczy, Bonnie zamawiała — no i wiadomo, debata, co, kurwa, dalej.

— Melina — rzuciłem. — Jakiś zaufany kumpel, u którego można by przewaletować jakiś czas.

Bonnie wzruszyła tylko ramionami.

— Nie mam już zaufanych znajomych.

— Ja nigdy takich nie miałem. No może w Union. Ale ci się nie liczą.

Kiwnęła głową, zacisnęła usta.

— Ile jesteś do tyłu?

— Wystarczająco — przyznałem. — Po trzech miesiącach zwłoki przestaje to mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Pociągnęła łyk kranówki, którą nam podali.

— Miałeś kiedyś do czynienia z doradcą kredytowym?

Mimowolnie parsknąłem śmiechem.

— Doradcę kredytowego mam w osobie swojego byłego szefa. Od kiedy w trakcie pełnienia obowiązków służbowych noga mi się powinęła, nawet mu do głowy nie przyszło, żeby zaproponować mi jakąś ugodę. A ty?

— Miałam, a jakże — odparła. — I to z trzema różnymi...

— Pierwszy raz o czymś takim słyszę.

Bonnie się uśmiechnęła.

— Bo mnie jeszcze nie znasz. Bardzo na ciebie nastają?

— Jestem na liście stu najbardziej poszukiwanych — powiedziałem w jakiś perwersyjny sposób dumny z tego.

— O-la-la, kiepska sprawa.

— Mało tego. Jestem na tej liście dwunasty.

Jeśli nawet ta rewelacja zrobiła na Bonnie wrażenie, to nie dała tego po sobie poznać. Dalej jadła, popijając wodą z kranu.

— Co masz w sobie nowego? — spytałem. — O vocomie i uszach wiem... coś jeszcze?

— Nie tak wiele — mruknęła.

Czyżby celowo udawała idiotkę?

— Znaczy, co?

Zmrużyła oczy i kiedy przyglądała mi się przez te wąskie szparki, odniosłem wrażenie, że znowu mnie ocenia, próbuje przejrzeć. Wydało mi się przez moment, że słyszę szmer, z jakim sztuczne soczewki przesuwają się tam i z powrotem, szukając najlepszej ogniskowej.

— Wybierz trzy części ciała, o które chcesz mnie dzisiaj zapytać — powiedziała.

— Masz w sobie jeszcze trzy sztuczorgi?

— Wybieraj.

Tyle organów, tak mało czasu. O uszach i krtani — najnowszych modelach Vocomu — już wiedziałem, postanowiłem więc zacząć od twarzy.

— Oczy, nos i usta.

Oto, co mi odpowiedziała.

* * *

— Obie moje gałki oczne to Marshodyne Dynamics, każda ze standardowym stukrotnym zoomem i pełnym spektrum kolorów. Lewa ma dodatkową soczewkę, która wsuwa się na swoje miejsce, kiedy mrugnę trzy razy z rzędu, i potraja zoom na dal, czyli zwiększa go do trzystu, ale wtedy zwykle głowa zaczyna mnie boleć. Prawe oko ma funkcję makro, która umożliwia oglądanie wszystkiego jak pod lupą przy powiększeniu do dwustu razy, ale gdy korzystam z niej, miewam nudności. Kiedy używam obu funkcji naraz, to przeważnie zaczyna mi się kręcić w głowie, łykam aspirynę i rzygam. Kupiłam je od Marshodyne na kredyt z Credit Union oprocentowany na dwadzieścia dziewięć koma osiem procent w stosunku rocznym.

Chrzątka w nosie to silikonowa wersja produkowana przez korporację Boone z Wirginii, ale sensory i unerwienie zostały zaprojektowane przez konstruktorów z Credit Union. Modyfikacja

sensoryczna jest niewielka, jestem jednak dzięki niej w stanie blokować niektóre brzydkie zapachy, a wzbogacać te przyjemne. Ostatnio bardzo to się przydaje. Zakup został sfinansowany przez Union i to po promocyjnej stawce oprocentowania dwadzieścia siedem koma cztery w stosunku rocznym.

A usta to w zasadzie cała kolekcja sztuczorgów z najwyższej półki. Ale skoro cię to tak interesuje, oprowadzę cię po nich pokrótce i to za friko. Wargi jako takie mam własne, ale trzydzieści dwa procent sensorów pochodzi od Kentona, język jest z jakiegoś tam polimeru, ma czternaście razy więcej kubków smakowych od naturalnego, które można do woli włączać i wyłączać jak te w nosie — to również nabyłam za kredyt od Credit Union na dwadzieścia osiem koma cztery procenta w stosunku rocznym — a zęby, zęby to zwyczajna proteza od stomatologa. One nic mnie nie kosztowały.

Zadowolony?

* * *

I to był ten moment. Wymieniwszy jednym tchem, jak litanie, sztuczorgi, które jej wszczepiono, i opisawszy każdy w szczegółach, Bonnie sięgnęła zdecydowanym ruchem po szklanę z kranówką, i ten denerwujący kosmyk włosów, który opadał jej zawsze na oczy, odfrunął w bok. Po raz pierwszy zobaczyłem jej twarz w pełnej krasie i nagle, w jednej chwili, zrozumiałem, dlaczego wydaje mi się taka znajoma.

— Jesteś pierwsza — wykrztusiłem i szybko zniżyłem głos, bo obejrzeni się na nas inni konsumenci. — Otwierasz listę...

— Ciszej, z łaski swojej.

— Widziałem tę listę — ciągnąłem już szeptem. — W Mallu. Szukałem na niej swojego nazwiska...

— Wiem, jestem numerem jeden na liście Wielkiej Setki. Myślisz, że żyłabym jeszcze, gdybym o tym nie wiedziała?

Nie zdążyłem nic powiedzieć, bo w tym momencie podeszła kelnerka i z głośnym stukotem postawiła przed nami na stoliku ciężkie talerze z tym, cośmy zamówili. Nadziałem na widelec kilka bekonowych skwarek.

— Od dawna się ukrywasz? — podjąłem ściszym głosem. — Chyba tak, skoro tak wysoko znalazłaś się na liście.

— Tu rzecz nie w czasie — skorygowała Bonnie. — Rzecz w ilości. Później będziesz mnie mógł zapytać o tułów.

* * *

Moje ulubione reklamy Credit Union, kolejność przypadkowa:

1) „Co masz w sobie nowego?”. Choć ta formułka jest praktycznie mantrą dzisiejszych czasów, wątpię, czy ktoś pamięta jeszcze samą reklamówkę. Był to jeden z najwcześniejszych spotów Credit Union, w którym troje dzieci, każde innej rasy, śpiewa o wszczepionych im ostatnio sztuczorgach. Stepują przy tym nad wielkimi budowlami świata, niosąc życie i miłość ludziom na Ziemi. Nowa trzustka nad Tadź Mahal, lśniący nowością pęcherz nad Big Benem, wszyscy są pełni podziwu dla kondycji fizycznej i żywotności dzieciaków w tak krótkim czasie po operacji i rekonwalescencji. Bardziej niż sama reklamówka fascynuje mnie łatwość, z jaką slogan wszedł do mowy potocznej. Teraz, witając się ze znajomym, częściej mówimy: „Co masz w sobie nowego?” niż: „Siemanko”. Wielkie brawa za to dla ludzi od marketingu.

2) Wprowadzenie maskotek Harry'ego Serduszko i Larry'ego Płucko. Wiem, że to obciach, wiem, że to reklama dla pospólstwa, że ludzie na poziomie mają po dziurki w nosie kreskówki i pluszowych zabawek, parku tematycznego i działających tam fast foodów, ale co ja poradzę — kocham animowane przygody tej szelmowskiej dwójki. Pierwszy reklamowy filmik z tej serii trwał

sześć minut, nosił tytuł *Magiczna podróż Harry 'ego i Larry'ego* i podbił rynek, poprawiając przy okazji niebywale wizerunek Union. Najlepszy moment to ten, kiedy Harry i Larry stają naprzeciwko siebie na bokserskim ringu, nakładają rękawice, wiążą je, ale zanim rozpoczyna się walka, dochodzą do wniosku, że lepiej, jeśli będą działać ręka w rękę niż osobno. Umoralniająca lekcja dla dzieci, nic dodać, nic ująć.

3) „Zapytaj mnie o mój mózg”. Chyba najzabawniejsza reklama, jaką wysmażył dział marketingu Union, chociaż tak naprawdę był to spot hurtowni promujący pierwszy układ nerwowy opracowany przez Kentona. To ten, gdzie facet obdarzony niewiarygodną pamięcią gania jak fryga po mieście, dziesięć razy szybciej niż to możliwe, i kiedy wraca do biura, koledzy pytają go, co mu się przydarzyło, a on opowiada z najdrobniejszymi szczegółami swoje przygody. I podobnie jak z „Co masz w sobie nowego?” zrobił się z tego nowy slogan dla wszystkich zasztuczorgowanych pacjentów, hasło ułatwiające im przyznawanie się do faktu, że mają w sobie coś nie swojego. W końcu to, że nosi się implant, przestało być czymś wstydliwym.

Na pewno więcej jest takich, ale te trzy się wyróżniają. Może dlatego, że wszystkie inne wyleciały mi z pamięci. Z tą pamięcią w ogóle u mnie nie najlepiej; pewnie, kiedy była jeszcze taka możliwość, powinienem zaimplantować sobie ten sztuczny układ nerwowy. Dzisiaj mogę tylko powiedzieć: „Zapytaj mnie o moje serce”, ale po przeszło dziesięciu latach satysfakcji przynosi mi to tyle co nic.

* * *

Zabawna rzecz, pierwszy spot Credit Union zobaczyłem w przerwie na reklamy w trakcie powtórki filmu *Człowiek wart sześć milionów dolarów*. Nie tego oryginalnego ani nawet

remake'u, lecz remake'u remake'u. Reklamówka dotyczyła chyba serca, wszczepianie sztucznych organów było od niedawna bezpieczne i na pierwszy ogień poszły jarviki, i pamiętam, że bardziej mnie ta zbieżność zasmuciła, niż zaskoczyła. Prawda jest taka, że nawet szcycąc się nieskazitelną historią kredytową jak bohater filmu, Steve Austin, człowiek nie wyszedłby dzisiaj z tego szpitala obciążony kredytem mniejszym niż dwanaście milionów.

* * *

Z moich żon tylko Melinda miała sztuczorgi, ale wszczepione już po naszym rozwodzie. Kiedy byliśmy małżeństwem, zachowywała swoją naturalność, szcyciła się tym i pogardzała klientami, których domy odwiedzałem po nocach.

Ale kiedy Peter miał około dwunastu lat i gościł u mnie w weekend, tak jak sąd nakazał, wypnęło mu się, że mama była w szpitalu na jakiejś operacji.

— Jakiej? — spytałem.

— Nerek — odparł niewinnie, ale z iskierką podniecenia w oczach. — Wstawili jej nowe!

— Jakie? — spytałem, siląc się na nonszalancki ton. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że dla dwunastolatka nie istnieje coś takiego jak nonszalancja.

— Gabelmany — odparł. — Żebyś wiedział, jak koledzy mi zardroszczą.

I tak dowiedziałem się, że Melinda nafaszerowała się metalem. Chyba lepiej, że wtedy niż później, ale ciekawym, czy gdyby Peter nie miał takiego długiego języka, sprawy potoczyłyby się inaczej.

Prawdopodobnie nie. I tak bym ją zabił.

* * *

Bonnie знаła miejsce, w którym moglibyśmy się zamelinować. A ściślej mówiąc, miała przyjaciela, który mógł nam takie miejsce wskazać, ale dobre i to, bo mnie nic nie przychodziło do głowy.

— No, dzwonisz do niego czy nie? — zniecierpliwilem się, kiedy byliśmy już kilka przecnic od kafejki. Większość mojej uwagi pochłaniały tłumy przewalające się ulicą; wypatrywałem wśród przechodniów kogoś z przyklejonym do ust, wrednym uśmiechem łapsa Union, czekającego tylko, kiedy zdradzi nas najpierw buczenie, a potem pikanie skanera.

— On nie ma telefonu — odparła. — Ale możemy do niego pójść. Niewykluczone, że potrafiłby też coś zaradzić na moje kolano.

— Nie — warknąłem stanowczo — w naszej sytuacji nikomu nie wolno ufać...

— On jest w porządku — zaproponowała, wpadając mi w słowo. — Jest spoza Union.

Spoza Union. Preferowane określenie czarnorynkowego dilerstwa sztuczorgów, a ja, chociaż podejmowałem się czasem windykacyjnych fuch z ich nadania, to nie powiem, żebym przepadał za tym towarzystwem. Są to zazwyczaj doradcy kredytowi, którzy handlują na zapleczach hurtowni z podejrzanymi typkami; podprowadzają sztuczorgi z dostaw producenta i sprzedają je po dumpingowych cenach na zaniżony procent. Co ambitniejsi i bardziej pazerni Spozańcy śledzą licencjonowanych biowindyków realizujących swoje zlecenia, czekają, aż ci odstawią brudną robotę, a potem jak sępy żerują na tym, co pozostało jeszcze w trupie. Unioniści zabierają tylko to, na co wystawione zostało zlecenie; Spozańcy rozdrapują resztę.

Jeśli jednak chodzi o nasze osobiste bezpieczeństwo, nic nam raczej nie groziło. Ten gościu znajdował się w podobnej do naszej

sytuacji i donoszenie na nas do Union nie leżało w jego interesie, nawet gdyby miał na tym zarobić.

A poza tym co nam pozostawało? Poszliśmy do tego Spozańca.

* * *

Przez większość swojego zawodowego życia miałem o Spozańcach jak najgorsze zdanie; stanowili dla nas dziką konkurencję i swoim procederem odbierali nam chleb. Często tworzyliśmy spośród nas grupy do zadań specjalnych, czyli demaskowania ich melin i eliminowania każdego, kto się tam akurat znajdował, ale te grupy rzadko odnosiły jakiś sukces. My byliśmy lwami, oni padlinożercami. Przyznać jednak muszę, że gdyby nie oni, nigdy nie spotkałbym Melindy.

Szósty rok pracy w zawodzie, Mary-Ellen była już tylko wspomnieniem przyprawiającym o lekki skurcz żołądka, który można by bez trudu zwalić na złe trawienie. W pracy w porządku, niedawno dostałem awans na Kategorię Trzecią, co oznaczało, że będę mógł brać pewne zlecenia windykacyjne, o których do tej pory mogłem sobie tylko pomarzyć. Obejmujące, między innymi, wysoko postawioną i celebrycką klientelę, jak również ekstrakcje w niesprzyjających warunkach.

Wkrótce potem kierownik wezwał mnie do swojego gabinetu i wręczył zlecenie z pełną dokumentacją na tę noc. Stojąca nad grobem staruszka przed paroma miesiącami przestała spłacać raty za swojego jarvika; Union chciała go odzyskać, zanim kobieta umrze i zabierze go ze sobą do grobu. Zdarzały się już wcześniej podobne nieprzyjemne sytuacje, kiedy potrzebna była ekshumacja, i w wydziale PR panował wówczas sądny dzień, miałem więc odzyskać egzemplarz, zanim dojdzie do czegoś takiego.

Dom spokojnej starości znajdował się na obrzeżach miasta, sąsiadował z komunalnym osiedlem mieszkaniowym i podejrzaną stacją benzynową. Zaśmieczone chodniki, zapuszczone żywopłoty, samochody przemykające ruchliwą ulicą poniżej. Trzy posiłki dziennie, same kleiki, świetlica z dwoma grammi planszowymi ze zdekompletowanymi pionkami. W takich miejscach kochające dzieci umieszczały na starość swoich rodziców i dziadków, mszcząc się za to, że kiedyś tam nie dostały od nich na Gwiazdkę zabawek, które im się marzyły.

* * *

Do Petera:

Zabij mnie, jeśli taka Twoja wola. Z góry Cię rozgrzeszam.

Wytrop mnie i zemścij się. Torturuj. Tak żebym darł się w niebogłosy. Nie mam nic przeciwko.

Ale jeśli umieścisz mnie w jednym z tych miejsc, jeśli zamkniesz mnie w którymś z tych domów, gdzie każą człowiekowi łykać szesnaście pastylek na godzinę, to Cię, synku, wydziedziczę.

* * *

Pani Nelson miała w sobie jarvika model 11, prototyp będący jeszcze w trakcie udoskonalania, bez żadnych tam bajerów. Do mojego skanera załadowano precyzyjne dane jej sztuczorga, żeby łatwiej mi ją było wyłuskać z kakofonii sygnałów wysyłanych przez rozmaite inne niespłacane sztuczne organy, których w każdym domu spokojnej starości zatrzesienie. Zagazowania całej placówki od początku nie brałem pod uwagę, bo mijałoby się to z celem; po pierwsze, nie miałem tyle eteru, po drugie, ze strony starsuszków żaden opór mi raczej nie zagrażał. Nie gustowałem w przeprowadzaniu windykacji na osobach w podeszłym wieku.

Czasu pozostało im niewiele, zdawali sobie sprawę, że długo już nie pociągną, a tu jeszcze ja się wtrynam tanecznym krokiem, żeby obrabować ich z tej końcówki. Ale trudno, rachunki trzeba płacić.

Wszedłem frontowymi drzwiami do holu i kładąc palec na ustach, uciszyłem od progu recepcjonistkę. Była nowa. Siedziała prosto, jakby kij połknęła, na mój widok strach przykuł ją do krzeselka. Włączyłem skaner, tak dla jaj. Zapikał. Zerwała się na równe nogi. Posłałem jej dłonią całusa i pomaszero wałem dalej.

Jake już kilka lat wcześniej podrasował mój skaner; gdyby nie to, przemierzając teraz korytarze, utonąłbym w zalewie napływających zewsząd informacji. Dzień był upalny, nie miałem więc na sobie swojej czarnej kurtki i tatuaż Credit Union na szyi kłuł po prostu w oczy. Snujący się po korytarzach rezydenci — i ci podpierający się na balkonikach, i ci człapiący o własnych siłach — spojerali na mnie wrogo i mruczeli coś tam pod nosem, a niektórzy odwracali wzrok, czym się mimowolnie zdradzali, że wiszą z ratami za swoje sztuczorgi.

— Bez obawy — mówiłem tym, którzy wyglądali mi na najbardziej wystraszonych. — Nie przyszedłem w waszej sprawie. — To ich uspokajało. Mogli stać się moimi klientami za tydzień albo za miesiąc, ale po co im to zawczasu uświadamiać.

Pikanie dobiegało do mnie ze wszystkich stron, a ja odczytywałem dane najszybciej, jak potrafiłem, szukając jarvika-11 pani Nelson. Sztuczorgów było tu tyle, że wszystkich naraz nie dało się ogarnąć. Zatrzymałem się pośrodku korytarza i zawężając zasięg skanera, zacząłem nim powoli obracać. Kiedy przez wyświetlacz przemknął numer 11, zrobiłem nawrót i zablokowałem wskazanie. Miałem na ekranie pełne, szczegółowe dane, byłem w domu.

W pokoju dwie kobiety. Jedna stara, druga młoda. Jedna ze sztuczorgiem, druga bez. Jedna w łóżku, druga na krześle. Ta pierwsza pogrążona we śnie, ta druga wprost przeciwnie. Nie-trudno się było zorientować, która jest która.

— Pomyliłeś pokoje — naskoczyła na mnie ta młodsza, chyba pielęgniarka. — Proszę wyjść.

— Bardzo przepraszam, siostró — powiedziałem — ale jestem z Union i mam tu coś do załatwienia. Lepiej będzie, jeśli to siostra wyjdzie. Widok może nie być przyjemny.

Zerwała się z krzeselka i podbiegła do mnie, ale ja nie ustąpiłem pola. Staliśmy ze sobą nos w nos. Była wysoka, prawie mojego wzrostu, pociągnęła twarz, rysy zdecydowane, na głowie burza rudych włosów. Zdumiewała mnie jej postawa.

— Wiem, kim jesteś i czym się zajmujesz i powtarzam, że pomyliłeś pokoje. To jest pani Selma Johnson i nie ma tego, po co tu przyszedłeś.

Spojrzałem jeszcze raz na wyświetlacz skanera, a tam dalej jak byk dane jarvika-11. Wczesny model, bez opcji, cztery komory pompujące w nieskończoność krew. Z jakiegoś tam powodu skaner nie wyświetlał numeru seryjnego ani nazwiska właściciela, ale to normalka, bo przekalibrowywane chałupniczo skanery zyskiwały na niektórych parametrach, ale gubiły inne fabryczne funkcje. Coś za coś.

— Ma jarvika-11, po którego przyszedłem — powiedziałem i chciałem obejść pielęgniarkę zagrządzającą mi drogę do łóżka kobiety — i muszę go dostarczyć szefowi przed zmierzchem. Praca, jak każda inna, proszę pani.

— Wiem, że jak każda inna, ale powtarzam, że to pomyłka, je-łopie.

To był pierwszy raz, kiedy Melinda tak mnie nazwała, a ja już wtedy, na długo przed naszym ślubem, poczułem rozkoszne prądy przebiegające w te i nazad po moim kręgosłupie.

Wtedy również przekonałem się, jak rezolutna potrafi być moja ekszona. Wiem, mogłem ją obezwładnić paralizatorem, ale coś mnie przed tym powstrzymywało, coś kazało kontynuować rozmowę. Można by pomyśleć, że awanturowanie się z tą kobietą sprawia mi jakąś perwersyjną satysfakcję, uruchamia ośrodki przyjemności w mózgu, że tego jednego do życia mi brakowało.

Psychoanalityk, do którego prowadziła mnie Carol, do pięt jej pod tym względem nie dorastał.

* * *

— To implant od Spozańca — przyznała w końcu Melinda. — Zadowolony? Nie możesz go zarekwirować w imieniu Union, bo do nich nie należy.

— Ze wskazania skanera wynika...

— Ze wskazania, ze wskazania — prychnęła z sarkazmem. — A masz na tym wskazaniu numer seryjny?

— No... — zacząłem — Nie, nie mam, ale...

— Bo został zakupiony na czarnym rynku. Wiem, ponieważ sama skontaktowałam ją z tym spozańskim dilerem.

Zatkało mnie — większość ludzi w obecności biowindyka staje się zbyt spięta, by wdawać się z nim w jakiegokolwiek dyskusję, a co dopiero przyznawać, że pomagało się komuś w szukaniu dojść do szarej strefy sztuczorgowej. Ale ta dziewczyna — ta kobieta — była cyklonem prawości. W pokoju zrobiło się nagle gorąco.

— Może skoczylibyśmy razem na lunch? — spytałem.

— A wyjdiesz ze mną z tego pokoju?

— Wyjdę.

— Jak tak, to chodźmy — powiedziała Melinda.

Zaprowadziła mnie na trzecie piętro do półprywatnego pokoju pani Nelson i czekała z założonymi na piersiach rękami, aż

odzyskam jarvika-11, tego, który rzeczywiście należał do Credit Union, a potem udaliśmy się z moją trzecią byłą żoną na naszą pierwszą oficjalną randkę. Zarekwirowane serce zostawiłem w schowku na rękawiczki.

* * *

Skoro już mowa o posiłkach, które potrafią odmienić ludzkie życie:

Afrykańszczyznę jadłem po raz pierwszy na trzeci dzień po zakończeniu wojny. Stacjonowaliśmy tam bez mała dwa lata, stołując się w garnizonowej kantine, chociaż mieliśmy od groma okazji, by skosztować miejscowej kuchni. Nie wykorzystaliśmy żadnej i trzeba było dopiero końca wojny, żeby do tego doszło.

Do stolicy, Windhuk, dotarliśmy dobrze po zmierzchu. Sunęliśmy kolumną czołgów wąskimi, brukowanymi uliczkami, machając przyjaźnie z wieżyczek do zdziwionych mieszczuchów i miażdżąc gąsienicami na proszek ich kocie łby. Mnie i jeszcze paru chłopakom z tury, która jako ostatnia wjechała do miasta, przyznano czterdziestośmiogodzinne przepustki, żebyśmy się zabawili w tej zabitej dechami dziurze, która przez tysiące lat swojego istnienia nie widziała jeszcze prawdziwej balangi, ale my postanowiliśmy uczcić zakończenie afrykańskiego konfliktu w jakiś bardziej cywilizowany sposób.

Nie mieli tam dzielnicy Czerwonych Latarni. Mnie to specjalnie nie obeszło. Ani mi w głowie było szukać następnej żony.

Ale znaleźliśmy całodobową jadalnię, malutką obwieszoną kurtynami z paciorków restauracyjkę, w której zaserwowano nam czubate, parujące misy pysznego, podlanego obficie jeszcze pysznym sosem, mięsiwa. W tej paciai pływały podobne do

ziemniaków warzywa, ich nieobrane ze skórki guzowate, brązowe korzonki drapały mnie przy łykaniu w gardło. Mięso było twarde, łykowate, ale smaczne, i chociaż jeden z działonowych, który znalazł trochę afrykanerski, dopytał się, że to koza, ja dalej żułem i łykałem, żułem i łykałem. Że też wcześniej nie odkryłem tego przysmaku w pustynnych osadach, które przyszło mi odwiedzać, myślałem sobie, delektując się daniem, które syciło i rozkosznie rozgrzewało od środka. Kelnerzy uwijali się, donosząc talerz za talerzem, a ja, nie mogąc odżałować, że przez całą wojnę żywiłem się tak etnofobicznie, czyściłem je po kolei jak ostatni głodomór.

Dwanaście godzin później kłęczałem z głową nad pocziwą amerykańską miską klozetową, zwracając to, co z takim smakiem konsumowałem, podobnie zresztą jak wszyscy, którzy jedli coś w tamtej zapyziałej mordowni. Obróciliśmy im w perzynę ojczyznę, odegrali się za to sabotażem na naszych układach trawiennych.

* * *

Układ trawienny Bonnie też był po przejściach. Po wyjściu z kafejki nakłoniłem ją, żeby pozwoliła mi odgadnąć jeszcze trzy sztuczne organy, jakie jej wszczepiono, i tym razem wytypowałem te wewnętrzne. Żołądek, wątroba, nerki.

— Mój żołądek — Bonnie westchnęła, jakby ją to nudziło — to Kenton ES/18, model Lady Mystique o pojemności ponad trzech szklanek. Był najlepszy na rynku, kiedy go kupowałam, lecz nie ma regulacji powiększania/zmniejszania jak te nowsze. Ale kiedy zjem tyle, że całkiem się wypełni, wysyła komunikat do przełyku — który, jak element całego układu, również jest produkcji Kentona — i skutecznie blokuje mięśnie przełykania w moim gardle. Poza tym jest jasno-błękitny, a to mój ulubiony kolor. Trafił na

rynek w dniu, kiedy szłam na operację, a kredyt, który dostaliśmy bezpośrednio od Kentona, był oprocentowany na dwadzieścia dwa i sześć dziesiątych procent.

Moja wątroba pochodzi z Hexa-Tan, specjalistycznej duńskiej hurtowni. Nie ma innych funkcji poza oczyszczaniem mojego organizmu z toksyn, a kredyt załatwiałam poprzez kilku międzynarodowych pośredników współpracujących z Credit Union, i jest oprocentowany na trzydzieści cztery i dwie dziesiąte procent z roczną bonifikatą o jedną dziesiątą procent za terminowe spłaty.

Co do moich nerek... są to dwa różne modele. Lewą nabyłam w Credit Union na równe dwadzieścia cztery procent w stosunku rocznym, i ta coś ostatnio szwankuje, ale skończyło mi się ubezpieczenie i nie mogę pójść do szpitala, żeby ją tam obejrzeni. Prawa, wszczepiona przed sześcioma miesiącami, to najnowocześniejsza taihitsu ze wszystkimi dostępnymi opcjami, od wbudowanego monitora ketonowego dla diabetyków, po takie małe urządzone, które zabarwia nietoksycznym środkiem urynę, dzięki czemu mogę nabierać znajomych, że sikam krwią, jagodzianką czy czym tam jeszcze. Nie wykorzystywałam jeszcze tej opcji. Tak czy siak, kredyt jest oprocentowany na osiemnaście i dwie dziesiąte, najniżej ze wszystkiego, co w sobie mam.

Rodziło się we mnie podejrzenie, że ona mogłaby tak bez końca.

* * *

Taksówkarze to wredne plemię, które na potęgę dorabia sobie w Union kapowaniem; u części z nich dziewięćdziesiąt procent dziennego utargu to nieopodatkowane honoraria za przekazywane donosy. Sam miałem na swojej liście płac całą siatkę taksiarzy, facetów, którzy dla zainkasowania na boku paru dolców bez

żadnych skrupułów włączali syrenę i kablowali, gdzie wysadzili klienta, którego im nadałem. Ci sprytniejsi, jeśli rozpoznali twarz i chcieli uszczknąć coś więcej z tego pączka, jechali pod wskazany przez klienta adres „na skróty” i podróż kończyła się po kilku minutach pod tylnym wejściem siedziby Union. Ja pojawiałem się przy krawężniku z paralizatorem krótkiego zasięgu, zanim jeszcze delikwent połapał się, gdzie go przywieziono, i podjął próbę ucieczki.

Pewnego razu, kilka dni przed zakończeniem kariery, w okresie gdy Wendy wierciła mi dziurę w brzuchu, żebym przeniósł się do działu sprzedaży, urządziliśmy w naszym ogródku małe barbeque pod chmurką. Tylko ja, Jake, Frank i jeszcze paru znajomych windyków. Rzucaliśmy do siebie futbolówką, gawędziliśmy o wszystkim i o niczym, było piwo, hot dogi, steki, po prostu miłe popołudnie spędzane w zgranym towarzystwie. Wpadł nawet Peter; studiował już, a Melinda pojechała na jakąś tam wycieczkę i jeszcze nie wróciła. Zaczynaliśmy się o nią martwić, znaczy ja i Peter, ale Melinda miała w zwyczaju wykręcać podobne numery; bez wątpienia pojawi się za kilka tygodni i będzie opowiadała o swoim wypadzie do Peru albo o tym, jak pomagała wyjść na prostą jakiejś zubożałej rodzinie z Luizjany.

Krótko mówiąc, pełny luz i relaks, a tu nagle telefon. Odbieram, dzwoni taksówkarz z mojej siatki informatorów i skarży się, że silnik mu się trochę ostatnio przegrzewa, co w naszym slangu oznacza, że ma dla mnie dostawę pod Union.

— Mam dzisiaj wolne — mówię, machając do Wendy, która stała niedaleko i rozmawiała z Peterem. — To nie najlepsza pora.

— Ale to już co najmniej szósty albo i siódmy miesiąc — nie daje za wygraną taksiarz. Sześć do siedmiu miesięcy po terminie, według wskazania nielicencjonowanego skanera, który dałem mu

przed kilkanaście laty. Union nieźle by za taki odzysk zapłaciła, nawet jeśli nie miałem na niego oficjalnego zlecenia. Nie cierpiełem akurat na brak gotówki, ale to grzech pogardzić pieniędzmi, które same cisną się do ręki.

— Za pięć minut jestem przed domem — powiedziałem i podałem mu swój prywatny adres.

Odłożyłem słuchawkę, wróciłem do Wendy i Petera i cmoknąłem żonę w policzek.

— Muszę na chwilę wyskoczyć. Browarek się kończy. Zaraz wracam.

Dałem przez podwórko znak głową Jake'owi. Skumał od razu, o co biega, i ruszył za mną przez dom do drzwi wejściowych, zgarniając po drodze z grilla nóż do filetowania, którego ostrze ociekało sosem z wołowiny.

— Nie uważasz, że to niehigienicznie? — spytałem.

— Zaaplikuje się osobie antybiotyk i będzie gites. — Jake zawsze miał na wszystko odpowiedź. — Czuj duch, oto nadchodzi.

Taksówka skręciła z piskiem opon w podjazd i zahamowała ostro przed domem, nieoczekiwanie dla pasażera kończąc tu kurs. Zdążył tylko miauknąć „nie”, a drzwiczki stały już otworem i w robocie był paralizator. Lokalizując z Jakiem, a potem windykując przeterminowaną o pół roku nerkę, zauważyłem, że taksiarz śledzi ciekawie w lusterku wstecznym nasze poczynania.

Wcisnąłem mu w garść dwieście dolców za dostawę i dodatkowe pięćdziesiąt za pozbycie się zwłok. Kiedy w zakrwawionym i zatłuszczonym fartuchu do barbeque wysiadałem z taksówki, zobaczyłem Wendy stojącą w drzwiach frontowych i obserwującą całą scenkę z wyrazem zawodu na twarzy. Odwróciła się na pięcie i znikła w środku.

— Przestań, kotku — zawołałem za nią — robisz z igły widły!
To była tylko nerka.

— Właśnie — dorzucił Jake. — Ma jeszcze jedną.

* * *

W związku z powyższym ryzykowalibyśmy z Bonnie życie, biorąc taksówkę do jej znajomego. Sęk w tym, że facet mieszkał po drugiej stronie miasta, a więc wędrownka tam z torbą pełną artylerii odpadała i pozostawało nam skorzystanie z transportu publicznego. Już na samym początku kursu na windyka wbito nam w głowę, że metro to dla delikwentów wymarzona kryjówka, bo w tłoku trudno odróżnić skanerem jeden sztuczorg od innego. Wmieszanie się w tłum zwiększało więc znacznie nasze szanse; skierowaliśmy się do wejścia na najbliższą stację.

Zaproponowałem przeskoczenie nad obrotową bramką wejściową, ale Bonnie po raz drugi zapłaciła za nas oboje i zesłiliśmy na peron jak cywilizowani obywatele. Nie wiedziałem, jaką sumę w tych drobniakach ma przy sobie, ale podejrzewałem, że jest tego tyle, co kot napłakał, bo inaczej dawno już by spłaciła swoje sztuczorgi.

* * *

W szóstym roku pracy w zawodzie korporacja Breathelt wysłała mnie na pewne osiedle mieszkaniowe z zadaniem odzyskania pary płuc. Breathelt była wówczas nową hurtownią i krążyły pogłoski, że większa część ich kapitału pochodzi z pewnych ekstralegalnych źródeł zainteresowanych praniem do czysta swoich pieniędzy. Mało mnie to obchodziło; płacili honorarium o sześć procent wyższe niż standardowe stawki Union, a więc gęba na kłódkę, uśmiech na usta i do roboty.

Zwiedziłem już służbowo wiele osiedli mieszkaniowych w

całym kraju; biowindykowi zawodowe życie upływa na szwendaniu się po najprzeróżniejszych zakazanych rewirach. Ale takiego syfu jak na Reagan Heights jeszcze nie widziałem. Można by pomyśleć, że lokatorami są tu szczury, którym zaległy się ludzkie gryzonie. Zaparkowałem samochód na jakimś placyku przypominającym szrot, gdzie dożywały swoich dni stare, czterdziestoletnie, porzewiałe graty krajowej produkcji.

Federalny Departament Gospodarki Mieszkaniowej dawno już rozwiązano, a stanowe odpowiedniki, które powyrastały na jego miejsce jak grzyby po deszczu, nie potrafiły zadbać o funkcjonalną estetykę tego getta. Idąc chodnikiem, mijalem wysokościewce, które sąsiadując ścianą w ścianę z małymi, niskimi bliźniakami, zabierały im światło i wprowadzały jeszcze większy chaos w tę i tak szpetną dzielnicę. Wypłwiałe, luszczące się róże, zielenie i żółcie walczyły o palmę pierwszeństwa z brązami zapuszczonych, niepodlewanych trawników, z frontonów poodpadały tabliczki z nazwami budynków i numerami ulic, co utrudniało bądź wręcz uniemożliwiało trafienie pod dany adres.

Ale ja miałem swoje sposoby. Rozpoznałem dom faceta po porno shopie na parterze.

Nie mogłem posłużyć się gazem, bo jego połowa bliźniaka miała wspólny szyb wentylacyjny z sąsiednim, a z tego sąsiedniego dolatywały piski rozbawionej dzieciarni. Taka nowa na rynku firma jak Breathelt wystrzegala się jak ognia gazowania małych dzieci w porze dobranocki. Sforsowałem dyskretnie zamek we frontowych drzwiach, wśliznąłem się do środka i ujrzałem delikwenta w klubowym fotelu, przygotowującego się do zrobienia sobie dobrze.

Patrzyłem z ciemnego korytarzyka, jak kładzie na rozchwieranym stoliku pornola, rozpina brudne dżinsy i zsuwa je do kostek. Sam się unieruchomił.

— Dobrze się oddycha? — spytałem, wynurzając się z cienia.

Klient zwiotczał na swoim fotelu, ramiona mu drżały. Skrzywił się i zmrużył oczy, kiedy zaświeciłem mu w nie latarką. Z opuszczonymi spodniami, roztrzęsiony, skrzywiony — nie, to zdecydowanie nie było coś, czym można się chwalić przed znajomymi.

— Zaraz... zaraz wezwę policję — wyjąkał i wyciągnął rękę, niby że sięga do telefonu, ale był to tylko symboliczny gest, bo telefon znajdował się po drugiej stronie pokoju.

Dobyłem lugera, którym się wtedy posługiwałem, lugera z dokręconym długim tłumikiem, i strzeliłem w telefon trzy razy. Zadymił i spadł na podłogę.

— Znajduje się pan w posiadaniu czegoś, co nie jest już pana własnością — oznajmiłem, wyciągając stosowne papiery z wewnętrznej kieszeni kurtki — i ja właśnie po to.

W sytuacji, kiedy nie stosuje się eteru, łatwiej zawsze nakłonić klienta do złożenia podpisu na akcie zrzeczenia się sztuczorga — mniej potem papierkowej roboty w biurze — ale to się rzadko zdarza.

Facet albo był na prochach, albo ja tego wieczoru nie wzbudzałem swoim wyglądem takiej grozy jak zwykle, bo sukinsyn postanowił stawić opór. Kiedy się do niego zbliżałem z żółtym formularzem i długopisem w jednej, a lugerem w drugiej ręce, odchylił się raptownie w fotelu i wierzgnął na oślep gołymi nogami, trafiając mnie boleśnie w dołek. Zgiąłem się wpół.

W sekundę doszedłem do siebie, ale on tymczasem zdążył się już zerwać z fotela i żabimi skokami zmierzał w kierunku sypialni. Wyrwałem zza cholewy buta paralizator, strzałki śmignęły przez pokój i utkwiły we framudze w momencie, kiedy tam wpał. Westchnąłem, spokojnie podszedłem do drzwi, ładując po

drodze paralizator nową parą strzałek, i wkroczyłem do sypialni.

Siedział na podłodze z opuszczonymi wciąż spodniami, odkręcał jeden po drugim słóiczki wypełnione drobniakami i rozsypywał wokół siebie brzęczące kaskady monet.

— Mam... mam pieniądze — wyjąkał. — Tutaj, o, tutaj.

— Nie będę tego liczył.

— Sam policzę — pisnął.

— A ja tobie nie wierzę. — Uniosłem paralizator, ale przed naciśnięciem spustu coś mnie powstrzymało. Nie pamiętałem dokładnie, jaka jest polityka Breathelt względem zaległych płatności. Kenton, na ten przykład, wołałby, żeby biowindyk zainkasował pieniądze, jeśli suma w pełni pokrywała zaległość, a dopiero potem rekwirował organ. Nie chciałem dać płamy już przy pierwszej chałturze na rzecz nowej hurtowni, nie chciałem też dzwonić do centrali i przyznawać się, że nie wiem, co w takim wypadku począć. Rozegrałem to więc dyplomatycznie.

Godzinę później byliśmy w lokalnym oddziale banku. Ukradłem parę powłoczek na poduszki tym bardziej odjechanym mieszkańcom Reagan Heights i kazałem facetowi przesypać do nich to, co uciulał. Wyszło tego w sumie szesnaście pękatek powłoczek. Trzymałem faceta na muszce, kiedy powłoczka po powłoczce targał tę drobnicę do kuloodpornej szyby bankowego okienka. Kasjerka nie paliła się do liczenia nieposegregowanych i niepopakowanych w słupki monet, ale pogadałem z kierownikiem, obiecałem nieoprocentowany kredyt na sztuczorg i lody zostały przełamane. Do liczenia zaangażowano nawet zastępcę kierownika.

Według rozliczenia, czyli podsumowania delikwenta, razem z karami za nieterminowe spłaty i takimi tam, gość wisiał szesnaście tysięcy dolarów. Najlepsze, że niewiele mu do tej sumy brakowało.

— Piętnaście tysięcy osiemset dwanaście — oznajmiła natapirowana urzędniczka. — I czterdzieści pięć centów.

Klient rozpromienił się. Na jego twarz, dotąd pobladłą, wystąpiły kolory i odniosłem wrażenie, że zaraz rzuci mi się na szyję.

— Bierz to wszystko! — zawołał, popychając ku mnie górę monet. — Bierz, a ja ze swej strony obiecuję, że od teraz będę płacił sumiennie miesiąc w miesiąc.

— Brakuje dwóch setek — zauważyłem. — To nie jest pełna spleta zaległości.

Zaczął wtedy krzyczeć, wyć jak syrena alarmowa, błagać kaskaderkę, żeby go wsparła, ale ta, nie słuchając, uciekła przytomnie z pokoju, kiedy przełączałem paralizator na najwyższą moc. Pracownicy banku byli na tyle uprzejmi, żeby mi nie przeszkadzać w trwającej piętnaście minut ekstrakcji, a kiedy stamtąd wychodziłem z dwoma wciąż dyszącymi płucami Breathelt pod pachą, zapewniali, że mogę się nie przejmować bałaganem, jaki zostawiam, oni po mnie posprzątają.

Tak prawdę mówiąc, to mogłem mu pożyczyć te dwieście docłów, ale moim zdaniem gościu na to nie zasługiwał.

* * *

Czasami, chociaż staram się to w sobie zwalczyć, zbyt łatwo obdarzam ludzi zaufaniem. Ufałem swoim żonom; i marnie na tym wyszedłem. Ufałem swojemu sierżantowi sztabowemu; okazał się tego godny. Ufałem swojemu szefowi i kolegom z Union; tu jeszcze na dwoje babka wróżyła.

* * *

— Chcesz wiedzieć, skąd się tu wzięłam — odezwała się do mnie Bonnie w metrze. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie, i nie myliła się.

— Opowiedz mi o sobie, to zrewanżuję ci się tym samym.

Pocałowaliśmy się. Po raz pierwszy. Lekkie cmoknięcie. Usta w usta, elektryczny poszum jej języka zatrzymującego się tuż przed moim. Byliśmy sami po tej stronie wagonu — Numer Jeden i Numer Dwanaście z listy stu najbardziej poszukiwanych przez Union, fortuna z ciała i metalu czekająca tylko na zgarnięcie przez jakiegoś średnio kumatego łapsa — ale mimo to rozluźniliśmy się, rozsiedliśmy wygodnie i dalej zwierzać się jedno drugiemu.

Zaczęła Bonnie.

* * *

Była zwyczajną gospodynią domową, kochającą małżonką współpracującego z Union chirurga specjalizującego się w ekspresowych, prawie bezbolesnych implantacjach sztucznych trzustek i nerek. Mieli piękny dom na wzgórzach i zimową chatę w Park City, nie za dużą, nie za małą, w sam raz na krótkie wypadki z przyjaciółmi na narty. Mieli trzy samochody z importu i jeden paliwożerny krążownik szos krajowej produkcji na weekendowe włóczęgi, mieli małą żaglówkę, którą cumowali w marinie w Vero Beach. Własnych dzieci nie mieli i swoje nieznajdujące ujścia uczucia rodzicielskie przelewali na siostrzenice i bratanków, organizując im wystawne przyjęcia urodzinowe i świąteczne wycieczki, kupując zabawki, ubrania i gry, i czekając z utęsknieniem na dzień, kiedy cienka czerwona kreska testu ciążowego przemieni się w plus i Bonnie powije ich upragnione dziecko. Ginekolog powiedział, że jeśli będą myśleli pozytywnie i próbowali, tylko tego patrzeć. „Kochajcie się, ile możecie”, poradził. I stosowali się do jego zalecenia.

Upłynęły dwa lata, mijał rok trzeci, oni spółkowali codziennie do upadłego, i nic. Poszła na badania. Były to długotrwałe

skomplikowane procedury z rurkami, pobieraniem krwi i igłami.

— Czulałam się jak pieczony kartofel — wyznała mi w metrze Bonnie — który nakłuwa się co chwilę, żeby zobaczyć, czy doszedł.

W trzecim roku, robiąc pewnego popołudnia zakupy w osiedlowym sklepie spożywczym, Bonnie poczuła, że coś ciepłego i mokrego ścieka jej po nogach. W pierwszej chwili pomyślała, że to krew, śluz, w każdym razie coś świadczącego o kolejnym poronieniu, których przez ostatnie lata tyle już przeżyła. Spojrzała na spodnie i z przerażeniem stwierdziła, że to uryna, i że leje się z niej, a ona nie może tego powstrzymać.

Znowu badania i diagnoza — guz. Rak nie zaatakował w pierwszej kolejności pęcherza, lecz macicę. Powiedziano jej, że jedyny sposób na uchronienie się przed dalszymi przerzutami, to usunąć hurtem i jedno, i drugie i zastąpić je sztucznymi odpowiednikami produkcji Kentona. Mąż, człowiek zamożny, z nieskazitelną historią kredytową, rozkochany w swojej żonie, przekonał ją szybko, że to jedyne racjonalne wyjście.

— Otworzyli mnie — ciągnęła Bonnie — i wszczepili te sztuczorgi. Powiedzieli, że sztuczna macica jest nawet lepsza od tej naturalnej, bo ma specjalną, sterowaną genetycznie funkcję formowania łona, że zajdę w ciążę, zanim zdążę się obejrzeć, ale ja wiedziałam, że to jeszcze nie koniec.

I miała rację. Nowotwór się rozprzestrzenił.

Na pierwszych pooperacyjnych badaniach kontrolnych okazało się, że zwyrodniałe komórki przeniosły się na jajniki, niszcząc jajeczka wraz z ich siedliskiem. Bezzwłoczne nacięcie macicy. Teraz pokonamy tego raka, zapewniano ją, i chociaż Bonnie nie miała już jajczek, naukowcy uspokajali, że znajdują jakiś sposób

na połączenie jej DNA ze spermą męża, a potem odpowiednią dawczynią jajeczka, i oboje będą jeszcze mogli zostać naturalnymi rodzicami.

Niestety, wkrótce wysiadł jej też żołądek. Potem wątroba i trzustka. W następnej kolejności śledziona, nerki i...

Powiedzieli, że nigdy czegoś takiego nie widzieli; nowotwór rozprzestrzenił się w błyskawicznym tempie, atakując coraz to inną część jej organizmu, a te poddawały mu się praktycznie bez walki. Była jak Francja podczas drugiej wojny światowej.

Im szybciej postępowała choroba, tym szybciej jej mąż zamawiał nowe sztuczorgi i brał kredyt za kredytem, by ratować swoją ukochaną gasnącą w oczach żonę. Na tym upłynęły kolejne dwa lata wypełnione wizytami w szpitalu i w hurtowniach, wymianiem naturalnych organów wewnętrznych, jeden po drugim, na perfekcyjnie zaprojektowane, dorównujące tym oryginalnym albo nawet lepsze od nich, repliki.

Kiedy to się skończyło, kiedy rak został wreszcie wyparty na dobre z jej organizmu, Bonnie w siedemdziesięciu czterech procentach była sztuczna.

* * *

— Na szczęście skórę mam własną — ciągnęła — i większą część tkanki tłuszczowej. Zachowałam jedną swoją pierś, a na miejsce drugiej wszczepili mi quattrofil, nadmuchiwaną, żeby wyglądała dokładnie jak ta prawdziwa, ma nawet wbudowany pojemniczek na mleko, żebym mogła bardziej naturalnie nią karmić. Ha! Większość kości też mam naturalnych, ale ostrzeżono mnie, że kiedy z wiekiem zostaną zaatakowane przez osteoporozę, je również będę musiała wymienić albo wstawić sobie tytanowe pręty wzmacniające, żeby podtrzymywały ciężar całego ciała.

Czaszkę mam własną, ale większość sekcji mózgu związanych ze zmysłami jest okablowana przewodami i mniej więcej połowa moich doznań kierowana jest do specjalnej pamięci żelowej, której pracą steruje półprzewodnikowy procesor. Czasami, kiedy myślę naprawdę intensywnie, słyszę gulgotanie, z jakim moje wspomnienia szukają tam sobie miejsca. Czyli całą infrastrukturę już mam, potrzeba mi tylko rusztowania. W zasadzie żyję, bo zostałam zmodernizowana.

* * *

Ale tu będzie najlepsze.

— Znaczy twoje organy... — zawahałem się — te najważniejsze...?

— To wszystko sztuczorgi — z jednym wyjątkiem. Rak przeszedł jak szarańcza przez mój organizm, niszcząc wszystko, co napotkał na swojej drodze, ale nie wiedzieć czemu zostawił w spokoju serce. Za każdym razem, gdy mnie otwierali, lekarze byli przygotowani na wszczępienie mi jarvika, ale komórki pozostawały tam czyste. Mimo to chcieli mnie takim profilaktycznie uszczęśliwić, wychodząc z założenia, że skoro cała moja reszta może popracować do stu pięćdziesięciu lat, to dlaczego serce ma być gorsze, ale nie wyrażałam zgody. Jeśli nie nadgryzł go rak, to chciałam je zachować. Lekarze kręcili głowami, ale nie mogli nic zrobić wbrew mojej woli. Mąż próbował mnie przekonywać — co to znaczy jeszcze jeden sztuczorg, kiedy praktycznie cała się z nich składam, prawda? Ale ja potrafię się zaprzec i dyskusja się skończyła, zanim się na dobre rozpoczęła. No i taka jestem dzisiaj — prawdziwe serce w sztucznej oprawie.

Roześmiałem się w głos, serdecznie, nic mnie tak od miesięcy nie ubawiło. Bonnie nastroszyła się, kilkoro pasażerów, którzy

wsiedli w międzyczasie do wagonu, spojrzęło w naszą stronę ciekawie. Ale ja nie zwracałem na to uwagi — śmiałem się i śmiałem do rozpuku, nie mogąc złapać tchu, żeby wyjaśnić Bonnie, co mnie tak cholernie ubawiło.

Ja miałem sztuczne serce. Ona sztuczne wszystko inne. Nie dziwota, że od początku coś nas ku sobie przyciągało. Pasowaliśmy do siebie jak ulał.

Rozdział 14

Przez pierwsze dwa miesiące od powrotu z Afryki nie wychodziłem prawie z domu. Wstawałem późno, a potem, skulony na krzeselku polowym, rozwiązywałem krzyżówki i czytałem tabloidy, matka się o mnie zamartwiała. Prosiła, żebym się wreszcie ogarnął, wykąpał, poszukał pracy, ale jak grochem o ścianę. Odburkiwałem, że muszę się pozbierać do kupy po tej wojnie, odreagować, przemyśleć, jak na mnie wpłynęła. Pic na wodę fotomontaż. Byłem zwyczajnie patentowanym leniem.

Pytałem w miejscowym warsztacie samochodowym, czy nie potrzebują czasem mechanika; owszem, potrzebowali, do przekalibrowywania w silnikach elementów nie większych od paznokcia – robota niskopłatna, jednostajna, nie dla kogoś takiego jak ja, kto specjalizował się w mechanice w skali makro. Gąsienice, wieżyczki czołgowe, dziesięć ton metalu pędzące po pustynnych piaskach to była moja działka. A taka dłubanina zupełnie mi nie leżała.

W firmach, gdzie technika stała na wyższym poziomie, odprawiano mnie z kwitkiem już na samym wstępie, i wcale się nie dziwię. Cała moja przygoda z techniką, jeśli nie liczyć zając z

wychowania technicznego w szkole średniej, sprowadzała się jak dotąd tylko do prowadzenia czołgu, a to nie wystarczało. Zresztą praca tam mi nie odpowiadała. Nie odpowiadała mi żadna praca. Jasny gwint, sam nie wiedziałem, czego chcę.

Aż do dnia, w którym spotkałem Jake'a Freivalda. Przydzielony do zwiadu musiał zostać w Afryce jeszcze na kilka miesięcy, żeby sprzątnąć bałagan, jaki tam się zrobił po zakończeniu wojny, i od tamtego czasu nie miałem z nim żadnego kontaktu. Dopiero w lokalnym barze, do którego wstąpiłem kiedyś osamotniony, zdołowany, szukając wszystko jedno jakiego towarzystwa, odkryłem, że wrócił.

Wszedłem do knajpki, usiadłem przy barze, szafa grała na cały zyczer, i nagle słyszę za plecami:

— Oż ty zasańcu niepodtarty! — Okrzyk był bezsprzecznie adresowany do mnie. I już wiedziałem, że tak tego nie zostawię. Nie byłem w nastroju do mordobicia, ale zmobilizowała mnie myśl, że oto nadarza się okazja do wypełnienia czymś produktywnym przeciekającego przez palce czasu. — Ty szczyłu w niepranych od miesiąca, zaśmierdłych gaciach.

Odwróciłem się, zaciskając pięści, i kogo zobaczyłem? Roześmianego od ucha do ucha Jake'a z jakimś niczego sobie rudzielcem uwieszonym jego ramienia. Jake spławił dziewczynę i przysiadł się do mnie, do swojego najlepszego przyjaciela. Jedna kolejka, po niej druga, i nie wiedzieć kiedy zaczęliśmy sobie opowiadać, co porabialiśmy przez ostatnie miesiące. Moja historia była nudna jak flaki z olejem, kicha, kicha i jeszcze raz kicha. Jake miał przynajmniej jakieś zajęcie, biorąc udział w końcowej, czyszczącej fazie operacji, ale odkąd odkomenderowano go do Stanów, zrobiło się beznadziejnie.

— Nie zrozum mnie źle — powiedział przy czwartym czy piątym

piwie. — Wiązę jakoś koniec z końcem na tym wojskowym zasiłku. Tysiąc miesięcznie za siedzenie na dupie to nie w kij dmuchał.

— Masz, kurde, rację.

— Pewnie, kurde, że mam. — Jake dopił piwo i zamówił następne. — Ale ja bym chciał coś robić.

— Coś legalnego? — zapytałem.

— Z ciebie jest stary, sparciały kutas, na pierwszy rzut oka to widać. Pewnie zesrałbyś się w spodnie ze szczęścia, gdyby ktoś wpadł tu teraz z karabinem maszynowym.

Nie mogłem zaprzeczyć.

— A więc co?

— A więc... nic. Ty siedzisz, ja siedzę, znajdujemy sobie w końcu jakąś ciepłą posadkę za biurkiem i przykładnie pierdzimy w stolki do usranej śmierci.

— Już cię widzę w tej ferajnie w białych koszulach i pod krawatami — mruknąłem.

— Prędeż bym ich rozjechał — prychnął Jake. — Czołgiem.

Podstawił uniesiony kciuk, docisnąłem do niego swój. W tym momencie byliśmy tylko my dwaj przeciwko całemu światu, dwaj zagubieni żołnierze szukający wojny, której już nigdy nie znajdą.

— Brakuje mi tego kopa — przyznał cicho Jake.

— A mnie drylu — powiedziałem. Jake dopił swoje piwo, a potem moje.

— Zabijania mi brakuje.

* * *

Ogłoszenia o pracy rozlepiane są zazwyczaj w toaletach publicznych; można by pomyśleć, że ludzie zajmujący się w Union marketingiem obrali sobie za cel pijanych albo tych z przerostem

prostaty, albo i jednych, i drugich, ale oni wiedzą swoje i nie mnie się na ten temat wypowiadać.

Już wtedy, kiedy te ogłoszenia wypisywane były jeszcze ręcznie, tuszem na papierze, i przyklejane przylepcem do ścian, wiedzieli, jak dotrzeć ze swoim przekazem do właściwych osób we właściwym momencie. Wchodząc do sracza, nie mieliśmy z Jakiem pojęcia, że oto wkraczamy na nową drogę życia.

Stanęliśmy na końcu rządka sześciu zawianych, kiwając się na nogach, odcedzamy do pisuarów kartofelki i dla zabicia czasu czytamy plakat, który wisi przed nami na ścianie:

„Zdobądź zawód. Zatrudnij się w Union. Niech się spełni, co Ci przeznaczone”.

I to było przeznaczenie. Wypisane czarno na białym na plakacie. A kimże byliśmy, żeby się mu opierać?

* * *

Mallu jeszcze wtedy nie było; raczkująca dopiero Union i hurtownie niezależnie od siebie szukały sobie małych nisz na rozwijającym się powoli rynku sztuczorgowym. Arnold Kurtzman nie otworzył jeszcze swojego salonu i biznes, choć zupełnie legalny, nadal był uważany za szemrany przez lekarzy wychowanych w świecie, gdzie etyka medyczna nie uwzględniała rozwoju techniki. To, co wydawało się moralnie dwuznaczne, stawało się z założenia, bez sądu i opinii ławy przysięgłych, moralnie naganne.

Siedziba Credit Union znajdowała się w mającej podówczas opinię slumsów dzielnicy, która z czasem rozkwitła i stawiana jest obecnie za sztandarowy przykład „miejskiej rewitalizacji”. Innymi słowy, mnóstwo tu teraz wielkopowierzchniowych sklepów i sieciowych restauracji, a w nich rodzin z rozbazanymi bachorami.

Za tamtych czasów jedyną atrakcją dzielnicy stanowiły warsztaty samochodowe, sklepiki z alkoholem i lombardy, ale w sumie było tam stosunkowo bezpiecznie i jeśli człowieka nie zrażała konieczność lawirowania między psimi kupkami, którymi upstrzone były trotuary, mógł sobie spokojnie spacerować, byle nie po zmroku.

Pomaszerowaliśmy z Jakiem do siedziby Union. Mieściła się w wielkiej hali magazynowej oflankowanej dwoma pustymi parkingami. Przed wejściem stała grupa facetów i paliła papierosy. Paru z nich znałem z widzenia, paru widziałem po raz pierwszy, ale każdy roztaczał wokół siebie tę wystudiowaną aurę znudzenia, której roztaczanie od powrotu z Afryki sam kultywowałem. Nareszcie poczułem się jak wśród swoich.

Jake też wypatrzył znajomka, który parę lat temu mieszkał przecnicę od niego, i przedstawił mi go jako Mini Dana. Gościu był o co najmniej pół głowy wyższy i trzydzieści kilo cięższy ode mnie, a więc ksywka zaliczała się do tych bardziej ironicznych. Na szyi, z boku, miał rozległą bliznę, w której wszystkimi kolorami tęczy odbijało się słoneczne światło. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem z bliska tatuaż Union i byłem pod wrażeniem.

— Te frajery niech czekają w kolejce — oznajmił Mini Dan, prowadząc nas do wejścia wzdłuż ogonka młodzieńców. — Was wpuszczę po znajomości.

Okazało się, że Mini Dan z podobnych co my pobudek zatrudnił się w Credit Union przed trzema tygodniami i awansował tu już na instruktora ichniego programu szkoleniowego; korzystając ze swoich uprawnień, przeprowadził nas bez kontroli przez bramki ochrony, wepchnął do biura swojego szefa i zarekomendował.

— A jakieś szczególne kwalifikacje mają? — spytał kierownik, mężczyzna, który zginie cztery lata później w katastrofie

lotniczej, kiedy pilotowi w trakcie lądowania wysiadzie układ nerwowy firmy Ghost.

— Służyliśmy w czołgach podczas wojny — odparł Jake, nie dopuszczając mnie do głosu. — A ja dodatkowo udzielałem się w zwiadzie... nie wolno mi o tym opowiadać, ale można śmiało powiedzieć, że kwalifikacje mamy nie od parady. Skończ więc pan z tymi pytaniami i zatrudnij nas, pókiśmy się nie rozmyślili, styka?

No i zatrudnili nas. Byłem wniebowzięty, a w jeszcze większą euforię wpadłem, kiedy wyfasowano mi mój pierwszy paralizator, skalpel i pusty pojemnik na eter. Dziwiło mnie, że nie przegoniono nas po buńczucznym tekście, z jakim wyjechał Jake, skoro za drzwiami czekało jeszcze tylu kandydatów z potencjalnymi kwalifikacjami.

Okazało się, że tamtego dnia do pracy przyjmowano wszystkich chętnych; firma cierpiała na braki kadrowe. Sztuczorgi sprzedawały się jak ciepłe bułeczki.

* * *

Credit Union zawsze wychodziła na swoje. Wiadomo, zdarzały się krótkotrwałe wpadki w postaci utraty płynności finansowej, to normalka, ale od początku działalności bilanse kwartalne ani razu nie wykazały straty. Ludzie jak to ludzie, kupują sztuczorgi, a przy obecnym korzystnym oprocentowaniu kredytów nie widać temu końca. Był taki czas, jakieś osiem lat temu, kiedy przeciętne oprocentowanie dochodziło do czterdziestu, a nawet pięćdziesięciu procent, i wtedy większość potrzebujących, mając w perspektywie interwencję windykatora, szukała raczej pomocy w tradycyjnej medycynie. Więcej niż jeden sztuczorg i miesięczne raty mogły człowieka wpędzić do grobu. Tak więc Union przeskalowała wysokość oprocentowania i petenci znowu zaczęli walić

drzwiami i oknami. Zrównoważenie podaży z popytem to delikatna materia, teraz cała gałąź nauki.

— Mam w sobie aparaturę wartą pięć milionów dolarów — wyznała Bonnie, kiedy skład metra hamował przed naszą stacją. Wysiedliśmy i ruszyliśmy w kierunku wyjścia. Na zewnątrz chyba mżyło; ludzie schodzili na peron, otrząsając parasole i psiocząc na pogodę.

— Ale spłacałaś kredyty?

— Przez jakiś czas. Mój mąż był bardzo zamożny... co ja mówię, oboje byliśmy bogaci i dobrze inwestowaliśmy. — Urwała, pokręciła głową. — Prawdę mówiąc, to ja inwestowałam — jego pieniądze. On się na tym zupełnie nie znał, za to mnie udawało się je zawsze ulokować we właściwym miejscu i we właściwym czasie. Mieliśmy nawet spory pakiet akcji hurtowni Union. Szczęście nam dopisywało. Do tego stopnia, że samych odsetek starczyło na spłatę całego zadłużenia w hurtowniach.

— Życ, nie umierać — mruknąłem, kiedy wychodziliśmy na ulicę. Deszcz padał coraz rzęśściej, wielkie, ciężkie krople bombardowały trotuar. Uniosłem torbę z bronią i całą resztą nad głowę Bonnie, żeby nie mokła.

— Życ, nie umierać — przytaknęła. — Ale to szczęście w końcu nas opuściło. Kiedy doszłam do siebie po tych wszystkich implantacjach, na dziecko było już za późno. Próbowaliśmy zapłodnienia in vitro, próbowaliśmy innych dostępnych metod, no wszystkiego, wszystkiego z wyjątkiem hodowania dziecka na płycie Petriego. Owszem, mogli wprowadzić nasienie do mojej sztucznej macicy, ale co wydałoby na świat metalowe łono? Woleliśmy nie próbować. Podejrzewam, że wtedy Ken zaczął się powoli ode mnie odsuwać. Wiem, że nadal mnie kochał, ale czuł się nie do końca spełniony. Pragnął zostać ojcem, a ze mną nie było to

możliwe. Rozważaliśmy adopcję, ale jemu nie bardzo takie rozwiązanie odpowiadało; widziałam to w jego oczach; marzył o ubrankach, futbolu i chodzeniu na wywiadówki. Chciałam mu to dać, ale karta już nam nie szła. I w jakimś sensie była to moja wina. Dwa miesiące później odszedł ode mnie.

* * *

Nic, tylko spiknąć byłego męża Bonnie z Beth, Mary-Ellen i Carol. Stworzyliby dobrany kwartet.

* * *

Zbliżaliśmy się już do domu, w którym mieszkał jej znajomy, ale Bonnie kontynuowała swoją opowieść:

— Zniknął pewnego wieczoru, kiedy poszłam spać. Zostawił list, dwadzieścia stron maszynopisu, z którego wynikało, że już od jakiegoś czasu nosił się z tą myślą, ale tylko tyle. Pięćdziesiąt tysięcy w gotówce, ale ja nie chciałam jego pieniędzy. Nie o to mi szło.

Chyba cholernie łatwo było się wtedy zwyczajnie załamać, ale przecież pokonałam tego raka, co się dotąd nikomu nie udało. Pozwoliłam nafaszerować się tym całym metalem. Dla Kena. Dla dziecka, którego tak oboje pragnęliśmy. A więc to może i lepiej. Wiedziałam, że Ken próbowałby jakoś zagłuszać sumienie, na przykład spłacaniem rat kredytów, ale jak się już rozstaliśmy, to wołałam, żeby to było na dobre. Nie chciałam, żeby musiał się tłumaczyć swojej nowej żonie, że są do tyłu osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów miesięcznie, bo musi spłacać moje raty. Rak był mój, a więc sama powinnam ponieść wszelkie związane z walką z nim konsekwencje. Wydałam swojemu bankowi zlecenie regulowania rat z mojego osobistego konta. Kiedy pieniądze się na nim

skończyły, zaczęły do mnie przychodzić pisma z ponagleniami, a w końcu wzięli mnie na celownik.

— Jak dawno to było? — spytałem. Nie chciało mi się wierzyć, że może istnieć kobieta tak wspaniałomyślna, tak wyrozumiała, tak cudowna, a jednocześnie tak porąbana.

— Trzy lata temu — odparła, zatrzymując się przed wieżowcem po drugiej stronie ulicy. — Pi razy oko. No, jesteśmy.

* * *

Mary-Ellen odeszła ode mnie po ośmiu miesiącach i trzech dniach małżeństwa, wliczając w to okres, kiedy nie byliśmy jeszcze w myśl prawa rozwiedzeni, i spałem co prawda w naszym domu, ale na podłodze i sam. Cóż począć, kryzys na rynku mieszkaniowym.

Wróciłem do domu o czwartej nad ranem po podwójnym dyżurze, na którym osłaniałem Jake'a tropiącego delikwenta z Wielkiej Dziesiątki. Credit Union co jakiś czas robi czystkę i wysyła zespoły biowindyków, żeby zgarniały tych najbardziej poszukiwanych; tamtego roku, zanim zajęliśmy się pospolitymi delikwentami, przydybaliśmy dziewięćdziesiąt pięć procent tych z Wielkiej Setki. Prowizje były sowite, ale czasu mało.

W ciągu dwudziestu czterech godzin zaliczyłem pięć pełnych windykacji, wliczając w ten czas powroty do Union w celu uzupełnienia zapasu eteru i innego wyposażenia. W związku z tym po powrocie do domu byłem potwornie skonany; skonany do tego stopnia, że nie zauważyłem, że z living roomu zniknęła większość mebli. Nie zauważyłem nawet braku telewizora. Nogi same zaprowadziły mnie do łóżka. To znaczy tam, gdzie stało łóżko. A już nie stało, o czym przekonałem się, padając plackiem na zimną twardą podłogę.

Miotałem się przez jakiś czas po mieszkaniu, szukając odpowiedzi na tę zagadkę, ale bez skutku. Zaczynałem już godzić się z myślą, że moje drugie małżeństwo dobiegło końca, ale nie chciało mi się wierzyć, że Mary-Ellen była na tyle bezwzględna, żeby zniknąć tak bez słowa z mojego życia.

Kiedy w końcu półprzytomny wtoczyłem się do łazienki, żeby ochłapać twarz zimną wodą, zobaczyłem krew na lustrze. Moje pierwsze skojarzenie to samobójstwo; przed oczami stanęła mi martwa żona z podciętymi żyłami w wannie, i słabo mi się zrobiło z poczucia winy przemieszanego z frustracją. Ale to była tylko czerwona szminka, a wykonany nią na ścianie napis ciągnął się od prysznica do umywalki i z powrotem.

„Żegnaj, sukinsynu — przeczytałem. — W lodówce masz pieczeń rzymską”.

* * *

Przy okazji moich pięciu rozwodów miałem, rzecz jasna, do czynienia z pięcioma różnymi zespołami prawników. Jedni, jak na przykład ci występujący w imieniu Wendy, byli na swój sposób na tyle uprzejmi, że dali mi czas i możliwość pójścia na ugodę. Innym, na przykład tym, którzy reprezentowali Mary-Ellen, życzę rozszarpania przez wygłodniałe hieny. A gdyby hieny były syte, to mogą być tygrysy.

Ale oni byli tylko żołnierzami, a Mary-Ellen ich generałem, i to ona kazała im wejść na moje konta bankowe, na mój pakiet akcji Union i na przyszłe zarobki. Jak na kobietę zarzekającą się, że nie chce mieć nic wspólnego z windykatorskim stylem życia, bardzo skwapliwie korzystała z płynących z niego profitów.

Nie bronilem się. Po Beth przeszła mi na to ochota. Jeśli te kobiety nie chciały już ze mną być, to co poradzić? Wiedziałem, że kiedyś trafię na kobietę, która zaakceptuje mnie takiego, jaki jestem. Co z tego, że jeszcze nie trafiłem? Byłem młody.

* * *

Spozaniec mieszkał w czteropokojowym mieszkaniu na trzecim piętrze zadbanego na oko budynku. Jak dobrze było znowu usłyszeć szum bieżącej wody. Mieszkanie, choć duże, poszatowane było istnym labiryntem chińskich parawanów. Już od progu musiałem się między nimi przeciskać bokiem.

Mężczyzna był szeroki w ramionach, ale poza tym żylasty i szczupły, umięśniony tors silnie kontrastował z resztą ciała. Głowę miał obwiązaną czerwoną bandaną chroniącą oczy przed ściekającym z czoła potem i przytrzymującą wiecheć dredów.

Bonnie przedstawiła nas sobie.

— To Asbury — powiedziała, a ja uściśniłem dłoń mężczyzny. Była wilgotna i śliska.

— Przepraszam — mruknął, wytarł ją o brudny fartuch i podał jeszcze raz. — Ćwiczę pewną operację i trochę soczku mi siknęło.

W drugim końcu pokoju, na stoliku do gry w karty, zobaczyłem sztuczny kręgosłup; na podłogę pod stolikiem kapał płyn mózgowo-rdzeniowy.

— Cieczka — stwierdziłem w popularnym kiedyś windykatorskim slangu, w którym ten gościu z takim upodobaniem grypsował. Ja nie używałem go od dobrych dziesięciu lat, ale to określenie jakoś samo mi się wyrwało.

Facet posłał Bonnie uśmiech i klepnął ją w plecy.

— Kolegę po fachu mi przyprowadziłaś, gites.

— Nie — zaprzeczyła — on nie jest Spozańcem. — Odciągnęła postawiony kołnierz mojej kurtki i pokazała Asbury'emu tatuaż na szyi. — Pracował dla Union.

Uśmiech na ustach Asbury'ego zgasł. Cofnął się o krok i zmierzył mnie od stóp do głów nieufnym spojrzeniem.

— Po co przywlokłaś do mnie tego Uniola, mała?

Podniosłem rękę i wyjaśniłem:

— Nie mam już z nimi nic wspólnego. Rzuciłem ten syf.

— Rzuciłeś czy oni ciebie wyrzucili?

— Oni — przyznałem. — Na zbity pysk jakieś sześć miesięcy temu.

Kiwnął głową i spojrzał mi głęboko w oczy. Prawdopodobnie zastanawiał się, czy można mi wierzyć, ale niewykluczone, że szacował, ile też mogę być wart w niespłaconych sztuczorgach, które ewentualnie mógłby ze mnie odzyskać i spieniężyć. W końcu wyluzował się i wpuścił mnie na pokoje.

— *Mi casa, cabron.*

Lunch jedliśmy w małej kuchence na stojaka, ściśnięci przy kuchennej ladzie. Rozmawialiśmy o sytuacji międzynarodowej, o Credit Union, o biowindykach i o sztuczorgowym czarnym rynku. Świeżo pokrojone platy wołowiny zwinięte w rolki i uciskane palcami wydzielały soki własne i cytryny, którą zostały pokropione. Takiego delikatesu nie miałem w ustach od tygodni.

— Jestem w stanie załatwić pompkę z górnej półki za ćwierć katalogowej ceny — chwalił się Asbury, starając się mnie przekonać, że jest dla świata dobrodziejem — do tego operacja za pół ceny, i gra muzyka.

— Można to zawsze zrobić legalnie — zauważyłem, powtarzając tę oklepaną formułkę po raz chyba tysięczny. — Wychodzi drożej, ale ma się przynajmniej gwarancję i zapewniony serwis.

— A jaki nurek z getta pójdzie do Union po kredyt? — odpalił.
— W slumsach najważniejszy jest honor. A dla mnie najważniejsze, to deptać wam po piętach.

— Asbury ma rację — wtrąciła się Bonnie. — Regeneruje używane organy, klient dostaje tańszy sztuczorg, i wszyscy zadowoleni.

— Tylko nie hurtownie — zauważyłem. — Mimo wszystko tracą na tym.

Spodziewałem się protestów, ale Spozaniec roześmiał się tylko i zwrócił do Bonnie:

— Miłosiernie postąpili, wywalając go na zbity pysk, bo powinni to zrobić z jeszcze większym hukiem.

* * *

Asbury miał na głowie wyprowadzenia zakończone implantowanymi gniazdkami, co by znaczyło, że w wolnych chwilach wykonuje jakieś poważne zlecenia dla Ghost. Większość objeżdźaczy poprzestaje na słuchawkach; tylko ci najzagorzalsi każą sobie wszczepiać sztuczorgi i podłączają się bezpośrednio. Pod koniec posiłku nie wytrzymałem i zapytałem:

— Masz licencję na testowanie dla Ghost?

— Licencję? — roześmiał się. — Nie, Uniolu, nie mam żadnej licencji. Ale współpracuję z Ghost. Testuję kompletne implanty układu nerwowego, biorę taki, podłączam się, objeżdżam i wykaszuję. Robiłeś to kiedyś?

— Nie — przyznałem. — Windykowałem je, ale nigdy nie objeżdżałem.

Podeksytowany Asbury wyciągnął mnie do sąsiadującego z kuchnią pomieszczenia, nadającego się idealnie na jadalnię. Na jeszcze jednym rozchwierutany stoliku do gry w karty leżało cienkie, prostokątne pudełko z wychodzącym ze środka płaskim,

wielozyłowym przewodem. Ghost-procesor. Asbury pochylił się nad nim jak dziecko niemogące się doczekać, kiedy ostygnie świeżo wyciągnięty z piekarnika talerz z ciasteczkami. Pieszczotliwie pogładził palcami metalową obudowę.

— Spróbuj — powiedział, podając mi końcówkę przewodu.

Cofnąłem się.

— Nie jestem duchołapsem — mruknąłem. — Nie mam wyprowadzeń.

Asbury miał na to radę. Wyciągnął spod stolika wielkie kartonowe pudło pełne wtyków i kabli, pogrzebał w nim i wyjął najmniejszą parę gogli, jaką w życiu widziałem. Słyszałem o takich podczas szkolenia na windykatorka, ale nigdy nie musiałem testować zmysłu wzroku. Co więcej, wcale mi się do tego nie paliło.

Ale przyszedliśmy do faceta po pomoc i za nic nie chciałem go urazić. Zresztą, co mi szkodzi przekonać się, o co ten cały szum. Niektórzy moi kumple z zespołu windykatorkowskiego po pierwszej przygodzie z objeżdżaniem systemów Ghost stawali się pełnoetatowymi duchołapsami i nie chcieli robić nic innego; coś w tym musiało być, skoro tak ich wciągało.

— Wkłada się je jak szkła kontaktowe — wyjaśniła Bonnie i przytrzymała mi powieki, kiedy wciskałem czujniki na gałki oczne. Od spodu każdego szkła biegł cienki przewód z oczyszczonymi z izolacji końcówkami, które Asbury skręcił z końcówkami przewodu wychodzącego z Ghost-procesora. Z mojego punktu widzenia nie zaszła żadna istotna zmiana.

— Ten gościu był ćpunem — powiedział Asbury, sięgając do panelu sterowania — uzależnionym od Q. Mam tutaj szesnaście godzin jego wizji i czterdzieści dwie godziny omamów słuchowych. Tobie zaserwuję samą wizję. Ścieżka dźwiękowa jest zbyt drastyczna.

Chciałem o coś jeszcze zapytać, ale on włączył procesor. I w jednej chwili stałem się objeżdżaczem firmy Ghost.

* * *

Na podłogę padała popchnięta przeze mnie kobieta. Próbowła się podnieść, ale nie dała rady i przewróciła się ponownie, uderzając głową o krzesło. Brzuch miała wielki, wzdęty. Ciężarna. Deski spaczony podłogi powleczone były tajemniczą wilgocią, przez pokój przemknął zjeżony kot. Wszystko odbywało się bezgłośnie, w niezmaconej ciszy. Żadnego łomotu, żadnego okrzyku ani jęku, tylko poszum pracującego Ghost-procesora i oddechy stojących za mną Bonnie i Asbury'ego.

— Dobrze się czujesz? — Głos należał do Bonnie, ale nie było jej przecież w tym pokoju. Wiedziałem, że jest w mieszkaniu Spozzańca, a tutaj byłem tylko ja, ta półnaga kobieta i kot, który to wskakiwał na stół, to z niego zeskakiwał, i tak w kółko.

— Normalnie — odparłem.

Pokój przesunął się, obraz wyostrzył. Ujrzałem unoszącą się dłoń — niby moją, ale wiedziałem, że nie może być moja. Długie, zapuszczone paznokcie, a na czubku brudnego palca czerwony proszek skrzący się w blasku gołej żarówki zawieszony u sufitu. Uniosła się do moich ust i znikła mi z pola widzenia.

— To jest moment, kiedy Q naprawdę zaczyna działać — powiedział Asbury. Poczułem na plecach — swoich plecach — jego dłoń. — Przygotuj się.

Podłoga rozpękła się nagle w rozbłysku jasności, eksplodowała, z poszerzającej się szczeliny wypłynęła roztopiona lawa i rozlała się po pokoju. Jej jęzory dopełżyły do ciężarnej, ciekły żar sięgnął kolan dziewczyny, ale ona nie zwracała na to uwagi. Zgięta

wpół zwymiotowała raz, potem drugi. Kotu wyrosły cztery dodatkowe nogi, zeskoczył ze stołu, wspiał się na ścianę, wbiegł na sufit i spadł stamtąd obok mnie. Z jego otwartego pyszczka wydobyło się chyba syczenie, z zębów kapąła zielona ciecz, ale wszystko to odbywało się w martwej ciszy.

Obraz zadygotał, cofnął się; ciało, którego oczami patrzyłem, odskoczyło zapewne w tył; jeszcze moment i gapilem się w niebo przez dziurę w suficie, przez którą lało się do środka czyste, białe światło. Falanga aniołów uzbrojonych w pistolety maszynowe sfruwała z wysokości, celując we mnie, w dziewczynę w ciąży, której brzuch zapełniał już pół pokoju i rósł z każdą sekundą, w miotającego się między nią a mną płonącego, uwięzionego w lawie kota/pajaka, a wszystko to unosiło się w powietrze, zestalając w gigantyczny, ognisty słup wysoki już na dziesiątki metrów; zaraz zwali mi się na głowę, zmiażdży, pogrzebie...

I byłem z powrotem w mieszkaniu Spozańca.

— No to cię rozprawczyliśmy, windyczku — powiedział Asbury, ostrożnie wyjmując mi z oczu szkła kontaktowe. — Będzie się czym pochwalić kolegom ze szkoły.

* * *

Duchołapsy próbowały mnie już podłączać do swojej aparatury; podobnie jak ci, co ćpają Q, oni też zawsze szukają frajera do towarzystwa. Całe szczęście, że Ghost-testerem można sprawdzać jeden zmysł naraz. Albo oczy, albo uszy, albo coś innego — wybierasz, podłączasz się i jedziesz. Jeden klient, jeden zmysł — to zawór bezpieczeństwa. Na objeżdżaniu, którego spróbowałem u Asbury'ego, odbierałem tylko wrażenia wzrokowe, ale jestem pewny, że gdybym miał możliwość równoczesnego dostępu do

większej liczby zmysłów, to doświadczyłbym takiego samego kopa, jaki przeżywa każdy narkoman.

Ale teraz, kiedy moje życie dobiega potencjalnego końca, mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że zaliczyłem jazdę na Ghost-testerze i że zrobiła na mnie wrażenie. Nie brzmi to może zbyt imponująco, ale w pewnych kręgach darmową kolejkę mam zapewnioną.

* * *

Asbury wprowadził nas w głąb swojego mieszkania. Lawirując między jego stołami warsztatowymi — na każdym sztuczorgi w rozmaitych stadiach demontażu, narzędzia, które dotąd widziałem jedynie w ośrodku szkoleniowym Union — dotarliśmy w końcu do wygodnej sofy. Jak dobrze było znowu rozsiąść się na czymś tak miękkim. Bonnie opowiedziała mu naszą historię — byliśmy nieźle zamelinowani, ale Union jest już na naszym tropie i potrzebujemy nowej dziupli.

Asbury wysłuchał tego, kiwając w stosownych momentach głową i wzruszając ramionami. Powiedział, że bardzo nam współczuje, ale nie ma żadnego pomysłu. Co najwyżej na schronienie może nam zaproponować własne mieszkanie.

— Są w tej chawirze zakamarki, w których nie wykryje was żaden skaner — zapewnił. — A ja mam dużo wolnego czasu.

Ale Bonnie nie była zachwycona tą sugestią.

— Nie możemy cię narażać — powiedziała. — Wystarczająco zaryzykowałeś w ogóle nas tutaj wpuszczając.

Spozaniec zastanawiał się przez chwilę, pstrykając palcami i wpatrując się w przestrzeń. Ciekaw byłem, w jakich okolicznościach poznali się z Bonnie. Czy to znajomość z czasów, kiedy była jeszcze mężatką? Wątpliwe. Więc późniejsza? Czy ze sobą spali? Czy byli kochankami? Nagle obudziła się we mnie zazdrość i gotów już byłem ich wziąć tu i teraz na spytki.

Ale Asbury odezwał się pierwszy.

— Przychodzi mi na myśl jedna taka dziupla, ale zanim ją wam wskażę, muszę gruntownie przeświecić tego człowieka. Bez tego ani rusz.

Bonnie chciała mi to przetłumaczyć, ale ja dobrze zrozumiałem faceta. Chciał się dowiedzieć, kim właściwie jestem, zanim wpuści mnie do swojej tajnej kryjówki. Chciał wiedzieć, co sprawiło, że znalazłem się w obecnej sytuacji. Chciał mieć pewność, że go nie zakapuję.

Chciał wiedzieć, dlaczego ja, biowindyk, jestem ścigany.

Miał do tego pełne prawo. Nadeszła moja kolej na zabranie głosu.

A oto, co powiedziałem.

Rozdział 15

Jakiś rok temu rekwirowałem zestaw sztuczorgów bliźniakom z trupy cyrkowej, u których w trzydzieste czwarte urodziny objawiła się równocześnie jakaś genetyczna choroba. Zaczęły im się kurczyć podwzgórze w mózgu i lekarzom pozostawało tylko wszczepić na ich miejsce tego samego dnia dwa takie same sztuczorgi. Obaj byli akrobatami na trapezie, i to dobrymi. Regularnie rzucali wyzwanie śmierci, szybując piętnaście metrów nad areną, chwytając się w powietrzu za ręce i łądując razem w głębokiej na pół metra sadzawce okolonej lśniąco posmarowanymi kurarą.

Sztuka cyrkowa poczyniła znaczne postępy od czasów mojego dzieciństwa, ale nie przynosiła już takich jak wtedy dochodów. Zamiast oglądać na żywo kaskaderskie spektakle, ludzie woleli włóczyć się po sklepach albo siedzieć w domu przed telewizorem. A ci gustujący w tego rodzaju emocjonujących widowiskach wybierali raczej zawody w rozbijaniu wozów albo rodea. Sprzedaż biletów spadała, stawki ubezpieczeń rosły.

Może to wyjaśnia, dlaczego Hans i Edwin — Latający Bracia Moelleringowie — przestali spłacać swoje nowe podwzgórze, za

co musiałem ich tropić i wytropiłem w małym, płatnym od godziny moteliku na Środkowym Zachodzie. Recepcjonistka zdradziła mi za piąta, w którym pokoju ich znajdę. Nie przypuszczałem, że będę miał z nimi jakiś problem, nie zagazowałem więc wcześniej pomieszczenia. Wszyscy popełniliśmy błąd.

Kiedy wchodziłem, Hans wałnął mnie w głowę drążkiem od trapezu, co mnie na chwilę zamroczyło, ale kiedy zamierzał się, żeby przygrzać mi jeszcze raz, chwyciłem za pręt, wyrwałem mu go z dłoni, machnąłem zdobyczą w przeciwną stronę i trafiłem Hansa w twarz. Zatoczył się, złapał za głowę i zajęczał z bólu.

Edwin siedział tymczasem w kucki za podwójnym łóżkiem. Widziałem jego barki poruszające się, jakby przy czymś tam gmerał. Dygotały przy tym, zdradzając silne zdenerwowanie. Usłyszałem najpierw kilka kliknięć, a potem trzask wsuwanego magazynka. Zrobiłem padnij w momencie, kiedy otwierał ogień. Czuliśmy, jak pociski mierzwią mi fryzurę. Pięć ich było, każdy dedykowany mnie, ale ani jeden nie sięgnął celu. Edwin, opróżniając magazynek, podziurawił tylko drzwi za moimi plecami.

— Kiepski z ciebie strzelec — powiedziałem, podnosząc się z podłogi. Hans nie odzyskał jeszcze władzy w kończynach, a Edwin, cały w nerwach, mocował się z magazynkiem, który się zakleszczył i nie dawał wyciągnąć. Nie miał żadnych szans. Przeskoczyłem dwójskokiem przez łóżko, powaliłem Edwina na podłogę i przyszpiliłem do niej, wbijając mu w plecy kolano. Chwyciłem pistolet za lufę, wyrwałem mu go z ręki i schowałem do kieszeni.

— Zapłacimy ci — wycharczał Edwin z twarzą wtuloną w wytarty, poplamiony dywan. Akcent miał jak cię mogę; nie oderwał się jeszcze zupełnie od teutońskich korzeni. — Zapłacimy ci, a ty powiesz, że nas nie znalazłeś.

Wyczułem, że Hans przemieszcza się za moimi plecami. Obróciłem się i z półprzysiadu kopnąłem go w kolano. Chrobotnęło i muskularny Niemiec zwałił się na podłogę z bolesnym wrzaskiem. W dłoni nie trzymał broni, lecz plik banknotów, którymi próbowali mnie przekupić.

— To nie w moim stylu — wyjaśniłem wijącemu się mężczyźnie. Potem wyrwałem mu banknoty i pomachałem nimi przed oczami. — Komu mam przekazać te pieniądze?

Edwin pokręcił głową i spróbował jeszcze raz.

— Weź je sobie... weź i odejdz.

— Powiedziałem, że to nie w moim stylu — powtórzyłem, a potem, kładąc nacisk na każde słowo, spytałem: — Macie jakichś krewnych?

Klienci nie cierpią tego pytania. Zawsze wprawia ich w rozpacz. Przeciąłem szloch Edwina i Hansa szybką, podwójną salwą z paralizatora, która raz na zawsze uciszyła Latających Braci Molleringów. Przystąpiłem do dzieła.

* * *

Po powrocie do domu zastałem Wendy całą w nerwach i rozbitą. Dowiedziała się, co zaszło, od naszego wspólnego znajomego, który usłyszał o tym od faceta zwanego Chipem, a ten z kolei od Franka. Wystarczyły na to wszystko niecałe cztery godziny, ale kiedy człowiek obrywa po łbie w trakcie realizacji zlecenia, to taka wieść szybko się rozchodzi, przy czym każdy dorzuca coś od siebie.

Już od jakiegoś czasu rozmawialiśmy z Wendy o moim przejściu do działu sprzedaży. Ona naciskała, żebym zrobił to jak najszybciej, ja się opierałem, ona naciskała dalej, ostrzejszym już tonem, potem zawieszaliśmy negocjacje na tydzień, by po jego upływie znowu podjąć temat. Jej argumenty były nie do odparcia:

praca bezpieczniejsza, spokojniejsza, odpowiedniejsza dla takiego jak ja człowieka, który swoje lata już ma, zwiększająca szanse, że nie skończę marnie. Ale incydent z braćmi Moellering wstrząsnął Wendy nie na żarty, zwłaszcza że wiadomość o mojej przygodzie, przekazywana z ust do ust, dotarła do niej w rozbudowanej wersji, w której zostałem zastrzelony/uduszony/poćwiartowany, a to faktycznie może wytrącić małżonkę z równowagi. Wczepiła się we mnie, ledwo przekroczyłem próg, i puściła tylko na chwilkę, żeby rąbnąć mnie piąstką w pierś za karę, że swoją nonszalancją doprowadziłem do takiej niebezpiecznej sytuacji. Wendy nie była całkiem zielona w realiach windykatorskiej roboty, wiedziała bardzo dobrze, że przewidywanie możliwych scenariuszy i przygotowania to w niej podstawa i że odpuściłem sobie gdzieś na etapie planowania akcji.

— Przyrzeknij mi, że poprosisz o przeniesienie — powiedziała tego wieczoru. — Do działu sprzedaży. Frank cię puści, na pewno.

— Nie znam się na tym — mruknąłem.

— Nie znasz się teraz. Z czasem się wciągniesz.

Byłem przygotowany na karczemną awanturę. Jasna cholera, przerabiałem to już ze wszystkimi dotychczasowymi żonami. Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

Ale zmęczenie wzięło górę. Prawdopodobnie przyczynił się do tego ubytek adrenaliny zużytej na przepychanki z braćmi Moellering, w każdym razie nie byłem w stanie wykrzesać z siebie energii niezbędnej do wdawania się w jakiegokolwiek dyskusje. Żeby oszczędzić sobie tego wiercenia dziury w brzuchu, nie wierząc własnym uszom, wymamrotałem:

— No dobrze, przyrzekam. Przyrzekam. — I jeszcze raz, tak jakbym nie wierzył samemu sobie: — Przyrzekam.

* * *

Jake z Frankiem wychodzili ze skóry, byle mi wybić ten pomysł z głowy. Przedstawiali rozsądne, celne argumenty na to, że w dziale sprzedaży zdiadzieję i wyciągnę kopyta. Że moim życiowym powołaniem jest windykacja. Ale w głębi duszy zdawali sobie sprawę, że rzecz jest przesądzona. Zwłaszcza Jake nie mógł się pogodzić z moją decyzją.

— Co tam zarobisz? — fuknął. — Tyle co kot napłakał.

— Wiem — odparłem. — Ale odkładałem na czarną godzinę i mam oszczędności.

— Nawet po pięciu rozwodach?

— Po czterech — skorygowałem.

— Na razie czterech.

Fakt, przy przejściu do działu sprzedaży straciłbym około jednej trzeciej poborów; były tam nieporównywalnie niższe od tego, co wyciąga windykator, ale i mniej się ryzykowało. Nie dałem się przekonać i Frank, chcąc nie chcąc, przystąpił do papierkowej roboty.

— Formalności zajmą ze dwa tygodnie — zapowiedział. — Chcesz wziąć na ten czas urlop czy wolisz machnąć na odchodnym parę zleconek?

— Pies drapał urlop — odparłem. — Dawaj te zlecenia.

No i proszę. Jednak rację mają ci, co twierdzą, że lepiej się nie przepracowywać, bo to grozi śmiercią lub kalectwem.

* * *

Dwa następne tygodnie upłynęły mi w oparach eteru i kałużach krwi. Poszedłem w miasto z zawziętością psychopaty. W ciągu dwunastu dni odfajkowałem chyba tyle zleceń, ile przeciętny windykator wyrabia przez dwa miesiące. Na większość nocy nie wracałem nawet do domu; po rekwizycji ucinalem sobie dwugodzinną drzemkę w samochodzie i dalej do roboty. Wendy nic

nie mówiła; chyba domyślała się, że to mój ląbędzy śpiew w tym zawodzie.

Mieliśmy z Jakiem niezły połów w nalocie na dwie meliny, które namierzaliśmy w sąsiedztwie dawnej szkoły średniej. Ukrywało się w nich kilkudziesięciu dłużników mających nadzieję, że jakoś się nam wymkną, że dadzą nogę z kraju, najlepiej na którąś z tych nielicznych wyseppek, gdzie nasz system jeszcze nie sięga. Ale sama natura zaplanowanej przez nich operacji — skupienie tylu osób z tyłoma przeterminowanymi sztuczorgami w jednym miejscu — naprowadziła nas na ich trop. W cztery godziny odzyskaliśmy pięćdziesiąt siedem sztuczorgów od dwudziestu jeden delikwentów. Z kasy, jaką za nie zgarnęliśmy, Jake kupił sobie motorówkę.

Skonany po prawie dwóch tygodniach harówki kończyłem już swój rzut na taśmę, kiedy Frank wręczył nam jeszcze dwa różowe formularze. Mnie dostał się facet, który od pięciu miesięcy zalegał z ratami za sztuczny staw kolanowy — po takiej ekstrakcji miał jeszcze szansę dokuśtykać o własnych siłach na ostry dyżur do najbliższego szpitala — Jake miał więcej fartu.

— Gościu nazywa się Kapitan Krunkybean — oznajmił.

— Zalewasz. — Wyrwałem mu z ręki różowy formularz i przebiegłem wzrokiem dane klienta. — Trafił ci się Kapitan K.?

— Znasz go?

— Jak to, czy znam? W dzieciństwie co sobotę rano oglądałem go w telewizji. Nie słyszałeś o Kapitanie Krunkybeanie?

Jake pokręcił głową.

— Jakiś wojskowy?

— To nie ten rodzaj kapitana — odparłem. — Był taki program dla dzieci. Nigdy nie oglądałeś? Jasny gwint, stary, facet był tutaj legendą. Wyświetlał filmy rysunkowe, miał taką zebkę-kukielkę,

zapraszali do programu dzieciaki, żeby opowiedziały jakiś dowcip. Och, jak ja marzyłem, żeby wystąpić w tym programie! Ale rodzice nie mieli czasu wybrać się ze mną do studia.

Jake wzruszył ramionami; nic mu to nie mówiło.

— Chcesz go? Możemy się zamienić.

— Jasne, kurde, że chcę. — Wymieniliśmy się z Jakiem różowymi formularzami. Przestudiowałem uważnie treść. Jarvik. Normalka, zważywszy na zaawansowany wiek Kapitana. — Zasłużył sobie na to, żeby serce wyciął mu ktoś, kto go pamięta i doceńnia.

* * *

Z różowego formularza wynikało, że Kapitan ukrywa się gdzieś w dzielnicy magazynów z artykułami spożywczymi. Tam śledzący go łaps zgubił trop. Prosta sprawa. Podjechałem, wszedłem na teren przez dziurę, którą wyciąłem w ogrodzeniu z drucianej siatki, i rozejrzałem się. Kilka latarni, ani jednego psa, żadnych strażników. Wielkie budynki na obwodzie, głębiej mniejsze, parterowe hale magazynowe, w centrum budynki biurowe. Forteca hurtowego obrotu towarami.

Włączyłem skaner i ruszyłem przed siebie. Jak dłużej popracujesz w tym fachu, to zaczynasz wyczuwać kryjówki. Wiesz, gdzie mogą pomieścić się ciała, gdzie ludzie odruchowo szukają schronienia. Ja, na ten przykład, wiedziałem, że na przetrząsanie budynków zewnętrznych szkoda mojego czasu; delikwenci wychodzą zawsze z założenia, że zmylą Union, unikając najbardziej oczywistych miejsc. Rozpocząłem więc poszukiwania od środka kompleksu, skupiając się na średniej wielkości budynkach biurowych.

Mój podrasowany przez Jake'a skaner potrafił nie tylko wypikiwać po kilka sztuczorgów naraz; jego wiązka przeszukująca

przechodziła na wskroś przez każdy materiał z wyjątkiem ołowiu. Ale nawet Superman miał swoje piąty achillesowe. Tutaj ołowiu było niewiele; jeśli ktoś chciał zbudować coś solidnego, stosował tytan, który mniej waży i jest bardziej wytrzymały, a on, na szczęście, nie stanowi żadnej przeszkody dla wiązki mojego skanera.

Dość szybko namierzyłem Kapitana. Kiedy wodząc wiązką skanera tam i z powrotem, zbliżałem się do czwartego budynku po lewej, rozległo się pikanie i ekran wypełnił się kaskadą faktów i liczb. Jarvik-11, model 2a, dostępne opcje z terminarzem i kalendarzem. Data produkcji sprzed czterech lat, i to mnie trochę zdziwiło; większość niesumiennych kredytobiorców przestaje płacić już po roku albo jeszcze wcześniej. Ci, których stać było na spłacanie sztuczorga przez cztery lata, przeważnie spłacają go już do końca. No ale zdarzają się od tego wyjątki — niektórzy idą przez życie przebojem, nagle małe potknięcie i kicha; z dnia na dzień nastają dla nich ciężkie czasy.

Zaraz się dowiem, jak było w tym wypadku.

* * *

Grunt to nie zostać zauważonym. Z różowego formularza wynikało, że Kapitan ukrywa się w pojedynkę; wątpiłem, żeby dobrać sobie kogoś do kompanii. Ewentualnie ma wciąż w przedniej kieszeni Pana Zembrę; jeśli tak, to tego pasiastego huncwota czeka zaraz wizyta piaskowego dziadka. Z oględzin poczynionych z zewnątrz wychodziło, że biuro ma jakieś dziewięćset metrów kwadratowych powierzchni, ale na wszelki wypadek wziąłem poprawkę na plus. Wyjąłem z plecaka trzy pojemniki eteru, z których każdy starczał na czterysta metrów kwadratowych. Był tani.

Pawilon nie miał okien. A więc powolutku, drzazga po drzazdze,

tak żeby swąd przypalanego drewna nie rozszedł się po okolicy, ołówkowym laserem wydrążyłem w drewnianych drzwiach dziurkę na wężyk. U Kapitana K., chociaż był w podeszłym wieku, powonienie prawdopodobnie nie szwankowało. Jeden fałszywy ruch, a pokapuje się, co jest grane, wybiegnie tylnym wyjściem i szukaj wiatru w polu. Miałem za wiele szacunku dla faceta, żeby gonić go jak smarkacza; zasługiwał na to, żeby pozostawić mu odrobinę godności.

Po dwudziestu pięciu minutach tej dłubaniny — zerkając co chwila na wyświetlacz skanera monitorującego bezgłośnie znajdujący się za drzwiami sztuczorg — miałem już dziurkę na tyle dużą, by przepchnąć przez nią plastikowy wężyk. Teraz tylko podłączyć do niego pojemnik z eterem, odkręcić zawór i bezwonny gaz zrobi swoje. Po opróżnieniu ostatniego pojemnika odczekałem jeszcze piętnaście minut, a potem nałożyłem maskę gazową i wszedłem do środka, żeby dokończyć dzieła.

Takie proste to się wydawało.

* * *

Leżał na podłodze na wznak, z rozrzuconymi rękami, tak jak lubiłem — chyba że miałem zlecenie na nerki. Był w wymiętej niebieskiej koszuli wizytowej i w spodniach od garnituru, marynarki na sobie nie miał, zupełnie jakby wrócił właśnie z przyjęcia weselnego w sali tanecznej Legionu Amerykańskiego. Twarz, chociaż pomarszczona i postarzała, nadal była pyzata, zdrowa, taka, jaką zapamiętałem z dzieciństwa. Naszła mnie pokusa, żeby go ocucić i zasypać tymi wszystkimi pytaniami, które do niego miałem, ale nigdy niedane mi było ich zadać. Jak pan robi, że Pan Zebra mówi? Czy Polly Persuasion naprawdę wierzy

w to wszystko, co wygaduje? Dlaczego nie złożył mi pan nigdy na antenie życzeń urodzinowych, tak jak innym dzieciom?

Ale miałem tu coś do zrobienia, rozciąłem mu więc koszulę, odsłaniając klatkę piersiową porośniętą gęsto siwiejącymi włoskami. Teraz skalpel, nożyczki, odsysacz do krwi, i zobaczymy, co tam mamy. Biurowa lampa na wysięgniku, którą postawiłem obok ciała, rzucała na tę pierś kałużę światła. Młotek do przebicia się przez żebra, ręczna piła do kości na wypadek, gdybym miał trudności z przedostaniem się przez mostek. Kapitan leżał nieruchomo, nawet nie drgnął. Przemknęło mi przez myśl, że może już nie żyje i jarvik pompuje dalej krew przez martwe ciało. Ale to nie miało znaczenia; serce wciąż biło, a po nie przecież przyszedłem.

Pierwsze modele jarvika znane są z tego, że pracują jeszcze długo po wydobyciu z ciała delikwenta. Znam paru biowindyków, którzy nie zachowali należytej ostrożności i tytanowe zastawki poobcinały im palce. Tak więc jakiś czas temu zaczęto w nich montować elektroniczne monitory tętna, które nie tylko sygnalizowały, że serce bije, ale również umożliwiały biowindykowi jego wyłączenie przez przyłożenie odpowiedniego napięcia. Jak każdy szanujący się biowindyk, wozilem ze sobą wszędzie w bagażniku samochodu defibrylator, a gdy w grę wchodziły jarviki, miałem go zawsze pod ręką.

I tu wspomnienia trochę się zacierają. Pamiętam, jak wyciągnąłem defibrylator z plecaka i położyłem go na podłodze. Pamiętam, że włączyłem urządzenie i usłyszałem znajomy szum towarzyszący gromadzeniu się ładunku elektrycznego. Ująłem łopatki za rączki i potarłem je o siebie; właściwie nie wiem po co, ale widziałem w telewizji, że tak się robi. Ustawiłem wskaźnik skali na trzysta, to wystarczająca moc, żeby każdego wyekspediować jednym kopem na tamten świat. Potem usiadłem, ale tylko na chwilę,

żeby pokontemplować, jaka prosta fucha mi się trafiła, jak to dobrze być tak biegłym w swoim tak pożytecznym fachu, a na dokładkę tak sownie opłacanym, i jak będzie mi tego pod każdym względem brakowało.

Zacisnąłem mocno dłonie na uchwytych, zdecydowanym ruchem przyłożyłem obie łopatki do włochatej klatki piersiowej Kapitana K, i nonszalancko wdusiłem kciukami przyciski, by porazić prądem bezwładne ciało.

I w tym momencie stanęło mi serce.

Ojej, pomyślałem bez żadnych emocji. A więc to takie uczucie. I z tą myślą po raz czwarty w życiu straciłem przytomność.

* * *

Przez godzinę byłem formalnie nieżywy.

* * *

— Ostatnie zlecenie i szlus — podsumował szeptem Asbury.

— Trzecie od końca — poprawiłem go, zbliżając się do końca moich wynurzeń. — W grafiku miałem jeszcze kilka. Nie wiem zresztą, czy w końcu nie zrezygnowałbym z tych przenosin. W każdym razie stało się. Coś się pokiełbało, jakieś zwarcie w układzie czy co, i defibrylator zadziałał w drugą stronę. Zamiast klienta poraziłem siebie.

Bonnie przysunęła się bliżej i pogłaskała mnie po plecach.

— Ale żyjesz — zauważyła.

— Tylko co to za życie — burknąłem. — Kierownik magazynów zapomniał zabrać jakieś dokumenty, które zostawił na biurku. Wrócił po nie, zobaczył mój samochód, zobaczył, że w środku pali się światło, wezwał ochronę i wkrótce potem wieźli mnie już do szpitala.

— I tam — wpadł mi w słowo Asbury — wszczepili ci czorga?
Kiwnąłem głową.

— Przyjęli mnie martwego, wypuścili żywego. Wnieśli na noszach z zatrzymaną akcją serca, stwierdzili, że w mojej pompce obumarło już tyle tkanki, że nie ma żadnych widoków, by podjęła na nowo pracę, więc niewiele myśląc, zastąpili ją najnowszym modelem jarvika. Ktoś zauważył mój tatuaż i na tej podstawie słusznie wywnioskowano, że jestem z Union, w związku z czym należy otoczyć mnie ekstraspecjalną troską.

Obudziłem się na oddziale intensywnej opieki medycznej i zobaczyłem nad sobą swojego szefa z Union i Jake'a. Przynieśli prezenty, kwiaty i zarzekali się, że będę traktowany jak do tej pory, że nie dopuszczą, żeby mój wypadek w jakikolwiek sposób wpłynął na nasze stosunki służbowe.

— I dotrzymali obietnicy? — spytała Bonnie.

— Mniej więcej. Ze wskazaniem na mniej.

* * *

Już następnego dnia przyszli do mnie z pokwitowaniem do podpisania, tym osławionym formularzem na żółtym papierze. Podpisałem, gdzie trzeba, sprzedawca Union oderwał wierzchnią żółtą kartkę, pod którą mignęła mi na moment różowa kopia. Złożył ją szybko i schował do przegródki neseseru. Wiedziałem, że ta różowa kopia trafi do archiwum działu sprzedaży, gdzie będzie przechowywana w aktach do czasu spłacenia jarvika, ewentualnie zostanie wcześniej wręczona jakiemuś biowindykowi, żeby ten na podstawie zawartych w niej informacji dokonał rekwizycji.

Naturalnie, starałem się o tym nie myśleć. Ale jak tu wyrzucić z myśli różowy formularz? Niewykonalne.

Wendy musiała zaciągnąć pożyczkę pod hipotekę domku nad

jeziorem, który od pokoleń należał do jej rodziny. Starczyło tego na zaliczkę i teraz, żeby moje serce biło, a historia kredytowa pozostawała bez zarzutu, wystarczyło tylko, żebym regularnie spłacał raty w wysokości dwóch tysięcy dolarów miesięcznie. Pensji sprzedawcy w żaden sposób nie starczyłoby mi na alimenty, utrzymanie domu, który niedawno z Wendy kupiliśmy, i na raty za moje nowiutkie serduszko. Praca za biurkiem odpadała.

Musiałem wrócić do windykacji.

W szpitalu leżałem krótko; następnego dnia po podpisaniu pokwitowania Union zostałem odesłany na resztę okresu rekonwalescencji do domu. Powiedziano mi, że za tydzień będę już wstawał z łóżka, a za miesiąc wrócę do pracy. Po czternastu dniach gapienia się w ekran telewizora postanowiłem zlekceważyć zalecenia lekarza. Wróciłem do pracy.

W Union przywitano mnie z otwartymi ramionami; poklepywaniu po plecach nie było końca. Ale w zachowaniu kolegów po fachu, których spotykałem na korytarzach działu kadr, wyczuwałem jakieś zażenowanie, tak jakby na mój widok przemykało im przez myśl, czy nie powiększę aby grona tych nieszczęsnych delikwentów z ich różowych formularzy.

Frank był zaskoczony, że tak szybko jestem z powrotem. Spodziewał się mnie najwcześniej za tydzień.

— Nie wiem, czy znajdę coś dla ciebie — przyznał ze skrucą.
— Wszystkie zlecenia dla Kategorii Piątej zostały już rozdzielone.

— To daj mi coś dla Kategorii Czwartej — powiedziałem. —
Noszę w sobie teraz coś należącego do Union. Potrzebuję kasy.

Po godzinie targów przydzielił mi taśmową robotę — odzyskanie protez kończyn. Ruszyłem w teren w asyście dwóch

dziewiętnastoletnich praktykantów z Kategorią Pierwszą, raczkujących dopiero w zawodzie. Tyle, co oni, potrafił pierwszy lepszy menel spod budki z piwem, byle tylko dać mu tatuaż i ochronę prawną.

Jeden z młodzianów, dwumetrowy drągał o imieniu Ian, okazywał mi należny respekt. Został właśnie awansowany z działu szyjącego kostiumy dla Harry'ego Serduszko i widział mnie nieraz, jak wracam do firmy pokiereszowany, z krwią na rękach. O zawodzie, do którego się przysposabiał, miał romantyczne, wyidealizowane pojęcie, i głęboko wierzył, że wykonując go, wyjdzie na ludzi.

Drugim złotodziobem był żul o imieniu Garrett, który nie tyle mówił, ile pochrząkiwał albo rechotał jak głupi do sera. Lubił mokrą robotę. Prawdę mówiąc, to wielu biowindyków lubi krwawe aspekty swojej profesji; ja nigdy nie znajdowałem w nich szczególnego upodobania, ale zdaję sobie sprawę, że zawód ten przyciąga ludzi z pewnymi predyspozycjami psychologicznymi. Garrett był tego najlepszym przykładem.

Mieliśmy odebrać protezy lewej ręki i lewej nogi facetowi, który przegrał starcie z pociągiem towarowym. Do wypadku doszło na strzeżonym przejeździe kolejowym, bo nie opuścił się zepsuty szlaban. Doszło do ugody z odpowiedzialnymi za to władzami okręgu i te pokryły z góry dwadzieścia procent ceny protez i zobowiązały się spłacać przez pięć lat raty za nie, ale po tym czasie wszystko wzięło w łeb.

Pokazałem Ianowi i Garrettowi, jak się zagazowuje dom — Ian śledził każdy mój ruch w niemal nabożnym skupieniu, po Garrettcie było widać, że najchętniej wyłamałby drzwi i załatwił sprawę na żywca — i weszliśmy.

W środku zastaliśmy pana Ewena, naszego klienta, przy stole, z twarzą w misce tofu, a jego ładną żonę leżącą na wznak na podłodze. Ja z Ianem przystąpiliśmy do przygotowywania klienta, a

Garrett zainteresował się kobitką; odciągnąłem go, zanim na całego zaczął się do niej dobierać.

— Postronnych molestuj sobie po pracy — wywarczałem, chwytając łąkę za kołnierz i zmuszając, żeby zajął się tym, co do niego należało. — Union nie płaci ci za macanki.

Dydaktyka nigdy nie była moją specjalnością, ale poświęciłem trochę czasu na przekazanie chłopakom okruchów nabytej przez lata wiedzy. Pokazałem im najlepsze miejsca do nacinania, a potem sposoby wyjmowania implantów w miarę szybko i bez niepotrzebnego rozlewu krwi.

Kiedy jednak przyszła pora na pierwsze cięcie, ręka mi zadrżała. Nieznacznie, ale zadrżała. Zignorowałem to, mocniej ścisnąłem skalpel i wkrótce pracowaliśmy już pełną parą. Ale tnąc ciało i wyszarpując sztuczorg na oczach tych dwóch nastolatków, którzy zajmą kiedyś moje miejsce, myślałem tylko o jednym. Ręka mi się zatrzęsała. A więc to już. Początek końca.

* * *

— I co...? — spytał Spozaniec. — Odstawili cię na bocznice? Pokręciłem głową. Za dużo już mu powiedziałem.

— Nie, pracowałem dalej.

— No to w czym problem? Zaliczałeś zlecenia, trzepałeś kasę...?

— Wziąłem o jedno zlecenie za dużo — odparłem i zamilkłem.

Asbury wyraźnie chciał drążyć dalej, ale Bonnie — kochana Bonnie, która siedzi teraz obok mnie, kiedy wystukuję na maszynie te słowa, i czyta instrukcję obsługi jakiegoś sztuczorga — rzuciła mu karcące spojrzenie i dał spokój. Poszedł do kuchni i zaczął

tam grzebać w pełnej papieru szufladzie. Wrócił po chwili z ołówkiem w rękę i nagryzmolił coś na karteczce. Był to adres; wręczył karteczkę Bonnie.

— Podskoczcie tam i odszukajcie laskę, która ma na imię Rhodesia; zakitrają was.

Zajrzałem Bonnie przez ramię — na karteczce widniał znany mi dobrze z przeszłości adres na ulicy Greendale.

— Przecież tam jest hurtownia Gabelmana — zachnąłem się. — Zwariowałeś?

Asbury roześmiał się i rzucił mi wątrobę. Był to najnowszy model firmy Taihitsu.

— Każdy Spozaniec ma swoje wtyki, windykatorku. A hurtownie to najlepsze kryjówki — wszystkie czorgi mają swoje numery seryjne, a więc nie będą mogli was wyskanować.

Miał rację. Każdy sztuczorg leżący na półce w hurtowni był, podobnie jak wątroba, którą trzymałem, wyposażony w aktywny już chip identyfikacyjny; skaner próbujący namierzyć moje serce odbierze również tysiące sygnałów z otaczających mnie organów. Nawet Jake ze swoim podrasowanym skanerem miałby trudności ze zlokalizowaniem nas na terenie kompleksu Gabelmana. Przypominałoby to szukanie igły w stogu siana.

Ale powiązana z Union hurtownia nie nadawała się na miejsce stałego pobytu i Asbury zdawał sobie z tego sprawę. Spojrzał na Bonnie i powiedział:

— Przekomarujcie tam parę dzionków, a potem wpadnij do mnie. Wykombinuję jakąś inną melinę.

Uścisnęła go — ale tak formalnie, bez przytulania — i przekazała mi. Chciałem podać mu rękę, ale on wziął mnie za ramiona i przyciągnął do siebie.

— Opiekuj się nią — mruknął. — Spisz się dobrze, a zostaniemy przyjaciółmi.

Masz to u mnie, Asbury.

* * *

Wendy wiedziała, że odchodzę. Nie chciałem jej zaskakiwać tak, jak moje cztery były żony zaskakiwały mnie, powiedziałem więc zawnazas ucziwie, że to planuję. Spłacanie rat wymknęło się spod kontroli, moja kariera biowindyka oficjalnie dobiegła końca i wiedziałem, że przyjdą po mojego jarvika, jak tylko upły- nie tych trzydzieści dni na uregulowanie zaległych płatności, które wspaniałomyślnie przyznano mi w ostatnim upomnieniu.

— Możesz znaleźć sobie inną pracę — zaprotestowała. — W innej branży.

— Nie mam przygotowania zawodowego — odparłem. — I za stary jestem, żeby zaczynać od początku.

— A nie możesz... nie możesz wrócić do Union? Wiem, że by cię tam przyjęli. Wzięłybyś jeszcze parę zleceń, zacisnęlibyśmy pasa, spłacili szybciej to serce...

Miała rację; bez mrugnięcia okiem przyjęliby mnie z powrotem do Union. Mój kierownik dotrzymał słowa i kiedy ostatecznie doszedłem do siebie, zaczął mi znowu przydzielać zlecenia właściwe dla Kategorii Piątej. Nie posiadaliby się ze szczęścia, widząc mnie zajmującego się tym, co umiałem najlepiej, i sownie by mnie za tę pracę wynagradzali, tak jak przez te wszystkie lata. Może nawet przyznaliby mi Kategorię Szóstą. Ale ja nie mogłem już tego robić.

Szczęście w nieszczęściu. Straciłem serce, a odnalazłem duszę.

Rozdział 16

Późno już.

Hurtownia Gabelmana to rozległy kompleks przemysłowy, konglomerat rozmaitych producentów zgromadzonych pod jednym dachem, korzystających z tej samej infrastruktury i dzielących tę samą przestrzeń produkcyjną, często prowadzących wspólną księgowość w celu obniżenia kosztów administracyjnych. Pod parasolem Gabelmana działa większość drobnych amerykańskich producentów sztuczorgów, takich jak Struthers, Thompson i Vocom. Struthers, na przykład, chociaż produkuje rewelacyjną linię nagłośni, od lat wzbrania się przed ekspansją. Ilekroć otrzymywali nagrodę Rachmana za najlepszą konstrukcję, płynęły oferty współpracy, a podnieceni inwestorzy naciskali, żeby firma weszła na giełdę. Ale rodzina Strutherów, która dawniej zajmowała się produkcją drewnianych mebelków dla dzieci, przed dwudziestoma laty przebrnęła się i od tamtego czasu wypuszcza na rynek jedne z najlepszych, ręcznie robione organy, i przejście na masową produkcję mogłoby tylko zaszkodzić marce firmy. To samo z Thompsonem, Vocomem i resztą; wolą, żeby ich rzemieślnicze w zasadzie firmy pozostały niewielkie, a konkurencji

takich potentatów, jak Taihitsu i Marshodyne starają się sprostać, rozwijając system dystrybucji.

I tutaj swoje usługi proponuje Gabelman. Odgrywa rolę swego rodzaju pośrednika, rozprowadzając wyroby drobnych firm wśród ogółu społeczeństwa, jak również zaopatrując w nie towarzystwa kredytowe takie jak Kenton i Credit Union. Oczywiście obie te organizacje posiadają własne zakłady wytwórcze sztuczorgów, ale chętnie handlują organami wyprodukowanymi przez innych producentów, jeśli tylko klient jest skłonny wnieść wkład własny i ma odpowiednią zdolność kredytową.

Trochę to wszystko zagmatwane i oni chcą, żeby takie właśnie było. Schemat zależności między podmiotami współczesnego przemysłu sztuczorgowego przypomina sieć utkaną przez zalanego w pestkę pająka. Kojarzy się to ze zwyczajnym kaziurodztwem, a te towarzystwa z uprawiającymi je krewnymi ze świata biznesu.

* * *

Ale dzięki temu taka hurtownia to wymarzone miejsce na kryjówkę. Przejścia między regałami w magazynie mają po trzydzieści metrów w obie strony. W rzędzie stoją trzy regały, każdy wysoki na sześć metrów i na metr osiemdziesiąt, czyli na wzrost człowieka, głęboki — prawdziwe królewskie łoże, szerokie jak naturalnym okiem sięgnąć. Te magazyny to przerośnięte hangary, w których tylko doświadczony hurtownik potrafi coś znaleźć, i jeśli wierzyć krążącym po Union plotkom, hale wypełnione teraz sztuczorgami Gabelmana wykorzystywane były w dwudziestym wieku przez armię Stanów Zjednoczonych do prac konstrukcyjnych nad niewidzialnymi dla radaru bombowcami.

Nie wiem, czy to prawda. Wiem za to, że trzecia półka czwartego

regału po lewej jest idealnym miejscem na postukanie na maszynie. Echo tłumi stos sztuczorgów, barykada z wątrób, serc, gałek ocznych i śledzion, którą wznosiłem przez godzinę, a wystarczyło trącić nieopatrnie niewłaściwą trzustkę, by się rozsypała. To nie zabawa. Bonnie nieraz została już upomniana.

Godzinę po wyjściu od Asbury'ego stanęliśmy pod tylnym wejściem na teren kompleksu Gabelmana; czekała tam już na nas jego znajoma — czerwony dywan rozwinięty, wszystko gotowe na nasze przybycie. Była szarym pracownikiem ochrony i stacjonowała w budce wartowniczej metr na metr.

— Do środka — syknęła Rhodesia, kiedy się zbliżyliśmy. — Tylko nie biegiem.

— Przecież nie biegniemy — mruknęła Bonnie.

— I tak trzymać.

Wepchnęła nas do środka i poprowadziła długim korytarzem ciągnącym się wzdłuż półek zapelnionych tym, co najlepszego mają w ofercie współczesne koncerty sztuczorgowe.

— To magazyn pomocniczy — poinformowała nas Rhodesia. — Nikt tu nie zachodzi, chyba że w okresach wzmożonego popytu, a i wtedy uprzedzają mnie wcześniej telefonicznie.

— I nikt tu nie zagląda, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku? — spytałam.

— Ja powinnam, ale mi się nie chce. Przez parę najbliższych dni nie wam nie grozi.

No więc kulimy się teraz na trzeciej półce od dołu i przeczekujemy. Ja piszę na maszynie, Bonnie kartkuje instrukcje obsługi i co jakiś czas zagląda mi przez ramię. A niech sobie zagląda. Po każdym takim zajrzeniu całujemy się. Budzi się we mnie nadzieja, że dziś w nocy dojdzie między nami do czegoś więcej.

Bonnie przeczytała właśnie, co przed chwilą napisałem. Na jej twarzy odmalowało się z początku zaskoczenie, te delikatne usta ułożyły się w otwarte O, ale było to tylko na pokaz. Bonnie kiwnęła głową, przysunęła się bliżej i teraz wiem, czym smakuje sztuczny język — miodem.

Silikonem też, ale przede wszystkim miodem.

* * *

Jeśli chodzi o stosunek do seksu, to spośród wszystkich moich byłych żon szczególnym temperamentem wyróżniała się Melinda. Bywała czasami nienasycona, napalona do tego stopnia, że nie byłem w stanie jej dogodzić, i w takie dni nie odpuściła mi, nawet jeśli wracałem z pracy nad ranem wykończony, na ostatnich nogach. Parzyliśmy się zapamiętałe i w łóżku, i w parku, i w samochodzie, i w sklepie spożywczym, gdzie popadło.

Po urodzeniu Petera uspokoiła się, ale według mnie powodem był raczej pogłębiający się między nami rozdźwięk niż dziecko. Moglibyśmy kupić sobie zamiast niego szczeniaczka, a i tak dwa lata później byśmy się rozwiedli. Melinda coraz częściej zarzucała mi, że jestem zatwardziałym, niewrażliwym na jej potrzeby egoistą. Mnie cholera brała, że ona tak szasta na prawo i lewo pieniędzmi.

Ale kilka zarzutów, jakie od niej usłyszałem, nie było wyssanych z palca. Po pierwszych urodzinach Petera, kiedy atmosfera w domu trochę się oczyściła, Melinda zaproponowała, żebyśmy zapisali się na lekcje tańca towarzyskiego, może to nas z powrotem do siebie zbliży. Nie dostrzegałem w tym logiki, ale byłem tak skonany, że nie chciało mi się wdawać w dyskusje. No i dwa razy w tygodniu przed pracą człapaliśmy do pobliskiej szkoły tańca, by pobierać lekcje u kobiety tak przejętej swoją rolą, że potrafiłaby chyba nauczyć najniezdarniejszego biowindyka sztuki poruszania się z gracją.

Melinda, niczego innego jej nie ujmując, do tańca miała dwie lewe nogi. Była jak dziewczynka na weselu, podniecona i rozradowana, podskakująca bez ładu i składu. Muzykę, owszem, czuła i miała wrodzone poczucie rytmu i taktu, ale opanowanie kroków, poza tymi podstawowymi, było ponad jej siły.

Co innego ja. Ja chwyciłem wszystko w lot, tak jakbym się z tym urodził, jakbym był do tańca stworzony. Tango, walc, mambo, wszystko to było dla mnie tak samo naturalne jak oddychanie. Wystarczyło mi raz pokazać kombinację raz-dwa-złącza-wykop, a powtarzałem ją z chirurgiczną precyzją. Piruety, obroty, rozmaite hołubce, wszystko to była dla mnie bułka z masłem. Nawet się za bardzo nie pocilem.

Ale kiedy przychodziło do skonfrontowania nabytych umiejętności z żoną, byłem tak samo nieporadny jak ona. Stawiałem wyuczone kroki, ale taniec nam jakoś nie wychodził.

— Brak u was poczucia jedności — wytknęła mi instruktorka na ostatniej lekcji. — U każdego widzę tylko fragmenty. Choćbyście mieli do perfekcji opanowane kroki, najpiękniejsze perełki ruchu, i powtarzali je bez zarzutu, to jeśli nie będzie między wami zrozumienia, nic z tego nie wyjdzie.

Nie poszedłem więcej do tej szkoły. Melinda powiedziała instruktorce, że zachorowałem na gripę, ale wiedziałem, że ta domyśliła się, o co chodzi. Po co ćwiczyć coś, co przekracza moje zdolności pojmowania.

* * *

Melinda mnie obwinała o rozpad naszego małżeństwa, a ja wykorzystywałem ten taneczny epizod jako przykład, że coś jest między nami nie tak.

— Nie potrafisz niczego poskładać w całość! — wrzasnęła na mnie pewnego jesienno wieczoru przy obiedzie. Peter bawił się

w living roomie. — U ciebie wszystko jest zawsze w kawalkach.

Miałem w zanadru z tuzin rozmaitych argumentów na zadanie kłamu temu zarzutowi, ale tak mnie zaskoczyła swoją napaścią, że nie potrafiłem sklecić z nich żadnej logicznej linii obrony. Żeby nie utwierdzać jej w przekonaniu, że jest tak, jak powiedziała, dalej wcinałem w milczeniu ziemniaki.

* * *

Psychoanalityk, do którego zaciągnęła mnie Carol, też to powiedział:

— Wyniki badań wskazują, że ma pan skłonności do dekonstrukcji.

Nie zrozumiałem, co ma na myśli, kiwnąłem więc tylko głową.

— Przeszkadza to panu w życiu? — spytał.

— Mnie nie, ale może żonie przeszkadza — odparłem, oddając inicjatywę Carol.

— Carol — zwrócił się do niej psychik — przeszkadza ci to?

— Właściwie to nie — westchnęła. — Chciałabym tylko, żeby on nie był takim sukinsynem.

* * *

Cztery z pięciu moich żon tak mnie nazywały. Obnosiłem się z tym określeniem jak z odznaką honorową.

* * *

Poznaliśmy się z Carol przy okazji pożaru, który strawił doszczętnie restaurację jej szwagra. Wpadłem tam przekąsić coś między zleceniami; ekstrakcji jednej wątroby właśnie dokonałem; drugą wątrobę miałem do odzyskania w śródmieściu. Nie byłem

jeszcze w tej knajpce, ale ja nie przywiązuję się do tej czy innej restauracji, grunt, że są, a co mi za różnica, w której jem.

Jednak czystość i higiena w takich miejscach to dla mnie oczywista oczywistość i ponosi mnie, kiedy stwierdzam, że się ich nie przestrzega. Na przystawkę zamówiłem ravioli i byłem już w połowie, kiedy w zębach zachrząściło mi jakieś obce ciało. Walcząc z odruchem wymiotnym, wyplułem to coś na dłoń i zobaczyłem postrzępiony fragment kobiecego paznokcia. Cisnąłem serwetkę na podłogę i zerwałem się od stolika.

— Jakiś problem, proszę pana? — spytał kelner, który natychmiast do mnie podbiegł.

— Gdzie kuchnia? — wycodziłem przez zaciśnięte zęby.

— Jeśli ma pan jakieś zastrzeżenia...

Złapałem młodzieńca lewą ręką za nadgarstek, prawą za kciuk i odgiąłem. Skrzywił się z bólu, kolana się pod nim ugięły.

— Gdzie kuchnia? — powtórzyłem.

Szef spienił się, widząc mnie na swoich włościach, ale zaraz zmiękł tak samo, jak wcześniej kelner. Przywołał właściciela.

Chet przeproszał, kłaniając się w pas, a potem zarządził zbiórkę żeńskiego personelu i zaczęliśmy oglądać paniom dłonie w poszukiwaniu brakującego paznokcia. Byliśmy w trakcie lustrowania tabunu kelnerek, pomywaczek i kucharek, kiedy dostrzegłem w oczach Cheta błysk — coś mu zaświtało. Zaprowadził mnie do kantorka na zapleczu, gdzie nad księgami rachunkowymi ślęczała jego szwagierka.

— Pokaż mi dłonie, Carol — zażądał.

Nie zapytała nawet, kim jestem; odnosiłem wrażenie, że mało ją to obchodzi. Westchnęła tylko i wyciągnęła przed siebie ręce.

Wszystkie paznokcie były perfekcyjnie wymanicurowane, nie licząc ubytku na tym z palca wskazującego. Ulżyło mi, kiedy się okazało, że są z akrylu. A więc zułem kawałek utwardzonego plastiku.

To żadne widzimi się, że w domu kuchnią zajmowałem się sam.

* * *

Mijały lata od rozstania z Carol, a my z Chetem nadal się przyjaźniliśmy i po paru drinkach wymienialiśmy się nostalgicznymi wspomnieniami. Powiedział mi kiedyś, że nigdy nie lubił Carol. Zatrudnił ją tylko dlatego, że była siostrą jego żony. W głowie mu się nie mieściło, jak mogłem rznąć taki sopol lodu.

— Topniała w trakcie — powiedziałem.

— Góra lodowa też się topi — zauważył Chet. — I co dostajesz?

* * *

Ten paznokieć ułamał się Carol, kiedy kosztowała w kuchni ravioli, i byliśmy w trakcie wydobywania z niej przeprosin, kiedy zaalarmowały nas dobiegające z zewnątrz wrzaski. Zaczęło się od pojedynczych podniesionych głosów, co nie dziwi w kuchni popularnej restauracji, ale te pojedyncze okrzyki szybko zły się w jedno dzikie larum. Spojrzeliśmy po sobie i rzuciliśmy się do drzwi. Chet i Carol, chyba żeby sprawdzić, co się tam dzieje; ja, żeby profilaktycznie ewakuować się na ulicę.

Zatrzymaliśmy się jak wryci w progu kuchni. Ogień z tłuszczu, który zapalił się na piecu, rozprzestrzenił się już na całe pomieszczenie, jego jęzory lizały sufit. Nadbiegł pomywacz z wiadrem i zanim zdążyłem krzyknąć „Nie!”, chlusnął wodą w płomień.

Ogień buchnął natychmiast z nową siłą. Poprzez gęstniejący dym widziałem, jak chef okłada chłopaka pięściami za jego głupotę. Chet wszedł w tę pozołę, wyrzaskując na prawo i lewo niezborne rozkazy — a to polewania ognia wodą z hydrantu przeciwpożarowego, a to sypania solą — wszystkie, łagodnie mówiąc, nieprzemyślane.

Przez ramię miałem nadal przewieszony plecak, a w nim trzy pojemniki ze sprężonym eterem. Tego by tylko brakowało, żeby się rozgrzały w narastającym żarze. Chwyciłem Carol za rękę i pociągnąłem z powrotem w stronę kantorku, byle dalej od płonącej kuchni.

— No, co pan, co pan? — fuknęła, wyrrywając rękę z mojego uścisku.

Chciałem odpowiedzieć jakąś szpanerską odzywką albo przynajmniej jakąś kwestią gwiazdora filmowego w rodzaju „Ratuję pani życie, lady”, ale skończyło się na szorstkim:

— Zamknij się.

Nie zastosowała się do tego polecenia, ale pobiec za mną, pobiegła.

— Masz się za bohatera, co? — wysapała, kiedy kłusowaliśmy korytarzem.

— Jakiego tam, kurde, bohatera. Po prostu chcę się stąd dostać.

— W kantorku zostały moje księgi.

— A pies je drapał, niech się palą. Jest tu jakieś tylne wyjście?

Carol pokręciła głową.

— Jest, ale zabite na mur deskami. Uliczne nurki się nim zakradały i podbierały żywność z kuchni.

— Z deskami sobie poradzę — powiedziałem i kazałem jej się do niego prowadzić.

Po drodze spytała mnie, czym się zajmuję.

— Jesteś gliną czy kimś takim?

W odpowiedzi pokazałem jej tatuaż na szyi. Zamiast się spłoszyć, tak jak większość narodu, spojrzała na mnie przychylniej. Carol, jako jedyna z moich żon, nie miała mi za złe mojej profesji. Kochała tę robotę; sęk w tym, że nie kochała mnie.

* * *

Wydostaliśmy się z płonącej restauracji przy użyciu mojego ołówkowego lasera, którym wyborowałem dziury w zawiasach drzwi wyjścia awaryjnego; potem jeden mierzony kop, drzwi wyleciały z hukiem i droga na podwórko stała przed nami otworem. Nie rozbiegliśmy się jednak każde w swoją stronę; krztusząc się drażniącym płucą dymem, czekaliśmy razem przy baniakach na śmieci na przybycie straży pożarnej. Carol wypytywała mnie o moją pracę w Union, ja, ze swej strony, starałem się wywrzeć jak największe wrażenie na tej pięknej kobiecie w letniej, poplamionej sadzą, sukience.

Z Carol nie robiłem niczego na łapu-capu. Pobraliśmy się dopiero po dziewięciu miesiącach.

* * *

Jake był družbą na każdym moim ślubie. Miał jeden dyżurny smoking, który pasował na niego jak ulał przez wszystkie te lata; metabolizm jego umięśnionego ciała opierał się skutecznie upływowi czasu.

Był również świadkiem na każdym z moich rozwodów, oprócz ostatniego. Kilka lat temu Union zafundował mu certyfikat notariusza i chociaż Jake ze stemplowaniem i wystawianiem aktów notarialnych niewiele miał do czynienia, to jego uprawnienia przy wypowiedaniu niektórych przeterminowanych kredytów były

czasem dla Union jak znalazł. Miał też przywilej wypełniania kilku formularzy na sztuczorg mniej niż reszta z nas — dobra godzina papierkowej roboty — co dawało mu nad nami przewagę w przebieraniu w nowych zleceniach. Ale nie wziął ode mnie ani centa, kiedy potwierdzał notarialnie moje dokumenty rozwodowe. To się nazywa kumpel. Kiedy pobieraliśmy się z Wendy, proponował nawet, że udzieli nam ślubu cywilnego, ale Wendy wolała, żeby węzłem małżeńskim połączył nas ktoś w ornacie. Tłumaczyłem jej, że przecież Jake chodził do katolickiej podstawówki, ale nie ustąpiła.

Ciekawym, czy Jake, gdyby nas tu znalazł, gdyby nas nakrył, odcinając drogę ucieczki, to podtrzymałby swoją ofertę. Ciekaw jestem, czy gdyby wytropił nas w jakiś sposób w tej składnicy sztucznych organów, to zgodziłby się udzielić mnie i Bonnie ślubu cywilnego. Nie prosiłbym o wiele, skromna ceremonia, góra pięć minut, a po niej niech nas gazuje i windykuje, co chce.

Chyba powinienem porozmawiać o tym zawczasu z Bonnie.

* * *

Carol miała własny piękny dom w wiktoriańskim stylu w Alabamie i na pewien czas przenieśliśmy się do działającej tam filii Union, żeby zaznajomić się z atmosferą panującą w tej placówce. Union miała rozwinięty system transportu, dzięki czemu mogłem mieszkać praktycznie gdziekolwiek i tylko od przypadku do przypadku wpadać do centrali w celu podrzucenia odzyskanych sztuczorgów i pobrania nowych zleceń, ale pomyślałem sobie, że nie zaszkodzi poznać kolegów po fachu z biura w 'Bama.

Sam nie wiem, czy spodziewałem się tam spotkać biowindyków z innym, nowatorskim podejściem do wykonywanego zawodu, czy chciałem tylko zobaczyć, jak tradycyjna szarmanckość

Południa wpływa na przeciętny dzień pracy. Okazało się, że jest jak wszędzie — zagazować, zarekwirować, znikać. Częściej, co zrozumiałe, urządzano tam barbeque we własnym wąskim gronie, a z akcentem nie mogłem się oswoić przez kilka miesięcy, ale tamtejsi biowindycy nie wydali mi się inni od naszych. Z żadnym się nie zaprzyjaźniłem. Kilku z nich słyszało o mnie i ci schodzili mi z drogi. Reszta miała mnie w głębokim poważaniu. Właśnie to próbowałem uzmysłowić psychikowi Carol.

— My się niczym nie różnimy i nie zmieniamy — powiedziałem mu podczas pierwszej wizyty.

— Ma pan na myśli przedstawicieli swojego zawodu? — spytał.

— Tak, tych — odparłem. — Tych, kurczę blade, z mojej parafii.

* * *

Carol była bizneswoman, sprzedawała i kupowała swoje małe firmki częściej, niż ja zmieniałem gacie. Wracam, dajmy na to, z zachodu z trzydniowej windykatorskiej delegacji, a tu jej delikatesy zamknięte, wszystkie wymyślne serki i paszteciki wyprzedane, a Carol w kantorku innego sklepu, przy tej samej ulicy, tylko sto metrów dalej, kręci interes w tekstyliach. Nie mogłem nadażyć za tymi przemeblowaniami i pewnego dnia zapytałem ją, jak udaje jej się tak z dnia na dzień przebranżawiać.

— To cały czas ta sama branża — odparła zdziwiona, że słyszy ode mnie takie pytanie. — Handel.

— Handlujesz, ale coraz to innym towarem. Nie masz trudności z rozpoznawaniem rynków zbytu na każdy?

— A ty widzisz jakieś trudności, kiedy tej samej nocy windykujesz i nerkę, i śledzionę, i wątrobę? — odparowała.

— Nie, ale to nie to samo. Ja zajmuję się odzyskiwaniem.

— Ja też — zauważyła Carol. — Ale u mnie jest to odzyskiwanie pieniędzy z portfeli klientów. I nie potrzebuję do tego skalpela; wystarczy mi język, który dostałam od Boga.

* * *

Jestem w dziewięćdziesięciu pięciu procentach pewny, że miała na myśli bajerowanie klientów, by coś od niej kupili. W dziewięćdziesięciu dziewięciu, że jej się to udawało.

* * *

Bonnie doczytała właśnie do końca instrukcję obsługi sztucznych płuc firmy Yashimoto.

— Fascynujące — powiedziała i ze śmiechem zaczęła mi cytować jej źle przetłumaczone z japońskiego fragmenty. — „Po dobrej operacji oddychanie jest jak świeże powietrze dostarczane do organizmu. Po niedobrej to świeże powietrze smutnieje”.

„Świeże powietrze smutnieje” — piękny opis procesu umiarnia. Pozostawmy Japończykom układanie wierszy na każdy temat.

* * *

Bonnie powiedziała mi właśnie, żebym przestał stukać na tej maszynie i szedł spać, ale podejrzewam, że chciała powiedzieć, żebym „szedł spać z nią”. Tym razem nie będę taki tępy. Będę się wsłuchiwał w krzyk instynktu w mojej głowie. Zaraz przysunę się do Bonnie, położę obok niej na materacu ze sztucznych wątrób i dam dojść do głosu naturze — a przynajmniej temu, co z niej zostało.

Rozdział 17

Minęły dwa dni. Wczoraj nic nie napisałem. Wczoraj mieliśmy z Bonnie dzień bez narzędzi. Siedzieliśmy na półce i opowiadaliśmy sobie swoje życiorysy. Mogę teraz z czystym sumieniem stwierdzić, że w życiu kochałem siedem kobiet, wliczając w to matkę, i poślubiałem wszystkie po kolei, z wyjątkiem matki i Bonnie. Specjalnie nadaję tej liście modułowy charakter.

Obudziliśmy się rano po upojnej nocy i od razu powtórka. Byliśmy jak dwoje wyposzczonych małałów, którzy zaczynają dopiero kumać, co jest w tym grane. Potem opowiedziała mi pokrótce o swoim byłym mężu, o tym, jak tułała się przez te wszystkie lata po ulicach tropiona przez Union, o losie ściganej.

A ja opowiedziałem jej o tym, jak wypisałem się z kadry, jak udało mi się wypłatać z ich sieci, opowiedziałem o mojej wyprawie do Mallu, o swoim życiu od czasu, kiedy rzuciłem robotę i nawiałem.

A ponieważ ukrywanie tego nie byłoby fair, opowiedziałem jej o Melindzie. To jedno tłamsiłem w sobie od czasu ucieczki i nieźmiernie mi ulżyło, kiedy wreszcie to z siebie wydusiłem, zupełnie

jakbym odetchnął pełną piersią po miesiącach wstrzymywania oddechu.

Zacząło się od pewnej rozmowy o moim zerwaniu z Union. Bonnie nie mogła zrozumieć, dlaczego mnie zwolnili.

— Bo nie brałem już zleceń — wyjaśniłem.

— Bo nie chciałeś czy nie mogłeś?

— I jedno, i drugie.

— A dlaczego? — spytała, i wtedy opowiedziałem jej, w jakich okolicznościach po raz ostatni spotkałem swoją trzecią byłą żonę.

* * *

Klatka piersiowa wygoiła mi się wreszcie po implantacji, ze wskazań cyfrowego wyświetlacza wszczepionego w udo wynikało, że jarvik-13 pompujący krew w mojej piersi będzie mi jeszcze niezawodnie służył przez dwieście najbliższych lat. Frank z przejęciem sekundował mojej rekonwalescencji i kiedy już całkiem wydobrzałem, znowu, jak przed wypadkiem, zaczęliśmy się przekomarzać. On wygłaszał żartobliwe uwagi na temat mojego charakteru; ja żartowałem z jego matki. Z Frankiem byliśmy zawsze za pan brat.

Raty za jarvika były wysokie, dwa tysiące dolców miesięcznie, do tego spłacanie pożyczki hipotecznej pod domek oraz rosnące ceny paliwa i żywności... Kurde, zdawałem sobie sprawę, że tym biadoleniem przypominam delikwentów, z którymi miałem na co dzień do czynienia, ale teraz przynajmniej wiedziałem, co oni przeżywają. Staralem się regulować rachunki w pełnej wysokości i w terminie i podtrzymywać swoją zdolność kredytową. Tak postępuje każdy, kto znalazł się w mojej sytuacji, bo inaczej dupa błada.

Ale wiedziałem, że jestem do przodu tylko o jedną, no może dwie robótki i gdyby któraś poszła nie tak jak trzeba albo zajęła

więcej czasu, niż przewiduje norma, to leżę i kwiczę. Nawet to, co wisiał mi jeszcze dział finansowy Union, nie pokryłoby należności za okres prolongaty terminu płatności, a kary umowne za zwłokę zrobiłyby ze mnie dziada. Staralem się jednak myśleć pozytywnie i pracowałem jak zawsze. Szybko, sprawnie, bezboleśnie.

Żeby jeszcze nie ta trzęsionka. Dopadała mnie przy każdym zleceniu, w rozmaitych nasileniach, ale zawsze. Wisiała nade mną jak duch, który wyczekuje tylko chwili słabości, żeby zaatakować. Przecinam się, dajmy na to, skalpelem przez tkankę albo tną oporną kość i naraz czuję, że nadchodzi, że zaraz wstrząśnie moim ramieniem, by przez nadgarstek przenieść się na dłoń. Nawet kiedy to fizycznie mijało, pozostawało w mojej świadomości — kiedy najdzie mnie znowu? Czy następnym razem się nasili?

Pewnego dnia, po tym, jak nakryłem szajkę spozańcowych hien, która żerowała na naszych klientach, wypatroszając ich z akcesoriów Kentona, Frank wezwał mnie do swojego gabinetu.

— Mam dla ciebie nową robótkę — powiedział. — Prosto z haczyka.

Teczka wydała mi się znajoma. Czerwona w białe paski... Gabelman. Otworzyłem ją i przebiegłem wzrokiem dane z różowego arkusza: obie nerki, kredyt przeterminowany o rok, delikwent widziany ostatnio na przedmieściach. Honorarium było o trzy tysiące wyższe od standardowego, co na kilka dodatkowych miesięcy odsunęłoby ode mnie groźbę wessania w czarną dziurę niewypłacalności. Niewiele myśląc, wziąłem to zlecenie. Fotografia klienta była niewyraźna, pochodziła z jakiejś kamery przemysłowej; albo bankomatowej, albo pracującej w systemie monitoringu miejskiego. Mniejsza z tym; kiedy będę już blisko, skaner wyświetli wszystkie potrzebne mi informacje.

To niewczytanie się w treść różowego formularza plasuje się w pierwszej trójce litanii życiowych błędów, których teraz żałuję. Pozostałe dwa z tej trójki to podrobienie losu na loterię i pewna dziewczyna z Bethesda, ale tego drobnego z pozoru potknięcia nigdy sobie nie daruję.

* * *

Odprowadzał mnie Jake. Weszliśmy do szatni Union, gdzie przechowywałem swój sprzęt. Między innymi skórzaną torbę, prezent od Carol; miała kieszenie na pojemniki z eterem i zapinane na paski przegródki na skalpele. Szyta na zamówienie przez jakiegoś gościa z Turcji. Śmierdziała krowimi siuśkami, ale poręczniejszej jeszcze nie miałem.

— Jak tam pompka? — spytał Jake. — Trzyma czas Greenwich?

Jake osobiście przekalibrował mojego jarvika na stary dobry amerykański system miar, ale nie przepuścił okazji, żeby mi nie przygadać w kwestii oryginalnych ustawień.

— Chodzi jak w zegarku — odparłem. — Dostałem zlecenie na nerki. A ty masz coś na tapecie?

— E, tam. — Machnął ręką. — Taka lokalna drobnica, szkoda gadać.

Przerzuciłem torbę przez ramię i odwróciłem się, gotowy do drogi.

— To do jutra — wyciągnąłem uniesiony kciuk i Jake przytknął do niego swój.

— Do jutra.

* * *

Cały urok pracy na przedmieściach, przynajmniej z punktu widzenia biowindyka, to przejrzysty rozkład i mały ruch, co pozwala spokojnie krążyć taksówką po uliczkach ze skanerem

nastawionym na stosunkowo krótki zasięg, żeby nie łapał byle czego. Namierzyłem kilka kiepskiej jakości sztuczorgów Fillmore'a, przestraszyłem śmiertelnie dwóch staruszków, wypikując po jednej nerce u każdego, ale w zasadzie obyło się bez większych sensacji i wysiadałem w tak dobrym nastroju, że wspaniałomyślnie dałem taksjarszowi pięćdziesiątkę górką.

Skaner zaczął emitować podwójne piknięcia w pobliżu południowego krańca dzielnicy. Dwie nerki, licencja Gabelmana, ta sama data produkcji, kilkanaście centymetrów jedna od drugiej. Miałem delikwenta.

Sklepów z prawdziwego zdarzenia było tu niewiele; ostatni pożar zniweczył w znacznej mierze trud włożony w rewitalizację. Ale grupka lokalnych kupców odszykowała jako tako kilka nadających się do użytku pomieszczeń, z wózków sprzedawano owoce i warzywa, na straganach handlowano różnym badziewiem. Zewsząd dolatywały mnie okrzyki w obcych językach — nawoływania do kupna ich gównianych towarów, wyzwiska, kiedy nie reagowałem. Ale wystarczyło mi wyeksponować tatuaż na szyi i jeden z drugim nabierał wody w usta. Tak że w sumie tych zaczepiek nie było dużo.

Zbliżając się do rejonu, z którego dobiegał sygnał sztuczorgów, skracałem stopniowo zasięg skanera, żeby zawęzić premiatane przezeń pole. Ostrożnie stawiałem kroki, bo jezdnia zasłana była gruzem, którego nikt nie kwapił się uprzętnąć. Gdzie spojrzeć, popiół, sadza i osmalone cegły, wypalony budynek opuszczony i zapomniany, dla jednych waląca się ruina, dla innych nawiedzony, w każdym razie lepiej tam nie wchodzić. Idealne miejsce, pomyslałem. Sam bym je wybrał na kryjówkę.

No i sobie wykrakałem.

* * *

Oceanic Plaza padło ofiarą dwóch pożarów, jakie tu wybuchły w odstępie pięciu miesięcy. Pierwszy spowodowało zwarcie w instalacji elektrycznej na podstacji transformatorowej, w wyniku czego ogień rozprzestrzenił się na sześć okolicznych budynków. Przyczyną drugiego było prawdopodobnie podpalenie, jakaś eksplozja, która zdewastowała cały plac. Administracja umyła ręce, ograniczając się do wysiedlenia całego rejonu, i nie został tam nikt, komu chciałoby się dochodzić przyczyn. Lokatorzy Oceanic podnajmowali mieszkania na zasadzie dwudziestoletniego leasingu, a ponieważ z ubezpieczeniem było coś nie w porządku, bardziej opłacało im się wziąć pieniądze i dać nogę, niż inwestować w remont zrujnowanych budynków w schodzącym na psy osiedlu.

Teraz były tu same zgliszcza — wypalone skorupy pięciu dwunastopiętrowych bloków, ziemia obiecana dla włóczęgów i dziczających kotów. Szkło z wytłuczonych szyb chrzęściło jeszcze gdzieś pod nogami, ale większość zdeptano już na proszek. Najwyraźniej na te tabliczki z ostrzeżeniami „Uwaga, niebezpieczeństwo” i „Wstęp wzbroniony”, których wisiało tu zatrzęsienie, nikt nie zwracał uwagi.

Przed dwoma dniami nad miastem przeszła nawałnica i w rozmięklej ziemi odcisnęły się wyraźnie ślady licznych stóp. Nie ulegało wątpliwości, że lokalny ciąg komunikacyjny przebiega między dwoma niebotycznymi hałdami gruzu i nadpalonych sprzętów, a za nimi się rozgałęzia: jedna odnoga prowadziła do ruiny po lewej, druga do ruiny po prawej. Szedłem środkiem wydeptanego szlaku, zielona poświata ekraniku skanera oświetlała mi drogę.

Zgubiłem na chwilę sygnał. Poszerzyłem zasięg, żeby wyłuskać go ponownie w tym rumowisku. Skaner znowu zaczął pikać, ale nie były to czorgi, po które tu przyszedłem. Miałem już zawrócić i ponowić podejście, kiedy usłyszałem za sobą tąpnięcie. Z ręką

przy biodrze, w połowie drogi między pistoletem a garotą, odwróciłem się, pozostając w cieniu.

Przygarbiony starowina, jedna noga o dobre piętnaście centymetrów krótsza od drugiej, kuśtykał wśród pogorzelniska i z wigorem, o który z racji wieku nikt by go nie podejrzewał, wybierał z niego kamienie. Przeskanowałem go, ale dziadyga był czysty. Dziwne, zważywszy na fakt, że ponad dziewięćdziesiąt procent ludzi w jego wieku ma w sobie coś tam sztucznego; pozostałe dziesięć procent to dziwolągi, które nigdy na nic nie chorowały i nie chorują, albo ci, co stoją jedną nogą w grobie, którym żaden sztuczorg już nie pomoże.

Obserwowałem go z cienia i nie mogłem się nadziwić jego krzepie. Bez żadnego wysiłku dźwigał i odkładał na bok ciężkie kamulce i płyty tynku, odsłaniając stopniowo wejście do małej, ciemnej jamy. Kiedy otwór był już wystarczająco duży, wpełzł do niego rakiem i zaczął na powrót maskować tym, co przed chwilą odwalił na bok. Wkrótce miejsce to nie odróżniało się niczym od reszty otoczenia.

Nakierowałem na nie skaner. Włączyłem go kciukiem prawej ręki. Zapikał. Dwie nerki, te, o które mi chodziło.

Przykucnąłem jak szykujący się do rwania ciężarówiec (schylenie się w pasie nie jest tu wskazane), żeby odwalić z powrotem te ciężkie kamienne bloki. Wsunąłem palce pod chropawe krawędzie pierwszego, zaparłem się w ziemię nogami, zebrałem w sobie i dźwignąłem. Kamień, wymykając mi się z rąk, pofrunął w powietrze i spadł parę kroków za mną, a ja, nie napotkawszy oporu, na który byłem przygotowany, omal nie straciłem równowagi. Uniosłem następny kamień, i następny, i stwierdziłem, że wszystko to atrapy nie cięższe od arkusza styropianu. Chichocząc w duchu — w mojej dwudziestoletniej praktyce spotykałem się z

czymś takim po raz pierwszy — odsłoniłem wejście do jamy na tyle, żeby się w nie zmieścić, i wczółgałem się do podziemi Oceanie Plaza.

* * *

Nie byłem tu sam. Wyczuwałem, jak przemykają obok, słyszałem, jak czmychają na wszystkie strony ciasnymi, wąskimi korytarzami. Dochodziły mnie jakieś pomruki, jakieś westchnienia, gdzieś w dali kobiecy śpiew. Przenikliwy, słodki, niosący się echem. Niesamowicie tu było — wydłubane z mazołem przejścia, pomieszczenia grożące w każdej chwili zawaleniem.

Zagłębiałem się w to podziemne miasto, przyświecając sobie skanerem, płosząc każdego, komu przysłoby do głowy mnie zaatakować. Dane strumieniami cyferek napływały na wyświetlacz ze wszystkich stron, skaner wypikiwał sztuczorg za sztuczorgiem, wiele z datą produkcji sprzed dziesięciu lat. To ci była melina, prawdziwe gniazdo delikwentów. Tyle lat pracowałem w tym zawodzie, a takiej jeszcze nie widziałem. Po powrocie do centrali Union trzeba będzie złożyć dokładny raport.

Przejścia stopniowo się zwężały, sufit obniżał, cegły obcierały mi ramiona, darły ubranie. Wkrótce posuwałem się już przygarbiony, z rękami dociśniętym do tułowia, skulony, na ile to tylko możliwe. Nie cierpiałem nigdy na klaustrofobię; to przypadłość niepożądana u biowindyka, można ją przypłacić życiem. Ale tutaj, na dole, pod tysiącami ton gruzu, zaczynała mnie powoli dopadać, podsuwając myśli o przywaleniu i śmierci przez uduszenie. Odpędziłem je, skoncentrowałem się z powrotem na stojącym przede mną zadaniu i dreptałem dalej.

Kierując się wskazaniem skanera, skręcałem raz po raz w ślepe

korytarze; wiązki jego promieni przenikały przez większość materiałów, ja jednak byłem z krwi i kości. Tak więc, nawet jeżeli od nerek, po które przyszedłem, dzieliła mnie zaledwie jedna ściana, to nie było innej rady, jak tylko szukać do nich jakiejś okrzężnej drogi. Nie chciało mi się kruszyć cegieł moim ołówkowym laserem.

Z dreptania zrobiło się wkrótce przeciskanie, a kiedy sufit obniżył się do wysokości metra, posuwałem się na czworakach i pełzłem tak ze skanerem w prawej ręce, paralizatorem w lewej, wlokąc za sobą torbę zaczepioną paskiem za nogę powyżej kolana; pojemniki z eterem pobrzękiwały na kamienistym podłożu. Przemknęło mi przez myśl, żeby zawrócić i zacząć się gdzieś na placu, poczekać, może spłoszony delikwent sam wylezie na powierzchnię. Ale wiedziałem, że klient, któremu udało się tak dobrze zakonspirować, długo nie wyściubi nosa ze swojej nory. A ja musiałem zrealizować to zlecenie; na gwałt potrzebna mi była kasa. Jeśli dam tutaj plamę, cały finansowy domek z kart runie mi na łeb i pogrzebie skuteczniej niż te zwały gruzu nade mną.

W końcu, z dłońmi poranionymi o odłamki cegieł, na gołych, kościstych kolanach, bo poprzecierały mi się nogawki spodni, wyszedłem na pozycję. Z pikania skanera wynikało, że cel mam przed sobą, dokładnie na wprost. Dwie czekające na mnie nerczki. Mocniej ścisnąłem paralizator i przyśpieszyłem; myślami byłem już w domu, z zainkasowaną gotówką, z której sumiennie, w terminie opłacę rachunki.

W pewnej chwili dobiegło mnie jakieś mamrotanie. Rozmowa? Nie, to był pojedynczy głos. Coraz wyraźniejszy. I nagle coś mnie tknęło, starły się we mnie dwa sprzeczne ze sobą impulsy. Dotrzeć tam i przekonać się, czy słuch mnie nie myli, a jeśli nie myli, to nie iść dalej. I znowu. Ciche mruczenie dobiegające z głębi

przejścia, z pieczary, którą miałem sto kroków przed sobą. Głos jednej osoby, kobiecey, melodyjny, to wznoszący się, to opadający. Śpiewny. „Chcę pływać w morzu z niedźwiadkami i koliberkami...”.

* * *

Melinda leżała na wznak na kamieniach, wpatrzona w sklepienie. Miejsce, do którego się wczółgałem, było chyba kiedyś holem zachodniego skrzydła Oceanie Plaza, któryostał się jakimś cudem, pomimo że z kolumn podpierających sufit pozostały tylko pokruszone fragmenty, a ściany popękały. Podejrzywałem, że wszystko to trzyma się jeszcze dzięki szczególnemu układowi destrukcyjnych sił, które znoszą się, napierając ze wszystkich stron, że stoi niczym gigantyczne tipi. Ale nie miałem żadnych złudzeń co do losu tej sztucznej groty; tylko patrzeć, jak się zawali.

Ale nie to mnie teraz absorbowало. Całą moją uwagę przykuwała śpiewająca wciąż Melinda nieświadoma, że jestem piętnaście metrów od niej. To bez wątpienia była ona. Ostatni raz widziałem ją z piętnaście lat temu, ale postarzała się o co najmniej trzydzieści. Jędrna skóra opinająca niegdyś jej pełną, szeroką twarz, zwiędła i obwisała teraz pod policzkami, ciągnąc w dół purchle pod zapadniętymi oczami. Gęste kiedyś, kręcone i lśniące włosy, których mogły jej pozazdrościć modelki reklamujące szampony, przeredziły się, zmatowiały i rozdawały na końcach, podcięte byle jak, na chłopczycę. Była w starych, wyświechtanych, wystrzępionych džinsach, a w brudnej bluzce, którą miała na sobie, ledwo rozpoznałem tę różową, w której paradowała po domu, kiedy nachodziła ją chcica; ani jednego guzika, a przez wielkie dziury na boku widać było chorobliwie żółte ciało.

„...pływać z pieskami, małpkami i kangurkami...”.

Podniosłem się i postąpiłem krok w głąb ciemnego, chłodnego holu. Szyby w wielkich oknach były wytłuczone, puste ramy wypełniało teraz zwałowisko kamieni i pokruszonych cegieł. Skaner nie był mi już właściwie potrzebny, ale mimo wszystko uniosłem go, żeby uzyskać to ostateczne piknięcie i upewnić się, że na sto procent mam zlecenie na nerki Melindy, te, o których słyszałem przed laty od Petera. Odruchowo sięgnąłem po teczkę z danymi, otworzyłem ją i dopiero teraz przeczytałem uważnie pierwszą stronę, co powinienem był zrobić na samym wstępie, jeszcze w gabinecie swojego kierownika z centrali Credit Union.

Melinda Rasmussen. Jak wół, czarno na białym, a ściśle rzecz biorąc, na różowym. Jej panięńskie nazwisko. Owszem, tak samo mogła się nazywać jakaś inna kobieta, ale ona nie znalazłaby przecież słów kołysanki, którą ułożyłem kiedyś dla naszego synka.

„...i chcę, żeby one pływały ze mną...”.

Nie spojrzała na mnie, kiedy się zbliżałem, dalej wpatrywała się w sufit, to nucąc, to śpiewając, a kiedy skończyła, robiła przerwę na nabranie oddechu i zaczynała od początku. Jak odtwarzacz, w którym ktoś raz po raz wciska klawisz „replay”.

Przykucnąłem obok mojej trzeciej byłej żony i pstryknąłem jej palcami przed nosem. Żadnej reakcji.

— Melindo! — zawołałem cicho, a mój głos i tak poniósł się echem po rozległej pieczarze. — Melindo, ocknij się.

Nadal nic. To mi nie wyglądało na zwyczajną demencję, z którą spotykałem się u pacjentów domów opieki albo tych ze szwanującym układem nerwowym; to było coś zupełnie innego. Ona przebywała w jakimś innym świecie, w jakimś innym czasie, i kiedy nachylając się, zobaczyłem na jej wargach pyłki różowego proszku, zrozumiałem, że Melinda uzależniła się od Q.

— Melindo! — powtórzyłem, tym razem głośniej, ujmując ją za wychudłe, kościste ramiona i potrząsając mocno. Głowa zachwiała się jej jak makówka na potrąconej niechcący łodydze. Narkotyk wyssał z niej cały tłuszcz, odsączył całą energią z tego prężnego niegdyś ciała. Była teraz szkieletem obciążonym skórą, aż dziw, że implantowała sobie tylko nerki. Reszta jej organizmu, chociaż naturalna, z pewnością znajdowała się w rozsypce, jeśli w ogóle jako tako funkcjonowała.

Kilka siarczystych policzków i wreszcie jakaś reakcja, zaczęła odrywać wzrok od świata fantazji, w którym składała wizytę, powracać do skrzeczącej rzeczywistości. Źrenice zwięzły się jej porażone poświatą ekraniku mojego skanera i już wiedziałem, że przynajmniej przez chwilę będę miał z nią jakiś kontakt.

— Wstań — powiedziałem. — Melindo, wstań.

Mruganie. Stłumiony kaszel. Ramiona podrygują, ręce latają bez kontroli, potem równie niekontrolowane spazmy wstrząsające całym ciałem i na moich butach ląduje paw. Cofnąłem się, a ona stanęła na czworakach i zwiesiła głowę. Pasemka czerwieni w tych wymiocinach, strumyczki krwi ciurkające między zwróconymi kawałkami częściowo strawionego posiłku.

Cofnąłem się jeszcze o krok i czekałem, aż się do reszty wyrzyga i dojdzie odrobinę do siebie. Trwało to trochę, ale w końcu przestała haftować. Jeszcze przez chwilę wstrząsały nią odruchy wymiotne, ale już nie rzygała. Kiedy i one ustały, położyła się znowu na wznak na kamieniach, wyczerpana, spocona, zdyszana, ale żywa i już obecna.

— Nie wyglądasz najlepiej — zauważyłem, podchodząc.

Spojrzała na mnie, na moją twarz, widziałem po oczach, że chyba mnie poznaje.

— Jełop? — spytała słabym głosem, wargi rozciągnął jej blady uśmiech. Zęby miała zrudziałe, dziąsła zanikały, nerwy obumarły, wszystko to skutek działania Q.

— Tak — mruknąłem — jełop we własnej osobie. — Odgarnąłem nogą trochę gruzu, usiadłem obok niej na podłodze i ująłem te wysuszone dłonie. Drżały niczym dogorywające ptaszki, łaskocząc mnie w palce

Melinda oddychała z trudem, płuca też miała wyniszczone.

— Szliśmy do parku, jełopku. Co się w tym parku wydarzyło?

Nie miałem pojęcia, o czym mówi. Prawdopodobnie wróciło jakieś wspomnienie z przeszłości, ze wspólnego spaceru sprzed lat. Albo był to wytwór jej zmętniałego umysłu nieodróżniającego już rzeczywistości od rojeń.

— Kochaliśmy ten park — odparłem. — Pięknie tam. Możemy wybrać się do niego na spacer, kiedy tylko zechcesz.

Melinda znowu się rozkaszała i wycofała ręce z mojego uścisku. Sięgnęła pod bluzkę, poniżej piersi, których już nie miała, po których pozostały tylko dwa obwisłe worki skóry, i wyciągnęła stamtąd małą, czerwoną torebkę. Zanim zdążyłem się połapać, co kombinuje, nabierała już z jakiejś fiołki na palec potężną dżiałkę Q.

Przechwyciłem jej rękę w połowie drogi do dziąseł, strzepnąłem zabójczy proszek z czubka palca i wytarłem go rąbkim koszuli. Zdrętwiała na moment, iskierki gniewu zapaliły się w jej oczach, ale szybko zgasły, zapomniała, jej pamięć krótkotrwała nie rejestrowała nawet tego, co się dzieje na bieżąco.

— Peter musi iść spać — wyszeptała. — Dzieci potrzebują snu.

Próbowałem jej przetłumaczyć, że ma halucynacje, uzmysłowić, że znajdujemy się w zgliszczach Oceanie Plaza, daleko od

naszego domu pod miastem zarówno w przestrzeni, jak i w czasie. Ale do niej to nie docierało.

— Zaśpiewaj ze mną tę kołysankę, jęlopku — wyszeptała. — Zaśpiewajmy razem Peterowi. — Z Melindą, jak zawsze, nie było dyskusji.

Otworzyła usta — ich kąciki zlepione zakrzepłą krwią i pyłkami Q pomarszczyły się — i zaczęła śpiewać. Głos miała nadal czysty i dźwięczny jak przed laty.

— Chcę pływać w morzu z niedźwiadkami i koliberkami...

Odczekałem, aż skończy i zacznie od początku, i zawtórowałem jej.

* * *

Pół godziny tego śpiewania, a w przerwach mamrotania bezładu i składu, zrobiło swoje. Była osłabiona, zmęczona, chyba nie rozumiała, po co tu przyszedłem.

— Na pewno masz jakieś pieniądze — zwróciłem się do niej błagalnie. — Powiedz mi, gdzie są i może to jakoś załatwimy.

Ale ona tylko o Q mogła rozmawiać. Jak je zdobyć, gdzie, za ile. Co kilka minut wyciągała skądś kolejną fiolkę; pomimo ogromu spustoszeń, jakich narkotyk dokonał w jej mózgu, nadal pamiętała, gdzie je pochowała. Wytrącałem jej z rąk jedną po drugiej, żeby chociaż na chwilę pozostała w miarę przytomna.

— Melindo — powiedziałem stanowczo, nie przejmując się już echem, którym mój podniesiony głos odbijał się od stropu — musisz spłacić Union. Bo jak nie, jeśli nie masz pieniędzy, to ja... to oni... Może masz kogoś, kto mógłby cię podratować finansowo? Zadzwonimy do niego.

Otworzyła usta, przysunąłem się bliżej.

— Zadzwoń do mojego męża — wyszeptała.

— Twojego męża? — Peter od kilku miesięcy mnie unikał, ale byłem przekonany, że o czymś takim, jak zmiana stanu cywilnego matki, na pewno by mnie powiadomił.

— Mojego męża — powtórzyła i wymieniła nazwisko.

I w jednej chwili przysły wszelkie złudzenia, jakie jeszcze miałem. Zrozumiałem, że nie ma co się oszukiwać, że tamta Melinda gdzieś się w tym wszystkim zatraciła i już nigdy się nie odnajdzie. Wszystkie pieniądze przeznaczone na spłatę jej sztuczorgów, rachunków i hipoteki poszły na Q. Nałóg zeżarł zawartość jej portfela, zeżarł lokaty, zeżarł oszczędności, a kiedy nic już z tego nie zostało, on nadal nienasycony zabrał się za jej mózg. Melinda, moja płacąca sumiennie podatki, prawa, rozumna, serdeczna i piękna Melinda, wyszła z domu i już nie wróci.

A ja miałem na nią zlecenie.

Puściłem jej rękę, pocałowałem delikatnie w czoło i wyciągnąłem pojemnik z eterem.

* * *

Nie pamiętam zupełnie samej ekstrakcji; i bardzo dobrze, bo nie chcę tego pamiętać. Może pozostałości Q, którym przesyczone było jej ciało, znalazły jakoś drogę do moich dziąseł, może sprawiła to jakaś blokada umysłu, nie wiem, w każdym razie film mi się urywa w momencie, kiedy wsadzam jej w usta rurkę od pojemnika z eterem i otwieram zaworek, a wraca dopiero, kiedy pełzną korytarzem, wlokąc za sobą torbę z odzyskanymi nerkami.

Pamiętam, że zawróciłem w pół drogi, bo przyszło mi do głowy, że jakoś nie wypada zostawiać jej zwłok, by gniły w tych zgliszcach, gdzie nigdy nie znajdzie ich nikt prócz takich jak ona degeneratów. Wziąłem ją pod pachy i cofając się rakiem wciągnąłem z holu zachodniego skrzydła w ten ciemny przesmyk, którym

tu dotarłem. Sunąc na plecach i usiłując zachować zimną krew, ciągnąłem za sobą jej trupa płataniną zdewastowanych nie do poznania holi i korytarzy, częstokroć ślepych, z których musiałem z mozołem zawracać, by próbować innej drogi, a oczy przez cały czas szczypały od zalewającej je słonej ciecicy, chyba potu, którego nie mogłem otrzeć, bo obie ręce miałem zajęte.

Błąkałem się tak, jak szczur w labiryncie, godziny całe, ale w końcu udało mi się trafić do wyjścia i wytaszczyć jej trupa na chłodne nocne powietrze. W okolicy nadal nie było żywego ducha. W idealnej ciszy dźwignąłem ją i chwytem strażaka przerzuciłem sobie przez ramię. Poczułem, jak jej ręce, dyndając bezwładnie, objijają się o moją pierwszą krzyżową. Gdyby ktoś nas wtedy zobaczył, pomyślałby, że targam do domu pijaną przyjaciółkę. Wypiła o jednego za dużo i jest zalana w pestkę.

* * *

Pojechałem do domu po swoje auto i wróciłem nim pod Oceanie Plaza. Długo czas siedzieliśmy w samochodzie z Melindą, a raczej z tym czymś, co się z Melindą zrobiło. Nie pamiętam dokładnie, jak długo, ale kilka godzin na pewno. W końcu ruszyłem. Zatrzymałem się pod najbliższym Snack Shackiem, nie wiem, dlaczego akurat pod tym. Bo był pierwszy po drodze? Bo cholera nie chciało mi się pić? Mniejsza z tym. W każdym razie nie mogłem tego zrobić o suchym pysku. Wszedłem, zamówiłem szklankę bourbona i opróżniłem ją kilkoma haustami. Potem, nie czekając, aż się rozmyślę, podszedłem do automatu telefonicznego i wybrałem numer.

Kolega Petera z pokoju powiedział mi, że Peter poszedł załatwiać jakieś studenckie sprawy. Podyktowałem chłopakowi numer

telefonu i poprosiłem, żeby po powrocie syn do mnie oddzwonił, bo mam do niego pilną sprawę.

Czekaliśmy dwie godziny, ja przy telefonie, Melinda w fotelu pasażera mojego samochodu przed wejściem. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Dla zabicia czasu obserwowałem wchodzących i wychodzących ludzi i obgadywałem ich w myślach z byłą żoną.

Telefon w końcu zadzwonił. Sięgając po słuchawkę, zapragnąłem nagle znaleźć się daleko, bardzo daleko stąd.

— Peter? — powiedziałem. — To ja, tata.

— Cześć — rzucił i po głosie poznałem, że jest w dobrym nastroju. Mało brakowało, a przerwałbym połączenie, powiedział tylko, że zadzwoniłem ot tak sobie i odwiesił słuchawkę. A potem wrócił do tamtego rumowiska, z powrotem wszył Melindzie te nerki i w ten sposób odkręcił to, co się wydarzyło. — Wywiesili dzisiaj wyniki egzaminów... wiesz, co dostałem z chemii?

Strzeliłem, że pewnie piątkę, i zgadłem. Wszystkie inne przedmioty też pozdawał na bardzo dobrze, tylko ze współczesnej literatury angielskiej miał dostateczny.

— Bo wykładowczyni uznała, że mój esej na zaliczenie semestru został napisany z męskiego punktu widzenia — pozałił się. — A co ja, kurczę, na to poradzę? No, powiedz, tato? Mam sobie wszczepić sztuczorgową cipkę? Najchętniej rzuciłbym w diabły te zajęcia, ale...

— Odnalazłem mamę, Peter. Nie żyje. — Rzuciłem to ot tak, od niechcenia. Nie wiem, może miałem nadzieję, że Peter puści mimo uszu i dalej będzie mi opowiadał o swoich studenckich perypetiach.

Cisza po tamtej stronie linii, martwa cisza. Spróbowałem ją wypełnić.

— Tam... tam będzie jej teraz lepiej. — Usiłowałem sobie przypomnieć, jak wyraża się ubolewanie, składa kondolencje. — Lepsze miejsce i w ogóle.

Nic. Ale był tam; słyszałem jego oddech, jego szloch.

— Gdzie... — przez ściśnięte gardło trudno mówić — ...gdzie ona jest?

— Tutaj, w mieście.

— Gdzie? — powtórzył. — Chcę ją zobaczyć.

— Nie wiem, czy to...

— Gdzie? — Przybrał kategoryczny ton swojej matki, wymuszający na rozmówcy odpowiedź na pytanie.

— Ze mną — mruknąłem. — W Snack Shacku. — A potem, uzmysławiając sobie, że prędzej czy później i tak będę mu musiał wszystko opowiedzieć, podałem adres, wskazówki, jak tu dojechać, numery telefonów kilku domów pogrzebowych, jakie pamiętałem, i obiecałem, że będę na niego czekał.

* * *

Tego poranka, kiedy słońce wynurzało się zza Snack Shacku, po raz ostatni widziałem swojego syna. Rzucił się na mnie z pięściami, bił po twarzy, po tułowiu, usiłował znokautować. Na przemian to tulił trupa matki, to znowu doskakiwał do mnie. Starałem się go pohamować, przytrzymać, przywołać do opamiętania, ale próżny trud. Wpadł w jakiś amok, wyrwał mi się i okładał dalej pięściami po torsie jak kiedyś, kiedy miał sześć lat i nie chciał iść spać.

— Peter! — krzyknąłem w końcu, uchylając się przed jego ciosami — Peter, to dla jej dobra...

— Mogłeś... mogłeś... mogłeś jej pomóc! — wywrzeszczał. — Mogłeś coś zrobić.

— Nie mogłem! — odkrzyknąłem z całym przekonaniem. — Była uzależniona, zalegała z opłatami. A ja nie mam pieniędzy, nie mam...

— Masz dojścia.

— Nie mam — wysapałem. — Żadnych. Jestem tylko skalpelem do wynajęcia. Oni mnie olewają. Nic dla nich nie znaczę, potrzebują mnie tylko do mokrej roboty. I ja ją wykonuję. Po prostu robię, co do mnie należy.

Przestał, w połowie wdechu, nie zadając kolejnego uderzenia, do którego już się zamierzył. Podeszedł do samochodu, schylił się, wziął na ręce swoją matkę i chociaż była lekka jak piórko, prostował się z wyraźnym wysiłkiem. Ale kiedy już się wyprostował z nią na rękach, na jego twarzy odmalowały się duma i pogarda.

— Ty zawsze robiłeś, co do ciebie należy — powiedział. — I to zawsze był problem.

* * *

Wracając do domu, zatrzymałem się przy stawie, nad którym lubiliśmy spacerować z Melindą, kiedy oboje byliśmy żywi. Ja wsłuchiwałem się w trzepot kaczyczych skrzydeł, ona w dobiegające z zarośli odgłosy uprawianej miłości. Dla każdego coś milego.

Wszedłem na pomost nad nieruchomą zielono-błękitną tonią i wrzuciłem do wody obie jej nerki. Poszły od razu na dno, znikając mi szybko z oczu. Melindzie odebrane zostało to, za co nie zapłaciła, ale Union za cholerę nie odhaczy tego po stronie swoich sukcesów.

Rozdział 18

Bonnie, wysłuchawszy mojej opowieści, milczała, ja, ze swej strony, dawałem jej czas na przemyślenie tego, co usłyszała. Siedziała z zamkniętymi oczami oparta o stos firmowych sztucznych serc. Trudno było stwierdzić, czy planuje ucieczkę z tego magazynu, czy szuka słów, którymi mogłaby najlepiej wyrazić, jak nisko upadłem, czekałem jednak cierpliwie. Patrzyłem, jak wysuwa co chwila koniuszek języka, by zwilżyć wargi sztuczną śliną.

Nagle wyprostowała się i otworzyła oczy.

— I co potem...? Nie brałeś już zleceń?

Wyraźnie naciągała mnie na dalsze zwierzenia. A ja tylko na to czekałem, szczęśliwy, że nie robi mi wymówek.

— Próbowałem brać. Skłamałem w centrali, że nie udało mi się odnaleźć Melindy, i Frank dalej podsuwał mi klientów, ale ledwie opuściłem jego gabinet, zaczął mi drżeć palec.

Kiedy wsiadałem do samochodu, latała mi już ręka, a wkrótce potem dygotałem na całym ciele. Gdy podjeżdżałem pod wskazany adres, trząsałem się już jak jedna wielka galareta, zimne dreszcze przebiegały mi tam i z powrotem po kręgosłupie. Nie mogłem się przemóc, żeby wejść do środka. A wystarczyło, żebym stamtąd

odjechał, oddalił się o jedną przecznicę, i przechodziło, trzęsionka ustępowała i znowu mogłem poruszać się, oddychać i rozmawiać. Whiskey trochę pomagała. Przez pierwszy miesiąc próbowałem ukryć, co się ze mną dzieje, brałem zlecenia i odstępowałem je po cichu do realizacji Jake'owi albo jakiemuś innemu biowindykowi, ale tym samym traciłem większą część honorarium. Odpalali mi góra dziesięć procent za zlokalizowanie klienta. Z takimi dochodami trudno związać koniec z końcem.

Kulminacja nastąpiła, kiedy powziąłem stanowczą decyzję, że choćby się paliło i waliło, muszę samodzielnie przeprowadzić windykację, może w ten sposób się przełamie. Tekst psychika, nie? Psychoanalityk Carol piałby z zachwytu. Jeśli zdołam dokonać jednej rekwizycji, kombinowałem, to te napady trzęsionki ustaną i wszystko wróci do normy. Przypadek był łatwy, właściciel fabryczki znany od dawien dawna ze złego traktowania pracowników, i myślałem, że odzyskanie wątroby od takiego satrapy nie wywoła u mnie większych wyrzutów sumienia.

Pod jego kantorkiem byłem przed czwartą nad ranem, a o czwartej piętnaście dotarłem dopiero do drzwi. Worek ze sprzętem tłukł mi się po plecach, pojemniki z eterem klekotały, objając się o siebie, a ja ledwie mogłem utrzymać nieruchomo skaner na tyle długo, by uzyskać prawidłowy namiar. Do czwartej trzydzieści udało mi się wywiercić dziurkę w szybie i wsunąć przez nią rurkę, o piątej — trzydzieści minut po czasie, jaki mi to dawniej zajmowało — stałem nad klientem, gotowy czynić swoją powinność.

Zemdlałem dopiero, wbijając skalpel, ale wtedy było już o wiele za późno.

* * *

Urządzili mi pożegnalne przyjęcie. Przyszli Jake, Frank i reszta zespołu, zapalili świece, dostałem od nich bony kredytowe na sztuczorgi, którymi mogłem spłacić kilka rat za mojego jarvika albo które mogłem przeznaczyć na kolejną implantację, gdybym znalazł się kiedykolwiek w takiej potrzebie. A było wielce prawdopodobne, że się znajdę, jeśli napady tej nietypowej odmiany epilepsji mi nie przejdą.

— Lepsze już to niż zegarek — zażartowałem.

Potem Jake zaprosił mnie na browarek i zaciągnął do tego samego baru, w którym kiedyś po raz pierwszy przeczytaliśmy plakaty Union o naborze do pracy. Przez te lata nic się tam nie zmieniło, jeśli nie liczyć właściciela i barmana. Stary przekazał interes synowi, a ten nas nie znał ani nie chciał znać. Nadal zawyżał ceny i jak jego ojczulek chrzczył piwo wodą.

— Potrzeba ci czegoś? — spytał mnie Jake.

— Stoję mocno na nogach — zełgałem. — Odłożyłem trochę na czarną godzinę.

— Jasne. — Kiwnął głową. — Kto z nas nie odkłada. — Biowindycy są znani ze swojej niezależności finansowej. — Ale gdyby co, to dzwoni do mnie. O każdej porze dnia i nocy. — I wręczył mi wizytówkę. Dobre sobie, byłem u niego teraz na liście tych, co „mają jego telefon”. Od dziesięciu lat znam na pamięć jego numer, a on mi tu daje wizytówkę.

Wziąłem ją odruchowo i nawet podziękowałem. Sącyliśmy w milczeniu piwo. Starzy kumple, którzy rozumieją się bez słów. Chodziliśmy razem do szkoły, razem byliśmy na wojnie, razem kończyliśmy kurs przysposobienia do zawodu. Zналиśmy się jak łyse konie, ale chociaż na zewnątrz nadal byliśmy sobie bliscy, to jednak wyczuwałem, że między nami coś się zmieniło.

— No nic — beknął po drugiej szklanicy milczenia przy piwie — klienci czekają.

— Zagazuj, zarekwiruj i znikaj — powiedziałem, siląc się na lekki ton.

Jake roześmiał się, odniosłem wrażenie, że z przymusem, i klepnął mnie w plecy. Złączyliśmy kciuki i uścisnęliśmy się jak dwaj przyjaciele, którzy wiedzą, że sporo czasu upłynie, zanim znowu się zobaczą, potem on rzucił na kontuar kilka banknotów i wyszedł z baru.

Do tej pory noszę w kieszeni jego wizytówkę.

* * *

Minął kolejny dzień, pisanie idzie mi od jakiegoś czasu jak po grudzie. Underwood model VIII nie sprawuje się najlepiej w otoczeniu całej tej zaawansowanej techniki. Może wstydzi się swoich czcionek i taśmy barwiącej, stukotu i klekotania, jakie wydaje. A w malutkiej kryjówce, która z początku wydawała mi się taka przytulna, teraz zaczynam się dusić. Ta ciasnota przytłacza.

Wypracowaliśmy z Bonnie optymalny rozkład dnia, sposób na w miarę bezstresowe przeczekaanie tego incydentu w naszym życiu. Rozmawiamy, jemy, pijemy, kochamy się. Późnym wieczorem, kiedy wszystko już pozamykane, a automatyczny wyłącznik gasi światła w magazynie, wyciągam się na naszej półce, kładę głowę na brzuchu Bonnie i zasypiam kołysany piękną, dźwięczną symfonią, na którą składają się szmery i kliknięcia jej sztuczorogów.

* * *

Jutro idziemy na spotkanie ze Spozańcem; do tej pory Asbury chyba wyszukał nam już nową kryjówkę. Potem już tylko od nas będzie zależało, czy zdołamy wydostać się z miasta, a najlepiej z kraju. Personel lotniskowy nie będzie zwracał na nas uwagi, gorzej, jeśli Union akurat w tym czasie zorganizuje, jak co kilka

tygodni, oblławę na Wielką Setkę, ale nawet wtedy nie byłibyśmy bez szans, byle tylko załatwić antyskaner i lewe, dobrze podrobione dokumenty. Tutaj mógłby pomóc Asbury; Spozańcy mają znajomości we wszystkich branżach półświatka.

I fruuu. Lecimy do... sam nie wiem, dokąd. Do Ameryki Południowej? Do Birmy? A czy to nie wszystko jedno?

Podobno na morzach południowych jest wysepka, na którą współczesność jeszcze nie dotarła, zacofany kraik, gdzie nadal wykonuje się operacje na otwartym sercu i podłącza pacjentów do monstrualnej wielkości dializatorów. Jeśli to prawda, wkrótce na nią trafimy. Pozmieniamy nazwiska, twarze, osiądziemy, założymy rodzinę, otworzymy na plaży sklepik z tandetnymi pamiątkami dla turystów. I będziemy żyli pełnią życia, zdrowi i szczęśliwi, dopóki nie umrze w nas reszta tego, co naturalne.

Wiem, że takie pomysły trzeba czym prędzej przekuwać w czyn. A więc do dzieła, jak to się mówi. Do dzieła.

* * *

Kiedyś, w przychylniejszych czasach, snuliśmy z Wendy marzenia. Tryskaliśmy nadziejami i mieliśmy aspiracje i, pomimo mojego wieku, planowaliśmy dzieci. Kiedy żeniłem się z moją piątą była żoną, Peter dobiegał już pełnoletności, a więc nadeszła pora spłodzić parę nowych brzdąców.

Poznaliśmy się na pogrzebie, zaraz po opuszczeniu trumny do grobu. Ja uczestniczyłem w ceremonii pochówku jako były podwładny zmarłego; Wendy jako jego córka. Jej ojciec był w Union przełożonym mojego szefa, i chociaż nigdy się nie spotkaliśmy, to nieraz zmuszony byłem wysłuchiwać peanów starego na temat jej młodości, urody i mądrości.

Ja poszedłem w lewo, ona w prawo, przemoczeni do suchej nitki, bo tamtego ranka lało, i wpadliśmy na siebie pod

przerośniętym bananowcem. Przeprosiłem, ona też przeprosiła i niedługo potem siedzieliśmy już obok siebie na stypie, delektując się kawą i zajadając drożdżówki. Dopiero tam okazało się, że oboje mamy ze zmarłym coś wspólnego.

Petera traktowała jak specjalny dar, jak pięknego młodzieńca, którego można obdarzać miłością i adorować, i zabolalo ją prawie tak samo jak mnie, kiedy przestał do nas wpadać, przestał dzwonić, zerwał z ojcem wszelkie kontakty. Niedługo potem zacząłem się ukrywać. Papiery rozwodowe podpisywałem w tym samym zapyziałym moteliku na Środkowym Wschodzie, w którym dopadłem Latających Braci Moelleringów. Było mi tam dobrze, miałem wszystkie wygody, i dopiero po tygodniu wyniosłem się, żeby poszukać innej meliny.

Mógłbym teraz zadzwonić do Wendy i jestem przekonany, że ona by mnie z powrotem przyjęła. Ukrywała, gdybym o to poprosił, nie oglądając się na konsekwencje. A gdyby przyszli po moje serce, zasłoniłaby mnie własnym ciałem przed skalpelem biowindyka. Poświęciłaby się dla mnie, a ja dla niej chyba nie. Nie sądzę, żebym to zrobił dla którejkolwiek z nich.

* * *

A one wszystkie, w różnym stopniu, coś dla mnie poświęciły:

Beth: Swoją karierę, a także. Swoją wolność.

Mary-Ellen: Swoją etykę. Swoje zasady moralne.

Melinda: Lepiej nie mówić.

Carol: Swoją styl życia.

Wendy: Swoje nadzieje na przyszłość.

Widzę ją teraz, tę skazę na tym, co było dla mnie dotąd świetlanym obrazem moich byłych żon. Zauważyłem ostatnio, że na

podstawie związków z każdą z ich piątki rysowałem sobie karykaturalne wyobrażenie o istocie małżeństwa. Dopiero teraz to do mnie dotarło. Teraz widzę kolor w świecie, który wydawał mi się wcześniej czarno-biały. Im dłużej o tym myślę, tym większa ogarnia mnie senność. Powinienem przestać myśleć. Pora dać odpocząć maszynie i iść spać.

* * *

Przenieśliśmy się. Jestem tak skonany, że nie chce mi się o tym pisać. Bonnie żyje. Ja też. A to już wielki sukces.

* * *

Za dwie godziny nie będę już chyba żył. To moja osobista, dobrowolna decyzja, decyzja podjęta z własnej nieprzymuszonej woli po całym dniu przemyśleń. Nikt inny nie ucierpi, a być może naprawione zostanie to, co sknocilem. Za dwie godziny wkroczę do centrali Credit Union, podejść do mojego najlepszego przyjaciela Jake'a Freivalda i obnażę pierś, by wprawnym pchnięciem wbił w nią swój skalpel. Co będzie potem, to już mnie gównem obchodzi.

Rozdział 19

A oto jaką przyjmę dyscyplinę maszynopisania. Dwie godziny bez wytchnienia. Postaram się opisać w tym czasie wypadki dnia wczorajszego, wałam w klawisze underwooda sumiennie, ale z czuciem, żeby nie obudzić Bonnie. Śpi dwie prycze ode mnie. Jak dobrze mieć znowu prawdziwe łóżko.

Znajdujemy się w szpitalu Świętej Anny, zamelinowani na piętrze przeznaczonym na magazyn materiałów pomocniczych i leków. Pomieszczenie pełni funkcję schowka na szczotki, ale szczotek w nim nie ma, i chociaż jest stosunkowo małe, to pałac w porównaniu z półką u Gabelmana i z Tyler Street Hotel. Takie luksusy pod sam koniec życia, takie warunki!

W pale się nie mieści. No, nie mieści się w pale.

* * *

Przyszła pora na opuszczenie magazynu i zmierzenie się z przeznaczeniem w zewnętrznym świecie. Asbury obiecał, że postara się wyszukać nam jakąś nową kryjówkę, ale żeby się dowiedzieć, czy mu się to udało, musieliśmy najpierw przemknąć się niepostrzeżenie do jego mieszkania. Z duszą na ramieniu

opuszczaliśmy z Bonnie naszą bezpieczną półkę, którą zaczynaliśmy de facto traktować jak swój dom. Ale pracownica ochrony kręciła już nosem, że tak długo tam koczujemy, a i mnie samego nachodziły wątpliwości, czy w tym całym kompleksie naprawdę jest bezpiecznie. Od jakiegoś czasu słyszałem w nocy dziwne odgłosy, jakieś stapania w ciemnościach, znajome buczenie, od którego wibrowały ściany. Lepiej się stąd zmywać. Lepiej ponownie zmienić miejsce pobytu.

Ze spuszczoneymi głowami, szybkim krokiem, unikając kontaktu wzrokowego z przechodniami, dotarliśmy do najbliższej stacji metra i zbiegliśmy na peron. Trwały godziny porannego szczytu i falował tam zbity tłum. Wmieszaliśmy się w tę ciżbę i poszturchiwani co chwila łokciami, potrącani neseserami, wachaliśmy, chcąc nie chcąc, odór niemytych ciał. Sam nie kąpałem się od przeszło dwóch tygodni, ale ci ludzie bili chyba rekord Guinnessa w unikaniu kontaktu z wodą.

Pociąg ruszył i zanurzył się z łoskotem w tunel, unosząc nas do tej części miasta, w której mieszkał Asbury. Byliśmy już trzy stacje od naszej, kiedy poczułem klepnięcie w ramię i usłyszałem swoje imię. Udawałem, że uszło to mojej uwagi, że jestem pochłonięty studiowaniem planu linii metra, ale klepnięcie się powtórzyło i ktoś znowu zawołał mnie po imieniu, a zaraz potem między mną a planem wyrosła jak spod ziemi jakaś kobieta.

— O, nie... Boże jedyny, to ty! — pisnęła. Była to Mary-Ellen. Objęła mnie, ale zaraz się ode mnie oderwała. Nos marszczył jej się na czubku, twarz miała ściągniętą jak zeschnięta skórka cytryny. Cuchnęło jej z ust.

— Przepraszam panią — wydukałem i chciałem odwrócić się plecami do byłej żony. — Z kimś mnie pani pomyliła. — To są

właśnie uroki życia w wielkim mieście. Miasto na tyle duże, że prawdopodobieństwo spotkania z kimś, z kim nie chcesz się spotkać, jest bliskie zeru, a natykasz się na niego, kiedy najmniej się tego spodziewasz.

Wśliznęła się znowu przede mnie, ścisnęła za policzki i przyciągnęła do siebie moją twarz.

— Zgrywus, jak zawsze zgrywus. Nadal trudnisz się wypruwaniem ludziom bebeczków? — Uśmiechała się w ten sposób, w jaki uśmiechała się zawsze, kiedy dochodziło między nami do kłótni. Aż miło było popatrzeć, jak zaczyna ponownie od miejsca, w którym przerwaliśmy, tak jakby od tamtego czasu nie upłynęło piętnaście lat. Cenię u kobiet konsekwencję.

Inni pasażerowie zaczęli się już od nas odsuwać, ścieśniać, robiąc nam miejsce do odegrania naszego melodramatu. Na domiar złego dwaj funkcjonariusze służby ochrony kolei, stojący niecałe sześć metrów od nas, podejrzliwie już na nas zerkali. Nie mieli skanerów ani uprawnień na odzyskiwanie sztuczorgów, ale do jasnej ciasnej, potrafili chyba korzystać z telefonu; na taką informację tylko czekano.

— Kochana — burknąłem, siląc się na nonszalancki ton. — Ja pani nie znam. Niech się pani z łaski swojej odczepi.

— Nie znasz mnie? — wycedziła, z każdym słowem podnosząc głos. — Nie poznajesz własnej żony, sukinsynu? Nie rznij głupa!

Widownia, która do tej pory przyglądała się w milczeniu naszemu występowi, zaszemrała teraz, a funkcjonariusze ochrony kolei podsunęli się bliżej. Mniejsza o ich zamiary, wołałem, żeby się w to nie mieszała.

— Słuchaj — mruknąłem do Mary-Ellen, zniżając głos do szepetu. — Naprawdę bardzo się cieszę, że cię widzę, ale zrób to dla mnie i spadaj.

Pokręciła głową.

— Spadaj?! — Wrzask miała doskonale opanowany, podnosił jej głos o kilka oktaw. — Wciąż to samo podejście do każdego problemu? Pstryk palcami — i już go nie ma? Ale nie tym razem. Muszę wiedzieć, co teraz porabia mój wielki, zły biowindyk, poza nieplaceniem zasądzonych mi alimentów. Dalej prowadzasz się z tym swoim koleżką zakapiorem? Znalazłeś już sobie nową żonę? Masz nowe...

Mary-Ellen nie dokończyła; padła jak ścięta, liząc wywalonym językiem brudną podłogę wagonu, oczy wywróciły jej się w głąb czaszki, ten świdrujący wrzask urwał się jak nożem uciął. Trzymając wciąż w dłoni paralizator z iskrzącymi jeszcze po dobrze wykonanej robocie elektrodami, poszukałem wzrokiem Bonnie. Stała tam, gdzie ostatnio ją widziałem.

— I ty pozwoliłeś jej tak zwyczajnie odejść? — mruknęła. — Nie chciałabym spotkać tej, którą zabiłeś.

* * *

W zasadzie wszystkim swoim byłym żonom pozwalałem odejść. Z Carol mogłem się ponownie zejść, dała mi nawet na to szansę. Kiedy stało się jasne, że nasze trwające dwa lata małżeństwo nie jest udane, że więcej czasu spędzam w Union niż w domu, postanowiła mnie z niego wyrzucić. Coś takiego przytrafiło mi się po raz pierwszy; inne moje żony zniknęły z mojego życia, zostawiając mnie w dużym, pustym mieszkaniu. Ale Carol, która nie należała do tych, co łatwo rezygnują z dóbr materialnych, uznała, że lepiej będzie, jeśli to ja zniknę z jej życia.

Pierwsze, co zrobiłem, to wyniosłem się z Alabamy. Wróciłem tutaj, na stare śmieci, do centrali Union. Jeden Jake wydawał się szczerze zachwycony moim powrotem, reszta była na tyle uprzejma, by odstępować mi najtrudniejsze zlecenia. Wynająłem

mieszkanie w niezbyt wysokim budynku i po raz chyba tysięczny zacząłem układać sobie życie na nowo.

Kiedy wszystko miałem już poukładane i zdążyłem zasmakować w beztroskiej egzystencji kawalera z odzysku, zadzwoniła Carol.

— Daję ci jeszcze jedną szansę — oznajmiła. — Jeśli obiecasz, że się zmienisz, jeśli potrafisz pogodzić pracę ze mną, to możemy spróbować jeszcze raz.

No więc skorzystałem z tej szansy, przenieśliśmy się z powrotem do Alabamy i wprowadziłem ze swoimi, pożal się Boże, meblami do wielkiej kolonialnej rezydencji.

Po tygodniu sprawa się wyjaśniła i Carol wystąpiła o rozwód na podstawie sfabrykowanych dowodów zdrady małżeńskiej. I to by było na tyle, jeśli chodzi o tę jeszcze jedną szansę.

* * *

Reszta drogi do Asbury'ego to już była bułka z masłem. Kilka bliskich spotkań z policyjnymi patrolami, kilka uskoków w boczne uliczki i już byliśmy pod jego stosunkowo dobrze utrzymanym budynkiem, a zaraz potem jechaliśmy windą na piętnaste piętro.

Wyczułem, że coś jest nie tak, kiedy tylko wysiedliśmy z kabiny. Zaniepokoiła mnie nie tyle głucha cisza, ile wyludniony korytarz. Kiedy byliśmy tu ostatnio, rozbrzmiewała w nim muzyka, pod nogami pałętały się dzieci. Energia. Życie. Tym razem odnosiło się wrażenie, że wkraczamy do dźwiękochłonnej komory; nawet deski podłogi nie trzeszczały.

— To środek tygodnia — powiedziałem głośno, przypominając sobie, że wtedy była sobota. — Wszyscy w pracy.

— Albo w szkole — dodała z przekąsem Bonnie. Ona też to czuła. Ruszyliśmy przed siebie.

Drzwi mieszkania Asbury'ego nie były zaryglowane ani nawet porządnie zatrzaśnięte. Zapukaliśmy kilka razy w metalową framugę i otworzyły się same, więc weszliśmy.

Chińskie parawany wciąż stały, choć wydało mi się, że zostały poprzesuwane. Nie dzieliły już wielkiego living roomu na osobne sekcje, lecz tworzyły kręty korytarz prowadzący w głąb mieszkania, coś w rodzaju wejścia do labiryntu.

— Asbury?! — zawołała Bonnie swoim matowym, pozbawionym emocji, mechanicznym głosem. — Jesteś tu?

Żadnej odpowiedzi, tylko poświst wiatru wdzierającego się przez uchylone gdzieś okno. Chciałem też zawołać, ale krtań mi się ścisnęła. Sam nie wiem czemu. Bonnie wzięła mnie za rękę i pociągnęła za sobą tym prowizorycznym korytarzem z chińskich parawanów. Kopnąłem najbliższy. Przewrócił się. Upadając, przewrócił ten za nim, tamten następny i po chwili efekt domina odślonił przed nami całe mieszkanie.

Spozaniec leżał sobie wygodnie na sofie z poduszką pod głową, obok stała taca z niedojedzonym posiłkiem. Twarz zastygła mu w rodzącym się uśmiechu. Podchodząc, wiedzieliśmy — i ja, i Bonnie — że nie żyje.

Na jego brzuchu spoczywało żółte pokwitowanie.

* * *

— Zmywajmy się — szepnąłem. — On już nam w niczym nie pomoże.

Bonnie trzęsła się — czy to z gniewu, czy ze strachu, nie wiem.

— Zabili go.

— Nie da się ukryć — przyznałem. — Tak to już jest. Opowiadałem ci, jak sam...

— Zostawili pokwitowanie. Znaczy, coś mu zabrali.

Owszem, zabrali. Pomimo statusu Spozańca, Asbury najwyraźniej dostał jakiś czas temu kredyt z pewnej małej, niezależnej hurtowni w St. Louis, rozprawdzającej, między innymi, sztuczne woreczki żółciowe. Organ całkowicie bezużyteczny, implantowany jedynie osobnikom chcącym się w ten sposób dowartościować, bo sztuczny woreczek żółciowy to szczyt sztuczorgowej ekstrawagancji.

— Cały Asbury. — Bonnie pociągnęła nosem. — Zawsze chciał brylować.

Brzuch miał otwarty, płat skóry zwisał luźno, z nacięcia wystawały wnętrzności. W obicie sofy wsiąknęło trochę krwi, ale ogólnie rzecz biorąc, ekstrakcja woreczka żółciowego przeprowadzona została z najwyższą chirurgiczną precyzją. To nie była robota jakiegoś chałturnika; co najmniej Kategoria Czwarta. A może nawet Piąta.

Chwilę później moje przypuszczenia znalazły potwierdzenie. U dołu pokwitowania widniał znajomy mi podpis, bardziej ostrzeżenie niż autograf.

Jake Freivald wpadł tutaj na lunch.

* * *

Bonnie właśnie się obudziła, spytała, która godzina. Powiedzialem jej, że może jeszcze pospać, że jeszcze wcześniej, a ona potrzebuje odpoczynku. Nie wie, że zamierzam ze sobą skończyć. Nie wie, że kiedy znowu się obudzi, ja nie będę już żył. Nie wie, że kiedy za godzinę pocałuję ją w usta, będzie to pożegnalny pocałunek. Taka jest prawda, ale po kolei.

* * *

Postanowiliśmy go wysondować. Rozsądek podpowiadał, że najlepiej czym prędzej się stamtąd ewakuować, ale nasz los był nierozdzielnie związany z losem Asbury'ego i musieliśmy wiedzieć, jak

facet skończył. Na szczęście jego układ nerwowy firmy Ghost, nowoczesny i rozbudowany, pozostał nienaruszony. Wspomnienia z ostatnich minut życia właściciela powinny zostać zarejestrowane i zapisane w sztucznym banku pamięci. Lśniące posrebrzane gniazdka nadal sterczały z jego potylicy i karku, aż się prosiły, żeby się do nich podłączyć.

— Jeden zmysł naraz — przypomniałem Bonnie. — Który wybierasz?

— Słuch — odparła ze zdecydowaniem. — Nie chcę tego oglądać.

Nie wiem, czy spodziewałem się, że Asbury się wzdrygnie, kiedy pochylaliśmy się nad nim z przewodami, żeby dobrać się do zawartości tego, co służyło mu ostatnio za mózg, ale on ani drgnął, nawet ten ironiczny uśmiezek nie spełził z jego twarzy. Zeszło mi się kilka minut na przypominaniu sobie, czego uczyli mnie podczas szkolenia o układach nerwowych, które gniazdka są wyprawdzeniami których obszarów sztucznego mózgu. Tylko tego by brakowało, żebym podłączył swoje gogle do ośrodka smaku albo słuchawki Bonnie do gałki ocznej; wrażeń na ten dzień mieliśmy pod dostatkiem, po co jeszcze ja miałbym patrzeć, jak smakuje rzodkiewka, albo ona słuchać koloru czerwonego.

Tym razem bez większego trudu i niczyjej pomocy nałożyłem szkła kontaktowe. Patrzyłem, jak Bonnie odwija kabelek ze słuchawek, nakłada je na uszy i wsadza wtyk do gniazdka, które jej wskazałem. Stanowiliśmy teraz sprzężoną elektrycznie trójcę oczekującą na rozpoczęcie seansu.

Trzeba było podłubać trochę skalpelem, ale w płytkim zagłębieniu pod podbródkiem Spozańca znalazłem w końcu skryznicznię rozdzielczą układu nerwowego. Na szczęście nie była zabezpieczona hasłem dostępu, ale nie miała licznika, musiałem

więc na oko cofać zawartość pamięci. Chwyciłem Bonnie za rękę.

— To będzie jak film — powiedziałem — oglądany przez ślepego z głuchym.

Namacałem klawisz odtwarzania i nacisnąłem go zdecydowanie.

* * *

Przede mną taca z jedzeniem. Trzymana dwiema rękami. Asbury podchodzi z nią do sofy, ściany pokoju się przesuwają. Zauważyłem, że chińskie papierowe parawany są poustawiane tak, jak były; najwyraźniej korytarz utworzono z nich później.

Po chwili siedziałem na sofie, przygotowując się do konsumpcji. Ściana naprzeciwko przesunęła się w bok, odsłaniając telewizor starego typu. Włączył się, ekran wielki, zaokrąglony na krawędziach, lecą reklamy.

— Coś tam mruczy pod nosem — powiedziała Bonnie, a ja odniosłem wrażenie, że to mówi ktoś w telewizorze.

— Zabiera się do lunchu — poinformowałem ją. — Nic się jeszcze nie dzieje.

Porcja jedzenia na widelcu unoszącym się do ust. Zaskakiwało mnie, o ile lepszy wzrok miał Asbury od mojego. Razem z układem nerwowym musiał wyfasować sobie jakieś sztuczne gałki oczne o wysokiej rozdzielczości, bo nawet z odległości metra widział każdy okruszek tosta z sadzonym jajkiem.

— Jakiś hałas — powiedziała Bonnie. — Stukoty, trzaski...

Jakby na potwierdzenie jej słów obraz, który oglądałem, przesunął się gwałtownie w lewo. Zatoczyłem się, tracąc na moment równowagę. Zakręciło mi się w głowie zupełnie jak na diabelskim młynie w wesołym miasteczku. Nikogo, Asbury znowu skupił uwagę na telewizyjnym ekranie.

Przez pięć minut oglądaliśmy ze świętej pamięci Spozańcem telewizję, a Bonnie powtarzała nam, co w niej mówią. Wstrzymałem się przed naciśnięciem klawisza przesuwania w przód w obawie, że umknie nam coś ważnego.

— Znowu łomot — oznajmiła naraz Bonnie i w tym samym momencie obraz drgnął, zakołysał się, Spozaniec zmieniał pozycję; w polu widzenia mignęła mi sofa, jego — moje — ręce, wyciągające spod niej walizeczkę, odpinające zatrzaski, sięgające po schowany tam pistolet.

Palce miały się już zacisnąć na kolbie, ale znieruchomiały. Obraz przede mną też, tak samo muskularne przedramiona Asbury'ego nad bronią.

— Co się stało? — spytałem, chwytając Bonnie za rękę. — Co się tam wyprawia?

— Trzask repetowanego pistoletu — poinformowała mnie z przygnębieniem. — Jest w pokoju.

* * *

Jake nie zmienił się zbyt od czasu, kiedy ostatnio go widziałem. Zapukał tylko brodę i ostrzygł na zapałkę gęste włosy. Czarna, skórzana kurtka podobna do mojej, pod nią zwyczajny czarny bezrękawnik, w dłoni ten sam od lat pistolet wycelowany w Asbury'ego; preferowany przez biowindyków mauser kalibru 9 milimetrów.

Zaczął coś mówić, jego wargi poruszały się bardzo szybko i Bonnie, chociaż starała się nadążyć, pozostawała jednak kilka sekund w tyle z przekazywaniem mi jego słów. Przypominało to oglądanie filmu z rozsynchronizowaną ścieżką dźwiękową.

— Mówi o woreczku żółciowym — relacjonowała. — Mówi, że wiedzą o jego implancie, wiedzą, że załatwił go sobie na lewo i że Union nie lubi Spozańców.

— Powtarzaj dokładnie — rzuciłem. — Słowo w słowo.

Bonnie spróbowała się do tego zastosować, głos wydobywający się z jej sztucznego organu mowy spadł o oktawę.

— Zdarzają się jednak sytuacje, w których możemy z wami współdziałać, przemykać na takie coś oko. Nie jestem potworem, nie przyszedłem cię załatwić. Nie ruszaj się. Siedz na tej sofie, jak siedziałeś. Porozmawiajmy.

Asbury posłuchał. Ja też, w obawie, że stracę równowagę, usiadłem obok martwego Spozanca. Film leciał dalej.

— Wiem, że spotykasz się ostatnio z moimi przyjaciółmi — powiedział Jake głosem Bonnie, ale słowa były jego. — Z mężczyzną i kobietą. Widziano ich, jak wchodzili do twojego budynku.

Cisza, chociaż Asbury coś odpowiedział; system audio Ghosta był w stanie wyłowić najmniejszy szmer, ale żeby nie dochodziło do sprzężeń zwrotnych, urządzenie wycinało własny głos klienta. Wizg podobny do tego, jaki słyszy się czasami na koncertach rockowych, kiedy dochodzi do wzbudzenia sprzętu nagłaśniającego, skierowany bezpośrednio do bębena potrafi na trwałe ogłuszyć. Kątem oka widziałem jednak gestykulującą rękę i z jej ruchów domyśliłem się, że Spozaniec próbuje wykręcić się sianem.

— Doskonale zdaję sobie sprawę, że wiesz, gdzie oni są — wpadł mu w słowo Jake. — A ja już za wiele czasu i energii zmarnowałem na ich tropienie. — Głos Bonnie znowu ucichł, a ja patrzyłem, jak Jake odchodzi w głąb pokoju, by po chwili wrócić z firmowym plecakiem Union.

Jego wargi znowu się poruszyły, coś mówił, ale Bonnie nie powtarzała.

— Co on mówi? — spytałem. — Co robi?

Czułem obok jej obecność, przesunąłem się więc, robiąc jej miejsce na sofie. Jake stał nadal nade mną — nad Asburym — i ostrząc skalpel, wciąż gadał.

— Mówi do ciebie — powiedziała Bonnie. — Wie, że patrzysz.

* * *

Naturalnie, nie wiedział tego na pewno, domyślał się tylko. To, co mówił do Asbury'ego, było bardziej adresowane do mnie niż do Spozańca. Wstrzymałem oddech, obserwowałem ruch warg starego przyjaciela, i słuchałem Bonnie powtarzającą jego słowa.

— Widzisz mnie? Widzisz? Słyszysz? — Jake pochylał się nad Asburym, zaglądając mu w oczy, jego twarz wypełniała teraz cały pokój. Spozaniec, wiedząc, co nadciąga, wyłączył się. Zgasił światło. Jake znał ten trick. — Nic z tego, przyjacielu. Ludzie mdleli już w mojej obecności, wrywali sobie języki, a ja i tak dostawiałem, co chciałem. I ty jesteś następny na liście.

Pokój zatrzęsł się, zawibrował; Asbury umierał z przerażenia. Jake ukląkł przy sofie, wziął Spozańca za rękę i zaczął ją delikatnie głaskać.

— To ten człowiek — powiedział, pokazując moje zdjęcie z archiwów Credit Union — a kobietę, z którą się ukrywa, na pewno znasz. To mój stary przyjaciel i boleję bardzo, że muszę to zrobić — ale nie mam wyboru. To mój zawód. Rozumiesz, prawda? Chcę go przeprosić. Tylko tyle. Przeproszę, a potem zrobię swoje.

Bonnie zamilkła na chwilę, wargi Jake'a przestały się poruszać. Asbury chyba o coś pytał.

— Ach, przepraszam tylko, kiedy uważam to za stosowne — odezwał się znowu Jake. — Widzisz, ten mój przyjaciel był bio-windykiem, jednym z najlepszych, i popełnił gruby błąd. Próbowałem mu pomóc, próbowałem przetłumaczyć, że nie dla niego marna egzystencja zwyczajnego szaraczka. Że jest windykiem z

krwi i kości. Owszem, wszyscy jesteśmy trybikami w maszynie, ale my tymi najważniejszymi. Chciał odejść, znalazłem jednak sposób, żeby go przed tym powstrzymać. Przynajmniej wydawało mi się, że znalazłem. I chcę tylko powiedzieć „przepraszam”, za nim będę zmuszony wyciąć mu serce.

* * *

A oto dni, które trwale wryły mi się w pamięć:

Dzień, w którym odkryłem, że moi rodzice uprawiają seks nie tylko w celach prokreacyjnych.

Dzień, w którym zauważyłem, że mój syn robi się do mnie coraz bardziej podobny i na starość będzie prawdopodobnie moją wierną kopią.

Dzień, w którym doszedłem do wniosku, że kochałem każdą ze swoich żon.

Dni, w które stwierdzałem, że kolejne moje małżeństwo wali się w gruzy.

No i dzisiaj nowy tego rodzaju szok wywołany tym, co usłyszałem z ust Jake'a Freivalda.

Dziś wydało się, że to mój najlepszy przyjaciel z rozmysłem poprzestawiał coś w moim przenośnym defibrylatorze, skazując mnie tym samym na pewną śmierć.

Rozdział 20

To były przebłyski, nagłe skojarzenia przypominające ładowanie danych do komputera ogromnymi, skompresowanymi porcjami. Od samego początku, od kiedy Wendy zaczęła wiercić mi o to dziurę w brzuchu, starał się odwieść mnie od pomysłu przejścia do działu sprzedaży, i wykombinował, że najskuteczniejszym sposobem na zatrzymanie mnie przy sobie, zmuszenie, bym nadal robił to, czym zajmowaliśmy się od dziesiątków lat, będzie wpędzenie mnie w kłopoty finansowe, uczynienie więźniem tego samego systemu, na którego rzecz pracowałem.

Jake Freivald, świadek na moich ślubach, ojciec chrzestny mojego syna, serdeczny przyjaciel, może i próbował mnie zabić, ale nie mogę winić go za to, co na dłuższą metę zaplanował.

* * *

W ciągu ostatnich trzydziestu minut obwieszczono w tutejszym szpitalu dwa zgony; widać ten dzień jest dobry na umiowanie. Dziwaczny zwyczaj to oznajmianie przez szpitalny radiowęzeł o zatrzymaniu akcji serca. Szpitale, wskutek problemów, z jakimi

się borykają, wyewoluowały w instytucje, w których śmierci nie postrzega się już jako czegoś, czego należy się bać. Obwieszczanie zgonu jest teraz taką samą szpitalną rutyną, jak powiadamianie o narodzinach, podawanie wyników bingó czy katowanie pacjentów bożonarodzeniowymi melodyjkami.

* * *

Szklą kontaktowe same zsunęły mi się z gałek ocznych i upadły na poplamiony dywan. Przetarłem oczy i rozejrzałem się, powoli wracała mi ostrość widzenia. Pokój wyglądał w zasadzie tak samo jak wtedy, kiedy sztuczny układ nerwowy Spozańca odebrał z umierającego mózgu sygnał, że ma zakończyć rejestrację bodźców ze świata zewnętrznego. Bonnie wyciągnęła przewód z ucha i siedziała obok mnie na sofie z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Nie możemy wracać do Gabelmana — odezwałem się. — On będzie nas tam szukał.

— Wiem — powiedziała, uniosła głowę i otarła łzy spływające po policzkach. Uroniła ich trochę, i starczy; Asbury nie żył i Bonnie myślała już o czym innym. — Przyjaciele mojego męża mogą nam jeszcze przyjść z pomocą, jeśli będziemy jej potrzebowali. Zawsze mogłam na nich liczyć, kiedy byłam w potrzebie, to lekarze z sektora prywatnego, którzy...

— Chwila, moment — wpadłem jej w słowo. Nawet bez sztuczczorgowego systemu audio usłyszałem cichy gong towarzyszący otwieraniu się drzwi windy, a potem kroki na korytarzu.

— Jakiś lokator — szepnęła Bonnie. — Na tym piętrze jest pięćdziesiąt mieszkań.

Ale ja, oprócz kroków kogoś w butach na grubej podeszwie, słyszałem również zbliżające się ciche, monotonne buczenie, a

ściśle mówiąc, buczenie taktowane charakterystycznymi piknięciami. Po chwili zagłuszył je tubalny śmiech, który tak dobrze znałem.

* * *

Pewnego poranka, kiedy Peter miał niewiele ponad dziesięć lat, ja zaś byłem już po rozwodzie z Carol, a Wendy jeszcze nie poznałem, pod wynajmowany przeze mnie podmiejski dom nowiutkim włoskim kabrioletem podjechał Jake. Wybiegliśmy z domu w piżamach i dalej rozpływać się w zachwytach nad kołpakami, nad mocą silnika, robić wielkie oczy na widok nalepki z ceną.

Wóz był dwumiejscowy, pozwoliłem więc Jake'owi zabrać Petera na rundkę po osiedlu; ruszył z piskiem opon z podjazdu, zniknął za rogiem i był z powrotem, zanim zdążyłem podnieść ze ścieżki poranną gazetę.

Po południu, kiedy Jake pojechał pochwalić się swoim nowym nabytkiem innym, Peter zapytał mnie, dlaczego jego ojciec chrestny ma taki samochód, a ojciec nie ma.

— Jake dużo zarabia — wyjaśniłem.

— Ty też — zauważył syn. — Obaj robicie to samo.

— Fakt. Ale mamy do tej pracy inne podejście. Ja nie lubię się śpieszyć.

— Czyli to znaczy, że wujek Jake jest lepszy od ciebie? — spytał.

Zastanowiłem się, chociaż w pierwszej chwili o mało nie parsknąłem śmiechem. Nie chciałem chłopca okłamywać; może Jake rzeczywiście był lepszym biowindykiem. Lepszym w gazowaniu? W ekstrakcjach? W posługiwaniu się w razie potrzeby bronią?

W końcu odpowiedziałem na pytanie chłopca, chyba zgodnie z prawdą, i do dzisiaj tak uważam.

— Nie. Moim zdaniem reprezentujemy mniej więcej ten sam poziom.

* * *

Spotkaliśmy się na korytarzu, pod drzwiami mieszkania Asbury'ego. Kiedy wychodziliśmy stamtąd z Bonnie, Jake wciąż zanosił się śmiechem i trzeba było paru chwil, żeby jako tako spoważniał.

— No, góra z górą się nie zejdzie! — zawołał, tak jakby zobaczył w barze starych znajomych. — Coś mi mówiło, że już wyfrunęliście z tamtego kojca. Ten Spozaniec powiedział mi, że siedzicie w nim od trzech dni, czyli... A, cholera, mniejsza z tym. Grunt, że się zeszliliśmy.

— To ty mnie załatwiłeś — wycedziłem przez zaciśnięte zęby. — Popierdzieliłeś coś, kurwa, w moim defibrylatorze.

Jake wzruszył ramionami.

— Gdybym wiedział, że się tym tak przejmiesz...

— Chciałeś mnie zabić.

— Chciałem cię ratować! — zaperzył się Jake, postępując zdecydowanie krok w naszą stronę. — Nie nadajesz się na jakiegoś tam ciotowatego sprzedawcę i nigdy się nie nadawałeś. Twoim zdaniem to jest sposób na życie? To jest życie? To żalosna wegetacja, bracie, i przykro mi, że tak się to kończy, naprawdę mi przykro, ale lepsze już to niż tamto.

— O, jak miło to słyszeć — odezwała się Bonnie, wyraźnie zdenewrowana. Chciałem, żeby rzuciła się do ucieczki, osłoniłbym ją własnym ciałem, ale ona ani myślała się stąd oddalać.

Zresztą nie było gdzie uciekać. Wcześniej czy później on i tak by nas dopadł.

— Szkoda, że nie okazaliście się lepszymi uciekinierami.

— Ja też żałuję — burknąłem.

Jake kiwnął głową, uniósł rękę do ucha i palcem serdecznym wydlubał sobie z niego grudkę woskowiny.

— No to sobie pogadaliśmy. Chyba już pora przejść od słów do czynów.

* * *

Zważywszy na tempo, w jakim wszystko się odbyło, nie miałem prawa niczego zapamiętać, a ja pamiętam każdy szczegół tamtego popołudnia, zamykam oczy i widzę to jak na zwolnionym filmie, zupełnie jakbym był nadal podłączony do mózgu Spozańca, jakbym oglądał to z boku.

Zaczął Jake; przyklęknął na jedno kolano, sięgnął prawą rękę do kieszeni kurtki. Dwa uderzenia serca później zrobiłem padnij, tłukąc sobie przy tym ramię, i sięgałem drugą ręką po pistolet ukryty w przy kostce. Kątem oka widziałem, jak Bonnie odskakuje z nieprawdopodobną szybkością w bok i z niewiarygodną siłą wyważa barkiem drzwi najbliższego mieszkania.

Pierwszy pocisk z mausera Jake'a musnął moją głowę, pomknął korytarzem i wybił dziurkę w szybie na jego końcu. Zanim to nastąpiło, ja też już opróżniałem magazynek, prowadząc ogień w kierunku Jake'a; tynk sypał się ze ścian, kule grzęzły w murze. Strzelając, turlałem się wte i wewte po posadzce szerokiego korytarza, unikając trafienia.

Amunicja skończyła nam się chyba w tym samym momencie; kiedy Jake sięgał po drugi pistolet, a ja po skalpel, Bonnie wyskoczyła z mieszkania obok z moim paralizatorem w ręku, mierząc w Jake'a, tak jak ja nie tak dawno w Mary-Ellen. Kolce wyprysnęły z nasady, ciągnąc za sobą cienkie przewody, i trafiły go w kolano. Zwiotczał na sekundę, nogi się pod nim ugięły, na jego twarzy odmalowały się zaskoczenie i ból.

Ale strzał nie był stuprocentowo celny i kolce, zamiast utkwąć

w ciele, odbiły się od rzepki kolanowej Jake'a, rażąc go co prawda prądem, ale nie na tyle, by pozbawić przytomności. Oszołomiony osunął się powoli na klęczki.

Zerwałem się na równe nogi i pociągając za sobą Bonnie, wpadłem z powrotem do mieszkania Asbury'ego. Przebiegliśmy przez living room i osłaniając rękami głowy, z brzękiem tłuczonej szyby, wyskoczyliśmy przez zasunięte szklane drzwi na znajdujący się za nimi balkon.

Nie było tam schodów przeciwpożarowych. Nie było żadnej drabiny. Piętnaste piętro. Skoku z tej wysokości nikt by nie przeżył.

— To niezgodne z przepisami — usłyszeliśmy za plecami zdyszany głos. Obejrzeliśmy się powoli. Za nami stał Jake z pistoletami w dłoniach; z tego kalibru .45 celował do mnie, z drugiego, kalibru .38, do Bonnie. — Ten paralizator stanowi własność Union, a ty nie masz licencji.

— Cóż za zaszczyt — warknęła Bonnie. — Szkolą mnie najlepsi.

— Z lisa nigdy nie zrobi się pies — odparował Jake — choćby nie wiem jak długo siedział w budzie na podwórku. Wygląda na to, że nie macie gdzie uciekać, a więc nie przeszkadzaj mi, kochana, w pracy. Jeśli pozwolicie, obskoczę was oboje za jednym zamachem. Czas pogania. — Odchrząknął teatralnie, pokręcił głową i wygłosił urzędową formułkę: — Przekroczyliście oboje wszelkie terminy uiszczania rat za swoje sztuczne organy, włącznie z przyznanym wam w dobrej wierze przez kredytodawcę odroczeniem płatności. Czy któregoś z was może uregulować natychmiast kredyt w pełnej wysokości?

— Jake — powiedziałem, próbując grać na zwłokę — pogadajmy.

— Rozumiem z tego, że pan nie. A pani?

Bonnie nawet nie próbowała kręcić.

— Nie — powiedziała z wysoko uniesioną głową, patrząc mu prosto w oczy. — Nie jestem.

Kątem oka zauważyłem, że jej ręka przesuwa się powoli do biodra; miałem nadzieję, że umknie to uwagi Jake'a.

— Sprawa wyjaśniona — mruknął. — Moim obowiązkiem jest powiadomić, że obezwładnię was teraz, po czym niezwłocznie przystąpię do procedury rekwizycji. Jeśli macie jakieś pytania lub uwagi, ktoś z waszych krewnych będzie mógł zadzwonić pod bezpłatny numer podany u dołu pokwitowania, jakie zostawię na waszych zwłokach.

— Do widzenia, bracie. — Jake uśmiechnął się do mnie. — Fajnie było.

* * *

— A co się tu wyprawia. — Głos dobiegł z głębi mieszkania, zza pleców Jake'a.

I w tym samym momencie zakotłowało się: Jake odwrócił się na pięcie, Bonnie złapała go za nogi, ja za ramiona i zwaliliśmy się tak w sześcionożną stertę.

Zaskoczenie działało na naszą korzyść, gniew dodawał energii; po kilku sekundach trzymałem już Jake'a za głowę i waliłem nią o podłogę, żeby pozbawić go przytomności, a Bonnie krępowała mu ręce i nogi pasemkami sztucznych wiązadeł, które znaleźliśmy w jednym z pudeł z częściami zapasowymi Asbury'ego. Na moje polecenie Bonnie podała mi plecak Jake'a. Wygrzebaliśmy z niego spory pojemnik z eterem. Wetknąłem mu rurkę w usta i przytrzymywałem, dopóki gaz skutecznie go nie uspił.

Usiedliśmy zdyszani na podłodze obok ciała nieprzytomnego Jake'a.

— Co to był za głos, ten, który odciągnął jego uwagę...?

Bonnie uśmiechnęła się i pokazała mi pilota zdalnego sterowania do swojego vocom expressora; migało na nim żółte światełko.

— Brzuchomówstwo — powiedziała, a ja usłyszałem jej głos za sobą, chociaż siedziała obok. — Opcja warta dziesięć tysięcy dolarów, ale pomyślałam sobie, że kiedyś może się przydać.

* * *

Nie zabiliśmy go, chociaż rozważaliśmy taką możliwość. Wystarczyło sączyć mu w płuca eter, który wypierając z nich tlen, doprowadziłby mózg do śmierci z niedotlenienia. Ale ani ja, ani Bonnie nie byliśmy zainteresowani takim rozwiązaniem. Te czasy miałem już za sobą; poza tym nic by to nam nie dało. Naszą sprawę przydzielono by innemu biowindykowi, a nie wiadomo, czy ten dałby się tak podejść. Zostawialiśmy Jake'a starannie związanego i nieprzytomnego, ale niedługo się ocknie i jakoś uwolni z pęt.

A potem znowu zacznie nas szukać. Niewyjęte. I pewnie już szuka.

Przyjaciel Bonnie, a ściśle mówiąc, przyjaciel jej byłego męża, wynalazł nam w swoim szpitalu ten schowek na szczotki. Powiedział, że możemy w nim bezpiecznie przekomarować do czasu, aż zdecydujemy, co dalej.

Ja już zdecydowałem. Zostało mi piętnaście minut.

* * *

Kochałem w swoim życiu siedem kobiet. A mogłem więcej. Kochałem paru mężczyzn. A takich też mogło być więcej. Patrzyłem obojętnie, jak wokół mnie umierają i giną członkowie mojej rodziny i przyjaciele, patrzyłem, jak ich dusze wysychają na rodzynek, niezdolne pogodzić się z tym, czym się param, patrzyłem,

jak wyrzekają się swoich zasad, bylebym ja czuł się w swojej roli komfortowo, i nie kiwnąłem palcem, żeby okazać im swoją wdzięczność, nie zrobiłem nic, żeby z powrotem poczuli się bezpieczni, nie uroniłem ani jednej łzy.

Byłem zaślepiony, zaślepiony i jeszcze raz zaślepiony, i ani razu nie przejrzałem na oczy. I jeśli trzeba było całego życia i stukania przez miesiąc na maszynie, żeby to sobie uświadomić, to znaczy, że nie ma nadziei dla kogoś, kto nawet nie wie, co to nadzieja.

Kiedy dwie godziny temu zadzwoniłem do Jake'a, ten nie chciał słuchać moich tłumaczeń. Nie chciał rozdrapywać starych ran ani odgrzewać wspomnień.

— Jeśli chcesz się dobrowolnie oddać w nasze ręce — wymamrotał wciąż odurzony eterem — to przyjdź za dwie godziny do Union. Czekaam na ciebie pod Różowymi Drzwiami.

* * *

Umowa, którą zawarliśmy, i którą ma dla mnie na piśmie, stanowi, że jeśli zgłoszę się do nich dobrowolnie, oddam swojego jarvika-13 i zrzeknę się wszelkich praw do reszty mojego ciała, Union usunie Bonnie z listy Setki Najbardziej Poszukiwanych. Pomimo że nosi ona w sobie sfinansowany przez Union sprzęt za miliony dolarów, im bardziej zależy na mnie. Jestem na tej liście dwunasty, ona pierwsza, ponieważ jednak wchodziłem kiedyś w skład zespołu, kierownictwo uważa mój przypadek za bardziej ambarasujący.

A więc umowa stoi. Ja oddaję się w ich ręce, oni odpuszczają jej. Przenoszą na listę zwyczajnych nierzetelnych kredytobiorców; też oczywiście ściganych, ale już nie z takim zacierzeniem. Da jej to więcej czasu, może nawet kilka lat, na ucieczkę z kraju, na

tę wyspę, o której rozmawialiśmy, gdzie nie dotarły jeszcze sztuczorgi.

Ten maszynopis zostawię. Nie po to, żeby Bonnie dowiedziała się z niego, co zrobiłem, ale żeby przekazała go kiedyś Peterowi. Nie proszę o przebaczenie; nie zasługuję na nie. Nie oczekuję zrozumienia; tego nie da się zrozumieć. Ale jeśli te zapiski mogą w jakiś sposób pomóc mojemu synowi, choćby uzmysłwić mu, że powinien obrać w życiu kurs o sto osiemdziesiąt stopni różny od tego, w jakim posterował jego tatuś, to jestem mu to winien i tylko dlatego nie puszczam tych kartek z dymem.

Możesz rozrzucić je na wietrze, jeśli chcesz, Peter. Razem z moimi prochami. Znajdź dla mnie miejsce w najbardziej zakazanej części miasta, na jakimś pustym parkingu, w nieoświetlonym zaułku, w opuszczonym hotelu. Znajdź takie miejsce i rozsyp mnie po nim. Wmaż w mury. Ukryty przed wiecznością poczuje się nareszcie bezpieczny.

Zegarek pokazuje, że na mnie już czas. Taksówka, którą zamówiłem przez telefon, pewnie już podjechała. Bonnie śpi obok, zwinęta w kłębek na sterylnym szpitalnym łóżku, oddycha miarowo, jej gładka skóra aż się prosi o pieśczętę. Chyba pocałuję ją jeszcze raz, w czoło, wezmę delikatnie za rękę, żeby poczuć puls, i szepnę do widzenia.

Bierz życie w swoje ręce!

Rozdział 21

Pozwolili mi znowu pisać i chwała im za to. Lekarze kazali mi leżeć przez większą część dnia, ale powiedzieli, że kiedy czuję się na siłach, żeby siedzieć, mogę stukać, ile dusza zapragnie. Na szczęście nie mam na to specjalnej ochoty; chcę tylko dopisać zakończenie.

To już dwa miesiące, od kiedy moje palce po raz ostatni miały styczność z jakąś klawiaturą i chociaż ta jest miękka i w niczym nie przypomina starego underwooda, pisanie na niej sprawia mi przyjemność. Nie mam już broni, sprzedałem ją, moje pojemniki po eterze i skalpel powędrowały do szpitalnego śmietnika i zostały zniszczone. A więc tak naprawdę zostało mi tylko pisanie. Ono utrzymuje mnie przy życiu. Ono i to gówniane szpitalne jedzenie.

Pocałowałem Bonnie na pożegnanie. Tak sobie zaplanowałem i tak zrobiłem. Wyciągnąłem ostatnią kartkę z underwooda model VIII, położyłem ją na wierzchu pliku tych do tej pory zapisanych, włożyłem całość do spłowiałej żółtej kartonowej teczki, spałem teczkę gumką i zostawiłem na moim łóżku. Ukląkłem przy Bonnie i patrzyłem przez chwilę, jak śpi, słuchałem jej oddechu,

podziwiając miarowość, z jaką pracuje jej sztuczny układ oddychania.

Nachyliłem się, żeby złożyć na jej czole ten ostatni pocałunek, i kiedy dotykałem ustami rozszących je kroperek potu, poczułem, że ona chwyta mnie za ręce. Oczy miała szeroko otwarte, uśmiechała się blado.

— Tak będzie najlepiej — wyszeptała, unosząc głowę i całując mnie w usta. — Z czasem zrozumiesz.

I w tym momencie ktoś złapał mnie od tyłu i przez głowę naciągnął maskę na nos i usta. Wyrывałem się, ale to zmuszało mnie do szybszego oddychania, głębszego wciągania powietrza nasyconego eterem, czego tak długo udawało mi się unikać. Bonnie, jedyna kobieta, którą kochałem i która nigdy się ze mną nie rozwiodła, odpłynęła w ciemność, zniknęła za czarną kurtyną skłębionej mgły.

* * *

Ocknąłem się ze strasznym bólem w piersiach, paliło mnie w nich od środka, tak jakby ktoś zastąpił serce kupką rozżarzonych węgielków. Chciałem pomacać to miejsce, sprawdzić, co jest grane, ale byłem na to za słaby. Nawet głową ledwie mogłem poruszać. O uniesieniu się do pozycji siedzącej w ogóle nie było mowy.

Po jakimś czasie do pokoju wszedł lekarz. Wysoki, pewny siebie. Był to chirurg, który zamelinował nas w szpitalnym schowku na szczotki, przyjaciel byłego męża Bonnie. Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale on położył mi dłoń na ramieniu.

— Ciii — syknął. — Lepiej nic teraz nie mówić. Dużo pan przeszedł.

Chciałem zapytać, co się stało, jak się stało, gdzie jestem,

kiedy przyjdzie do mnie Bonnie, ale ten lekarz był na to przygotowany. Pokiwał głową, kiedy bezskutecznie próbowałem dobyć z siebie głos, a z mojej krtani wydobywał się sam gulgot, przysunął sobie krzesło i usiadł.

— Wiem, że ma pan wiele pytań i postaram się na nie odpowiedzieć — zagaił i zaczął opowiadać ze szczegółami, co się wydarzyło.

Ale jestem zbyt zmęczony, żeby teraz słowo w słowo przytaczać jego relację, podsumuję ją więc tylko.

Bonnie oddała mi swoje serce. Puzzle zostały ułożone.

* * *

Zostawiła dla mnie liścik, parę słów na karteczce wyjaśniających wszystko i nic zarazem. Noszę ten karteluszek w kieszeni szpitalnego szlafroka i czytam co parę godzin.

Nie przytoczę tutaj pełnej treści; to bezcelowe. W każdym razie Bonnie tłumaczy w tym liście, dlaczego poprosiła lekarzy, żeby wycięli jej naturalne, idealnie bijące serce i zastąpili je moim jarvikiem-13, dlaczego postanowiła przeistoczyć się w kompletnego androida, a mnie przywrócić pełną naturalność.

Nie chodziło bynajmniej o odwrócenie ode mnie uwagi Union — w myśl oficjalnej doktryny Union jestem teraz bezpieczny; nie mogą mnie już tknąć, chociaż wątpię, czy przyjmą mnie znowu na etat — i czy fakt, że Bonnie ma jeszcze jeden sztuczorg w swoim ciele, to dla nich tylko dodatkowy groszek w strączku. Jak już powiedziałem, nie mogą się już do mnie dobrać.

Nie, Bonnie napisała, że jej dar ma mnie przekonać, że się mylę.

„Ludzie mogą się zmieniać. I stać ich na poświęcenia, nawet

jeśli nigdy wcześniej tego nie robili. Ale nie muszą. Kto jak kto, ale właśnie ty nie musisz”.

* * *

Odwiędził mnie w szpitalu Jake. Zdobył się jednak na ten gest. Chyba spałem, kiedy wchodził do pokoju, bo kiedy wybudziłem się ze snu o drabinie na polu białych irysów, pochylał się nade mną z uśmiechem.

— Cześć — powiedział, kładąc na szafce bukiet irysów.

To ich zapach musiał wpłynąć na treść mojego snu.

— Cześć — odmruknąłem. Jake rozejrzał się po pokoju.

— A ty znowu w szpitalu. Jeszcze ci to wejdzie w nawyk.

— Ano, w szpitalu. Miejmy nadzieję, że ostatni raz.

— Miejmy.

Usiadł na krześle stojącym obok mojego łóżka, ale rozmowa jakoś się nie kleiła. W telewizorze w kącie leciała powtórka starego, słynnego meczu futbolowego. Patrzyliśmy, jak wynik zmierza ku ostatecznemu rezultatowi, który obaj znaliśmy.

Po półgodzinie pielęgniarka przyniosła mi lunch i kiedy schyliła się nad stolikiem, żeby wyregulować wysokość, Jake spojrzał na mnie i uniósł brew. Bez słowa wziął z tacy plastikową słomkę i wepchnął do niej kulkę utoczoną z poślinionego strzępka serwetki. Kiedy pielęgniarka wychodziła, wsadził sobie słomkę do ust i dmuchnął z całych sił. Kulka wylądowała we włosach pielęgniarki i ugrzęzła w nich.

— Wciąż ten sam stary Jake — powiedziałem.

— A żebyś wiedział.

Z uśmiechem wyjąłem mu słomkę z dłoni.

— Teraz ja.

* * *

Nie wiem, gdzie jest teraz Bonnie. Nie powiedziano mi. Sami prawdopodobnie nie wiedzą. Lekarze powiedzieli, że asystowała przy operacji, bo chciała mieć pewność, że mój organizm nie odrzuci jej naturalnego serca. A po krótkim okresie rekonwalescencji wypisała się ze szpitala i tyle ją widziano.

Wiem, że ze schowka na szczotki zniknął mój Underwood model VIII, a z nim ryza czystego papieru, i uśmiecham się na samą myśl o tym. Bonnie, gdziekolwiek jest, stuka na maszynie; przejęła po mnie obowiązki kronikarza. Chciałbym kiedyś przeczytać ten maszynopis, najlepiej mając u boku autorkę.

* * *

W przeddzień mojego wyjazdu na wojskowy obóz szkoleniowy do San Diego ojciec zawołał mnie wieczorem do swojej nory i posadził w przepastnym fotelu. Pożegnalne przyjęcie dobiegło końca, goście rozeszli się już do domów; Sharon Cosgrove zapięła szmizjerkę i pocałowała mnie na do widzenia. Matka zmywała w kuchni naczynia i sprzątała.

— Synu — powiedział ojciec — będziesz w życiu pracował i będziesz się bawił. A kiedy nadejdzie twoja ostatnia godzina, obejrzyś się za siebie i stwierdzisz, że wszystko tam jest, niekończący się łańcuszek dni, który swój początek bierze właśnie dzisiaj. Ale jeśli znajdziesz swoje powołanie, do którego jesteś stworzony, powołanie, w którym będziesz się spełniał, i jeśli mu się oddasz, to wygralesz. Mnie się to nie udało. Większości ludzi się nie udaje. Tobie też się prawdopodobnie nie uda, ale najważniejsze to próbować i nigdy nie dawać za wygraną, nawet kiedy pomyślisz, że nic z tego. Rozumiesz, o co mi chodzi, synu?

Mruknąłem, że rozumiem. A potem wyszedłem i następnym

razem zobaczyłem go już w trumnie. Ale za cholera nie rozumiałem.

Dzisiaj, teraz, chyba rozumiem. Wiem, że nie znalazłem dotąd tego powołania. Nie wiem nawet, czy kiedykolwiek je znajdę. Ale jestem jeszcze stosunkowo młody. Młody i zdrowy.

Od czasu do czasu brakuje mi jednak tykania mojego jarvika-13, wszytego w udo pilota, pokrzepiających piknięć informujących mnie, że urządzenie pracuje wciąż bez zarzutu. Brakuje mi pewności, którą zaawansowana technika dawała złożonej maszynierii mojego organizmu. Dobrze było wiedzieć, że nad zachodzącymi w nim samorzutnie procesami czuwa jakaś siła przewyższająca moją, doprowadzona do perfekcji, zweryfikowana przez czas technika.

Ale jeszcze lepiej leżeć na szpitalnym łóżku z ręką na długiej, szerokiej bliźnie biegnącej w poprzek klatki piersiowej i wczuwając się w bijącą tam Bonnie, wyobrażać sobie, że wpadła mnie odwiedzić i właśnie puka do drzwi.